

Dla kochanego syna Collina ...  
skończonego drania.

*Złodziej ma wymówkę,  
Gdy się sam sędzia kradzieży dopuszcza.*  
Shakespeare, „Miarka za miarkę”, II, 2  
Przekład Leona Ulricha

*Nowy Jork, lipiec 1987*

Apartament na najwyższym piętrze ekskluzywnego wieżowca tonął w mroku. Na tarasie kobieta i mężczyzna, ubrani w czarne luźne kombinezony, przygotowywali się do złożenia niekonwencjonalnej wizyty. Kobieta, trzymając wielki płócienny plecak, przyglądała się swemu towarzyszowi, który dłonią w rękawicze badał uważnie futrynę szklanych drzwi. Wreszcie trafił na to, czego szukał - przewód systemu alarmowego. Sięgnął do plecaka i wydobył z niego szczypce oraz zwój kabla, zakończonego z obu stron żabkami. Ponownie nachylił się nad przewodem. Powoli i z wielką ostrożnością szedł jego śladem, dopóki nie napotkał źródła systemu. Delikatnie odłączył przewód i zabezpieczył go żabką. Wziął do ręki szczypce, a kobieta mimowolnie wstrzymała oddech, jakby w obawie, że za chwilę usłyszy alarm.

Gdy przeciął kabel, rozluźniła się. Zastanawiała się, dlaczego nie pozbyła się jeszcze tych idiotycznych obaw? W ciągu kilku miesięcy tyle razy współdziałali najwyższy czas się przyzwyczajai! Czyżby zapomniała, że może na nim polegać? Przecież on zawsze wie, co robi. Nie mogła przestać myśleć o tym, co mówił, gdy wchodziła z nim w ten przeklęty układ. "Jeden fałszywy krok może być ostatni". Tak powiedział... Spojrzała na współnika. Nadal nie potrafiła wyjść z podziwu nad jego pewnością siebie. Ma chyba nerwy ze stali - myślała często. Właśnie wyciągał z worka diament do cięcia szkła. Ostrożnie wyciął w szybie kółko na tyle duże, by swobodnie sięgnąć do środka i otworzyć zamek.

- Dzięki Bogu, już po wszystkim - powiedziała kobieta i odetchnęła z ulgą widząc, jak mężczyzna rozsuwa drzwi i wchodzi do mieszkania.

Odwrócił się do niej. Jego stanowcza, surowa twarz jaśniała w bladym świetle księżyca. Kosmyk gęstych, ciemnych włosów opadał na czoło.

- Niestety, to dopiero początek - odparł niskim, głębokim głosem.

Z kieszeni kombinezonu wyjął dwie pary okularów noktowizyjnych i podał jedną kobiecie. Włożył swoje i pokazał jej na migi, by zrobiła to samo. Wykonała polecenie i rozejrzała się. Pokój nagle zapłonął niesamowitym, czerwonym blaskiem. Widzieli promienie podczerwone, krzyżujące się w całym pokoju, zdradzieckie światło - niewidoczne bez okularów \_ które mogłoby w każdej chwili uruchomić elektroniczny system bezpieczeństwa. Reagowało na najmniejsze zmiany natężenia światła, jakie nieuchronnie musiałyby nastąpić, gdyby włamywacze trafili na niewidzialny promień. Kobieta zatrzymała się w drzwiach, ciekawa, jak współnik oceni sytuację.

- Nie uważasz, że nie mamy szans? - mruknęła. Potrząsnął głową.

- To po prostu trudne zadanie. Idziemy?

- Chyba zwariowałeś! Nie ma dojścia ...

- Mylisz się - odparł szeptem. - Zawsze jest jakaś droga. Tyle powinnaś wiedzieć.

Wahała się przez chwilę.

- Myślisz, że damy radę? Uśmiechnął się.

- Jest tylko jedna droga i my nią pójdziemy. Westchnęła głęboko, po czym przytaknęła niechętnie. Ostrożnie pokonywali przestrzeń zwinnymi krokami, to przeskakując promienie, to

czołgając się pod nimi, aż w końcu droga do sejfu, ukrytego za bezcennym obrazem Matisse'a w przeciwległej ścianie, stała się całkowicie bezpieczna. Kobieta patrzyła, jak jej towarzysz przez chwilę wodzi strumieniem światła po obrazie. Potem oddał jej latarkę, zdjął obraz ze ściany, odwrócił go i położył na podłodze. Wyciął płótno z ram, zrolował je, a potem podał współpracownika. Wsunęła obraz do plecaka. Mężczyzna spojrzawszy na nią i ruchem głowy wskazał na sejf.

- Czas zabrać się do tego. , Kiedy skierowała światło na sejf, zamiast tradycyjnej tarczy zamka szyfrowego, ujrzeli rzędy niewielkich przycisków. Mężczyzna sięgnął ponownie do plecaka i wydobyl z niego małe, prostokątne urządzenie z długim przewodem przypominające kieszonkowy kalkulator. Drugi koniec kabla, zakończony sondą indukcyjną, przymocował miękką substancją tuż pod tabliczką z przyciskami. Włączył przyrząd. Cyfry migotały dzikim blaskiem, podczas gdy mikroprocesor błyskawicznie odszukiwał właściwą kombinację. Włamywacz szybko otworzył sejf i wrzucił jego zawartość do worka przygotowanego przez współpracownika. Potem zamknął sejf, odłączył swój sprzęt i pośpiesznie ukrył go w plecaku. Cały bagaż umieścił bezpiecznie na plecach.

- Wyośmy się stąd - rzekł do kobiety i spuścił okulary na nos.

Prześlizgując się między promieniami, dotarli na taras. Podczas przygotowań do ucieczki zerknęła z lękiem na ciężką linę, przeciągniętą między tarasem a dachem innego, oddalonego o kilkaset stóp, drapacza chmur dzięki której się tu dostali. Chociaż w ciągu ostatnich kilku miesięcy robiła to wiele razy i wiedziała dobrze, że sznur jest sprawdzony, wątpiła, czy kiedyś zdoła przywyknąć do tej roboty. Jak można czuć się dobrze, kiedy życie wisi na przysłowiowym włosku pięćset stóp nad ziemią? Przechyliła się przez barierkę i spojrzawsza w dół na migoczące światła centrum Manhattanu. W innych okolicznościach z pewnością podziwiałaby piękny widok, ale w takiej chwili... „Jeden fałszywy krok może być ostatni”. Te słowa wciąż rozbrzmiewały w jej głowie. Jedno niewłaściwe posunięcie może kosztować życie.

- Ruszajmy - przynaglił mężczyzna. Przerzucił długie nogi przez barierkę tak niedbale, jak gdyby wstawał z łóżka, i uchwycił się solidnej stalowej pętli, zawieszanej na linie. Ciężarem własnego ciała rozhuśtał ją i mocno rzucił się naprzód. Bezgłośnie odpłynął w stronę sąsiedniego budynku.

Kobieta dotknęła liny, myśląc o tym, co powiedział, gdy po raz pierwszy miała z niej skorzystać: "Moje życie wiele dla mnie znaczy... Kiedy mocuję linę, jest tak bezpieczna, że można na niej przesłać dziecko",

Wzięła głęboki oddech i z wdziękiem baletnicy wspięła się na poręcz. Wiatr rozwiewał jej długie włosy, gdy szybowała poprzez ciemności niczym nocny ptak. Wątpiwości i pytania na powrót zaczęły kołatać się w głowie. W jakim momencie wszystko zaczęło się walić? - zapytała w duchu. Dlaczego świat, który był jej tak drogi, odsunął ją od siebie? Jak to się stało, że robi takie rzeczy?

### *Santa Helena, Kalifornia, wrzesień 1975*

Oślepiające słońce zalewało Napa Valley. Brązowe ciała półnagich mężczyzn pracujących w winnicy lśniły od potu. Jak co roku uczestniczyli w wyczerpującym zbiorze winogron, z których produkowano jedno z najprzedniejszych win w północnej Kalifornii. Rozpoczęto wyciskanie i w powietrzu unosiła się upojna woń. Jest to obraz tak charakterystyczny dla tego regionu jak tłumy i korki uliczne w centrum Nowego Jorku. To kraina win. Jak okiem sięgnąć, w krajobrazie dominują winnice i winiarnie.

Na porośniętym trawą pagórku nad jedną z takich winnic, dumając pod rozłożystym dębem, siedziała Abby Giannini. Obok niej leżały połamane ołówki i szkicownik. Miała na sobie wyblakłe dżinsy i luźną, ręcznie tkaną kremową bluzkę z różnokolorowymi kwiatami wyhaftowanymi wokół dekolotu. Długie, ciemne włosy opadały miękkimi falami na ramiona, idealnie podkreślając delikatny owal twarzy. Ciemne rumieńce, duże piwne oczy, oliwkowa karnacja i regularne rysy niezbitnie świadczyły o włoskim pochodzeniu dziewczyny. Przodkowie Abby przybyli do tego kraju z Toskanii w dziewiętnastym wieku, przywożąc doświadczenia całych pokoleń producentów doskonałych win. Mieli nadzieję, że tutaj zaczną wszystko od początku. Wierzyli, że pozakładają własne winnice i będą kontynuować tradycje rodzinne. Abby zawsze uważała, że to niesprawiedliwe, by Giannini, mistrzowie przemysłu winnego z Toskanii, w Kalifornii byli tylko

zwykłymi robotnikami. Od chwili gdy prapradziadek dziewczyny, Roberto, przybył tu przed stu laty, zawsze pracowali dla kogoś 'innego. Wiedza Gianinich uczyniła niejednego bogaczem, podczas gdy ich własne dochody były marne.

Abby spojrzała na bezchmurne niebo, zachwycając się jego bezkresnym, czystym błękitem. Przypomniała sobie zasłyszana gdzieś piosenkę *On a Clear Day You Can See Forever*.

To prawda - pomyślała, sięgając po szkicownik. Otworzyła go na pierwszej stronie i popatrzyła z niechęcią na nie dokończony obrazek. Ile jeszcze razy będzie próbowała narysować tamtą scenę - człowieka w winnicy, blask słońca, głębia nieba - zanim zdoła uchwycić to tak, jak widzą oczy i serce? Spojrzała na rysunek krytycznie. Wiedziała, że jest dobry. Nie była próżna, stwierdziła tylko fakt. Sama najlepiej знаła wszystkie słabe i mocne strony swego talentu. Doskonale zdawała sobie sprawę, na ile ją stać. I właśnie ta świadomość najbardziej smuciła Abby Giannini. Dziewczyna wiedziała, że potrafi oddać głębię i bogactwo tego krajobrazu, a jednak ilekroć próbowała przenieść je na papier, rezultaty nie odpowiadały wymaganiom.

W odróżnieniu od przodków i w przeciwieństwie do rodziców nie miała zamiaru dochowywać wierności tradycji i poświęcać się produkcji win. We wczesnym dzieciństwie odkryła w sobie talent i postanowiła, że jej przyszłość nie będzie w niczym przypominała cłhego życia rodziców. Abby miała zamiar zostać malarką. Pragnęła wieść bogate, ekscytujące życie w San Francisco. Później, kiedy zdobędzie już powszechne uznanie i sławę, przeniesie się do Nowego Jorku albo Londynu, a może nawet do Paryża. Będzie podróżować, wystawiać swoje obrazy na całym świecie. W każdym razie przyrzekła sobie, że nie zostanie w Napa Valley.

Abby wstała i otrzepała żdźbła trawy ze spodni. Pozbierała swoje rzeczy i ruszyła w dół po stromym zboczu w kierunku małego domku stojącego na terenie winnicy, gdzie mieszkała z rodzicami. Tony i Lucia Giannini żyli tu i pracowali od czasu ślubu. Tutaj przyszły na świat ich dzieci, Roberto i Abigail. Tutaj również pięcioletni Roberto zmarł na białaczkę. W tej winnicy Abby stawiała pierwsze niepewne kroczki, a pierwsze słowa wymówiła w obrośniętej winem kamiennej chatce. Chodziła do szkoły oddalonej o dwie mile od Santa Helena. Pierwsze poważne prace Abby to szkice imponującej winiarni, zbudowanej w stylu gotyckim, rysunki przedstawiające mężczyzn pracujących w winnicach, wizerunki żon i córek ich właścicieli, eleganckich dam w stylowych kapeluszach. Dla większości dzieci, które przychodziły na świat w rodzinach robotniczych, było oczywiste, że pójdą w ślady rodziców i zostaną albo robotnikami, albo żonami robotników. Z Abby było inaczej. Wiedziała od dawna, że nie zmarnuje życia, nie poślubi żadnego z chłopców, wśród których się wychowała. Choć żywiła gorącą miłość do tej doliny, czuła, że ciche, leniwe życie, jakie toczy się tu w czasie wolnym od pracy, nie jest dla niej odpowiednie. Z całego serca pragnęła czegoś więcej.

Miała zamiar podążyć za głosem, który nakazywał walkę o lepsze jutro.

- Po maturze wyjeżdżam do San Francisco - oznajmiła pewnego wieczoru podczas kolacji.

Pani Giannini spojrzała na córkę znad talerza. Była niską, przysadzistą kobietą koło pięćdziesiątki. Silnie pomarszczona twarz świadczyła o latach ciężkiej Pracy, a znaczna otyłość - o zamięłowaniu do obfitych dań typowych dla kuchni włoskiej.

- Dlaczego? - zapytała ze szczerym zdumieniem.

- Do pracy, mamó - odpowiedziała Abby. - Mówiłam już wcześniej ... Chcę być artystką. Malarką .

(BRAK 4 LINIJEK TEKSTU)

cierpliwie Abby. - Mogę tutaj malować, Owszem, może mogłabym nawet sprzedać kilka prac w mieście, ale siedząc w dolinie, nigdy nie nauczę się tego wszystkiego, na czym mi najbardziej zależy - mówiła z rosnącym zapałem. - Nie odniosę tu prawdziwego sukcesu!

- Sukces! - rzucił z pogardą Tony Giannini i wyprostował się na krześle. Był wysokim, tęgim mężczyzną o siwych, przerzedzonych włosach. Miał sumiaste wąsiska i rumianą, ogorzałą twarz. - Przeżyjesz wiele rozczarowań, dziewczyno - pomrukiwał, kręcąc głową. \_ Świat, do którego ci tak spieszo, jest stworzony dla bogaczy, do których należą te winnice, a nie dla robotników. Nie

pasujesz do tych ludzi. Skrzywdzą cię.

- Dojdę do wszystkiego jako artystka, tato \_ dowodziła Abby uparcie, starając się nie stracić panowania nad sobą. - Mam talent!

- Piękne marzenia, *figlia mia* - odrzekł szorstko. \_ I dobrze, jeśli na marzeniach się skończy. Ludzie z naszego środowiska nie mają w zwyczaju jeździć do San Francisco po sławę i bogactwo. My nie bratamy się z wyższymi sferami. Jesteśmy prostymi ludźmi i lepiej się nam wiedzie, jeżeli obracamy się między swoimi. Dziewczęta takie ja ty są, wierz mi, o wiele szczęśliwsze, 'kiedy poślubią chłopców pracujących w winnicach jak ich ojcowie. Są szczęśliwsze, gdy osiedlą się tu w dolinie, mają dzieci i...

- Nie mam zamiaru wychodzić za mąż za jednego z "chłopców", mieć z nim dzieci i zostać tutaj do końca życia! - wybuchnęła Abby, zrywając się na nogi tak gwałtownie, że przewróciła dzban z mlekiem. Lucia Popędziła, żeby posprzątać, a córka nie ruszyła się nawet, by pomóc matce czy chociaż przeprosić za swoje zachowanie. Z gniewem odwróciła się do ojca. \_ Jadę do San Francisco, tato. Zostanę artystką, przekonasz się. Obróciła się na pięcie i dumnym krokiem wyszła z domu.

Dygocząc z wściekłości

(BRAK 2 LINIJEK TEKSTU)

sił zapanować nad emocjami. Szczerze kocha ojca, ale on jest taki ograniczony! Czy nie może pojąć, że nie wolno nikomu narzucać wyboru drogi życiowej tylko dlatego, że wcześniej podążali nią dziadkowie i pradziadkowie? A przecież, na litość boską, ich przodkowie nie byli zwykłymi robotnikami! .W Toskanii zaliczali się do mistrzów hodowli winogron, a tam liczy się tylko to. Czy ojciec zupełnie o tym zapomniał? Czy nie dostrzega szansy, która pozwala się wznieść ponad stan narzucony przez obcych? Czy nie wie, że nie musi być przez całe życie biedny, chociaż urodził się w nędzy? Dlaczego nie chce zrozumieć, że córka oczekuje od życia więcej, niż świat może jej zaoferować? Czemu bliski człowiek ma tak niewiele szacunku dla jej ambicji?

- Abby, obiad stygnie, *diletta* mia.

Matka stała w drzwiach z zatroskaną miną.

- Nie jestem głodna, mam - odrzekła dziewczyna zmęczonym głosem i potrząsnęła głową.

Lucia podeszła bliżej.

- Ojciec martwi się o ciebie, podobnie jak i ja - powiedziała łagodnie, kładąc dłoń na ramieniu córki. - Ma dobre serce, chociaż może jego metody nie są najlepsze. Nie chce, żeby ktoś cię zranił.

- Czy on uważa, że dam się skrzywdzić? - Oczy Abby i matki spotkały się. - Myśli, że nie jestem dość dobra, by zostać artystką?

- Oczywiście, że nie - zaprzeczyła Lucia. - Obawia się, że być może inni nie docenią twojego talentu. Nie chce, żebyś się rozczarowała.

- Co jeszcze? - Abby odniosła wrażenie, że matka chce coś dodać, ale zabrakło jej słów.

Lucia wstrzymała oddech.

- Tony jest człowiekiem starej daty - odezwała się w końcu. - Wierzy w silne, liczne rodziny, trzymające się razem i pielęgnujące dawne tradycje. Nie myśli wiele o świecie bogaczy.

Abby spojrzała na matkę pytająco.

- Bogaci ludzie, którzy odwiedzają galerie i patronują ulubionym artystom, mogą szybko odwrócić się do ciebie plecami. Ojciec nie ufa bogaczom. - Lucia Giannini przerwała na moment. - Uważa, że nasz świat jest bezpieczny i dobry. Nie powinniśmy o tym zapominać.

- Ale ja nie mogę tak żyć, mam! - zawołała Abby z pasją. - Mam to, czego ludzie ode mnie oczekują!

- Na pewno masz *rację, figlia mia* - tłumaczyła matka - ale spróbuj zrozumieć rodziców. Znajdziesz się tak daleko, sama w obcym mieście, gdzie nie będziemy mogli cię chronić. Jesteś wszystkim, co

mamy. Kiedy twój brat umarł... - Bezradnie wzruszyła ramionami.

Abby objęła ją łagodnie, połykając łzy.

- Tak mi przykro, mam - powiedziała miękko. - Nie zdawałam sobie sprawy ... - Była tak zaabsorbowana własnymi pragnieniami, że nie pomyślała o tym, jak trudno rodzicom rozstać się z jedynym dzieckiem. Mimo to nie chciała zrezygnować z marzeń. Co mam zrobić, żeby zrozumieli, żeby dostrzegli, że mam prawo tak postąpić?

- Martwię się o Abby - rzekł Tony Giannini do iony. Lucia uśmiechnęła się wyrozumiale, zgarniając resztki z obiadu do wielkiego żelaznego gara.

- Dlaczego? - zapytała. - Obawiasz się, że w wielkim mieście spotka ją jakaś krzywda, czy po prostu boisz się, że mała zrani cię, opuszczając dolinę na zawsze?

Przyglądał się żonie przez chwilę.

- Znasz mnie zbyt dobrze, *cara*. - Potrząsnął ze smutkiem głową. - Pewnie myślisz, że jestem egoistą, bo nie chcę widzieć, jak nasza Abby opuszcza nas, i zależy mi na tym, by doczekać czasów, gdy jako szczęśliwa mężatka osiedli się tutaj, gdzie będę mógł obserwować nasze wnuki.

- Wcale tak nie uważam - powiedziała łagodnie Lucia, spoglądając na męża z miłością. - Myślę, że po prostu za bardzo kochasz naszą dziewczynę, a to przecież nie przestępstwo. - Zdjęła ze stołu obrus poplamiony sosem pomidorowym i wrzuciła go do pojemnego kosza stojącego tuż przy drzwiach. - Podobnie jak ty nie chcę, by odjeżdżała, ale Abby jest już dorosła. Skończyła dwadzieścia lat. Ma prawo zacząć własne życie, z daleka od nas, jeśli tego chce.

- Ma za dużo wielkich planów - odrzekł Tony zirytowany. - Za dużo marzeń. Ona chce zbyt wiele. Wpakuje się w jakieś kłopoty.

Lucia przerwała robotę i usiadła przy stole naprzeciwkomeża.

- Wiem, co czujesz, Tony, bo przeżywam to tak jak ty. Nie chcę, żeby dziecku coś się stało. - Nie będziemy jednak mogli przez całe życie chronić córki przed przeciwnościami losu. Musi nauczyć się radzić sobie sama.

- Ale ją ciągnie do życia, które jest zupełnie inne niż nasze - oponował Tony z niepokojem. - Chce się znaleźć w świecie, który ją zniszczy.

- Jeżeli masz rację, to Abby będzie musiała walczyć - odparła Lucia z prostotą. - Ona jest silna, Tony. Może bogacze odtrąca ją, ale to nie znaczy, że podda się od razu.

Giannini uśmiechnął się.

- Pewnie masz rację - powiedział w końcu. Ostatecznie jest córką swojej matki. - Przerwał, sięgnął po cyg<ero i zapalił je. - Gdyby tylko nauczyła się pano- . wać nad swoim dzikim temperamentem

...

Lucia wyciągnęła rękę nad stołem i z czułością ucisnęła dłoń męża.

- To nie przyjdzie jej łatwo, *caro*, gdyż jest także córką swego ojca. - Westchnęła ciężko.

Abby oczarowana buszowała w sklepiku artystycznym w Santa Helena. Gdy jako mała dziewczynka przyglądała się malarzom odwiedzającym Napa Valley, obserwowała z uwagą, jak usiłują uchwycić na swych płótnach naturalne piękno krajobrazu. Zdumiewał ją zawsze sposób, w jaki, wycisnąwszy z tubek farbę na palety, mieszały odrobinę jednej i drugiej, by stworzyć zupełnie inny kolor. Nawet teraz zdziwiła się własną umiejętnością tworzenia tuzina różnych odcieni zieleni, dzięki którym powstawał pejzaż tak urozmaicony, jakby stworzyła go natura. Abby wydawało się, że jest coś magicznego w tym, jak różnie odbija się słońce w poszczególnych źdźbłach trawy na tej samej łące, w tym, że . inaczej zieleni się winorośl niż same winogrona czy wysokie trawy na p.obliskim polu. Przyglądając się teraz wystawionemu na sprzedaż płótnu, była zaintrygowana mistrzostwem, z jakim artysta uchwycił światło po jednej stronie jabłka, które w niektórych miejscach lśniło czerwienią, a w innych było bladożółte.

Dimitri Sarnoff, nauczyciel plastyki w Napa College, pierwszy rozpałił w Abby ambicje malarskie. Opowiadał o swoich własnych marzeniach, o tym, jak dorastając w powojennej Europie, pragnął stać się uznanym artystą. Opisywał wspaniałe obrazy, które jego rodzice

wywozili z Austrii podczas drugiej wojny Światowej. Mówił o dziełach sztuki, które pobudzały wyobraźnię i napełniały żądzą tworzenia, malowania własnej, niepowtarzalnej wizji świata. Opowiedział dziewczynie o latach spędzonych w paryskiej Ecole des Beaux-Arts, o dokonanych tam bolesnym odkryciu, że jego talent nie wystarczy, by odnieść sukces w świecie sztuki.

- Ale ty, Abby ... ty masz wyobraźnię i talent. Twoje zdolności zaprowadzą cię wysoko - zapewniał.

Był jej mentorem, zachęcał do pracy i dodawał otuchy. Wpoił swej uczennicy wiarę w siebie, konieczną, by śmiało zdążyć do celu.

Abby w pośpiechu kupiła tyle farb, na ile ją było stać.

Nie interesowały ją płótna; używała własnych starych prześcieradeł, gruntowanych klejopodobną substancją. Przyrządzała ją w domu, wygotowując kości królicze. Była to stara technika, której opis znalazła przypadkowo w jednym z podręczników historii sztuki.

Potrzebę słusznie zwą matką wynalazków - pomyślała ironicznie, wracając do domu swoim pięcioletnim Fordem Fairlane. Ciągłe używała sztalug, które ojciec zrobił dla niej, gdy miała dwanaście lat i dopiero zaczynała interesować się sztuką. Malowała, kiedy tylko mogła, tam gdzie znalazła trochę miejsca na rozstawienie sztalug. Dźwiganie ich nie należało do przyjemności, ale nigdy nie narzekała. Przecież obiecała sobie już dawno, że nie będzie tak przez całe życie. Mogła znieść wiele, mając przed sobą perspektywy, wiedząc, że to jeden z wielu koniecznych kroków prowadzących do celu. Była przekonana, że pewnego dnia wejdzie do własnej najprawdziwszej pracowni malarskiej z odpowiednim oświetleniem i najlepszym wyposażeniem. Pewnego dnia bogaci, wpływowi ludzie, którzy dzisiaj patrzą na Gianninich z góry, będą szaleć za obrazami Abby. Kiedyś zdobędzie uznanie wszystkich. Ich pieniądze przyniosą jej sławę!

Abby nigdy nie wyjeżdżała do San Francisco, ale wiedziała o życiu w tym mieście prawie tyle, go sami jego mieszkańcy. Już w dzieciństwie zafascynowało ją to wspaniałe, magiczne miasto, czytała o nim wszystko, co tylko wpadło jej w ręce. Kiedy podrosła, skoncentrowała uwagę na świecie artystycznym. Chłonęła chciwie treść kronik towarzyskich z wszystkich gazet San Francisco. Studiowała uważnie fotografie elegancko ubranych, obwieszonych biżuterią kobiet, czując w głębi 'duszy, że nadejdzie dzień, kiedy wszystkie będą kupowały jej dzieła. Interesowała się tym, co kto nosi, jak się czesze, jaka biżuteria jest odpowiednia na dzień, co wypada włożyć na owe "specjalne" wieczory. Notowała skrupulatnie, które restauracje uchodzą za najlepsze, w jakich miejscach wypada się pokazać i jakimi samochodami tam zajechać. Tyle musiała wiedzieć Abby Giannini, by udowodnić sobie, że może wejść do socjety.

Abby Giannini. Imię nadane przez rodziców jakoś nie pasowało do nowego życia.

Ojciec z pewnością urwałby mi głowę za takie rozumowanie - zadumała się. Nazwano ją tak po jej babce, którą Tony ubóstwiał. Żadne z rodziców nie pojmie, dlaczego zmiana imienia jest tak istotna.

Pomyślała, że córka wstydzi się swego pochodzenia, a przecież to nieprawda. Chciała tylko dostosować się do świata, o którym śniła nieustannie. Czasami miała wyrzuty sumienia z powodu tych marzeń, ale nie osłabiało to jej pragnień. Chciała przepychu i splendoru, pięknych strojów, nocnego życia i przyjęć. Pragnęła jadać w najlepszych restauracjach, chciała, by wielki świat ją zaakceptował. Była pewna, że Abby Giannini, córka robotnika z Napa Valley, nie będzie witana przez bogaczy z otwartymi ramionami. Ale gdyby przyjechała do San Francisco jako jedna z nich ...

Potrzebowała nowego nazwiska. Będzie się nazywała Gordon. Dobrze brzmi i łatwo się wymawia. Abby Gordon? Nie, to nie pasuje. Anna to ładne imię, imię osoby z dobrymi manierami. Ale Anna Gordon brzmi jak pseudonim. Angela? Nigdy specjalnie nie podobało jej się to imię. Alicja?

Przywodzi na myśl małą dziewczynkę z mysimi ogonkami i w wyświechtanej sukience. Żadne z imion nie wydawało się odpowiednie.

Abby rzadko chodziła na randki. Choć nieustannie kręcili się wokół niej najbardziej atrakcyjni chłopcy z Napa, nie interesowała się żadnym z nich. To byli robotnicy i synowie robotników. Żyli w świecie, który miała zamiar porzucić. Zaangażowanie się w jakiś związek mogłoby tylko

skomplikować życie, a tego najmniej potrzebowała. Poza tym nie widziała powodu, żeby robić któremuś nadzieję, skoro nie mieli szans: Kiedy przyjmowała jakieś zaproszenie, zazwyczaj chodziła na kolację i do kina w Santa Helena lub w Napa. Abby kochała kino. Uwielbiała magiczny świat na srebrnym ekranie. Każdy film stanowił małą odskocznnię od cichego Napa Valley. Czasami wyobrażała sobie, że jest jedną z bohaterek z ekranu. Tak będzie - obiecywała sobie zawsze.

Pewnego wieczoru, w pierwszych dniach października, wybrała się z Samem Cavellim na *Przeminęło z wiatrem*. Sam był dobrym znajomym Abby z wczesnego dzieciństwa. Teraz, podobnie jak inni, pracował w winnicy. Zachowaniem i wyglądem przypominał typowego *macho*, ale Abby nigdy nie przejmowała się jego prymitywnym sposobem bycia. Wręcz przeciwnie - bawiło ją to nawet. Sam był najprzystojniejszym i najwytrwalszym z młodych mężczyzn, którzy się nią interesowali. Nigdy nie rezygnował, choć Abby bardzo starała się go zniechęcić. Mimo że dostawał odpawę, zawsze powracał. Czasem zastanawiała się, dlaczego w ogóle zaprzęta sobie nim głowę. Szczerze przywiązała się do Sama, jak siostra do brata. Szkoda, że on nie traktował tej znajomości w podobny sposób.

Kiedy wyszli z kina, było już zupełnie ciemno, ale wyjątkowo pogodnie. Wsiadli do Chevy Malibu, kabrioletu Sama. Przed filmem zaparkowali go na wzgórzu z widokiem na winnicę. Chłopak jak zwykle starał się wywrzeć na Abby wrażenie opowieściami o ostatnim awansie i innych sukcesach w pracy.

- Będę tu szefem jeszcze przed trzydziestką, malutka

- chępli się. - Wtedy dopiero pokażemy im, jak się żyje. Jeżeli dobrze rozegrasz swoją partię, ma się rozumieć. Przysunął się i otoczył ją ramieniem.

- Jeśli dobrze rozegram swoją partię? - powtórzyła zaskoczona Abby. Ile razy ma mu przypominać, że nie pasuje do jej planów na przyszłość?

Ich twarze znalazły się blisko siebie.

- Tak, malutka - wymamrotał, obcałowując ją agresywnie. Usiłowała wyzwolić się z jego ramion, ale przycisnął ją do białego siedzenia i siłą wepchnął język do ust, uniemożliwiając oddychanie. Objął dziewczynę mocno jednym ramieniem, a wolną rękę wsunął pod bluzkę. Zaczął ścisnąć piersi i szczytać sutki, sprawiając ból. Abby wiała się rozpaczliwie w żelaznym uścisku.

- Puść mnie, bydlaku! - syknęła, kiedy w końcu udało jej się odwrócić twarz. Ciągle próbowała się wyrwać, ale wszystkie usiłowania szły na marne.

- Przy mnie nie musisz odgrywać roli oziębłej księżniczki - mruczał, podciągając jej bluzkę pod brodę. - Nikt się nie dowie. To będzie nasza tajemnica ... twoja i moja .... - Schylił głowę nad jej piersiami i wziął sutek do ust. Abby nie dawała za wygraną, ciągnęła chłopaka za włosy, próbując go odepchnąć, ale był za silny. Wreszcie z wściekłością uderzyła go łokciem w oko. Wrzasnął z bólu i odskoczył, jedną ręką zakrywając twarz. Abby pospiesznie poprawiła ubranie i chciała złapać za klamkę, ale Sam okazał się szybszy.

- Słuchaj no, dziwko! - warknął. - Pa:radujesz po Winnicach i kręcisz tyłeczkiem, ale żaden chłopak cię nie dostał. - Pchnął ją na siedzenie i podciągnął do góry kretonową spódniczkę.

Wielką dłonią zerwał z dziewczyny majtki i siłą rozsunał uda. Próbowała krzyczeć, gdy wsuwał w nią dwa palce, ale zamknął jej usta pocałunkiem. - Myślałaś, że długo będziesz przed tym uciekać?

- sapał do ucha Abby, obmacując ją brutalnie. \_ Nie przyszło ci do głowy, że pewnego dnia zmęcza mnie te gierki i po prostu wezmę to, czego chcę?

- W ten sposób udowadniasz swoją męskość? \_ Z trudem chwytła powietrze. - Biorąc kobietę siłą?

- Biorę kobietę, na którą napala się każdy chłopak w dolinie. Do diabła, dawno nie czułem się lepiej \_ mamrotał, napierając na Abby. Poczula, że koniec jego penisa szuka wejścia w nią. Strach i gniew spotęgowały się. Zebrała resztki sił, pchnęła kolanem na oślep i trafiła chłopaka w pachwinę. Opadł na podłogę, skręcając się z bólu. Abby precyzyjnie się do drzwi i wyskoczyła z samochodu, pragnąc znaleźć się jak najdalej od tego miejsca.

Biegła do samego domu, nie przystając ani na chwilę. Dzięki Bogu, śpią .... pomyślała, wchodząc

do ciemnego mieszkania. Zdjęła buty i na palcach przeszła przez hol do swojej sypialni. Gdyby ojciec się dowiedział, co wydarzyło się tej nocy, zabiłby Sama gołymi rękami. Co prawda nie miałyby nic przeciwko temu, ale Cavelli, żywy czy martwy, nie był wart, żeby przez niego siedzieć w więzieniu. Miał czelność sądzić, że wyda pięć dolarów na kolację i uda mu się przelecieć uczciwą dziewczynę! Wszyscy wiedzieli, że Sam zadaje się z okolicznymi 'dziwkami, ale mimo to Abby czuła do niego sympatię. Dzisiaj przestał dla niej istnieć.

Choć pragnęła zemsty, postanowiła, że nikt się nie dowie, co zaszło. Nigdy. Zrzuciła ubranie i stanęła nago przed olbrzymim lustrem, oglądając swoje obrażenia. Miała siniaki na udach, zadrapania na piersiach i biodrach.

To nie ma znaczenia - powiedziała sobie mimo gniewu i poniżenia. Nie miała zamiaru zostać tu ani chwili dłużej. Opuści dolinę i zostawi za sobą całą przeszłość. Łącznie z Samem Cavellim.

Poszła do łazienki wziąć gorącą kąpiel. Chciała jak najprędzej zetrzeć z siebie każdy najmniejszy ślad tego, co się wydarzyło. Kiedy weszła do parującej wody i spojrzała na swe nagie ciało, przypomniała sobie, w jaki sposób Sam dotykał jej, co z nią robiły jego ręce i usta. Myślała o nowych doznaniach, które ogarniały ją całą, gdy całował jej piersi, wkładał dłoń między uda. Nikt przedtem nie dotykał jej w ten sposób, nie robił z nią takich rzeczy. Rozpalił ją wbrew jej woli. Ale to niczego nie zmienia - myślała uparcie. Przekonanie, że powinna jak najszybciej opuścić dolinę, jeszcze bardziej się wzmocniło.

Abby nie przyznawała się sama przed sobą, że potrzebuje kochanka. Czasami, kiedy była nocą sama w sypialni, marzyła o przystojnym zuchwałym mężczyźnie, który przychodzi z ciemności, by się z nią kochać ... delikatny, lecz namiętny, gotów połączyć się z nią w jedno. Niepodobny do facetów takich jak Sam Cavelli. Instynktownie czuła, że Abby Giannini nigdy nie znajdzie takiego człowieka. Ale może artystka, która już tak długo żyła w jej duży, spotka go w San Francisco. Może kobieta, którą pragnęła się stać, zdobędzie wszystko, o czym ona przez całe życie marzyła, osiągnie to, co do tej pory wymykało jej się z rąk. Ale przede wszystkim - pomyślała - ta kobieta musi mieć nazwisko, tożsamość. Zastanawiała się nad tym już w kinie. Przypadło jej do gustu imię jednego z bohaterów, nadające się równie dobrze dla mężczyzny, jak i dla kobiety. Było czarujące i inne. Idealnie pasowało do tej drugiej kobiety, do innego świata. Wygramoliła się z wanny i zaczęła się dokładnie wycierać. Gniew i poczucie upokorzenia jakoś się rozproszyły; znalazła to, czego szukała. Kiedyś nadejdzie czas, by Abby Giannini ostatecznie przestała istnieć. Jej miejsce zajmie Ashley Gordon.

*Boston, luty 1976*

En grade! - Dwaj mężczyźni w tradycyjnych białych strojach szermierczych z prędkością światła poruszali się po parkiecie sali treningowej. Ostrza francuskich floretów błyskały co chwila nad głowami walczących. Jeden z nich groźnie uniósł klingę i korzystając z chwilowej nieuwagi przeciwnika gwałtownie pchnął, zaskakując go całkowicie. Następnie zrobił pospieszny unik. Cofnął się, blokując jednocześnie ewentualny atak. Był wyjątkowo zwinny, Jego przeciwnik nie mógł się pozbyć wrażenia, że szermierz znajduje się wszędzie, odparowując ciosy i atakując jednocześnie z nieprawdopodobną zręcznością. Zdobywał jeden punkt za drugim, dopóki nie osiągnął wymaganych pięciu trafień, i zakończył mecz w ciągu ustalonych sześciu minut. Agresja, charakteryzująca jego styl walki, ulotniła się gdzieś, gdy ściągnął drucianą maskę. Piuwe, aksamitne oczy były jeszcze 'pełne ognia, a na szczupłej twarzy wyraźnie rysowała się radość ze zwycięstwa. Gęste, falujące ciemne włosy były zmierzwione i wilgotne od potu. Spojrzał na pokonanego przeciwnika i uklonił się głęboko. Był doskonale zbudowany i miał mnóstwo wdzięku. Wyprostował się i uśmiechnął szeroko.

- Wierz mi, Farnsworth, powinniśmy robić to częściej - odezwał się wesoło.

Drugi mężczyzna uśmiechnął się lekko.

- Wątpię, czy moje serce by to zniosło - wysapał zdyszany. - Ty nie potrafisz walczyć normalnie. Co z tobą jest, Deverell? Wyobrażasz sobie, że jesteś na wojnie?

Coll in Deverell roześmiał się serdecznie, zdejmując skórzaną rękawicę z prawej dłoni, by przygładzić włosy.



- Czy nikt ci nie powiedział, że to nie przestępstwo, gdy ktoś stara się zwyciężyć? - zapytał żartobliwie.

- Grać, żeby wygrać? - Derek Farnsworth roześmiał się głośno. - Daj spokój, Collin. Minutę temu zaczynałem się zastanawiać, czy przypadkiem nie zapominasz, że za tą maską kryje się przyjaciel! Miałem wrażenie, że zaczynamy walczyć serio!

- Jesteś zbyt wolny, stary - ostrzegł Collin. \_ Nie chcesz się już pojedynkować?

- Niełatwo być przeciwnikiem byłego mistrza świata - przypomniał mu Farnsworth. - Nie masz nic przeciwko temu, że wezmę prysznic i powrócę do ksiąg prawnych?

Collin skinął głową.

- Wobec tego jutro? Farnsworth wydał jęk rozpaczy.

- Litości, przez tydzień będę kurować się po dzisiejszym n;teczu! Może by zrobić małą przerwę, co?

- Wybacz, ciągle zapominam, że powinienem mieć wzgląd na twoje stare kości - dociął wesoło Collin. \_ W porządku, będę musiał rzucić wyzwanie komu innemu.

- Rób tak dalej, a szybko pozbędziesz się przyjaciół \_ żartował Derek w drodze do szatni. - Wszystkich będziesz mógł zawiesić na ścianie wśród swoich szpad i trofeów!

W tym samym momencie otworzyły się drzwi na drugim końcu salU wszedł wysoki, szczupły blondyn, którego Collin widywał na wykładach w Harvardzie.

- Hej, Deverell! Wszędzie cię szukam! - zawołał głoś"no przybysz z bezbłędny angielskim akcentem.

Collin pomachał mu ręką.

- Co złego to nie ja! - odkrzyknął.

Mężczyzna zignorował dowcip.

- Twój ojciec jest w mieście i chce się z tobą skontaktować. Dzwonił już dwa razy. Twój brat również przyjechał.

- Mój braciszek, patrzcie, patrzcie - ponuro zamruczał Collin, zniżając głos, by tylko Derek mógł usłyszeć. Odwrócił się w stronę mężczyzny czekającego wytrwale w drzwiach. - Mój ojciec wie, gdzie mieszkam - powiedział głośno.

- Jasne, ale wie również, że większość czasu spędzasz tutaj - zripostował blondyn. - Lepiej do niego zadzwoń. Powiedział, że zatrzymał się w hotelu Ritz-Carlton.

- Jakbym nie wiedział - odparł Collin z ironią. - Powinienem chyba się pospieszyć. Kiedy przylatuje specjalnie z Nowego Jorku, zamiast zwyczajnie zatelefonować, to musi chodzić o coś wyjątkowo pilnego.

Boston Common było zatłoczone mimo przejmującego zimna. Grupa demonstrantów maszerowała zgodnie, wymachując transparentami, a jakiś krzykacz namiętnie i bardzo hałaśliwie wygłaszał swoją mowę. Kilkoro opatulonych dzieci gnało w kierunku placu zabaw. Dwie wysokie kobiety, uzbrojone w pojemne puszki, krążyły po placu, kwestując na biedotę. Trzy dziewczyny siedziały na ławce i wkładały łyżwy. Z pewnością chciały poślizgać się na zamrzniętym Frog Pond.

Collin szedł przez plac szybkim krokiem, nie odczuwając nic prócz mrozu. Postawił kołnierz ciepłego zimowego palta, a kaszmirowym szalikiem osłonił szczelnie brodę i usta. Policzki paliły od lodowatego wiatru, a pod powiekami czuł nieprzyjemną suchość. Wiatr rozwiewał włosy, wciąż jeszcze wilgotne po kąpieli. Deverell szedł wzdłuż zamrzniętej sadzawki w stronę podziemnego parkingu, który mieścił się zaraz za bramą parku na zachodnim krańcu Boston Common. Potem puścił się biegiem przez park, pędem wpadł do garażu, zatrzymując się dopiero przy srebrnym Ferrari. Zdjął szare skórkowe rękawice, poszukał w kieszeni płaszcza kluczyków do samochodu i pospiesznie otworzył drzwiczki. Szybki oddech pozostawiał w mroźnym powietrzu kłęby pary. Collin wślizgnął się za kierownicę i zatrzasnął drzwi. Silnik zaskoczył od razu. Przez chwilę Deverell wsłuchiwał się w niskie tony potężnego, perfekcyjnie wyregulowanego silnika, po czym wrzucił wsteczny bieg i jadąc tyłem w stronę wyjazdu z garażu, sięgnął po kwit leżący na tablicy

rozdzielczej. Wyjeżdżając zauważył, że garaż jest prawie pusty. Rzucił okiem na złoty zegarek. Było później, niż przypuszczał.

Na Arlington Street zaczął się znowu zastanawiać, dlaczego ojciec przyjechał do miasta. Interesy, bez wątpienia. Quentin Devereil poświęcił życie Intercontinental OH, rodzinnemu biznesowi, jak Collin określał korporację, którą ojciec umocnił do tego stopnia, że w ciągu minionych trzydziestu lat stała się światową potęgą. Podobnego poświęcenia spodziewał się od licznych pracowników, a także od synów, Collina i Justina. Wysłał ich do Harvardu, a potem do Harvard Business School. Marzył o tym, by pewnego dnia synowie przejęli stworzone przez niego imperium. Dla Justina nie stanowiło to problemu. W jego żyłach, podobnie jak u ojca, płynęła krew biznesmena. Nie mógł się doczekać, kiedy zajmie miejsce w radzie nadzorczej. Collin nie podzielał tego entuzjazmu. Nigdy nie był w stanie wyobrazić sobie, że przez cały dzień siedzi zamknięty w biurze, przewracając papiery i zawierając "niezwykle istotne umowy". Zaakceptował Harvard Business School tylko ze względu na ojca. Poza tym nie był jeszcze całkiem pewien, co chce robić w życiu. Kiedyś sądził, że jego Przyszłość to świat szermierki. Tej pasji doświadczył po raz pierwszy, gdy w wieku czternastu lat wziął do ręki floret.

Profesjonalni szermierze wiele później zaczynają treningi, najpierw traktując fechtunki jako hobby, później jako możliwość zrobienia kariery. Pierwszy trener, *maitre d'armes* z Paryża, dostrzegł u chłopca wrodzone zdolności i wywołał marzenia o olimpijskim złocie. Miłość do szermierki uchroniła Collina przed podporządkowaniem się ojcowskiemu planom. Rozwścieczony Quentin Devereil natychmiast nakazał przerwać treningi, żądając, by syn poświęcił przyszłość biznesowi, a nie okręgowym rozgrywkom.

Jednakże Collin uparł się i wkrótce otrzymał nowego trenera, złotego medalistę z Mediolanu. Ten także wróżył podopiecznemu wielką przyszłość i rozpałał w nim ambicje. Dzięki jego zachętom Collin, przechodząc szybko przez lokalne i krajowe rozgrywki, awansował do turniejów międzynarodowych. Wypracował -sobie własny błyskotliwy sposób walki, łączący najlepsze elementy intelektualnego, defensywnego stylu francuskiego, nabyte od poprzedniego trenera, oraz agresywną szermierkę włoską, której tajniki przekazał chłopcu nowy instruktor. Zanim Collin ukończył osiemnaście lat, miał już na koncie kilka zwycięstw w ważniejszych turniejach, w tym także w mistrzostwach świata. Gdy przygotowywał się do Igrzysk Panamerykańskich, jego ojciec przeszedł zawał serca. Ze względu na okoliczności syn zrezygnował ze zdobywania złota i poświęcił się studiom, nie chcąc martwić ojca. Wydarzyło się to cztery lata temu, a Collin do dziś zastanawiał się, jak teraz wyglądałoby jego życie, gdyby wówczas podążył za swymi marzeniami. Czy osiągnąłby to, do czego zmierzał, czy raczej odczuwałby niepewność jak w tej chwili? Gdyby trochę bardziej przypominał brata ...

Mimo że Collin i Justin byli bliźniakami jednojajowymi i nikt nie mógł ich odróżnić po wyglądzie, wystarczyło spędzić kilka chwil w ich towarzystwie, by dostrzec uderzające różnice w osobowościach. Collin, wiecznie otoczony przyjaciółmi, brał od życia wszystko, co sprawiało mu radość. Nic nie bawiło go bardziej niż pokpiwanie z poważnego bliźniaka. Chociaż mieli dopiero dwadzieścia trzy lata, Colin często narzekał, że brat zachowuje się jak starzec, podczas gdy Justin kwitował Collina jednym słowem: "dzieciak!"

Justin nigdy nie wątpił, że pewnego dnia podaży śladem ojca, zajmie ważne stanowisko w Intercontinental OH. Collin nie miał takich planów. Nie potrafił sobie wyobrazić, że jest na kierowniczym stanowisku, nawet w firmie własnego ojca. Miał serce i duszę wędrownego ptaka, nieustannie gonił za czymś nowym. Podniecenie. Wyzwanie. Próba sił. Przez pewien czas wydawało się, że wszystko to odnalazł w szermierce. Żył pełnią życia. Ale odkąd zniweczone zostały jego nadzieje na zdobycie najwyższej nagrody, nigdy nie powrócił już do dawnej formy. W dalszym ciągu trenował prawie codziennie, jeśli tylko udało się znaleźć Partnera. Niestety, większość spotykanych w Harvardzie entuzjastów fechtunku uprawiała go amatorsko. Nie mieli zbyt wiele do zaoferowania szermierzowi światowej klasy, jakim był Collin.

Kierując się w stronę Cambridge, wjechał na Harvard Bridge i spojrzął w szare, zachmurzone niebo. Wyglądało na to, że zbliża się zamieć zapowiadana przez meteorologów od trzech dni. Włączył radio i poszukał stacji nadającej wiadomości lokalne.

- Cholera! - mruknął pod nosem, gdy spiker zapowiedział na rano pięć do ośmiu cali śniegu.
- ... National Weather Service przedstawił "Porady dla turystów". Dziękujemy państwu za uwagę, do usłyszenia - zakończył spiker.

Collin miał plany na weekend. Niezwykle ważne plany. Zamieć mogła mu przeszkodzić. Zaczął szybko kręcić gałką, szukając stacji, na której non stop leciały najnowsze przeboje, i wyregulował głośność. Rozluźnił szalik To był długi dzień.

Wjechał w ciemny tunel prowadzący do garażu pod wieżowcem, w którym mieszkał, i zaparkował Ferrari na oznaczonym miejscu. Wyłączył radio i zamknął drzwiczki, po czym skierował się do holu. W pustej windzie spojrzął na zegarek. Przede wszystkim musi zadzwonić do ojca. Quentin Deverell nie znosi, gdy ktoś marnuje jego czas, każąc czekać na siebie, nawet jeśli jest to rodzony syn.

Zerwał szalik i rozpiął płaszcz. Nikły uśmiešek pojawił się na ustach Collina, kiedy pomyślał o pewnym wybitnym historyku sztuki z Radcliffe. Osoba ta miała zjawić się tego wieczoru i zrobić kolację. Sama jest całkiem nie złym dziełem sztuki - pomyślał. A jeśli zostanie na noc ... Może burza śnieżna nie jest aż taką wielką katastrofą.

Drzwi windy otworzyły się i Collin, pobrzękując kluczami energicznie ruszył korytarzem w stronę swego apartamentu. Kiedy wszedł do mieszkania, zwrócił uwagę, że salon jest oświetlony. Zaniepokoił się nieco, gdyż nie miał zWYczaju zostawiać zapalonego światła, ale natychmiast przypomniał sobie, że wczoraj dał Laurze zapasowe klucze na wypadek, gdyby zjawiła się wcześniej od niego. Jasne, to musi być ona. Chce sprawić mu niespodziankę. W porządku. W końcu on również ma dla niej parę niespodzianek. Zawrócił i otworzył drzwi olbrzymiej ściennej szafy, ciesząc się z nadchodzącej nocy.

- Witaj, synu - powiedział znajomy głos, gdy Collin zamierzał powiesić płaszcz. - Już zaczynałem podejrzewać, że nie wrócisz na noc do domu.

Młody człowiek odwrócił się gwałtownie. W drzwiach prowadzących do salonu stał Quentin Deverell. Był to pięćdziesięcioletni mężczyzna, wysoki, i jak jego synowie, wspaniale zbudowany. Gęste włosy, zaczesane gładko do tyłu, miały odcień siwości, a oczy pod krzaczastymi brwiami - barwę ciemnobłękitną. Ludzie, którzy go otaczali, byli mu całkowicie oddani, nie wyłączając niesfornego syna. Prezes Intercontinental OH to mój ojciec - myślał Collin z dumą.

- Jak się tu dostałeś? - zapytał ostrożnie, wyglądając płaszcz wiszący na wieszaku.

Quentin Deverell uśmiechnął się.

- Dozorca mnie wpuścił - powiedział. - Nie powinno cię to dziwić. Ostatecznie to ja opłacam twoje gniazdko.

Collin uśmiechnął się, zamykając drzwi szafy, po czym odwrócił się do ojca.

- Czy prowadzi także rejestr wyjść i powrotów, a może szczegółowy spis wszystkich moich zajęć?

- Nie potrzebuję nikogo do pilnowania ciebie. \_ Deverell zaśmiał się cicho. - Znam twoje zalety i wady. I twoje gusta. Nie zapominaj o tym.

- Pamiętam doskonale. - Collin przerwał na moment.

- Co sprowadza cię do Bostonu, tato?

- Czy zawsze musisz mieć powód, by wpaść do moich synów?

- Nie - odpowiedział Collin z wahaniem. - Ale jeśli "wpadasz", jak to określiłeś, zawsze masz jakiś szczególny powód. Czy znów jestem wzywany na dywanik?

- Skądże.

- Dlaczego więc przyjechałeś?

Nie mógł trafić lepiej - myślał Collin, podążając za ojcem do przestronnego salonu, udekorowanego antykami okresu regencji i grafikami przedstawiającymi sceny myśliwskie. Laura pojawi się niedługo, a cholernie trudno grać rolę uwodzicielskiego gospodarza w obecności własnego ojca.

- Twój dyplom. Collin roześmiał się.

- Ależ, tato, to jeszcze całe cztery miesiące! Czyżbyś nie mógł się doczekać, kiedy przykujesz mnie do biurka?

- Bądź poważny. - Quentin Deverell zmarszczył czoło.

- Firma jest twoją przyszłością, twoją i Justina. To wasze dziedzictwo.

- Przykro mi, ojcze - rzekł Collin łagodnie. \_ Nie chcę, żebyś myślał, że lekceważę ją albo że jest mi obojętna. Wiem, jak ciężko musiałeś pracować, żeby Intercontinental Oil stało się tym, czym jest dzisiaj, i jak bardzo zależy ci na tym, by utrzymać wszystko w rękach rodziny. Po prostu nie widzę siebie dzień w dzień grzebiącego w papierzyskach. To wszystko. - Podeszedł do barku. - Napijesz się?

Deverell przytaknął.

- Szkocką z wodą sodową. - Rozejrzył się po pokoju.

- Zawsze zdumiewa mnie to, że macie z bratem tak różne gusta. Ty jesteś jakby nie z naszej epoki, apartament Justina natomiast przypomina pokład statku kosmicznego z filmów Lucasa.

- Jest wyjąłowny jak sala operacyjna. - Collin skrzywił się z niesmakiem, nalewając drinki. - Trudno mi uwierzyć, że ktoś może tam mieszkać.

Deverell wziął od syna szklanke.

- Zawsze wydawało mi się, że bliźniaki powinny być sobie szczególnie bliskie - powiedział powoli.

- Nie sądzę, by Justin mógł się naprawdę do kogoś przywiązać - otwarcie przyznał Collin. - O ile wiem, on nigdy nie robił "tego" z kobietą ...

- Wystarczy! - uciał ostro ojciec. ~ Twój brat dba swoją przyszłość, i to wszystko. Ty także mógłbyś trochę poważniej o tym pomyśleć.

Collin zmarszczył brwi. Stara śpiewka - pomyślał.

Czasem wolałby nie dbać o zdobywanie uznania ojca. O ile łatwiej byłoby myśleć tylko o sobie!

- Próbuję, ojcze - odpowiedział cicho.

- Jadłem dziś z Justinem lunch u Apleya - rzekł Deverell. - Szkoda, że nie mogłeś do nas dołączyć.

- Trenowałem. Nie wiedziałem nawet, że jesteś w mieście. - Collin usiadł na sofie naprzeciwko ojca i oczekując na odpowiedź, sączył wolno drinka.

- Znowu fechtunek? - Na twarzy Deverella pojawił się wyraz dezaprobaty.

- Nie koliduje z moją nauką, jeśli cię to martwi odparł beztrąsko Collin. - Mogę śmiało powiedzieć, że wciąż należę do trójki najlepszych studentów na roku.

- Zawsze pasjonowałeś się sportem. Bóg jeden wie, ile forsy pochłoneły twoje treningi. - Deverell westchnął. - Ale jestem z ciebie dumny. - Przerwał, spoglądając na liczne medale wiszące na ścianie wśród różnych modeli broni. Collin zatrzymał cały swój sprzęt - od francuskiego floretu, którym zaczynał, poprzez bar

dziej specjalistyczny *epee*, aż po precyzyjny saber. \_ Obaj zdajemy sobie sprawę, że twoje miejsce jest w Intercontinental Oil, obok mnie i twego brata.

Collin z trudem zdobył się na uśmiech.

- Powiem ci prawdę, tato. Justin byłby o wiele szczęśliwszy, gdybym się trzymał z daleka od biznesu.

- Nigdy w to nie uwierzę - zaprzeczył Deverell, kręcąc głową. - Justin wie, że chcę was obu widzieć w firmie. Zaakceptował to i wierzę, że ty uczynisz podobnie.

Collin zastanawiał się przez chwilę.

- Ale czy nie będzie wyglądało to tak, że mamy zbyt wielu wodzów, a za mało Indian? - żartował. Quentin Deverell zachmurzył się.

- Zdaje się, że ostatnio nie spędzacie razem zbyt wiele czasu? - zapytał, puszcżając mimo uszu ostatnią uwagę syna.

- On ma swoje życie, a ja swoje - odpowiedział Collin, kończąc drinka. - Rzeczywiście, prócz rysów twarzy, która patrzy na nas z lustra każdego dnia, niewiele nas łączy.

- To mnie martwi - przyznał Deverell. \_ W końcu pewnego dnia będziecie musieli poprowadzić firmę ...

Collin uśmiechnął się smutno.

- Czy naprawdę chcesz, żeby twoje królestwo zostało podzielone? - zapytał. - Wiesz doskonale, że zgadzamy się jak ogień i woda.

- To prawda. Niestety. - Deverell westchnął z rezygnacją. Kiedy bliźniacy byli jeszcze małymi chłopcami, dostrzegali już uderzające różnice w ich charakterach.

Justin i Collin nie trzymali się razem nawet w dzieciństwie. Byli tak podobni zewnątrz, że tylko matka, Francesca, potrafiła ich rozróżnić, a i ona miała z tym czasem kłopoty. Mieli tak inne osobowości, iż nie chciało się wierzyć, że są braćmi. Urodzili się miesiąc przed terminem .. Francesca wizytowała właśnie z mężem pola naftowe Intercontinental Oil w Ameryce Południowej. Chłopcy przyszedli na świat w wenezuelskim szpitalu w Caracas i już od tego momentu było jasne, że łączy ich jedynie nadzwyczajne podobieństwo fizyczne. Collin pierwszy wynurzył się z łona matki, wrzeszcząc wniebogłosy, natomiast cztery i pół minuty później z niezwykle spokojem przybył na świat Justin.

Jako niemowlę Collin był niecierpliwy i gwałtowny, wiecznie upominał się o swoją butelkę i jeśli nie reagowano na jego żądania dostatecznie szybko, płakał niemiłosiernie. Justin nigdy nie kaprysił. Zachowywał spokój i powagę. Był grzeczny i nie sprawiał kłopotów. Kiedy bracia skończyli trzy lata, Quentin i Francesca Deverellowie nie mieli już wątpliwości, że synowie nie są duchowymi bliźniakami. Collin był niesfornym dzieckiem, podczas gdy Justin zachowywał się cicho.

- Mam wrażenie, że Bóg przez pomyłkę obdarzył tego chłopaka podwójną energią - mawiał Quentin do żony, wywlekając Collina spod biurka w swoim gabinecie albo karcąc go za "najazd" na kuchnię i doprowadzenie kucharza do rozstroju nerwowego. - Justin z pewnością zdobędzie niejedno stypendium, ale Collin ... może sprawiać nam trochę kłopotu.

Kiedy mieli sześć lat, Justin czytał już od dwu i pół roku i wciąż był wyjątkowo cichym dzieckiem. Collin natomiast odpowiadał za rezygnację trzech niań. Ostatnia z nich opuszczała dom z okrzykiem: "To diabeł wcielony!" Włączał system przeciwwłamaniowy przeciętnie dwa razy w tygodniu, nakarmił psa pilnującego domu gumowymi piłeczkami i złamał rękę, spadając z drzewa rosnącego naprzeciw sypialni, gdy inscenizował ucieczkę z więzienia. Chłopcy dorastali, a różnice między nimi stawały się coraz wyraźniejsze. W Collinie siedział niespokojny, ryzykancki duch, Justin był pilny i opanowany. Te rozbieżności spowodowały, że z biegiem czasu bracia coraz bardziej oddalali się od siebie, aż w końcu zanikły między nimi wszystkie więzi. W wieku osiemnastu lat starali się spędzać razem jak najmniej czasu. Chociaż obaj byli niezwykle inteligentni i wykazywali wybitne zdolności, jedynie Justin czynił widoczne postępy. Collina wydalano z kolejnych prywatnych szkół na Manhattanie, a opinie wykładowców i rad pedagogicznych brzmiały zawsze tak samo: "Collin Deverell jest nadzwyczaj bystry i ma duże zadatki na wybitnego studenta. Niestety, postępuje wbrew wszelkim przyjętym zasadom, jest niedyscyplinowanym i trudnym uczniem, charakteryzuje się całkowitym brakiem szacunku wobec przełożonych".

Matka wierzyła, że syn z tego wyrośnie. Ojciec był tego absolutnie pewien. "Ostatecznie - powtarzał wciąż żonie - zgodnie z prawem pierworództwa Collin jest naturalnym sukcesorem prezesa Intercontinental OH".

- Ale ty nie jesteś królem, a przedsiębiorstwo to nie monarchia - niejednokrotnie przypominała mężowi Francesca Deverell. - Czy to, że Collin nie chce pójść w twoje ślady, naprawdę ma tak wielkie znaczenie? Poza tym Justin o wiele bardziej się nadaje ...

- Mam dwóch synów - odpowiedział Quentin Deverell, znużony sporem o to, co dla niego było oczywiste od początku. - Powinni podzielić się odpowiedzialnością za firmę i spadkiem.

- Collin nie chce być dyrektorem, mój drogi - oponowała żona. - Nie zmuszaj go do tego, do czego się nie nadaje. Pozwól Justinowi zarządzać firmą. Collin może otrzymać tyle samo akcji, miejsce w radzie nadzorczej ...

- Mam pozwolić, by mój syn zmarnował się, rozbijając się po świecie ze szpadą w dłoni? - z niedowierzaniem zapytał Deverell. - Nie chcę o tym nawet słyszeć! - Ale jeśli on tego pragnie ... Umilkła, zganiona spojrzaniem męża.

- Nie sędzę, żeby Collin wiedział, czego naprawdę chce - rzekł twardo. - Nadszedł czas, by dowiedział się, że istnieje coś takiego jak odpowiedzialność.

Quentin martwił się brakiem zainteresowania Collina firmą o wiele bardziej, niż się do tego przyznawał. Podczas gdy Justin poświęcił mnóstwo czasu na wchodzenie w rolę, do której się urodził, Collin z równą determinacją bronił się przed przyjęciem odpowiedzialności. Justin pracował ciężko, ucząc się dniami i nocami. Collin bardzo wczesnie odkrył uroki płci przeciwnej i dokonywał coraz to nowych podbojów miłosnych tak często, jak tylko było to możliwe. W czasie wakacji w Europie znaczył swój szlak przygodami erotycznymi. Zeszłego lata Quentin Deverell niepokoił się różnego rodzaju informacjami, nadchodzącymi od przyjaciół i życzliwych znajomych, którzy widzieli Collina w kasynach na francuskiej Riwierze. Syn zdobywał sławę światowego donżuana i miał pociąg do hazardu. Deverell próbował sobie wmówić, że z czasem Collin dojrzeje i zmieni się jego system wartości. Ale jakoś to nie nastąpiło. Quentin czuł podświadomie, że syn wciąż wini go za nagłe zakończenie świetnie zapowiadającej się kariery szermierza światowej klasy. Żeby tylko potrafił dostrzec, że pasjonowanie się pojedynkami, blackjackiem i ruletką nie ma nic wspólnego z ryzykiem i hazardem sal konferencyjnych! Gdyby zechciał otworzyć szeroko oczy i zrozumieć, gdzie jest jego miejsce. Gdyby moi synowie - myślał ze smutkiem Quentin Deverell - zechcieli dostrzec, że chłodna logika Justina i skłonność Collina do podejmowania ryzyka mogą stworzyć niepowtarzalny duet w świecie przemysłu naftowego. Nic nie byłoby w stanie ich pokonać.

Ściągnąwszy maskę, Collin sięgnął po biały ręcznik i otarł pot z twarzy.

- Coraz gorzej z tobą, Farnsworth - zarzucił przyjacielowi. - Dałbym ci radę z ręką zawiązaną na plecach. - Nie wątpię - wysapał wykończony Derek Farnsworth, odkładając broń i zdejmując rękawice.

Collin roześmiał się.

- Ja ... - Urwał na widok wchodzącego Justina. - O, do diabła - wymamrotał pod nosem - a ten czego tu szuka? - To się nazywa braterska miłość - zażartował Derek. - A może zmierzyłyś się z nim?

Collin skrzywił się z pogardą.

- Pojedynek z Justinem przypominałby polowanie na muchy - stwierdził. - On uznaje tylko squash, bo tam nie ma możliwości, by stracić choć kroplę krwi.

Farnsworth potrząsnął głową.

- Słuchaj, lepiej zostawię was samych. Będziecie mogli w spokoju przedyskutować to, co sprowadza twojego brata między pospółstwo. - Pozbierał swoje rzeczy i odszedł w stronę szatni.

- Collin! - powitał brata Justin. - Przypuszczałem, że cię tutaj znajdę.

Szermierz niedbałym ruchem zarzucił ręcznik na ramię.

- Aja byłem przekonany, że nic mi tu nie grozi. Nigdy nie lubiłeś tego miejsca. "

Justin Deverell zignorował sarkazm brata.

- Nie przyszedłem tu sprzeczać się z tobą - odparł sucho.

- Zgodnie z zasadą, że nigdy nie stajesz do zawodów, jeśli nie masz szans na zwycięstwo - zauważył Collin, podnosząc rękawice z ławki. - No dobra, co - cię sprowadza?

- Ojciec telefonował dziś rano. Jak zwykle nie mógł cię znaleźć - powiedział chłodno Justin. - Gdzie ty się podziewasz?

- Przecież nie będę siedział w domu, czekając, aż zadzwoni telefon, do jasnej cholery! - Collin podniósł głos. - Co jest grane?

- Chce, żebyśmy przylecieli na weekend - oświadczył Justin, rozglądając się pogardliwie po sali gimnastycznej. - Rodzice będą przyjmować gości w Sea Cliff. Ojciec jest zdania, że powinniśmy poznać tych ludzi.

- Wciąż przygotowuje nas do roli dziedziców, co? \_ zapytał Collin z przekąsem.

- Tak, to trzeba docenić.

- W twoim przypadku chyba powinien zrezygnować \_ skomentował krótko Justin. - Wygląda na to, że traci czas.

- Pewnie masz rację - zgodził się Collin - ale wątpię, by któremuś z nas udało się go przekonać. Justin przyjrzał się bratu uważnie.
  - Niespecjalnie interesuje cię, co się dzieje w firmie, prawda?
  - Czy kiedykolwiek mówiłem coś podobnego?
  - Nie musiałeś. Twoje postępowanie mówi za siebie - stwierdził Justin z dezaprobatą. - Myślisz, że ojciec tego nie widzi? On wie, że wolałbyś poświęcić cały swój czas na rozbijanie się po Europie.
  - Dlaczego więc nie da mi spokoju?
  - Być może martwi się o twoją przyszłość bardziej niż ty sam - odparł Justin.
- Collin zamyślił się.
- Nigdy niczego nie odmówiłem ojcu, i ty dobrze tym wiesz - odrzekł po chwili, próbując pohamować wściekłość. - Przystałem na wszystkie jego propozycje, czego najlepszym dowodem jest moja obecność tutaj, nie uważasz?
  - Nie wkładasz zbyt dużo serca w to, co robisz, ale to prawda. Ciągle jeszcze studiujesz - przyznał Justin niechętnie.
  - Więc odpieprz się! - warknął Collin. Odwrócił się na pięcie i odszedł, zostawiając osłupiałego brata w sali treningowej.

Collin lubił majątek Deverellów w Sea Cliff, a przede wszystkim widok na cieśninę Long Island. Tutaj dorastał, w tym domu upłynęły jego najszcześniejsze chwile. Do dziś chętnie włóczył się po posiadłości późną nocą lub o świcie. Lubiał spacerować samotnie po lesie, który otaczał wspaniałą rezydencję w stylu elżbietańskim. Podziwiał idealnie zagospodarowane ogrody, sztuczne wodospady i kamienne balustrady. Wspominał dzieciństwo. Myślał o tym, jak skakał po kamieniach 'fokół stawu, terroryzował służbę coraz to nowymi wybrykami. Wspominał długie rozmowy z matką. Zawsze zwierzał się jej z wątpliwości i obaw - jako dziecko i teraz, gdy osiągnął już wiek męski. Kochał oboje rodziców, ale z matką czuł się bliżej związany. Zadziwiające, jak geny zostały podzielone między nas - myślał, wpatrując się w rozgwieżdżone czerwcowe niebo. Justin odziedziczył po ojcu ambicję i chłodną brytyjską powściągliwość~ Collin był bardziej podobny do matki, która przekazała mu namiętność, właściwe jej włoskiemu pochodzeniu. Justin nie potrafił okazywać uczuć, podczas gdy Collin nigdy nie panował nad emocjami. Wszystko odczuwał silniej niż brat niezależnie od tego, czy była to miłość, namiętność, wściekłość czy smutek "Namiętność jest słabością" - powtarzał wielokrotnie ojciec. Ale Collin uważał, że życie bez pasji nie ma sensu. Potrafił kochać, chociaż twierdził, że pojęcie "wiązać się z kimś" nie istnieje w jego słowniku.

Jak dobrze wrócić do domu - pomyślał. Jak dobrze mieć wreszcie za sobą długie lata spędzone w Harvardzie. Chociaż ojciec zaplanował już, że wprowadzi obu synów do biur Intercontinental Oil, Collin postanowił porozmawiać z nim jeszcze raz w tym tygodniu. Chciał powiedzieć, że nie jest gotowy do przyjęcia stanowiska prawowitego następcy, że chciałby wyjechać na jakiś czas i przemyśleć pewne rzeczy. Może wybierze się do Europy, weźmie udział w kilku turniejach, odwiedzi kasyna, odpocznie miesiąc lub dwa. To pomogłoby uporządkować wreszcie niektóre sprawy, pozwoliłoby dostrzec konkretną perspektywę. Wciąż miał wątpliwości. Był częścią Intercontinental Oil, ponieważ ojciec tego chciał, ale czy to wystarczający powód, by się poddać? Czy musi wiązać się do śmierci z firmą i wiecznie tęsknić za radosnym i szczęśliwym życiem?

- Byłeś dziś podczas obiadu dziwnie milczący.

Collin odwrócił się. Francesca Deverell stała na tarasie; jej sylwetka rysowała się wyraźnie w jasnym świetle padającym przez drzwi pokoju muzycznego. Mimo czte dziesięciu lat była oszałamiającą kobietą, wysoką i szczupłą. Jej ciemne, bujne włosy i czarne oczy~ dowodziły, że pochodzi z Florencji. I znowu ta równowaga - uświadomił sobie Collin. Mimo że bliźniacy odziedziczyli po ojcu ostre, regularne rysy, ciemna karnacja~ najwyraźniej była matczyna. Uśmiechnął się nieznacznie.

\_ potrzebowałem trochę samotności. Chciałem pomyśleć - odrzekł zmęczonym głosem.

\_ Oczywiście. - Podeszła bliżej. - Sądziłam, że ukończenie studiów otworzy nowe perspektywy.

\_ To najtrudniejszy moment - powiedział cicho.

\_ Chcesz powiedzieć ojcu, że firma cię nie interesuje \_ domyśliła się Francesca.

Collin spojrział na nią zdumiony.

- I Skąd wiesz?

Roześmiała się.

- Znam cię, mój drogi.

\_ Nie mam żadnych tajemnic? - zapytał.

\_ Owszem. - Czułe pogłaskała go po ramieniu. - Kocham was obu jednakowo. Myślę, że wiesz o tym. Niestety, nigdy nie udało mi się zbliżyć do Justina tak jak do ciebie. Zawsze trzymał się z boku. Ale ty... ty jesteś szczery. Gdy spojrzę ci w oczy, wiem, co czujesz. Człowiek z sercem na dłoni, chyba tak się nazywa takie osoby.

\_ Czy ojciec też wie? - zapytał Collin.

\_ Twój ojciec widzi tylko to, co chce zobaczyć - odrzekła. - Sądzi, że najlepiej weisnąć cię w dyrektorski garnitur.

- A co ty o tym myślisz? Uśmiechnęła się łagodnie.

\_ Ważne jest to, co sam chcesz zrobić ze swoim życiem.

Collin wziął głęboki oddech.

\_ Chciałbym to wiedzieć. - Westchnął. \_ Nie uważasz, że najwyższy czas się zdecydować?

\_ Wiesz, on liczy na to od dnia naszych urodzin.

\_ Nikt nie wie tego lepiej ode mnie - rzekła matka, kładąc dłonie na ramionach syna. Spojrzała mu w oczy. \_ Porozmawiaj z ojcem. Powiedz, że nie jesteś gotowy. Nie gódź się na taką przyszłość tylko z poczucia obowiązku.

\_ To nie tylko obowiązek - odpowiedział stłumionym głosem. - Chcę, żeby ojciec był ze mnie dumny. Potrzebuję tego.

- Przede wszystkim sam musisz mieć do siebie szacunek - przypomniała mu Francesca. - Żeby osiągnąć szczęście, powinieneś realizować własne potrzeby i marzenia. Poza tym ojciec zawsze był z ciebie dumny.

- Może moje miejsce jest naprawdę tutaj? - powiedział Collin cicho.

- Posłuchaj mnie. W przyszłym tygodniu lecimy do Caracas przyjrzeć się wierceniom w dnie morskim. Przemysł wszystko do naszego powrotu, a potem spokojnie porozmawiaj z ojcem. Może do tego czasu ...

Collin uśmiechnął się, obejmując ją delikatnie. - Powiedz, co ja bym zrobił bez ciebie, mamó? Spojrzała na niego z miłością.

\_ Nie chciałabym, żebyś kiedykolwiek miał się tego dowiedzieć - odrzekła miękko.

- Jesteś pewien, że nikogo tu nie ma? - Smukła blondynka, która podążała za Collinem na górę po szerokich dębowych schodach, wyglądała na zakłopotaną.

- Absolutnie - zapewnił. Nie po to ciągnął dziewczynę taki szmat drogi, by teraz pozwolić jej się wymknąć tylko dlatego, że bała się kogoś spotkać.

Po raz pierwszy zauważył Fallon Merrit na okładce magazynu mody w kiosku na Manhattanie, kiedy cztery miesiące temu wracał z biura ojca. Natychmiast zauroczyły go jej bujne blond włosy, olbrzymie zielone oczy i śliczna buzia. Jeszcze bardziej nęciło go ciało. Postanowił ją poznać i użył rodzinnych wpływów, by zostać jej przedstawionym. Stracił prawie trzy tygodnie, przekonując Fallon, by przyjechała na weekend do Sea Cliff. Nie była zachwycona perspektywą spędzenia nocy w domu rodziców kochanka. Obiecał dziewczynie, że nie wrócą niespodziewanie z Wenezueli.

- Wyjazdy mojego ojca często się przedłużają, ale nigdy nie bywają krótsze, niż planowano - zapewnił, prowadząc Fallon po schodach do swej sypialni. - Zwolniłem nawet służbę, żebyśmy mogli zostać sami. Nie zawiedziesz mnie teraz, prawda?

Potrząsnęła głową.



- Oczywiście.

Wprowadził ją do pokoju i zamknął drzwi. Potem przyciągnął kochankę do siebie i zaczął całować pożądliwie. Jego ręce wędrowały wzdłuż jej ciała, pieszcząc ją przez zwiewną sukienkę. Zaczął stopniowo unosić spódniczkę, ale dziewczyna gwałtownie naciągnęła ją z powrotem.

- Nie zasłonisz okien? - zapytała.

- Po co? - zdziwił się Collin.

Spojrzała na niego. - Wiesz przecież ...

- Lubię widzieć, co robię. - Chciał ją trochę rozdrażnić.

- No, proszę! - Najwyraźniej nie miała ochoty iść do łóżka przy dziennym świetle.

- Dobrze, dobrze - zgodził się niechętnie. Przeszedł przez olbrzymi luksusowo umeblowany apartament i zaciągnął aksamitne zasłony. W pomieszczeniu zapanowała całkowita ciemność. -

Lepiej? - upewnił się.

- O wiele.

Ponownie wziął Fallon w ramiona i pocałował, tym razem jednak szybko rozpiął zamek sukni.

Ściągnął ją z ramion i zsunął w dół przez smukłe biodra, aż upadła 'na dywan. Potem zdjął majtki i haleczkę. Całował chciwie, pieszcząc dłońmi ciało dziewczyny. Kiedy wsunął dłoń między jej uda zaczęła cicho pojękiwać.

- Rozbierz mnie - szepnął jej do ucha.

Przytaknęła milcząco i zaczęła rozpinąć koszulę. N akrył jej piersi dłońmi, delikatnie drażniąc sutki, podczas gdy ona zsunęła mu spodnie, odsłaniając muskularne nogi. Stanęli naprzeciw siebie nadszy, drżąc z pożądania. Wyciągnęła ręce i zaczęła dotykać Collina. Łagodnie pchnął ją na miękkie łóżko i nakrył swym ciałem, nie przestając całować. Ręce niestrudzenie wędrowały po skórze Fallon.

Okrywał pocałunkami szyję, ramiona, lekko dotykał językiem sutek, aż wreszcie, muskając brzuch, usta Collina dotarły do jasnego trójkąta miękkich włosów, pokrywających łono. Rozsunął delikatnie różowe wargi i zaczął całować, najpierw subtelnie i lekko, potem z wzrastającą pożądlivością. Podniecona do granic wytrzymałości dziewczyna jęknęła, próbując uwolnić się z uścisku. Chwyił dłońmi pośladki i mocno wcisnął je w puszystą pościel, nie przestając penetrować łona ustami i językiem. Nie puścił jej, póki nie zaczęła błagać, by przestał. Wówczas uniósł się i wszedł w nią, poruszając się coraz gwałtowniej. Przywarła do kochanka, wbijając mu paznokcie w plecy, gdy brał ją szybko i cicho.

Właśnie skończył, kiedy drzwi pokoju otworzyły się szeroko, a strumień oślepiającego światła przeciął ciemność. Collin podniósł wzrok. W drzwiach stał Justin z twarzą pociemniałą od gniewu.

- Należało się tego spodziewać! - rzucił z furią. Mógłbyś być na tyle przyzwoity, by przynajmniej tutaj nie dokonywać miłosnych podbojów. - Chwyił leżącą na ziemi sukienkę i z wściekłością cisnął w twarz dziewczyny. - Wynoś się!

Collin usiadł.

- Spokojnie, do jasnej cholery ...

- Wszystko w porządku - ucięła szybko Fallon, naciągając prześcieradło na piersi. - Gdybyście mogli dać mi chwilę na ubranie się ...

Collin spojrzał na brata.

- Mógłbyś pukać, wchodząc do mojej sypialni - warknął.

- W ogóle nie przyjeżdżałbym tu, gdybyś nie powylał telefonów - odparł chłodno Justin. -

Wszyscy próbują się z tobą skontaktować. Dzwonię od południa. A gdzie, jeśli wolno spytać, podziela się służba?

- Dałem jej wychodne. - Nagle Collin dostrzegł w twarzy brata coś, czego nigdy przedtem nie widział. Dlaczego mnie szukałeś? Co się stało?

- Cholernie dużo się stało - odrzekł Justin z goryczą w głosie. - Kiedy ty zabawiałeś się wesoło, eksplodowała jedna z platform w Wenezueli ... - Po raz pierwszy w życiu nie wiedział, co powiedzieć.

Collin spojrzał na niego, czując narastający niepokój.

- Mama, ojciec ... - zaczął.

Justin potrząsnął głową, szukając właściwych słów.

\_ Nie żyją - oznajmił w końcu. - Oboje zginęli.

*Caracas, Wenezuela, czerwiec 1976*

Samolot należący do Intercontinental OH wylądował na lotnisku Simona Bolívara w Maiqueta, trzynaście mil od Caracas, tuż przed świtem w gorący i wilgotny letni poranek. Dziennikarze natychmiast zasypali braci pytaniami dotyczącymi śmierci rodziców. Justin usiłował odpowiadać, ale Collin bez słowa parł naprzód, nie mając zamiaru zaspokajać cudzej ciekawości. Dlaczego ci ludzie nie odejdą i nie pozwolą mu cierpieć w spokoju? Czemu cisną się tu niczym stado sępów, krążących nad pustynią w oczekiwaniu na śmierć ofiary?

- Mogłeś coś powiedzieć - skarcił go Justin, gdy znaleźli się wreszcie sami na tylnym siedzeniu limuzyny. - Musimy dbać o image ...

- Pieprzę image i tę cholerną firmę - warknął Collin, nie odwracając głowy. Przez zaciemnione szyby wpatrywał się w gładką toń Morza Karaibskiego. \_ Rodzice nie żyją i tylko to ma znaczenie. Justin odwrócił się do brata.

- Zdaje się, że nie ma sensu z tobą rozmawiać.

- Nie teraz - odparł Collin bez wahania. - Nie jestem w nastroju do kłótni. Z tobą ani z nikim innym.

- Coś podobnego - rzekł Justin zimno. - Byłem pewien, że do tego zawsze masz odpowiedni nastrój.

- Daj spokój! - Collin odezwał się ostrzegawczo, więc brat odsunął się.

Reszta drogi do Caracas upłynęła w milczeniu, gdyż obaj byli zaprzątnięci własnymi myślami.

Collin wspominał swoją ostatnią wizytę w Wenezueli. Było to dwa lata temu. Wtedy właśnie Quentin Deverell zdecydował, że nadszedł czas, by synowie zaczęli zaznajamiać się z Intercontinental OH. Do firmy należały roponośne pola w Teksasie i na Alasce, podobnie jak i ostatnia zdobycz - dzierżawy na Morzu Południowochińskim. Quentin Deverell był jednak najbardziej dumny z przybrzeżnych wierceń w Wenezueli. Powtarzał synom, że to tu w 1946 roku założono Intercontinental on. Fakt, że bliźniaki tu przyszyły na świat, stanowił także powód do dumy.

Collin wolałby pochować rodziców na terenie posiadłości w Sea Cliff, ale adwokaci ojca tłumaczyli mu cierpliwie, że nie byłoby to możliwe ze względu na lokalne przepisy prawne. Tak więc ustalono, że pogrzeb odbędzie się na cmentarzu w pobliżu Sands Point. Justin zajął się niezbędnymi przygotowaniem. Collin nie był w stanie się na tym skupić. Nie mógł pogodzić się z myślą, że rodzice naprawdę odeszli. Zaledwie tydzień temu miał szczerą i serdeczną rozmowę z matką. Chciał powiedzieć ojcu, że nie będzie zarządzać firmą. A teraz został przewodniczącym rady nadzorczej! Wciąż nie mógł w to uwierzyć. Ojciec powierzył mu prezesurę, chociaż wiedział, co syn czuje. Zza grobu narzucił mu swoją wolę.

Collin zerknął na Justina. O czym on myśli w tej chwili? Co czuje? Musi być rozczarowany i wściekły jak cholera. Firma była dla Justina całym życiem. Spodziewał się zająć miejsce ojca w zarządzie i zasłużył na to, do wszystkich diabłów! Mimo to, gdy prawnicy odczytali wolę ojca, zachował zimną krew. Żadnych emocji. Dlaczego?- dziwił się Collin. - Co się teraz dzieje w jego głowie? O czym myślał ojciec, gdy podpisywał testament?

Kilka dni zajęło Justinowi i prawnikom Intercontinental Oil uporanie się z biurokracją, uniemożliwiającą transport zwłok Deverellów do Stanów Zjednoczonych. Udało się to załatwić tylko dzięki wysoko postawionemu urzędnikowi amerykańskiej ambasady w Caracas. Collin w ogóle się w to nie włączał. Czas spędzał w małej łódce, całymi godzinami wpatrując się we wrak platformy. Rozmawiał z mężczyzną, który ocalał z katastrofy. Próbował wyjaśnić sobie, co się stało. Przybrzeżne wiercenia prowadzono tutaj od lat. Cóż mogło wydarzyć się tak nagle? Kto spowodował wybuch? Eksperci nie potrafili udzielić satysfakcjonujących odpowiedzi. Zaszło tam coś, czego być może nigdy nie uda się wyjaśnić.

- Jakie to ma teraz znaczenie? - zapytał Justin z irytacją, gdy pewnego wieczoru Collin poruszył tę sprawę przy kolacji. - Oni nie żyją. Odeszli...

- Chcę wiedzieć, dlaczego zginęli! - Collin upierał się przy swoim. - Poznać przyczynę wybuchu!

Wiedzieć, czy można było uniknąć wypadku i ocalić tyle istnień ludzkich!

- To nie ma w tej chwili żadnego znaczenia - powiedział Justin zmęczonym głosem, rzucając na stół serwetkę, wyraźnie zniecierpliwiony nieustępliwością brata.

Collin przyglądał mu się przez chwilę. Justin od samego początku, gdy tylko pojawił się w Sea Cliff, by zawiadomić brata o wypadku, był nienaturalnie chłodny, obojętny. Znosił wszystko spokojnie, jakby go to nie dotyczyło. A teraz z trudem zachowuje kontrolę nad sobą, walczy ze wszystkim, co mogłoby zepsuć jego zimny, wypracowany image. Nagle Collinowi zrobiło się przykro. Zaprażył wyciągnąć rękę do Justina, ale się powstrzymał. Czy dwudziestoletnia niechęć może zostać przezwyciężona w ciągu jednej nocy? - zastanawiał się. - Czy kiedykolwiek może być zapomniana?

W upalny sierpniowy ranek Collin spacerował samotnie po ogrodzie w Sea Cliff, zatopiony w myślach. Minęło sześć tygodni od powrotu z Ameryki Południowej i od pogrzebu w Sands Point. Przez cały ten czas nie miał żadnych wieści od Justina. Po pogrzebie każdy poszedł w swoją stronę. Collin podejrzewał, że brat chce samotnie zmagać się z cierpieniem. Przypominał sobie, co matka wyznała mu przed wyjazdem do Caracas - nigdy nie udało jej się zbliżyć do Justina, który zawsze trzymał się osobno. Być może brat po prostu boi się okazywać emocje. Może nie jest tak zimny, jak się wydaje? Rodzice odeszli, więc powinienem spróbować pokonać przepaść, która nas dzieli - pomyślał Collin. Zawrzeć pokój. Czy po tylu latach możliwe jest powstanie jakiegokolwiek więzi między nami?

Wiedział, że tak czy owak trafi do biura Intercontinental Oil na Manhattanie. Powinien razem z Justinem kierować firmą, by uczcić pamięć ojca. Ale wciąż jeszcze nie był gotów przyjąć tej odpowiedzialności. Chociaż czuł, że ojciec chciałby widzieć go w zarządzie, nie miał ochoty poświęcić się czemuś, co przyczyniło się do śmierci rodziców. Justin uznałby pewnie, że to irracjonalne uprzedzenie.

Collin szedł powoli przez przestronne pokoje rezydencji, przyglądając się bezcennym antykom i obrazom. Szukał śladów szczęśliwej przeszłości. Wyjął ze ściennego sejfu naszyjnik matki i ścisnął go mocno w dłoni, jakby próbował przywołać duszę zmarłej. Usiadł na obitym pluszem krześle w gabinecie ojca, zdumiony, że wciąż jeszcze utrzymuje się tu zapach jego wody kolońskiej. Spojrzał na wielką mapę świata, wiszącą na ścianie. Kolorowe pinezki oznaczały posiadłości Intercontinental Oil na całym świecie. Oto królestwo ojca - pomyślał ze smutkiem. Królestwo, które zbudował własnymi rękoma, by teraz zostawić synom. Ono go zniszczyło. Dlaczego? - Collin zadał sobie to pytanie po raz setny. Dlaczego to musiało się wydarzyć?

Dopiero po miesiącu pozwolił służbie uprzątnąć rzeczy rodziców. To tak, jakby ciągle trzeba było się żegnać - pomyślał, patrząc na ostatni kufer. Zostaną tylko wspomnienia. I Intercontinental Oil, kolos, z którym przyjdzie mu się zmierzyć.

Szermierka bywa często porównywana do szachów, gdyż wymaga niezwyklej inteligencji. Ten sport to walka umysłów. Zawodnik musi przewidzieć każdy ofensywny ruch przeciwnika i w porę uniknąć pchnięcia, by potem odpowiedzieć nagłym atakiem. Dobry szermierz powinien być inteligentny, cierpliwy, bystry i szybki, umieć dostrzec i wykorzystać słabości przeciwnika. Te cechy należały do natury Collina. Jego pierwszy trener, Jean Michel Perrin, twierdził, że jeśli ktokolwiek urodził się florecistą, to z pewnością Collin.

- Masz zadatki na prawdziwego mistrza - powtarzał jego *maitre d'armes*.

Choć Deverell przestał już marzyć o sporcie profesjonalnym, nadal wkładał w pojedynkę całe serce. Był to doskonały sposób na rozładowanie nerwów. Kiedyś Collin pojedynkował się tylko z przeciwnikiem, dziś toczył walkę również z samym sobą. Władał floretem niczym potężnym mieczem, jakby bronił swego życia.

Pojedynkując się w Santelli Salle d'Armes na Manhattanie ze starym przyjacielem, czuł się tak, jakby odprawiał egzorcyzmy. Rozpoczął atak długim pchnięciem w przód. Przeciwnik odparował cios, lecz zanim przystąpił do kontrataku, musiał uskoczyć w bok przed klingą Collina, który nie

zwlekał z ripostą; wyczuwając jego niekontrolowaną furję, cofnął się, unikając ciosu w pierś.  
- Spokojnie, Deverell! Zwolnij trochę! - Mężczyzna był wyraźnie wystraszony agresywnym atakiem i zde- . nerwowany dziwnym stanem psychicznym przyjaciela. Co mu się stało? - zastanawiał się, nie przestając się cofać. Collin Deverell niedawno stracił rodziców, ale nie zachowywał się bynajmniej jak człowiek w żałobie, a raczej jak ktoś trawiony przez obłąd. Collin przystąpił do końcowej i najbardziej efektownej akcji, słusznie zwanej fleszem\*.  
Wystartował gwałtownie i z impetem naparł na przeciwnika, całkowicie  
\* Od *fleche* - strzała (franc.).

go zaskakując. Zaatakowany uskoczył w ostatniej chwili. Floret Collina trafił w ścianę, zgiął się i złamał. Szermierz z furją odskoczył i dźgnął przeciwnika w uzbrojone ramię ostrym jak brzytwa końcem złamanej klingi. Rozciął rękaw nieskazitelnie białej bluzy i ramię mężczyzny natychmiast spłynęło krwią. Deverell nagle otrzeźwiał, odrzucił złamany floret i bez słowa zdarł tkaninę z rany. Zobaczył długie cięcie, krwawienie jednak było zbyt obfite, by stwierdzić głębokość skaleczenia.

\_ Chodź! - powiedział Collin zduszonym głosem. - Zawiozę cię do szpitala.

Młody mężczyzna roześmiał się słabo.

- Nie wygłupiaj się - zaprotestował. - To tylko powierzchowna rana. Bandaże są na górze i...

\_ Ta rana nie jest powierzchowna. - Collin patrzył mu prosto w oczy. - Będą potrzebne szwy. - Uświadomił sobie, że jeszcze nigdy, nawet gdy walczył bardzo agresywnie, nikogo nie zranił. Co się ze mną dzieje?

Collin nie miał już wątpliwości: nie chce mieć nic wspólnego z Intercontinental Gil. Zawsze wątpił w swoje predyspozycje do roli, którą zaproponował mu ojciec, ale teraz już wiedział, że nie nadaje się na stanowisko dyrektora. Ojciec ofiarował firmie całe swoje życie, aż w końcu imperium przyjęło całopalną ofiarę i zniszczyło swego twórcę. Justin okazywał to samo oddanie i w rezultacie w jego życiu nie było miejsca na nic poza pracą. Oni nie zarządzili firmą. Zostali przez nią zdominowani. Collin miał świadomość, że nigdy nie pozwoli, by opanowała i jego.

Wiedział, że Justin haruje po nocach w biurze, zmaga się z plotkami krążącymi na Wall Street.

Wraz ze śmiercią Quentina Deverella ceny akcji koncernu gwałtownie spadły, zaczęto więc szeptać, że Intercontinental Oil może upaść. Collin powinien teraz pomóc bratu ocalić wszystkie zdobycze ojca, ale tego nie potrafił. Od czasu powrotu z Wenezueli nie zdobył się nawet na odwiedzenie głównego biura firmy. Nadal poszukiwał recepty na uśmierzanie swego bólu - pojedynkował się zacieklej niż zwykle, pędził Ferrari na złamanie karku, spędzał noce z pięknymi kobietami, których prawie nie znał i nigdy potem nie miał spotkać. Pił zbyt dużo i spał za mało. Miał świadomość, że znajduje się na najlepszej drodze do samozniszczenia, ale nie był już w stanie kontrolować swego zachowania.

Gdyby mógł chociaż przestać cierpieć ...

- Nie sądzisz, że już najwyższy czas zostawić wszystkie te głupstwa i przyjąć obowiązki wobec firmy? - Justin stał w salonie swego supernowoczesnego mieszkania w Trump Tower i obserwował Collina, który wlewał do szklanki resztę szkockiej. Było to ich pierwsze spotkanie od czasu pogrzebu. Teraz, przyglądając się surowemu umeblowaniu, abstrakcyjnym obrazom i ciemnej tonacji pokoju brata, Collin zaczął żałować, że przyszedł.

- Obowiązki wobec firmy - powtórzył powoli, cedząc każde słowo.

- Ojciec życzył sobie, żebyśmy razem prowadzili interesy - ostrożnie zaczął Justin, wbijając wzrok w podłogę. I

- Wydaje mi się, że byłbyś szczęśliwszy, mogąc samodzielnie zarządzać ojcowskim imperium - sarkastycznie rzucił Collin, rozglądając się za nową butelką whisky.

- To prawda - Justin przyznał otwarcie. - Zawsze uważałem, że o wiele lepiej nadaję się na prezesa niż ty. - No cóż, przynajmniej co do tego jesteśmy zgodni. Collin uśmiechnął się chłodno. - Nie znalazłoby się jeszcze trochę szkockiej?

- Na szczęście nie. Masz już dosyć - odpowiedział Justin, lekko podenerwowany. - Posłuchaj, jesteśmy winni to ojcu

- Zabawne Nigdy nie podejrzewałem cię o tak wielkie poczucie obowiązku.

- A ja nie sądziłem, że jesteś tchórzem - odparł Justin.

Collin gwałtownie obrócił się do brata z oczami błyszczącymi od gniewu.

- Uważaj, żebyś nie przeciągnął struny - rzucił ostrzegawczo.

- Doprawdy? - Justin nie tracił panowania nad sobą.

- Wygląda na to, że ostatnio starasz się unikać obowiązków. To nie w twoim stylu, muszę przyznać.

- Największe zobowiązania mam wobec siebie samego, braciszku.

- Nawet tym się nie zajmujesz.

Collin potrząsnął głową.

- Czego ode mnie oczekujesz? - zapytał. - Przed wyjazdem rodziców do Caracas miałem długą rozmowę z matką. Powiedziałem jej, co myślę. Nie chciałem rozczarować ojca, ale nie czuję się związany z Intercontinental on. Czekałem na jego powrót, by wreszcie to wyjaśnić ...

- Myślisz, że łatwo mi się żyło? - nieoczekiwanie wybuchnął Justin. - Zawsze zajmowałem w rodzinie drugie miejsce po tobie. I w firmie, i w sercu ojca! Niezależnie od tego, co robiłem i jak bardzo się starałem, zawsze ty byłeś ważniejszy ...

- To nieprawda! - zaprzeczył Collin.

- Owszem, tak było - warknął Justin przez zaciśnięte zęby. - To ty urodziłeś się pierwszy. Zawsze liczone te idiotyczne cztery i pół minuty. Jak ja ciebie za to nienawidziłem! Wiesz, że im bezczelniej się buntowałeś, tym bardziej ojciec cię uwielbiał? Wydawało mu się, że ty, wieczny ryzykant, będziesz idealnym prezesem Intercontinental on. Chciałem upodobnić się do ciebie, ale nie mogłem pozbyć się ostrożności i rozwagi. Marzyłem, by ojciec zostawił cię samemu sobie, żebyś zniknął w świecie szermierki, hazardu i kobiet. Próbowałem udowodnić, że to mnie należy się dziedzictwo, ale widać nie udało mi się pokazać, że daję z siebie wszystko. Wychodziłem z siebie, podczas gdy ty zabawiałeś się wesoło.

- Zarządzasz przedsiębiorstwem. Zawsze tego chciałeś - powiedział Collin.

- Tylko dlatego, że nie mogłeś tu znaleźć sobie miejsca - odrzekł Justin, bawiąc się szklanką. \_ Kiedy testament zostanie odczytany ...

- Wtedy będziemy musieli podjąć ostateczne decyzje - dokończył cicho Collin. - Do tego czasu niech wszystko zostanie tak, jak jest.

- A potem? - zapytał Justin. Brat zmarszczył czoło.

- Sam chciałbym wiedzieć.

Collin nie był zaskoczony nagłym wybuchem Justina, lecz faktem, że brat tak długo skrywał urazę. Wracając późną nocą do Sea Cliff, opanował się już zupełnie. Nie mógł jednak przestać rozważać słów Justina. Choć zawsze był świadom, że brat żywi do niego niechęć, nigdy nie przypuszczał, by starał się upodobnić do starszego o cztery i pół minuty bliźniaka. Collin sądził, że brat uważa jego postępowanie za godne ubolewania. Myślał, że ojciec ma o nim podobne zdanie. A jednak obaj podziwiali go na swój sposób. Justin zazdrościł bratu skłonności do ryzyka. Ojciec uważał to za wartościową cechę, przydatną w robieniu interesów.

Codziennie dowiadujesz się czegoś nowego \_ pomyślał Collin smętnie.

- Zawsze musieliśmy dzielić się wszystkim, pamiętasz? - Justin zaśmiał się niewesoło. - Ale to ty byłeś ulubieńcem ojca. Czy kiedykolwiek zastanawiałeś się, jak daleko by się posunął, żeby związać cię z Intercontinental Oil? Cholernie się bał, że twoje ciągoty do szermierki i hazardu pokrzyżują te plany. Boże! Rzygać mi się chce, gdy o tym myślę!

Dźwięk klaksonu wyrwał Collina z zamyślenia; natychmiast zdał sobie sprawę, że jedzie pod prąd. Musiał nieświadomie przekroczyć linię oddzielającą pasma ruchu. Oślepiiony reflektorami zbliżającego się samochodu, gwałtownie skręcił kierownicą, w ostatniej chwili unikając

czołowego zderzenia. Zjechał na pobocze, próbując złapać oddech. Niewiele brakowało. Wciąż zaprzętały go myśli o rozmowie z Justinem w Trump Tower. Gdyby ojciec wiedział, co synowie teraz czują i jak Collinowi zależy na wolności; na życiu innym niż to, które mu zaplanował! Gdyby wiedział, jak bardzo Justin pragnie rodzicielskiej akceptacji i uznania! Brat zawsze podziwiał ojca, marzył o tym, by pójść w jego ślady. Collin czuł potrzebę ucieczki od świata biznesu, chciał odnaleźć coś, co mogłoby dać pełnię szczęścia. Quentin Deverell, chociaż był dobry na swój sposób, nie dostrzegał tych potrzeb. Wyznaczył Collinowi rolę, do której syn, się nie nadawał, a Justina zepchnął na drugi plan, w cień brata. Collin był pewien, że ojciec chciał jak najlepiej dla obu synów, ale dopiero teraz uświadomił sobie, jak dobrze matka znała swego męża. Co ona powiedziała? Ojciec widział tylko to, co chciał widzieć. Był dobrym człowiekiem. Jednakże dążenie, by Intercontinental on stało się największe i najlepsze, uczyniło go nieczułym na cierpienie dzieci. Collin zaczął się zastanawiać, jak wyglądałoby ich życie, gdyby sprawy potoczyły się inaczej.

Gdyby Justin urodził się pierwszy ...

Stojąc przed pięćdziesięciopiętrowym biurowcem Intercontinental OH na Manhattanie, Collin zawahał się. Zmierzył wzrokiem imponującą wieżę ze szkła i stali - błyszczącą w promieniach zachodzącego słońca pomnik wygórowanych ambicji ojca - i po raz ostatni rozważał, czy postępuje właściwie. Muszę wierzyć, że tak będzie dobrze. Dla nas obu - pomyślał. - Pewnie nic nie zbliży nas do siebie, ale może naprawię błędy przeszłości.

Wszedł do środka i znalazł się w obszernym przeszklonym holu z marmurowymi posadzkami. Wszędzie rozstawiono wysokie drzewa w donicach. Kiedy ski'erował kroki w stronę windy, która miała zawieźć go na ostatnie piętro, umundurowany strażnik powitał go z uśmiechem i uchylił czapki.

- Dobry wieczór, panie Deverell.

- Dobry wieczór. - Collin uśmiechnął się do siebie, wchodząc do pustej windy. Drzwi zamknęły się za nim bezgłośnie. Portier pewnie nie wie, do którego "pana Deverella" się zwraca. Nikt nie potrafił odróżnić bliźniaków, szczególnie gdy byli osobno.

Kiedy znalazł się w recepcji przed biurem ojca, należącym teraz do Justina, sekretarka zrobiła zdziwioną minę.

- Panie Deverell, jak ... - zaczęła wzburzona. Uśmiechnął się.

- Jestem Collin Deverell. Brat oczekuje mnie, mam nadzieję.

- Taak, tak, oczywiście - wyjąkała. - Przepraszam, po prostu nie widzieliśmy tutaj pana od czasu ...

- Wszystko w porządku - odpowiedział uprzejmie. - Mogę wejść? - Wskazał drzwi.

- Naturalnie, proszę - przytaknęła.

Wszedł do gabinetu, który niegdyś należał do ojca, i ze zdumieniem stwierdził, że brat nic tu nie zmienił. Wszystko stało na swoim miejscu: stare stylowe meble, biurko z pewnością nie w guście Justina, obrazy wybrane przez matkę - głównie dzieła mistrzów włoskiego renesansu.

Brat rozmawiał przez telefon. Zerknął na bliźniaka ponuro i skinieniem głowy wskazał krzesło.

Collin podszedł do okna, by rzucić okiem na panoramę Manhattanu. Na południowym zachodzie, niczym dwa filary górujące nad horyzontem, wznosiły się majestatyczne wieże Światowego Centrum Handlowego. Statki opuszczone nowojorski port kierowały się na pełne morze.

Imponujący widok - pomyślał, zajmując miejsce naprzeciw brata. Nic dziwnego, że ojciec pragnął mieć gabinet właśnie w tyry pokoju. Collin uśmiechnął się w duchu, przypominając sobie nagle, że na Quentinie Deverellu żaden widok nie robił wrażenia. Jeżeli więc miejsce to zostało wybrane ze względu na panoramę, była to decyzja matki.

Justin odłożył słuchawkę i spojrzał na brata.

- Unikałeś firmy jak zarazy przez ostatnie cztery miesiące - powiedział lodowato. - Co cię sprowadza?

Collina nie zaskoczyła reakcja brata. Justin był pewien, że bliźniak zjawia się po to, by domagać się swoich praw do prezesury. Należało rozwiązać te obawy, przechodząc do sedna sprawy.

- Rezygnuję - oznajmił otwarcie Collin.

- Rezygnujesz?  
- Z prowadzenia firmy. Całkowicie. Nie umiem kierować przedsiębiorstwem. Nigdy nie nadawałem się do tego. Chcę, żeby to było jasne. To jedyne wyjście dla nas obu.  
- Jakie rozwiązanie proponujesz? - ostrożnie zapytał Justin. Pochylił się, nie kryjąc zainteresowania. Położył ręce na biurku i przebiegając nerwowo palcami, czekał na odpowiedź.  
- Transakcję - odrzekł wreszcie Collin. - Jeśli nie masz nic przeciwko temu, oczywiście.  
- Co przez to rozumiesz?  
- Ty potrzebujesz Intercontinental Oil, ja nie. Nie chcę żadnych udziałów ani teraz, ani w najbliższej przyszłości - oświadczył Collin. - Zależy mi tylko na Sea Cliff. Zamierzam zatrzymać posiadłość, dzieła sztuki oraz biżuterię matki. W zamian jestem gotów oddać wszystkie moje akcje Intercontinental Oil.  
Justin oszołomiony wpatrywał się w brata, nie wierząc własnym uszom.  
- I to wszystko? - zapytał. - Tylko tyle?  
Collin uśmiechnął się znużony.  
- Za mało?  
Justin wolno skinął głową.  
- No, a majątek osobisty?  
- Podzielimy się nim równo, tak jak tego chcieli rodzice - odparł Collin bez wahania. - Poza tym wszystko powinno być wykonane zgodnie z testamentem. Zgoda? - Zgoda. - Justin wstał, uśmiechając się z ulgą. Wyciągając dłoń w stronę brata czuł, że ogromny ciężar spada mu z serca. - Załatwione.

Collin uściśnął mu rękę, uświadamiając sobie, że po raz pierwszy w ciągu dwudziestu trzech lat udało im się wspólnie rozwiązać jakiś problem.

Myślał o tym, wychodząc z budynku i wsiadając do Ferrari. Chciałbym być taki, jakim zawsze pragnęłaś mnie widzieć, tato - pomyślał ze smutkiem - ale nie mogę. Przykro mi, że cię rozczarowałem. Ty odszedłeś, ale Justin poprowadzi dalej to, co zaczęłaś. Czas, bym żył własnym życiem.

### *San Francisco, sierpień 1978*

Ashley Gordon stała w dolnej części California Street, czekając na zielone światło dla pieszych. Na bezchmurnym niebie słońce świeciło jaśniej niż zwykle. Było stanowczo za gorąco jak na łagodny klimat San Francisco.

Odgarnęła z twarzy kosmyk długich, ciemnych włosów i nachyliła się, by wygładzić przód białej płóciennej sukienki. Rzuciła okiem na zegarek. Dziesiąta czterdzieści pięć. To dobrze, wcześniej dotarła na miejsce. Przebiegła przez ulicę i skierowała się w stronę Embarcadero Center - nowoczesnej architektury zajmującej siedem i pół akra. Znajdują się tam promenady i place, rzeźby oraz niezwykle fontanny, restauracje, sklepy i galerie. W jednej z nich półtora roku temu miała swoją pierwszą wystawę. Tamta noc - pomyślała z satysfakcją - odmieniła moje życie.

Po lewej stronie grupa rozleniwionych turystów wlokła się w stronę Vaillancourt Fountain, unikatowej rzeźby, o której wielu krytyków mówi, że "powstała przez wysadzenie rumowiska". Jest to jedyna fontanna w mieście, obok której można przejść i nie zostać ochlapanym. Ashley uśmiechnęła się na widok pewnej młodej pary. Kochankowie, trzymając się za ręce, wskoczyli do basenu fontanny, rozpryskując wokół siebie strugi wody. Krople mieniły się w słońcu i spadały na rozgrzane kamienie. Ashley ze wzruszeniem wspominała swój pierwszy spacer tutaj. Było to dwa lata temu, zaraz po przyjeździe do San Francisco. Pełna zapału pragnęła zacząć nowe życie i zaprzyjaźnić się z tym miastem. W momencie przyjazdu nie знаła tu nikogo, jednak potem coraz rzadziej bywała sama.

Przyspieszyła, kierując się do Market Place, kawiarni na powietrzu. Wciąż rozmyślała o tym, jak życie towarzyskie związało się z jej karierą, a prywatne kontakty pomogły zaspokoić zawodowe ambicje. Myślała o sobie z satysfakcją. Zdobyła wystarczająco dużo doświadczenia, by wykorzystać wszystkie możliwości zrealizowania swoich marzeń. Nie przyjechała tutaj, żeby siedzieć z założonymi rękami w oczekiwaniu na pierwsze triumfy. Była na tyle bystra, by zdać

sobie sprawę, że nie ma nic złego w wykorzystaniu znajomości zawartych w świecie sztuki. Dzięki temu stała się jego częścią i wreszcie osiągnęła to, czego gorąco pragnęła. Poznała wielu bogatych i wpływowych mężczyzn, których zachwycała urodą, wdziękiem i dowcipem. Lubili przebywać w jej towarzystwie, a co najważniejsze, znali odpowiednich ludzi. Niektórzy z nich zostali jej kochankami, ale Ashley nigdy się nie skompromitowała. Nie poszłaby z kimś do łóżka tylko po to, żeby szybciej zostać uznaną artystką. Romansowała wyłącznie z mężczyznami, którzy ją pociągali. Jeśli akurat mieli oni wpływy w świecie sztuki, było jej miło porozmawiać o wspólnych zamiłowaniach, ale równie często spędzała na- miętne noce z cudownymi mężczyznami, którzy niewiele wiedzieli o malarstwie.

Usiadła przy stoliku w Market Place i zaczęła przypatrywać się targowi ulicznemu. Tłumy turystów buszowały wśród wystawionych towarów - makram, wyrobów ze skóry, instrumentów muzycznych, glinianych donic i garnków, ręcznie wykonanej biżuterii, obrazów i rzeźb - nabywając je bezpośrednio od rzemieślników. Targowisko znowu przywołało wspomnienia. To tutaj, podczas pierwszego lata w San Francisco, Ashley sprzedawała swoje obrazy, które namalowała w ciągu trzech ostatnich lat spędzonych w Napa Valley. To podtrzymywało ją finansowo. Prace sprzedawały się dobrze, ale jedna transakcja w szczególny sposób przyczyniła się do pomyślnego rozwoju kariery artystycznej.

Michael Anthony. Ashley nigdy o nim nie zapomniła. Był jednym z najbardziej atrakcyjnych mężczyzn, jakich kiedykolwiek spotkała. Wysoki i szczupły, z czarną - prawie granatową - czupryną i przenikliwymi błękitnymi oczyma. Subtelna twarz o olśniewającym uśmiechu przypominała dumne oblicza ze starych rzymskich monet. Miał trzydzieści siedem lat i mnóstwo wdzięku. Bardzo różnił się od mężczyzn, z którymi wychowywała się w dolinie. Był przystojny, wytworny i wykształcony, nie jak chłopcy z podwórka, mężczyźni w rodzaju Sama i jego przyjaciół. Tamtego spokojnego sierpniowego popołudnia Michael bardziej interesował się samą artystką niż dziełami, ale dostrzegł talent i kupił jej ulubiony obraz - wizerunek człowieka pracującego w winnicy. Było to dzieło, nad którym najciężej pracowała. Nowy znajomy wyraził chęć zajęcia się jej karierą.

Tego samego wieczoru zjedli razem kolację i od tej pory spotykali się niemal co noc. Michael był pierwszym kochankiem Ashley, nad wyraz delikatnym i czułym. Wyzwolił w niej namiętności, których do tej pory nie odczuwała. Był dziewczyną takoczarowany, że sfinansował jej pierwszą wystawę. Przedsięwzięcie to zostało uwieńczone sukcesem i przyniosło Ashley uznanie, jakiego nie spodziewała się w najśmielszych snach. Krytycy okrzyknęli ją zgodnie "najlepiej zapowiadającą się pejzażystką ostatnich lat", a jej obrazy osiągnęły nadzwyczaj wysokie ceny jak na debiutantkę. Nie posiadała się z radości. Wraz z Michałem przygotowała cudowną, intymną kolację w swoim mieszkaniu. Potem kochali się jak nigdy przedtem. Tej nocy Ashley dowiedziała się także o żonie Michaela.

Nie zdenerwowała się. W głębi serca zawsze podejrzewała, że jest żonaty, ale nigdy nie odważyła się zapytać. Podświadomie nie chciała znać całej prawdy. Kiedy ją wyznał, ze zdumieniem poczuła ulgę. Podczas tygodni poprzedzających wystawę stawał się wymagającym kochankiem. Ashley była coraz mniej zadowolona z tego związku. Przyznając się, że jest żonaty, rozluźnił emocjonalną więź między nimi, ale nie miał Wyboru. Igrał z ogniem, gdyż był uzależniony od pieniędzy teścia. Pełnił funkcję starszego wiceprezesa w jego przedsiębiorstwie. Ashley przyjęła wiadomość spokojnie, ale zażądała zerwania kontaktów. Oczywiście odmówił, nadal wydzwaniał do niej i nachodził w mieszkaniu. Nie pozwoliła jednak kochankowi nawet przekroczyć progu. Po Michaelu byli inni. W ciągu kilku ostatnich miesięcy nazwisko artystki częściej pojawiało się w kolumnach poświęconych życiu towarzyskiemu niż w recenzjach. Wiązano ją z najprzystojniejszymi mężczyznami z Sari Francisco. Niejeden z nich stanowił "dobrą partię". Ashley powróciła do rzeczywistości. Rozejrzała się po placu. Grupka artystów właśnie rozkładała obrazy, próbując zainteresować nimi tłum. Ashley pomyślała, że najwyższy czas, by i ona wróciła do pracy, jedynej i prawdziwej pasji.

- Ashley!

Podniosła wzrok i ujrzała Marę Cortland, właścicielkę awangardowej galerii w Nob Hill. Znajoma



przysiadła się do stolika.

- Mara! - Ashley powitała starszą kobietę ciepłym uśmiechem. - Szybko się zjawiłaś! Chciałam z tobą koniecznie porozmawiać ...

Apartament Ashley mieścił się na jednym z wyższych pięter supernowoczesnego Wieżowca w centrum Telegraph Hill. Artystyczna dzielnica, z której roztaczał się widok na zatokę od strony North Beach, składała się głównie z wąskich alejek i drewnianych domków, zbudowanych w latach dwudziestych. W owych czasach mieszkali tu głównie Włosi. Wkrótce napłynął tłum cyganerii, która chętnie wprowadzała się do nie drogich mieszkań. Artyści zadomowili się szybko, poświęcając się pisaniu, malowaniu i innej działalności twórczej. Potem, w latach sześćdziesiątych, nastąpiła era hipisów.

Do Telegraph Hill przybyli przedstawiciele eleganckiej klasy posiadającej, przebudowując wiele starych domów na przestronne apartamenty. W wyniku tych zabiegów czynsze zaczęły osiągać zawrotne wysokości i nie trzeba było obawiać się napływu "niepożądanego elementu". W ostatnich latach zbudowano tu kilka wieżowców, prawdopodobnie w celu podniesienia wartości dzielnicy. Z okien sypialni, którą Ashley przerobiła na pracownię, roztaczał się fantastyczny widok na zatokę. Przedpołudniowe słońce zapewniało idealne światło do malowania. Cały pokój wypełniały sztalugi, płótna i inne narzędzia pracy. Na ścianach wisiały w ramkach powycinane z gazet recenzje, pisane przez czołowych krytyków San Francisco, a także ulubione szkice artystki. W pomieszczeniu unosił się zapach farb olejnych i terpentyny, gdyż na sztalugach zawsze rozstawiona była jakaś praca. Stało tu też kilka przedmiotów, które od czasu do czasu służyły jako tematy obrazów: pokryta emalią waza antyczna, kupiona w małym sklepiku w Chinatown, wypełniona teraz kwiatami z jedwabiu, wiklinowy kosz, który wraz ze świeżymi owocami został uwieczniony na płótnie, wreszcie dwie laleczki z porcelany w uroczych, secesyjnych strojach. W tym zagraconym pokoju Ashley spędzała większość czasu.

Teraz, przygotowując na tarasie śniadanie na dwie osoby i rozkoszując się delikatną, ciepłą bryzą, myślała, jak jej obecne życie różni się od lat spędzonych w dolinie. Jak zasadniczo zmieniło się od dnia, kiedy opuściła znany sobie świat i udała się na poszukiwanie nowego. Równie dobrze mógł to być Paryż albo Rzym. Chociaż nigdy głośno nie przyznała się do tego, podczas tych pierwszych miesięcy w San Francisco nieitiedy bała się, że poniesie porażkę. Ten okres uważała za najtrudniejszy w swoim dotychczasowym życiu, mimo uczuciowego i finansowego wsparcia ze strony Michaela.

Odrzuciła włosy do tyłu tak, jakby chciała tym gestem odpędzić smutne myśli. Uważnie zlustrowała idealnie zastawiony stół: lśniące kryształy i porcelanę, zastawę bez skazy, świeży biały obrus i starannie dobrane potrawy - jajka na miękko, plasterki dojrzałych brzoskwiń, spryskanych schłodzonym szampanem, oraz sok ze świeżych pomarańczy. Upewniwszy się, że wszystko zostało przygotowane jak należy, zawiązała mocniej pasek szlafroka i pobiegła boso do ciemnej sypialni. Mężczyzna, z którym spędziła noc, spał twardo z twarzą wtuloną w poduszkę. Pogniecione prześcieradło odkrywało muskularne ramiona, a potargane kasztanowe włosy świadczyłyo namiętnych miłosnych igraszkach. Uśmiechając się do siebie, Ashley podeszła cicho do łóżka i potrząsnęła delikatnie jego ramieniem.

- Danielu - szepnęła. - Danielu ... czas wstawać.

- Hmm? - Poruszył się nieznacznie, ale nie otworzył oczu.

- Wstawaj! - ponagliła, potrząsając nieco silniej. - Musisz być w biurze za półtorej godziny!

Zamruczał coś w poduszkę. Ashley pokręciła głową niezadowolona. Poznała go na jednej ze swych wystaw. Romansowali od dwóch miesięcy, ale jeszcze ani razu nie udało jej się ściągnąć go z łóżka bez problemów. Podeszła do okien i powoli rozsunęła zasłony; jasne światło słoneczne rozlało się po pokoju. Ani drgnął. Wróciła do łóżka i jednym ruchem zerwała błękitne prześcieradło, odkrywając nagie ciało kochanka. Gdy pochyliła się nad nim, nagle odwrócił się i chwycił ją za nadgarstki, przewrócił na łóżko.

- Danielu! - krzyknęła zaskoczona. - Niech cię wszyscy diabli! Przez cały czas nie spałeś?

- Oczywiście - wymamrotał, całując ją zapamiętale. Byłem ciekaw, jak daleko posuniesz się, żebym

wstał z łóżka. - Szybkim ruchem podciągnął jej szlafrok, odsłaniając biodra. Pocałował ją i wsunął dłoń między uda dziewczyny.

- Danielu! - powiedziała stłumionym głosem. - Jajka ...

- Zapomnij o jajkach! - mruknął, całując jej kark.

- Nie masz ochoty na śniadanie? - Ashley zaczęła chichotać.

- Ty będziesz moim śniadankiem. - Zsunął szlafrok z ramion dziewczyny i delikatnie wodził palcem wokół piersi.

- Danielu, przestań! - zawołała, gdy zaczął całować napięte sutki.

Przerwał i spojrzał na nią.

- Naprawdę tego chcesz? - zapytał ze znaczącym uśmiechem.

- Myślałam, że o dziewiątej musisz być w pracy zaprotestowała słabo.

- Niełatwo myśleć o czymkolwiek, kiedy leżysz obok - odrzekł i ponownie zaczął pieścić jej ciało.

- Danielu ... - Przestała walczyć, posłusznie poddając się pieszczotom.

Rodzice Ashley nigdy nie odwiedzili jej w San Francisco, ale nie dziwiła się temu specjalnie. Tylko śmierć mogłaby ich wyrwać z Napa Valley. Ona również nie wybierała się do nich zbyt często ze względu na pracę, wystawy i bogate życie towarzyskie, ale gdy tylko mogła, spędzała weekendy w rodzinnym domu. Ludzie, wśród których wyrosła, traktowali ją inaczej niż kiedyś. przyglądali się jej z lękiem, jakby nie była tą samą osobą.

. Właściwie nie jestem już taka jak dawniej -pomyślała, zdając sobie sprawę, że w ciągu minionych dwóch lat bardzo się zmieniła. Była jednak zadowolona z tej przemiany.

Nawet rodzice, dumni z sukcesów córki, zachowywali się już inaczej w jej obecności. Natychmiast to wyczuła. Nie umieli rozmawiać z własnym dzieckiem. To minie pocieszała się. - Po prostu zbyt długo się nie widzieliśmy. W głębi duszy jednak zastanawiała się, czy dystans, jaki wytworzył się między nimi, to tylko kwestia odległości dzielącej San Francisco od Napa Valley.

- Wciąż jestem twoją córką, tato - próbowała przekonać ojca. - To się nie zmieniło.

- Czyżby? - zapytał Tony Giannini bez przekonania. \_ Jesteś inna. Wyglądasz inaczej. Mówisz inaczej. Co gorsza, zachowujesz się dziwnie. Jesteś teraz artystką, znana osobą. Patrzę na c"iebie i pytam, co się stało z moją córeczką? Odeszła. Nie ma już mojej słodkiej, upartej Abby. Ta ułożona panienka z towarzystwa zajęła jej miejsce.

Ashley roześmiała się, obejmując ojca mocno.

- Wcale tak bardzo się nie zmieniłam, tato - obstawała przy swoim. - Jestem teraz starsza i może rzeczywiście odrobinę inaczej wyglądam. Aby przetrwać w San Francisco, musiałam nabrać trochę miejskiego sprytu, ale, wierz mi, serce mam wciąż to samo.

- Zawsze miałem nadzieję, że zostaniesz tą słodką, niewinną dziewczyną, która opuściła nas dwa lata temu - przyznał Tony z nutką rozczarowania w głosie.

- Nikt nie jest ciągle taki sam, tato - powiedziała miękko Ashley.

- Widzę właśnie - odrzekł cicho, wyzwalając się z uścisku córki.

Sięgnął po egzemplarz ostatniego wydania jednej z gazet wychodzących w San Francisco.

Publikowano w niej zdjęcie Ashley w towarzystwie Daniela Redmonda. Fotografia została

zrobiona na uroczystości otwarcia nowej restauracji w Nob Hill. Podpis pod zdjęciem informował o "szalonym Fomansie" między sławną artystką a znanym prawnikiem.

- Czy to prawda, Abby? - zapytał. - Czy związałaś się z tym mężczyzną?

Zawahała się.

- Zależy, co przez to rozumiesz, tato - odrzekła powoli.

- Sypiasz z nim? - zapytał wprost.

Nie odpowiedziała od razu, zastanawiając się, czy nie skłamać. Nie postąpiłaby właściwie. Ojciec zna ją zbyt dobrze - wyczułby natychmiast, że córka nie mówi prawdy.

- Tak, tato - odezwała się w końcu, unikając jego wzroku.

- Dlaczego, Abby? Czy mężczyźni, z którymi się spotykasz, składają ci jakieś obietnice? Czy przyrzekają małżeństwo? Pomagają w zdobywaniu sławy?

Ashley zadumała się przez chwilę, myśląc o Michaelu. - Nie - odpowiedziała powoli. - Nigdy mi niczego nie obiecują, a ja nic od nich nie żądam. - Więc dlaczego, na litość/boską?! Zdobyła się na słaby uśmiech.

- Tato, w San Francisco żyje się inaczej niż tutaj rzekła, chcąc usprawiedliwić swoje postępowanie. Przede wszystkim nie tak prosto. Ludzie nie zawierają małżeństwa, by żyć razem długo i szczęśliwie. Szczerze mówiąc, nawet tutaj tak nie jest. Kto spędza całe życie z pierwszą osobą, w której się zakochał? Nawet najgorętsza miłość nie zawsze kończy się ślubem. To jest...

- Właśnie dlatego nie chciałem, żebyś pojechała do San Francisco - uciał ostro. - Chodziło mi o to, by uchronić cię przed takim życiem. Nie chciałem, żeby sukcesy cię zepsuły.

- Wcale mnie nie zepsuły! - zaprzeczyła.

- Dałaś się poniżyć - mówił Tony szorstkim i nieprzyjemnym głosem. - Oddajesz się tym wszystkim mężczyznom ... Ilekroć mam w ręku gazetę, z San Francisco, zawsze widzę cię z kimś innym. Bawisz się do białego rana, bywasz na przyjęciach i balach. Pytam, czy to ta sama dziewczyna, która chciała wszystko poświęcić malowaniu?

- Poświęciłam się mojej pracy - powiedziała Ashley wzburzona - ~le życie towarzyskie jest niezwykle ważne dla kogoś z moją pozycją. Muszę spotykać się z odpowiednimi ludźmi...

- Czy musisz z nimi sypiać, by sprzedawać swoje obrazy? - krzyknął ojciec, nie kryjąc gniewu.

- Tato, nie potrafię tego wytłumaczyć tak, byś zrozumiał - rzekła urażona. - Wiem, że nie pochwalasz mojego zachowania, ale, proszę, pozwól mi żyć na własny rachunek.

Tony Giannini spuścił wzrok i pokiwał głową.

- Jak mógłbym powstrzymać cię, dziewczynko? zapytał.

- Bardzo was kocham - powiedziała łagodnie, obejmując go za szyję. - *Nię* spodziewam się, że zrozumiecie, ale ...

Przytaknął.

- Nie mogę żyć za ciebie, Abby - powiedział w końcu.

- Mama i ja próbowaliśmy wychować cię dobrze, przekazać jakieś wartości, ale musisz popełnić własne błędy i zapłacić za nie jak my wszyscy. Cokolwiek zrobisz, nie utracisz naszej miłości.

Ashley uścisnęła go mocno.

- Nigdy nie chciałam cię rozczarować, tato.

Jadąc z powrotem do San Francisco, ciągle myślała tej wymianie zdań. Nigdy przedtem nie rozmawiała z ojcem tak szczerze. Zawsze pragnęła jego poparcia i uznania. Nieważne, co stanie się w przyszłości. Jedno pozostanie faktem - Ashley Gordon czy Abby Giannini nigdy nie przestanie być córką swoich rodziców. Była im wdzięczna za wartości, jakie jej wpoili, za siłę odziedziczoną po dzielnych włoskich przodkach, którzy opuścili bezpieczny kraj rodzinny w poszukiwaniu lepszego życia. Chociaż żadne z rodziców tego nie rozumie, to przecież właśnie toskańska siła i determinacja, jakie ma we krwi, pozwoliły przyjąć wyzwanie, podjąć ryzyko i spełnić marzenia. Była dumna z tego dziedzictwa.

Na moście Golden Gate opuściła dach kabrioletu.

Słońce natychmiast zaświeciło jej w twarz, a wiatr zawirował we włosach. Żałowała, że rodzice widzieli te gazety, że czytali rzeczy, które powypisywano o ich córce. Wolałyby nie odkrywać przed matką i ojcem tej strony swego życia. Łowcy sensacji mają niezwykły talent do ubarwiania faktów. Za ich sprawą związek Ashley - nienawidziła słowa "romans", które wydawało jej się tanie i brudne - wyglądały na płytkie i powierzchowne. Potrząsnęła głową. Miała już w życiu kilku kochanków, to prawda. Sypiała z mężczyznami, których nie kochała. Nie zamierzała wiązać się z nimi na stałe. Nie jest to niczym nadzwyczajnym w obecnych czasach. Nigdy jednak nie oddałyby się mężczyźnie, który jej w ogóle nie interesuje, nie pociąga przynajmniej w sensie fizycznym. Nie przedłużała przelotnych znajomości, szybko zdając sobie sprawę, że to nie ten, którego szuka i potrzebuje. Chciała zdobyć wszystko - sukces, pieniądze, uznanie oraz miłość. Wiedziała, że w ten czy inny sposób to osiągnie. Jednak incydent z ojcem coś jej uświadomił. Ashley Gordon musi trzymać się z dala od świata rodziców, w którym wciąż egzystuje jako Abby Giannini.

Ashley Gordon i Abby Giannini nie mogły współistnieć.

*San Francisco, kwiecień 1979*

Hyatt Regency przy Embarcadero Center 5 jest najoryginalniejszym hotelem w San Francisco. Przewyższa o siedemnaście pięter zbudowane z różowej cegły centrum Market Street. Supernowoczesna konstrukcja hotelu tworzy uderzający kontrast z rokokowym zegarem, znajdującym się na wieży pobliskiego Ferry Buildingu. Bryła budynku przypomina gigantyczną piramidę; jego dwie ściany łączą się pod kątem prostym, trzecia zaś tworzy misterne progi na podobieństwo pradawnych pomników egipskiej kultury. Z długich balkonów opada obficie bluszcz, zdobiąc całą fasadę. W środku gmachu dwukierunkowe ruchome schody prowadzą z parteru na zaprojektowany przez Portmana rozległy pasaż. Jest on otoczony balkonami, zastępującymi korytarze na wyższych piętrach, aż po szklany dach budynku, przez który sączy się tajemniczo światło dzienne. W centrum pasażu wznosi się "Eclipse", olbrzymia rzeźba Charlesa Perry'ego, uwieczniona fontanną z czarnego marmuru. W wielu miejscach ustawione są wygodne fotele, wszystko zaś tonie w zieleni. Słychać subtelną muzykę, wykonywaną niemal bezustannie przez orkiestrę ukrytą w jakimś zakamarku. Towarzyszy jej śpiew ptaków, które żyją w klatkach wiszących pośród liści.

W restauracji Equinox, urządzonej na obrotowym dachu hotelu, Ashley siedziała przy kolacji, na którą zaprosił ją Scott Nelson, potomek zamożnej i znanej w San Francisco rodziny polityków. Spotykali się od pół roku i dziewczyna zazwyczaj świetnie bawiła się w jego towarzystwie. Tego wieczoru jednak, stojąc przy oknie i patrząc nieobecny wzrokiem na migające światła, nie czuła się dobrze. Byłoby inaczej - pomyślała z urazą - gdyby Scott tak nie schlebiał dziennikarzom. Od chwili opuszczenia windy czuła się, jakby kazano jej cały czas pozować do zdjęć. Zwykle lubiła być fotografowana przez reporterów. Pomijając incydent z poprzednim, nie przeszkadzało jej to w życiu, a świadomość, że jest sławna, sprawiała przyjemność. Lecz tego wieczoru złościła się na Scotta, że zaciągnął ją na kolację. Miniony dzień był wyjątkowo długi i męczący. Nie miała ochoty równocześnie jeść i uśmiechać się do obiektywów. Kiedy zaproponowała, żeby zjedli sami albo kogoś do siebie zaprosili, przyjaciel się zdenerwował. Opinia prasy wiele znaczy dla jego kariery, a jeżeli Ashley ma zamiar związać się z nim w przyszłości, powinna przywyknąć do pokazywania się razem publicznie. Jego cholerna przyszłość! - pomyślała z wściekłością. - Jak on może coś takiego powiedzieć!

Nigdy nie twierdziła, że planuje trwały związek z tym człowiekiem; w ogóle tego nie chciała! On, jak widać, zdążył zatroszczyć się o wszystko. Postanowiła stanowczo ograniczyć spotkania ze Scottem Nelsonem.

Stał się jej nagle całkowicie obojętny. Zwróciła mu uwagę na natręctwo, z jakim reporterzy pstrykają zdjęcia podczas posiłku.

- Nelsonowie zawsze starają się być widoczni - przypomniał jej. - To niezbędne dla naszej kariery politycznej.

- Ale ty jesteś tylko prawnikiem - odparła z naciskiem, nie kryjąc rozdrażnienia.

- Nie zawsze - odrzekł. - Ojciec prowadził rozmowy z liderami partii w Sacramento. Wygląda na to, że i przyszłym roku wybiorą mnie na prokuratora generalnego. W związku z tym powinniśmy znieść kilka takich ...

- Może ty tak, ale nie ja - ucięła ze złością.

- Cóż, jeśli masz zamiar zostać moją żoną ... - zaczął.

Spojrzała na niego z niedowierzaniem.

- Nie mam pojęcia, na jakiej podstawie tak sądzisz!

W każdym razie jedno wbij sobie na zawsze do głowy nie wyszłabym za ciebie, nawet gdybyś był jedynym mężczyzną na ziemi!

- Ashley, ludzie patrzą - szepnął błagalnie.

- Niech się gapią, do diabła! - warknęła. - Nie rozumiem, jak mogłeś planować coś bez porozumienia się ze mną. Czym ja jestem dla ciebie? Transparentem w kampanii wyborczej? Nie przypominam sobie, by któreś z nas użyło kiedyś słowa "miłość". Nigdy nie wspominałeś o małżeństwie ...

- Ashley, proszę. - Scott nerwowo rozglądał się po sali. Czeka na ojca - pomyślała z pogardą

- Wydaje mi się, że musimy pogadać ... - zaczął.

- Cholernie dobrze ci się wydaje!

- Porozmawiamy zaraz po wyjściu stąd. Proszę, nie rób scen ...

- Nie mam zamiaru kompromitować cię publicznie zapewniła. - Wiedz jednak, że niewiele będziesz w stanie zrobić, by naprawić stosunki między nami.

- Nic nie rozumiesz.

- Nie, to ty nie rozumiesz. I nie sądzę, byś kiedykolwiek coś pojął. - Bez słowa odwróciła się i odeszła.

Scott wlepił wzrok w jej plecy.

Gdy patrzyła przez ołmo w noc, próbując bezskutecznie zapanować nad gniewem, poczuła nagle, że ktoś stoi obok. Powoli odwróciła głowę. Mężczyzna był wysoki i szczupły, miał gęste, faliste blond włosy, ciemnoniebieskie oczy i nadzwyczaj inteligentną twarz. Uśmiechał się do niej.

- Jakież kłopoty w raj? - zapytał zdawkowo.

- A cóż to może pana obchodzić?

- Właściwie nic, ale kilka minut temu nie robiła pani z tego tajemnicy. Uznałem więc, że nie zaszkodzi zapytać - odrzekł uprzejmie.

Zerłmęła na niego podejrzliwie. - Może jest pan reporterem?

- Bynajmniej - odpowiedział rozbawiony. - Ponieważ

się nie znamy, pani pozwoli, że się przedstawię, panno Gordon. Brandon Hollister. Pracuję ze Scottem w tej samej firmie.

- Nie musi przysyłać przyjaciół, żeby wstawiali się za nim - oznajmiła chłodno.

Brandon Hollister roześmiał się.

- Spokojnie! To, że pracujemy razem, nie znaczy, że jesteśmy zaprzyjaźnieni - sprostował. - Prawdę mówiąc, nigdy za nim nie przepadałem.

- Chyba mam do niego podobny stosunek - przyznała.

- Słyszałem co innego.

- Tak? A co pan słyszał?

- Że jesteście na najlepszej drodze do ołtarza.

- Najwidoczniej dowiaduję się o tym ostatnia - odrzekła, odwracając się do ołma.

- To nie powinno dziwić, zważywszy okoliczności. - Jakie okoliczności?

- W jaki sposób się poznaliście?

- Jego ojciec zaaranżował spotkanie - powiedziała powoli. - Podczas jednego z moich wernisaży ...

- No właśnie - podchwycił Brandon, popijając drinka. - Widzisz, Ashley, jeśli wolno mi zwracać się tak do ciebie, Stanford Nelson aranżuje całe życie swojego syna. Od dnia, kiedy pierworodny przyszedł na świat, ojczulek nie spuszcza z oka Białego Domu. Wszystkie jego działania prowadzą do jednego celu - chce zrobić chłopaka prezydentem. To proste. Scott zawsze otrzymuje najlepsze ciuchy, samochody, wykształcenie. Dostał się do najbardziej renomowanego zespołu adwokackiego w mieście, choć jest raczej drugorzędym prawnikiem ...

- Jaką rolę gram w tych planach?

- To proste. Nelson senior chce, żebyś została żoną jego syna - odpowiedział Brandon.

- Co takiego?

- To prawda - zapewnił. - Stanford Nelson uważa, że wspaniale uwieńczysz jego dzieło, jeśli wolno mi ująć to tymi słowami. Jesteś sławna i piękna, masz osobowość. Twoja twarz i nazwisko są znane w towarzystwie.

- A co Scott o tym sądzi? - zapytała, z trudem opanowując rosnący gniew.  
Brandon wzruszył ramionami.

- A któż to może wiedzieć? I tak zrobi to, co powie ojciec. - Przerwał na chwilę. - Scott i każdy, kto może mieć wpływ na jego karierę, to marionetki w rękach jego ojca. Sądzę, że nawet jeśli udałoby mu się zasiąść w Waszyngtonie, to ojciec rządziłby krajem.

- Tak więc pan Nelson postanowił, że Scott powinien się ożenić ...

- A co ojciec rozkaże, syn wykona - odrzekł krótko Brandon. - Czasem zastanawiam się, czy on w ogóle potrafi samodzielnie myśleć.

- Jasna cholera! - Odwróciła się gwałtownie i zaczęła przepychać się przez tłum w stronę stolika, przy którym Nelsonowie rozmawiali z dwoma dziennikarzami. Brandon podążył za nią, nie próbując jej powstrzymać.

- Scott, chcę jechać do domu - oznajmiła.

- Oczywiście, moja droga - zgodził się uprzejmie. - Za momentik.

- Chcę wracać w tej chwili! - powiedziała ostro.

- Nie mogę teraz wyjść, kochanie ...

- Wobec tego wezmę taksówkę.  
Zerwał się z miejsca.

- Miała dziś męczący dzień, musi odpocząć - wyjaśnił zebrany, po czym zwrócił się ponownie do Ashley: \_ Zadzwoń do ciebie rano.

- Nie trudź się - wycedziła przez zęby. Dwaj reporterzy wyglądali na zaszokowanych. Stanford Nelson poczerwieniał z wściekłości, ale nie odezwał się ani słowem.

- Ashley ... - zaczął Scott.

- Dobranoc, Scott, albo raczej ... żegnaj. - Obróciła się na pięcie i wyszła.  
Brandon Hollister wybiegł za nią.

- Zaczekaj! - zawołał. - Dokąd idziesz?

- Do domu.

- Przecież wieczór dopiero się zaczyna!

- Dla mnie już minął! - Niecierpliwie naciskała raz po raz guzik windy.

- To niczego nie przyspieszy - rzekł Brandon, najwyraźniej rozbawiony ognistym temperamentem dziewczyny. - Słuchaj, mogę odwieźć cię do domu, jeśli masz ochotę ...

- Nie! - ucięła. - Wezmę taksówkę.  
Drzwi windy otworzyły się i weszli do pustej kabiny. - Pokłóciłaś się ze Scottem, ale nie wiem, dlaczego

mścisz się na mnie - powiedział, gdy winda ruszyła w dół. - Nie odgrywam się na'tobie. Po prostu chciałabym zostać sama.

- To pozwól odwieźć się do domu. Odstawię cię pod same drzwi, i na tym koniec. Przyrzekam.  
Odwróciła się do niego z oczyma błyszczącymi od gniewu.

- Właściwie o co ci chodzi? - zapytała. - Najpierw opowiadasz różne rzeczy, a teraz chcesz mnie odwieźć do domu. Po czyjej jesteś stronie?

- Czy każdy musi mieć jakieś ukryte zamiary?

- Nie, ale ludzie zazwyczaj je mają. Do czego zmierzasz?

- Ja? - zdziwił się. - Widziałem, co się święci, i nie podobało mi się to. Scott i jego ojciec wykorzystywali cię. Uznałem, że powinnaś o tym wiedzieć. Gdybym znał twój paskudny charakter, być może nie spieszyłbym się z wyjaśnieniami. Przybywam, by ustrzec panienkę przed niebezpieczeństwem, a ona okazuje się smokiem zionącym ogniem!

- Bardzo zabawne. - Drzwi windy otworzyły się i Ashley ruszyła szybkim, zdecydowanym krokiem w stronę ruchomych schodów. Brandon nadal jej towarzyszył.

- Moja propozycja jest wciąż aktualna - powiedział, gdy znaleźli się na ulicy.  
Dziewczyna spojrzała na niego.

- Jesteś niezwykle wytrwały, prawda?

- Po prostu nie sądzę, żebyś była bezpieczna o tej porze - wyjaśnił krótko.

Odrzuciła głowę ,do tyłu i roześmiała się.

- Chyba żartujesz! San Francisco jest jedynym miejscem na ziemi, gdzie kobiecie nic nie grozi po zmroku!

- Nie byłbym tego taki pewien.

- Potrafię troszczyć się o siebie.

- O, w to nie wątpię - przytaknął. - Czy dla mojego spokoju nie mogłabyś przestać protestować i pozwolić mi być dżentelmenem, na jakiego mnie wychowano?

Przyglądała mu się przez chwilę.

- Dżentelmen! To mogłaby być ciekawa odmiana.

- No więc?

Uśmiechnęła się.

- Dobrze - zgodziła się w końcu. - Nie zamierzam utrudniać rycerzowi wykonania świętego obowiązku.

- Myślałam, że jedziemy prosto do mojego domu powiedziała Ashley podejrzliwym tonem, podążając za Brandonem w stronę baru.

- W porządku, skłamałem. Zaskarż mnie - zażartował, kiedy usiedli.

- Nie omieszkam. Czy mógłbyś polecić mi dobrego adwokata?

- *Touche* - odrzekł z uśmiechem. - Napij się ze mną, a przyznam się do wszystkiego. A potem, jeśli nadał będziesz chciała, odwiozę cię do domu.

Przyjrzała mu się uważnie. - Czy można ci zaufać?

- Czy rycerz mógłby kłamać? - spytał, uśmiechając się szeroko.

- Tak, jeśli tylko go udaje - odpowiedziała, zaczynając dobrze się bawić w towarzystwie Brandona mimo złości, którą nadal czuła do Scotta i jego ojca.

Kelnerka podeszła do baru, by przyjąć zamówienie. - Napiłabym się białego wina.

- A ja poproszę wódkę i tonik - powiedział szybko Brandon. Kiedy kelnerka znalazła się dość daleko, ponownie zwrócił się do Ashley: - Mówiąc ci prawdę o Nelsonach, miałem jeden ukryty zamiar. - Zniżył głos do szeptu.

- Proszę, proszę! - Uśmiechnęła się.

- Powiedziałem ci, że nigdy nie lubiłem tego faceta.

- No?

- Nie zniosłbym, gdybyś za niego wyszła.

- Dlaczego? Przecież to ciebie nie dotyczy.

- Po pierwsze wiem, że nie jest w tobie naprawdę zakochany - odrzekł poważnie. - Miałaś stanowić część politycznych machinacji, dopełnienie publicznego wizerunku. A po drugie ... - zawahał się - sam chciałem cię lepiej poznać.

Podniosła wzrok.

- Wcale się nie znamy. .

- I nie mielibyśmy szansy, gdyby Scott osiągnął swój cel- powiedział cicho. - Kiedy ujrzałem cię dziś wieczorem, kiedy zaczęliśmy rozmawiać... Nie potrafię tego WYtłumaczyć. Po prostu nie mógłbym stać spokojnie i pozwolić, byś skończyła u boku tego padalca.

- To niezwykle szlachetne z twojej strony - zadrwiła.

- Próbuję ci powiedzieć, że ...

Roześmiała się.

- Wiem, co chcesz powiedzieć - zapewniła. - Sądzę, że zapomniałam ci podziękować.

- To zbyteczne - wtrącił szybko. - Nie mówiłem ci? Mam drugi zawód.

Uniosła brwi na znak zapytania.

- Drugi zawód?

Przytaknął z powagą.

- Jestem prawnikiem tylko w ciągu dnia - oznajmił tajemniczo - nocą zaś krążę po okolicy i wybawiam damy z tarapatów.

Ashley roześmiała się w głos.

- No cóż, muszę przyznać, że jesteś w tym dobry.

Szczyściem wybór padł na mnie.

- Czy wobec tego zjesz ze mną kolację jutro wieczorem?

- Sądzę, że tak. - Uśmiechnęła się.

- Co powiesz na Donatellogo?

- To moja ulubiona restauracja - odpowiedziała zgodnie z prawdą.

- Wspaniale! Widzisz? Już mamy coś wspólnego ucieszył się.

Ashley tylko uśmiechnęła się, a w jej oczach coś zabłysło. Kobięca intuicja podpowiedziała jej, że połączy ich wiele więcej niż zamiłowanie do tej samej restauracji.

- Pochodzę z terenu, gdzie uprawia się winną latorośl- powiedziała Ashley, kiedy szli powoli przez ciemne ulice w stronę jej domu. - Mój ojciec posiada winnicę.

Niejednokrotnie w ciągu minionego roku żałowała tego kłamstwa, ale nigdy tak bardzo jak w tym momencie. Nie wstydziała się swego dziedzictwa. Jej przodkowie byli dumnymi, porywczymi ludźmi, którzy żyli i kochali z takim żarem, na jaki nie stać większości mieszkańców San Francisco. Ojciec miał całkowitą rację. Świat, do którego Abby Giannini tęskniła, był fascynujący, ale zaludniali go samolubni, płytki ludzie, którzy oceniali człowieka po pochodzeniu i stanie konta, a nie na podstawie tego, co naprawdę reprezentuje. Teraz jednak znów skłamała. Rozpaczliwie pragnęła akceptacji, a nie bardzo wiedziała, jak ją osiągnąć i nie wyjść na idiotkę.

- O! - skojarzył Brandon. - Dziedziczka winiarni!

- Niezupełnie - odrzekła niepewnie. - Ojciec tylko uprawia winorośl. Nie wyrabia wina. - Przerwała, po czym dodała: - Chciałby rozpocząć budowę winiarni, ale to pozostaje na razie w sferze projektów.

- Bywałem w Napa i Sonoma - powiedział. - Pięknie tam. Z pewnością miałaś co malować. Ashley przytaknęła z uśmiechem.

- To prawda. - Zamilkła na chwilę. - A ty skąd pochodzisz? Nie jesteś chyba rodowitym Kalifornijczykiem. Twój akcent...  
Roześmiał się.

- Nie - przyznał. - Pochodzę z Nowego Jorku. Przeprowadziłem się tutaj po ukończeniu prawa. Mojemu ojcu nie bardzo podobał się ten pomysł. Chciał, żebym prowadził z nim interesy, ale ...

- Dlaczego nie zostałeś z rodziną? - Ashley miała nadzieję, że nie przeciąga struny. Wzruszył ramionami.

- Mamy nieco inne spojrzenie na pewne sprawy. Nie odpowiadają mi metody ojca - odparł, unikając jej wzroku.

Ashley odniosła wrażenie, że lepiej nie rozmawiać na ten temat.

- Dlaczego zdecydowałaś się przemierzyć taki szmat drogi i zatrzymać się właśnie w San Francisco?

Odetchnął.

- Była to najlepsza propozycja, jaką otrzymałem, a ponadto chciałem żyć z dala od Nowego Jorku. Pokrewna dusza - pomyślała Ashley.

- A ty? - zapytał, jakby czytając w jej myślach. Dlaczego opuściłaś krainę wina?

- Ja też chciałam odpocząć od tamtego świata - wyznała bez wahania. Nigdy przedtem nie rozmawiała o tym i była trochę zaskoczona, że tak lekko jej to przychodzi. W towarzystwie Brandona czuła się świetnie. Przy żadnym innym mężczyźnie nie zachowywała się tak swobodnie. Wiedziała, że może do niego mówić, a on ją zrozumie. - Poza tym chciałam tworzyć. Choć Napa Valley jest przepięknym miejscem, nie mogę malować tych samych pejzaży do samej śmierci. Chciałam poznać świat, który znajduje się za doliną, poznać życie, a potem przepięść te doświadczenia na płótno.

- Sądzę, że powinniśmy wysłać Scottowi Nelsonowi i jego ojcu podziękowania. - Uśmiechnął się.

- Za co? - zapytała zmieszana.



- Za to, że są największymi kanałiami w mieście \_ odparł. - Gdyby tak nie było, moglibyśmy się nigdy nie spotkać.

Ashley wybuchnęła śmiechem.

- Podobasz mi się pan, panie Hollister - powiedziała głośno, a w duchu pomyślała, nie wiedząc czemu: Coś mi się wydaje, że to na ciebie czekałam całe życie.

### *Monte Carlo, sierpień 1979*

Przed kasynem zahamował bezgłośnie Rolls-Royce Phantom. Po chwili z samochodu wysiadł Collin Deverell w wytwornym, nieskazitelnie białym garniturze i zdecydowanym krokiem skierował się do wejścia. Nie zatrzymując, się przechodził przez przestronne sale, w których niedbale ubrani turyści radośnie bawili się przy automatach do gry w takt rozbrzmiewającego z głośliików jazzu; wreszcie miRął srogich strażników, strzegących wejścia do prywatnych pokoi. Tutaj - pomyślał Collin, wkraczając do bogato złoconych, urządzonych z.p'rzepychem wnętrz - Monte Carlo tętni swym prawdziwym życiem. Pulsujące, jaskrawe światła automatów i dźwięki jazzu ustępowały łagodnej, różowej poświacie i aksamitnym tonom walca. Kobiety i mężczyźni w wytwornych strojach porozumiewali się przyciszonymi głosami. Skupieni w małych grupkach, pochylali się nad stołem z ruletką. Atmosfera była napięta. Odurzająca aura hazardu jak zawsze urzekała Collina. Oto mój świat - pomyślał z satysfakcją. Przy konferencyjnym stole nigdy nie czułby się tak swojsko.

Przedostał się przez tłum do kasy i nabył żetony za dwadzieścia tysięcy dolarów. Na dobry początek - pomyślał, ważąc w dłoniach dwieście czarnych krążków po pięćset franków każdy. Zajął miejsce przy stole. Z namysłem przyjrzał się stosom żetonów, stojącym równo na zielonym rypsie, po czym polecił krupierowi położyć dziesięć na czarnym polu oznaczonym numerem dwadzieścia jeden.

- *Rien ne va plus!* - obwieścił krupier, sygnalizując, że zakończono przyjmować zakłady. Collin w skupieniu obserwował, jak koło zostało wprawione w ruch, a kulka rozpoczęła swój radosny wirujący taniec. Gdy koło zaczęło zwalniać, podskoczyła jeszcze kilka razy, by wreszcie zatrzymać się na czarnym dwadzieścia jeden. Collin uśmiechnął się pod nosem. Wieczór zapowiadał się nie najgorzej.

Krupier obsłużył pozostałych graczy, upewniając się, czy wszystkie zakłady zostały zawarte, po czym zapytał: - Czy zostaje pan przy dwudziestym pierwszym, *monsieur*?

Collin przytaknął, trąc podbródek. Krupier rozkręcił ruletę. Tym razem kulka wylądowała na dwudziestym trzecim. Collin westchnął i pokręcił głową. Następnym razem postawił na czarne dwadzieścia cztery i wygrał. Został przy tym numerze i znowu przecucie go nie myliło.

- Nigdy nie stawia pan na czerwone?

Miękki, kobiecy głos należał niewątpliwie do Francuzki. Collin odwrócił głowę. Po prawej stronie stała najpiękniejsza rudowłosa, jaką w życiu widział, wysoka i smukła, z ogromnymi błękitnymi oczyma i pełnymi, zmysł<;>wymy ustami. Włosy, bujne niczym lwia grzywa, opadały kaskadami na nagie plecy. Dziewczyna miała na sobie luźną, krótką suknię ze złotej lamy, pobudzającą wyobraźnię.

- Nigdy - odrzekł z beztroskim uśmiechem. - Czerwony nigdy nie był dla mnie łaskawy.

- Nigdy? - zapytała chłodno.

- Przynajmniej jeśli chodzi o ruletkę. - Ujął dłoń kobiety i przycisnął do ust.

Cofnęła powoli rękę, zajmując miejsce obok Collina.

Inni gracze obstawiali wybrane numery, on pozostał przy dwudziestym czwartym. Odwrócił się do pięknej nieznajomej.

- Nie gra pani? - zagadnął.

Pokręciła głową.

- Jestem tylko widzem. Cały wieczór grałam w blackjacka w Salles des Ameriques i... boję się wciąż przegrywać.

Zerknął na puszczane w ruch koło.

- Ile pani straciła?

- Trzydzieści tysięcy franków ~ przyznała, lekko zakłopotana.
  - *Un!te de mise?* - zapytał, kręcąc głową z dezaprobatą.
  - Dziwię się. Sądziłbym, że jest pani bardziej odważna.
- Zmarszczyła brwi, wpatrując się w wirujące koło.
- Mam mniej pieniędzy niż chęci. Właściwie ... zostałam bez grosza.
  - Rozumiem. - Collin przyglądał się rudowłosej przez kilka sekund, po czym przesunął stos żetonów w jej stronę. - Wystarczy?
- Spojrzała na niego z czarującym uśmiechem.
- Czy będę w stanie kiedykolwiek zrewanżować się za tę wspaniałomyślność?
  - Jestem pewien, że znajdzie pani jakiś sposób. Collin skinął na mężczyznę z obsługi i polecił mu kupić jeszcze sto żetonów. Z rudowłosą nieznajomą zdążył stracić dwa razy więcej, niż miał na początku. Nie chciał jednak przyznać się do porażki. Jeszcze nie teraz. Tym razem - pomyślał wyzywająco - pójdę na całość. Wszystko albo nic. Postawił na jeden numer. Wziął do ręki przyniesione krążki i obstawił wybrane pole. .
- Kobieta z niedowierzaniem wbiła w niego wzrok. - Zwariowałeś? - wyszeptała z przerażeniem. Collin uśmiechnął się szeroko.
- Raz się żyje - odparł.
  - To pięćdziesiąt tysięcy franków! - powiedziała, z trudem dławiąc powietrze. - Tak, coś koło tego.
  - *Rien ne va plus* - ogłosił krupier dobitnie.
- Wszystkie oczy zwróciły się na ruletkę. Collin wyczekująco pochylił się do przodu. Koło zaczęło zwalniać. Kulka zatoczyła kilka kółek, po czym zatrzymała się na numerze wytypowanym przez Deverella. Głęboki oddech wyrwał się z piersi obserwatorów gry. Usta kobiety poruszały się bezgłośnie. Usiłowała w pamięci obliczyć wygraną. Płacono trzydzieści pięć do jednego.
- Spojrzała na Collina, całkowicie zbита z tropu.
- Czy zdaje pan sobie sprawę ... - zaczęła. Obdarzył ją promiennym uśmiechem.
  - Owszem - odrzekł niskim, sugestywnym głosem, kładąc dłoń na jej udzie. - Wydaje mi się, że należy to uczcić.
- 
- Zdaje się, że nie usłyszałam pańskiego nazwiska \_ powiedziała kobieta, idąc z Collinem pod ramię przez przypominający salę balową pasaż Hermitage'u, hotelu, w którym się zatrzymał. Jej obcasy stuknęły po śnieżnobiałej marmurowej posadzce, odbijając się echem w bogato zdobionych wnętrzach, dziwnie wyludnionych jak na tę porę dnia.
  - Bo nie przedstawiłem się - odpowiedział krótko. Spojrzała na niego zmieszana.
  - Nie rozumiem ...
  - Nie szkodzi. - Uśmiechnął się. - Jeśli to naprawdę istotne, nazywam się Collin Deverell.
  - Collin Deverell - powtórzyła. - Ładnie. Jest pan Anglikiem?
  - Amerykaninem - sprostował.
  - Zwiedza pan świat? - Drzwi windy rozsunęły się. Ustąpił na bok, wpuszczając przed sobą rudowłosą piękność.
  - Nie - odparł, lekko kręcąc głową. - Zdomowiłem się tutaj.
  - Ale gdzie pan mieszka, kiedy przypadkiem nie. przebywa pan w Monte Carlo? - zapytała z niekłamany zaciekawieniem.
  - Gdziekolwiek - odrzekł bez wahania. Mówił prawdę. Opuścił Nowy Jork sześć miesięcy po zawarciu pamiętnej umowy z Justinem i od tej pory ani razu tam nie zawitał. Przez jakiś czas przebywał w Rzymie, potem odwiedził wyspy na Morzu Egejskim, Cyklady. A później Paryż. Teraz jest tutaj.
  - Długo pan gości w Monte Carlo?
- Kiedy drzwi się otworzyły, wyszli z windy i udali się korytarzem do apartamentu Collina.
- Długo - powiedział, wyciągając klucz z kieszeni spodni. - Rok czy coś koło tego.
  - Nie pamięta pan? - Dziewczyna zachichotała.
  - Nie zastanawiałem się nad tym specjalnie. - Weszli do pokoju. Zamknął drzwi i przygarnął ją do

siebie. - Zwykle miewam ważniejsze sprawy - zamruczał, całując ją w ciemnościach. - Jak, na przykład, w tej chwili ...

Namiętnie odwzajemniała jego pocałunki, podczas gdy on powoli rozpiął sukienkę i opuścił ją, odsłaniając pełne, obfite piersi.

- Warto było czekać, nieprawdaż, *mademoiselle* ... Urwał, uświadamiając sobie, że nawet nie zna imienia dziewczyny.

- Danielle - odrzekła, głaszcząc jego wspaniały tors. Tej nocy kochali się jeszcze wiele razy, dopóki słońce nie wzeszło nad Morzem Śródziemnym, a oni nie byli zbyt wyczerpani, by zacząć od nowa. Potem długo leżeli wtuleni w siebie. Kiedy odzyskali siły, wzięli razem prysznic, a Collin zamówił śniadanie do pokoju. Później powiedział, że ma zamiar opuścić Monte Carlo przed zmrokiem, i odprawił kochankę.

Odeszła z połową jego wygranej.

Stojąc na pokładzie wynajętego jachtu "Baron" i patrząc, jak Monte Carlo znika w oddali, zdał sobie sprawę, że właściwie nie wie, dokąd płynie. Po dzikiej i namiętnej nocy spędzonej z Danielle postanowił po prostu wyjechać. Chociaż dobrze bawił się z tą dziewczyną i wiedział, że potrafiłaby zaspokoić wszystkie jego pragnienia, pozostał wierny zasadzie, której jeszcze ani razu nie złamał. Nigdy nie spędzał nawet dwóch nocy z tą samą kobietą. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebował, był stały związek. Mógłby łatwo zostać zraniony. Odkrył to po śmierci rodziców i nie, zamierzał komplikować sobie życia, narażając się na cierpienie. Nie chciał przywiązywać się do nikogo.

Oparł się o reling; poranna bryza rozwiewała mu włosy. Uśmiechnął się do siebie. Wątpił, by Danielle pamiętała go długo. Będzie zbyt zajęta Wydawaniem pieniędzy wygranych ubiegłej nocy, żeby choćby o nim pomyśleć. Nie wyglądała na kobietę, która przejmie się utratą kochanka. Z pewnością zawsze ma jakiegoś mężczyznę w odwodzie.

Jak długo Collin żyje w ten sposób? Od jak dawna wędruje po świecie bez celu, nigdzie nie zatrzymując się na dłużej, nie zawierając żadnych znajomości, z nikim się nie wiążąc? Nie odwiedzał Sea Cliff od ponad dwu lat. Nawet o tym nie myślał. Nie potrafił zmierzyć się ze wspomnieniami, które tam zostały. Odkąd opuścił Nowy Jork, pragnął uciec od nich jak najdalej. Dotarł do Londynu, zatrzymując się tam tylko na tydzień. Stamtąd pojechał do Szkocji, gdzie przez miesiąc żył w zupełnej samotności. Wreszcie wyruszył do Deauville, Ci potem do Paryża. Collin uwielbiał stolicę Francji. Przez długie godziny spacerował po ulicach, pogrążony w myślach. BUszował po muzeach, ulegając wielkiej miłości do sztuki, zaszczipionej przez matkę. Czasem odczuwał ból, gdyż ilekroć zatrzymywał się przy jej ulubionych obrazach, przed oczyma stawała mu twarz matki, a w uszach dźwięczał jej głos. Odwiedzał Folies Bergere, lewy brzeg Sekwany i artystyczne kawiarnie na Montparnassie. Zabawiał się z Francuzkami, ale każdej nocy z inną. Kiedy wreszcie zdecydował się opuścić Paryż, WYnajął "Barona" i żeglował po Morzu Śródziemnym. Zatrzymał się dopiero w Grecji. Przez jakiś czas pociągało go beztrudne życie wieśniaków na egejskich wysepkach, podobnie jak namiętne Greczynki. Ponownie jednak odezwał się w nim pociąg do włóczęgi. Wyruszył do Rzymu. Wieczne Miasto nie zainteresowało wędrowca, który wkrótce dotarł na Riwierę. Pobył tam trochę ponad miesiąc, zanim znowu ruszył w drogę, wracając do Paryża. Stamtąd powrócił na pokład zakotwiczzonego w Marsylii "Barona" i jeszcze raz wypłynął na wody śródziemnomorskie, zahaczając o Niceę, Sycylię, Kretę, Kair, Tanger i Gibraltar. Jednak Monte Carlo stanowiło pokusę tak nieodpartą, że na początku października zarzucił kotwicę w Monako.

Teraz myśl o domu powracała coraz częściej. Zastanawiał się, czy coś się tam zmieniło od czasu jego wyjazdu. Jak daje sobie radę brat? Czy postępuje zgodnie z zasadami ustanowionymi przez ojca dla Intercontinental Oil? Czy Justin w ogóle wie o wyjeździe bliźniaka? Czy go to coś obchodzi? Prawdopodobnie nie zaglądał do Sea Cliff, odkąd sfinalizował umowę. Nigdy nie dbał o to miejsce, zawsze wolał Manhattan i swój apartament w Trump Tower ...

Boże, jak Collin tęsknił za domem! A nawet za tym zimnym draniem Justinem. Pod wpływem

impulsu podjął decyzję. Zszedł pod pokład, rozglądając się za kapitanem, by powiadomić go o zmianie planów. Nie popłyną na wschód. Zawrócą do Marsylii. Długa podróż zakończyła się. Czas wracać do domu.

Ponaddźwiękowy Concorde wylądował na pasie startowym nowojorskiego lotniska Kennedy'ego. Collin spojrzął na zegarek. Była trzecia nad ranem. Nie denerwował się długim oczekiwaniem na kontrolę celną. Miał tylko jedną torbę i nic do oclenia, mimo że spędził za granicą tyle czasu. Wolał podróżować bez dużego bagażu, więc i tym razem zabrał tylko najpotrzebniejsze rzeczy .. Uśmiechnął się do siebie. Członkowie załogi "Barona" zapewne doskonale bawią się w jego jedwabnych koszulach, paradują w złotych spinkach do mankietów. Do licha, zasłużyli sobie na to, znosząc cierpliwie humory klienta.

Collin wstał i zarzucił na ramię ciężką płócienną torbę, podczas gdy inni pasażerowie coraz gęściej tłoczyli się przy wyjściu. Nie spiesząc się zaczekał, aż wszyscy opuszczą pokład. Jeśli Sea Cliff przetrwało bez gospodarza ponad dwa lata, wytrzyma jeszcze parę godzin. Jako ostatni wysiadł z samolotu i skierował się w stronę terminalu, rozglądając się za najbliższym punktem kontroli dokumentów. Podeszedł do okienka i z uśmiechem podał urzędnikowi amerykański paszport. Mężczyzna przez chwilę studiował go, po czym postawił stempel.

- Witamy w domu, panie Deverell - powiedział, zwracając dokument. - Długo tu pana nie było.  
- Zbyt długo. Dobrze jest wrócić. - Collin schował paszport i odszedł.

Urzędnik przyglądał się przez chwilę, jak młody mężczyzna kieruje się w stronę kontroli celnej. Zastanawiał się, dlaczego ten człowiek jest tak dziwnie ubrany. Dżinsy, drogie skórzane buty i jasnoniebieski sweter. W sierpniu? Pokręcił głową. W ciągu wielu lat, jakie tu przepracował, widywał różnych ludzi, żaden jednak nie przypominał Deverella.

Młody mężczyzna położył torbę na stole przed punktem kontroli i rozejrzał się niecierpliwie. Nie spieszył się, ale nie miał także zamiaru spędzić całego ranka w urzędzie celnym. Wystarczająco często zdarzało mu się to w przeszłości. Gdzie, do diabła, podzieli się wszyscy celnicy? - zastanawiał się. - Czy nagle postanowili zrobić sobie przerwę na kawę? Już chciał przywołać kogoś głośno, gdy umundurowany urzędnik podeszedł do kontuaru.

- Witamy w Nowym Jorku - przywitał grzecznie Collina, otwierając jednocześnie torbę i skrupulatnie badając jej zawartość. Potem spojrzął na niego. - Czy nie jest panu za ciepło? - zapytał podejrzliwie, lustrując jego strój.

Collin wzruszył ramionami.

- W Paryżu było zimno - odparł wymijająco - ale szczerze mówiąc, z ulgą pozbędę się tych ciuchów, jak tylko znajdę się w domu.

Celnik przytaknął, po czym rozejrzał się ze zdziwieniem.

- A gdzie reszta pańskiego bagażu?

- Nie mam przy sobie nic więcej - odrzekł Collin zgodnie z prawdą.

Mężczyzna zerknął do paszportu.

- Przebywał pan poza krajem od stycznia tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego siódmego roku - zauważył głośno. - Czy to naprawdę wszystko, co pan przywozi?

Collin skinął głową.

- Tylko niezbędne rzeczy - odpowiedział niewinnie.

- Innymi słowy, nic do zadeklarowania - skonkludował urzędnik.

- obawiam się, że tak. - Collin uśmiechnął się szeroko i ponownie zarzucił torbę na ramię.

- W porządku. - Celnik oznaczył torbę kredą i skinął ręką na znak, że podróżny jest wolny.

Dziesięć minut później Deverell siedział w taksówce, jadąc do Sea Cliff. Pochylił się i z szelmowskim uśmiechem sięgnął pod sweter, by wyciągnąć stamtąd masywny złoty łańcuch z medalionem. Nabył go na aukcji antyków w Paryżu za cztery tysiące dolarów. Medalion przedstawiał Feniksa, mitycznego 'ptaka z arabskiej legendy, który odradza się z własnych popiołów. Collin z trudem powstrzymał wybuch śmiechu. Od kiedy podróżował po świecie, nigdy

nie omieszkał wywieść w pole celników, przemycając nabyte za granicą precjoza. Nie dlatego, że nie było go stać na zapłacenie cła, po prostu nie mógł się oprzeć pokusie ryzyka. I jak dotąd zawsze mu się udawało.

Do tej pory - myślał Collin, mijając żelazną bramę, strzegącą wstępu do posiadłości Deverellów - nie zdawałem sobie sprawy, jak dobrze jest wrócić do domu. Dopiero w tej chwili poczuł, jak mocno tęsknił. Pochylił się, wypatrując niespokojnie swego pałacu. Z ulgą stwierdził, że wszystko znajduje się na swoim miejscu. Gdzieś w głębi serca odczuwał irracjonalny strach, że podczas jego długiej nieobecności coś mogło się zmienić.

Taksówka zwolniła, zatrzymując się przy wejściu do rezydencji. Collin zapłacił kierowcy, dodając suty napiwek, i wysiadł z samochodu. Idąc po schodach wzdłuż balustrady, przystawał co chwila, by się rozejrzeć. Służba doskonale spisała się podczas jego nieobecności. Pomyślał, że musi dopilnować, by została za to odpowiednio wynagrodzona.

Wszedł do środka i od razu natknął się na jedną z gospodyń.

- Pan Deverell! - zawołała, zaskoczona jego widokiem. - Kiedy pan przyjechał?

- W tej chwili - odrzekł, zdejmując torbę z ramienia.

- Ale nikt nam nie mówił ... - zaczęła zmieszana.

Collin roześmiał się.

- Nikt nie wiedział, że wracam. Zdecydowałem się w ostatniej chwili. Nie było czasu, by kogoś powiadomić.

- Jak udała się podróż? - zapytała, biorąc jego torbę.

- Dobrze się pan bawił w Europie?

- Nie najgorzej - odpowiedział, rozglądając się wokół. - Gdzie Henry?

Henry Harrison, majordomus Deverellów, zarządzał domem, gdy Collin i Justin byli jeszcze małymi dziećmi.

Służąca zastanowiła się.

- Sądzę, że w kuchni, sir - powiedziała niepewnie. Collin skinął głową.

- Proszę zatem odnaleźć go i powiedzieć, że czekam w gabinecie - polecił.

- Dobrze, sir.

Collin przeszedł przez szeroki hol do gabinetu ojca.

Do mojego gabinetu - poprawił się w myślach. Nagle zatrzymał się i rozejrzał dookoła. Czegoś brakowało. Ale czego? Renoir! Czyżby ktoś go przewiesił? - pomyślał. Służba wiedziała doskonale, że nie wolno dotykać dzieł sztuki bez wyraźnego polecenia. Zdawała sobie sprawę, że obrazy matki są bezcenne.

Wkroczył gniewnie do gabinetu i stanął jak wryty.

Obrazy! Brakowało wszystkich sześciu malowideł z okresu renesansu, które zawsze tu wisiły.

Wybiegł z gabinetu i popędził szerokimi schodami na górę, do sypialni. Tak jak przypuszczał, nie było również Moneta. Z obłędem w oczach pognął do pokoju będącego niegdyś sypialnią rodziców. Cezanne także zniknął!

- Henry! - zawołał, podbiegając do schodów. - Henry, gdzie jesteś, do diabła?

- Tutaj, sir - z nienagannym brytyjskim akcentem odezwał się Harrison, pojawiając się w holu. - Czy coś nie w porządku, sir?

- I owszem! - krzyknął wzburzony Collin. - Wszystkie obrazy zniknęły!

Harrison wyglądał na zakłopotanego.

- Naturalnie, sir - powiedział ostrożnie.

- Gdzież one są? - Collin żądał wyjaśnień.

- Nie rozumiem ... - zaczął Harrison, teraz już całkowicie zmieszany.

Deverell zacisnął dłonie na poręczy, aż zbieleła mu skóra.

- Jak śmiesz! To ja nie rozumiem i chcę wiedzieć, gdzie one się podziały, jeśli to możliwe!

Harrison ze zdumieniem pokręcił głową.

- Pan je sprzedał, sir - odrzekł powoli. - Jacyś ludzie przyszli i zabrali obrazy jakieś sześć miesięcy

po pańskim wyjeździe.

Collin patrzył z niedowierzaniem na starszego człowieka. Ktoś ukradł wszystkie obrazy na oczach całej służby!

Jak do tego doszło?

*Nowy Jork, wrzesień 1979*

W swoim biurze na Manhattanie Anton De Vries agent specjalny towarzystwa ubezpieczeniowego, które wystawiło polisę na kolekcję Deverella, studiował z uwagą sprawozdania leżące na biurku. Trzy tygodnie temu wysłano go do Sea Cliff na Long Island w celu zbadania sprawy kradzieży obrazów, wartych kilka milionów dolarów. Kiedy dotarł na miejsce, Collin Deverell oznajmił, że skradziono także biżuterię matki, wartą ponad milion dolarów. Młody człowiek ostatnie dwa i pół roku spędził w Europie. Po powrocie zauważył brak obrazów. Zginęły w biały dzień. Jednakże po rozmowach ze służbą De Vries zaczął się zastanawiać, czy Deverell po prostu nie kłamie. Wszyscy \_ począwszy od majordomusa, który zarządzał tym domem od przeszło dwudziestu lat, poprzez pokojówki, aż po ogrodników - sądzili, że obrazy i kosztowności zostały sprzedane. Henry Harrison powiedział ponadto, że mężczyźni, którzy przyjechali zabrać dzieła, przedstawili mu dowód sprzedaży, podpisany przez Collina Deverella.

- Czy rozpoznał pan jego podpis? - zapytał De Vries.

Niejednokrotnie zdarzały się przypadki nadzwyczaj bezczelnych kradzieży.

- Byłem ... - przyznał zdenerwowany Harrison - przekonany ... Sądziłem, że wszędzie rozpoznałbym podpis młodego pana, ale ... - Pan Deverell był bardzo przygnębiony po śmierci rodziców - przypomniawszy jedną ze służących. - To dlatego wyjechał, sam pan rozumie. Myślę, że trudno mu było żyć wśród wspomnień.

Przygnębiony. Tak bardzo, że nie wracał przez dwa i pół roku. De Vries wstał, podszedł do okna i zapatrzył się na ruchliwą Madison Avenue, biegnącą piętnaście pięter poniżej. Służąca uważała, że Collin uciekał od wspomnień. Czyżby wspomnienia związane z malowidłami i biżuterią były również nie do zniesienia? Czy mógł sprzedać pamiątki pod wpływem impulsu, a potem pragnął je odzyskać? Nie ... tylko głupiec odważyłby się na coś podobnego, a Collin Deverell z pewnością nim nie był. Nic nie trzyma się kupy. Collin nie potrzebował pieniędzy. Sprzedane w 1976 roku udziały Intercontinental OH uczyniły z niego multimilionera. Z drugiej jednak strony żyłka tego mężczyzny do hazardu stała się już legendarna. Być może wpakował się w jakieś kłopoty, które postawiły go przed koniecznością sprzedaży obrazów?

Nie, takie rozumowanie nie miało sensu. De Vries przesłuchał wszystkich domowników i uznał, że nikt ze służby nie był w to zamieszany. Lecz sam Collin Deverell stanowił odrębny problem. Coś tu się nie zgadzało. De Vries sprawdził jego zeznania. W trakcie podróży Deverell faktycznie odwiedził wszystkie miejsca, o których mówił. Wydał mnóstwo pieniędzy. Większość tych sum stracił w kasynach. Mimo to był nadal niezwykle bogatym człowiekiem.

Tak więc nie potrzebował pieniędzy. Nie chciał rezygnować z obrazów i biżuterii. Należały do jego matki i nigdy nie pozbyłby się ich dobrowolnie. A jednak wszystko wskazywało na to, że je sprzedał. Anton De Vries postanowił choćby dla własnej satysfakcji dowiedzieć się, co zaszło w posiadłości podczas nieobecności młodego Deverella. Musiał zdobyć dowód na to, że obrazy i kosztowności zostały rzeczywiście sprzedane przez właściciela.

Do pokoju weszła sekretarka.

- Panie De Vries, Collin Deverell chce się z panem widzieć - oznajmiła.

Agent zawahał się, po czym skinął głową.

- Niech wejdzie - powiedział cicho.

Chwilę później w drzwiach pojawił się wysoki, opalony i niesamowicie przystojny mężczyzna. Miał na sobie jasnoszare luźne spodnie i białą jedwabną koszulę, a na szyi nosił drogocenny medalion. Granatową sportową marynarkę przewiesił przez ramię. Wszedł bez uśmiechu, nie czekając na zaproszenie.

- Przyszedłem dowiedzieć się czegoś w sprawie moich obrazów - oświadczył i usiadł bez zbędnych

uprzejmości.

De Vries przyglądał mu się przez chwilę. Sam był czterdziestopięcioletnim otyłym mężczyzną średniego wzrostu z postępującą łysiną. Nie zwracał sobie głowy wyglądem, dopóki nie spotykał kogoś, kto prezentował się tak jak Collin Deverell. Wtedy agent czuł się nie najlepiej.

- Wciąż badam tę sprawę - odpowiedział ostrożnie. Collin nie ukrywał niezadowolenia.

- Chyba zdaje pan sobie sprawę, że im dłużej to trwa, tym mniejsze mamy szanse na odzyskanie mojej własności? - rzekł ostro.

De Vries pokiwał głową.

- Pośpiech nic nie da - zauważył. - Obrazy zniknęły dwa lata temu. Nie ma szans dowiedzieć się, dokąd je wywieziono. Przypuszczalnie do Szwajcarii.

- Dlaczego akurat tam? - zapytał Deverell.

- W Szwajcarii nabywca ma zapewnioną opiekę prawną - wyjaśnił agent

- Co to znaczy?

- To oznacza - odparł powoli De Vries - że jeżeli ktoś kupił dzieło sztuki w dobrej wierze, rząd szwajcarski zezwala mu na zatrzymanie go, nawet jeśli pochodzi ono z kradzieży. Prawdę mówiąc, ustawa ta jest wykorzystywana bardzo często. - Usiadł za biurkiem. - Obraz zostaje ubezpieczony na znaczną sumę. Następnie właściciel aranżuje kradzież i otrzymuje równowartość polisy. Dzieło zostaje sprzedane na prywatnym przyjęciu bardzo często w Szwajcarii - i pierwszy właściciel zyskuje podwójnie.

Collin przez dłuższą chwilę wpatrywał się w agenta. - Pan uważa, że ukradłem własne obrazy - odezwał się wreszcie bezbarwnym głosem.

- Jeszcze za wcześnie na wyciąganie jakichkolwiek wniosków - zapewnił De Vries. - Wolę zaczekać do zakończenia śledztwa.

- A tymczasem moje obrazy mogą być wszędzie rzekł Collin.

- Robimy wszystko, co możliwe - odparł De Vries.

- Widzę właśnie. - Collin wstał i popatrzył na siedzącego mężczyznę pociemniałymi z gniewu oczyma. Dziękuję, choć nie bardzo mam za co! - Odwrócił się na pięcie i jak burza opuścił biuro. De Vries po raz setny zaczął się zastanawiać, czy Deverell jest winny.

Collin wracał do Sea Cliff. Nie był w stanie opanować wściekłości. Przekroczył dozwoloną prędkość o ponad dwadzieścia mil na godzinę, myśląc wciąż o spotkaniu z agentem ubezpieczeniowym. Deverell nie chciał uwierzyć, że ten człowiek naprawdę bierze pod uwagę tę niedorzeczną możliwość. Zainscenizować kradzież własnego majątku tylko po to, by uzyskać groszowe odszkodowanie! Do diabła, przecież nie potrzebuję pieniędzy, a te obrazy są dla mnie wszystkim. Czy ten facet naprawdę sądzi, że jestem na tyle głupi, by próbować takiej sztuczki, gdy wszędzie kręci się pełno służby? Pozwoliłbym własnej służbie wierzyć, że sam zaaranżowałem sprzedaż? Tylko idiota mógłby wpaść na podobny pomysł!

Dźwięk syreny policyjnej przerwał te rozmyślenia.

Collin zerknął w lusterko i ujrzał jadący za nim wóz patrolowy nowojorskiej drogówki. Zwolnił i zatrzymał Ferrari na poboczu autostrady. Policjant zaparkował tuż za nim i wysiadł z samochodu.

- Zdaje pan sobie sprawę, że przekroczył pan dozwoloną prędkość o dwadzieścia dwie mile? - zapytał.

- Przyznaję. - Collin skinął głową.

- Poproszę pańskie prawo jazdy.

Wyjął z portfela nowojorskie prawo jazdy i wręczył policjantowi. Funkcjonariusz przeglądał je przez chwilę, po czym spojrzał na Deverella, który uśmiechnął się promiennie.

- Fotografie w prawach jazdy zawsze robią wrażenie, nie sądzi pan? - powiedział, usiłując rozładować atmosferę.

Policjant pokiwał głową.

- To nie jest pańskie pierwsze przekroczenie prędkości, panie Deverell? - zapytał, ponownie zaglądając w dokument.

- Ma pan rację - przyznał Collin - ale stało się to pierwszy raz od kilku lat. Nie było mnie w kraju

...

- Mimo wszystko muszę wypisać panu mandat \_ oświadczył funkcj onariusz.

- Znam przepisy. - Collin schował prawo jazdy do portfela.

Piętnaście minut później jechał dalej autostradą do domu. Wrócił do rozważań nad kradzieżą. To była robota amatorska. Profesjonalista upewniłby się, czy wszystko zostało wykonane prawidłowo, powiązałyby elementy intrygi. Czy ten pieprzony detektyw nie potrafi tego dostrzec?

De Vries wziął jednak pod uwagę okoliczności. Po niespodziewanej wizycie podejrzanego przyszło mu do głowy coś jeszcze. Zdecydowanie czegoś tu brakuje \_ myślał, bezustannie przerzucając raporty i sprawozdania. Wszystko wskazywało na to, że młody Deverell stracił fortunę i usiłował dostać pieniądze z ubezpieczenia. A jednak w rozmowie z De Vriesem ani razu nie wspominał o polisie albo o odszkodowaniu. Mówił wyłącznie o chęci odzyskania swej własności. Ale to może być tylko wybieg. Niejednokrotnie właściciel rozpaczliwie pragnie odzyskać utracone dzieła, po czym okazuje się, że sam zorganizował kradzież. Collin Deverell jednakże był wręcz opętany myślą o odzyskaniu obrazów, jakby miały one dla niego jakieś symboliczne znaczenie. Jeżeli więc nie mówił prawdy, jest niesamowicie zdolnym aktorem. De Vries był zaintrygowany historią rodziny De'lerellów, tym, jak Quentin Deverell zbił fortunę na ropie w wieku dwudziestu trzech lat, jak zmienił Intercontinental Oil w jeden z gigantów przemysłu naftowego. Collina Deverella i jego brata Justina, jednojajowych bliźniaków, nikt nie potrafił odróżnić. Agent zdziwił się odkryciem, że bracia nie utrzymują kontaktów, nie są sobie bliscy jak rodzeństwo, a szczególnie bliźniacy. W żadnej z rozmów Collin nie wspomniął o Justinie. Mimo to De Vries wiedział, że poszkodowany otrzymał wszystkie obrazy i biżuterię matki na podstawie umowy zawartej z bliźniakiem, która przyznawała Collinowi posiadłość rodzinną na Long Island, a bratu pełną kontrolę nad przedsiębiorstwem. Tego wszystkiego agent dowiedział się podczas śledztwa. Dlaczego Collin Deverell zrezygnował dobrowolnie z miliardowych udziałów w firmie, która mogłaby uczynić go oszalełymi bogatym w ciągu najbliższych lat? Obrazy i kosztowności były co prawda warte wiele, ale przecież nawet nie połowę tego co akcje Intercontinental Oil. De Vries odkrył również, że Quentin Deverell. chciał widzieć spadkobiercą prezesury właśnie Collina. Mimo to odszedł on z firmy bez żalu. Dlaczego? Agent nieustannie zadawał sobie to pytanie. Sięgnął po słuchawkę telefonu stojącego na rogu doskonale uporządkowanego biurka i wykręcił numer.

- Tak, tu De Vries - przedstawił się. - Potrzebuję kilku informacji...

Collin był sam w bibliotece. Stał przed kominkiem i patrzył na portret matki, eleganckiej i pięknej w sukni od Diora. Tak dostojnej! Miała dwadzieścia osiem lat, gdy ukończono ten portret, i wyglądała jak młoda królowa zasiadająca na tronie. W pamięci syna pozostała nadal ciepła i oddana matka, która zawsze przedkładała dobro dzieci nad wszystko inne. Zdziwiająca, jak łatwo godził w myślach obraz wielkiej damy, ubranej przez najlepszych projektantów i noszącej bezcenną biżuterię, z wizerunkiem kobiety w luźnych spodniach i rozciągniętych swetrach, która beztrudno bawiła się z bliźniakami w ogrodzie. Pamiętał matkę roześmianą, rozbawioną rysunkami, które smarowali dla niej świecowymi kredkami. Jak lwica chroniąca swoje młode osłaniała dzieci przed atakami prasy, usiłującej naruszyć ich prywatność. Collin kochał tę kobietę najbardziej na świecie. Ojciec, Quentin Deverell, to zupełnie inna historia. Miał posłuch w rodzinie. Był surowy i nieubłagany, lecz Collin nigdy nie wątpił w jego miłość do dzieci. W najdroższych wspomnieniach ojciec jawił się jako wielki człowiek, który dźwiga syna z ziemi, sadza na swych potężnych ramionach i nosi po przestronnych korytarzach posiadłości. Ojciec nauczył Collina jeździć konno i trzymać broń, przyrzekł mu cudowną przyszłość. Tej obietnicy nie mógł dotrzymać, - pomyślał Collin ze smutkiem.

Zdjął ze ściany pamiątkową szablę. Wążąc ją w dłoniach, wspomniął dzień, w którym Jean Michel ofiarował mu ją, przepowiadając złoto na nadchodzącej olimpiadzie. Tego samego dnia ojciec



przyjechał do Nicei i zabrał syna do domu, żeby kończył studia. Wtedy dopiero Collin uświadomił sobie, że ojciec nigdy nie dopuści, by spadkobierca firmy poświęcił przyszłość szermierce. Jego marzenia rozwiały się. Przebaczył ojcu, ale nigdy nie przestał zastanawiać się, jak rozwinęłyby się kariera sportowa, gdyby mu nikt w niej nie przeszkodził.

Spojrzał na miejsce, gdzie zwykle wisiał ulubiony obraz ojca pędzla Piera Della Franceski. Gdyby można było dorwać tego, kto zabrał płótna, Collin z pewnością zadusiłby go gołymi rękami. Wściekłość przepęliła go do tego stopnia, że nie panował nad sobą. O mały włos nie stracił samokontroli podczas spotkania z detektywem od ubezpieczeń, I choć był rozgniewany, wiedział, że nie może więcej dopuścić do podobnej sytuacji. Musi być ostrożny w kontaktach z De Vriesem. Potrzebuje tego faceta, chce go mieć po swojej stronie. Nie zrażaj go sobie, bo będzie jeszcze bardziej podejrzliwy. Chcąc nie chcąc Collin musiał przyznać, że nie obejdzie się bez pomocy De Vriesa.

Minęły trzy miesiące. Anton De. Vries prowadził szczegółowe śledztwo dotyczące rzekomej kradzieży w posiadłości Deverellów i chociaż nie wierzył, by Collin był zamieszany w tę aferę, dowody przeciwko niemu były nie do odparcia. Doskonały instykt agenta mówił mu, że Collin nie miał nic wspólnego ze sprzedażą obrazów i biżuterii, lecz wszystko wskazywało na to, iż ktoś próbował oszukać towarzystwo ubezpieczeniowe. Pracodawcy detektywa nie mogli uwierzyć w teorię, że Deverell został wrobiony w tę sprawę. Potrzebowali konkretnego dowodu. Mogli jedynie zaakceptować informacje udokumentowane dowodami sprzedaży, podpisanymi przez właściciela obrazów. Autentyczność podpisów potwierdzili eksperci.

De Vries myślał długo i intensywnie, zanim zdecydował się porozmawiać z Collinem Deverellem. Zawsze uważał, że dostrzega więcej niż inni i odnajdzie nawet najmniejszy dowód niezbędny do rozwiązania sprawy. Tym razem jednak wciąż czegoś brakowało. Czegoś, co pomogłoby odkryć prawdę.

Cofnął się w myślach do momentu, w którym rozpoczął śledztwo. Oczywiście, najpierw rozmawiał z Collinem Deverellem. Był święcie przekonany, że wyciągnął z niego wszystko. Przesłuchał bardzo dokładnie całą służbę i wobec nikogo nie powziął ani cienia podejrzeń. Chociaż każdy zeznawał Gsobno, ich wersje pokrywały się. Ci ludzie mówili prawdę. Zbadał uważnie wszystko, co dotyczy Collina Deverella. W głowie agenta powstał wizerunek mężczyzny nadzwyczaj inteligentnego, odważnego i prawego. Człowiek ów miał wprawdzie pociąg do hazardu, ale z całą pewnością nie był złodziejem. Nigdy nie dopuściłby się oszustwa.

Detektyw chciał też porozmawiać z Justinem, ale kiedy zadzwonił do niego po raz pierwszy, dowiedział się od sekretarki, że pan Deverell WYjechał do Singapuru w interesach i nie wróci wcześniej niż za trzy tygodnie. Następnym razem Justin Deverell przebywał ponoć w Houston. Podczas trzeciej próby skontaktowania się z nim okazało się, że właśnie WYjechał na wakacje na Wyspy Dziewicze. De Vries doszedł do wniosku, że ten człowiek go unika. Dlaczego? Sprawdził go i uznał, że jest zupełnie czysty. Szef całkowicie oddany finnie. Kiedy pojawiał się w towarzystwie, nikt nic o nim nie wiedział. Dzielił czas między biuro a apartament w Trump Tower. Rzadko widywano go publicznie. Raz w roku brał urlop, lecz podróżował sam i samotnie spędzał wolny czas. To zadziwiające - pomyślał De Vries. Collin i Justin Deverellowie byli samotnikami, ale każdy na swój sposób. Dwóch mężczyzn wyglądających identycznie posiadało całkiem odmienne osobowości. Żaden z nich nie przebywał w Nowym Jorku podczas kradzieży. Agent sprawdził próbki pisma Justina Deverella. Podpisy bliźniaków były tak podobne jak twarze. To niesamowite. De Vries postanowił porozumieć się w tej sprawie z pracodawcą.

- Jestem o tym przekonany, Frank - powiedział. Nie wierzę, by Collin Deverell miał cokolwiek wspólnego z kradzieżą. Dalby się zabić za te obrazy. Wartości, jaką dla niego mają, nie da się przeliczyć na pieniądze.

- Sugerujesz, że mógł to zrobić ten drugi bliźniak? - zapytał przełożony.

De Vries pokręcił głową.

- Nie wiem. Justina Deverella nie było wtedy w kraju. r po jaką cholere prezes rady nadzorczej Intercontinental Oil miałby okradać brata z obrazów i biżuterii, które wcześniej sam mu oddał w

zamian za pełną kontrolę nad firmą? To nie ma sensu.

- Nic, co dotyczy tych bliźniaków, nie trzyma się kupypowiedział powoli Frank Howard, przeglądając raport De Vriesa - Z jednej strony mamy Collina Deverella, jedyne go zbuntowanego w rodzinie, błyskotliwego studenta, nie zainteresowanego udziałem w biznesie. Od wczesnej młodości miał zatargi z prawem - mandaty za nadmierną szybkość, nielegalny hazard, sam zresztą wiesz najlepiej. Z drugiej strony Justin Deverell~ również bystry, lecz jednocześnie najbardziej niedostępny człowiek, jakiego można sobie wyobrazić. Kilku przyjaciół, żadnych romansów. Niemal obsesyjnie poświęca się sprawom firmy. Czy nie wydaje ci się to trochę dziwne?

- Cała ta sprawa jest dziwna - wymamrotał agent, przecierając zmęczone oczy.

- Grafolodzy wyraźnie zdecydowali, kto zawinił, a ty nadal wierzysz w jego wersję - skonkludował Howard.

De Vries przytaknął.

- On jest bardzo przekonujący. Nie sądzę, żeby ktoś mógł grać tak doskonale - oświadczył - niezależnie od tego, co twierdzą grafolodzy.

- Więc co powiemy naszemu klientowi?

- Oświadczymy, że nie mamy dowodów - odrzekł De Vries bez wahania. - Służba uważa, że Deverell sprzedał obrazy, ale my nie mamy dowodów. Chciałbym nakłonić firmę ubezpieczeniową, by wypłaciła tę polisę, choć nie sądzę, żeby usatysfakcjonowało to Deverella.

- Jeszcze jedno, Anton. Rozmawiałeś już z nim? zapytał Howard. - To znaczy, czy on wie o ekspertyzie próbek pisma?

De Vries pokręcił głową.

- Jeszcze nie. Ale się dowie. Wkrótce.

- Jeżeli eksperci są tacy pewni, dlaczego pan mi wierzy? - Collin oparł się o regał w bibliotece i patrzył na De Vriesa.

- A nie powinienem? - zapytał detektyw.

- Nie - odparł Collin ostrożnie. - To prawda. Nie sprzedałbym tych obrazów za żadną cenę. Ale przecież pan nie wie dlaczego. Z jakiego powodu ktoś miałby mi wierzyć, kiedy wszystkie dowody świadczą przeciwko mnie? Wątpię, czy pański klient będzie zadowolony.

De Vries zignorował tę uwagę. Nie był pewien, czy w takiej sytuacji sam nie zachowywałby się podobnie. Wręczył Collinowi fotokopię opinii grafologa.

- Nadstawiam własny tyłek - powiedział. - Towarzystwo ubezpieczeniowe mogłoby wnieść sprawę o oszustwo. I prawdopodobnie wygrałoby ją.

Collin obejrzał z uwagą dokument, po czym podniósł wzrok.

- Więc dlaczego nie da pan tego klientowi? Co pan z tego ma? - zapytał podejrzliwie.

De Vries był już nieco znieczepiwiony zachowaniem Collina, ale jednocześnie umocnił się w przekonaniu, że młody mężczyzna nie kłamie.

- Nie lubię popełniać błędów - odrzekł wolno. - Nie mam najmniejszego powodu wysyłać niewinnych ludzi do więzienia. Ktoś pana zrobił. Nie wierzę w pańską teorię, że to robota amatorów.

- Doprawdy? - Collin spojrzał na niego zimno. A jaka wobec tego, jeśli wolno zapytać, jest pańska teoria?

- Ktokolwiek za tym stoi, wie dokładnie, co robi. Chętnie zobaczyłby pana w więzieniu. Nie ma pan pojęcia, kto mógłby to być?

Collin jeszcze raz spojrzał na próbki pisma. Miał pewne podejrzenia, to prawda, ale nie zamierzał dzielić się nimi z De Vriesem czy kimkolwiek innym.

Tym musiał zająć się sam.

Nie chciał wierzyć, że brat jest w to zamieszany. Informacja Harrisona o podpisanym rachunku wzbudziła początkowo pewne podejrzenia, ale Collin natychmiast wymazał je z pamięci. Justin nie był przecież złodziejem. Pomimo przekonujących argumentów agenta Collin wciąż miał

nadzieję, że to pomyłka. Nie poszedł do brata natychmiast. Zaczął od zbadania jego przeszłości od czasu objęcia prezesury Intercontinental Gil. Kiedy Collin opuścił Nowy Jork prawie trzy lata temu, na Wall Street zaczęły krążyć pogłoski, że firma ma kłopoty. Śmierć Quentina Deverella zachwiała fundamentami koncernu. Collin postanowił przyjrzeć się temu z bliska. Jego odkrycia były szokujące. Tuż przed śmiercią ojciec zaciągnął kilka olbrzymich pożyczek na rozszerzenie swych dzierżaw w Wenezueli i na Morzu Południowochińskim. Opóźnienia operacji wiertniczych w Caracas postawiły go w trudnej sytuacji finansowej. To było powodem wyprawy rodziców do Ameryki Południowej. I dlatego zginęli! Ojciec zmuszał załogę do pracy ponad wszelkie normy, najwidoczniej kosztem bezpieczeństwa. Kiedy Justin przejął firmę, okazało się, że stoi nad konającym kolosem. To, co uczynił, by go ratować - pomyślał Collin z oburzeniem - jest niewybaczalne. Postanowił zagrać z bratem w otwarte karty. Potem uda się do De Vriesa.

- Czy naprawdę sądziłeś, że ujdzie ci to płazem? - zapytał Collin, rzucając bratu pod nos wyniki analizy pisma. Spotkali się w mieszkaniu Justina. Gospodarz siedział na czarnej pluszowej sofie, spokojnie pociągając brandy, podczas gdy Collin miotał się po całym pokoju, przypominając rakieta naprowadzaną na cel.

Justin beznamiętnie rzucił okiem na dokument, po czym spojrział na brata.

- Nie mam najmniejszego pojęcia, o czym mówisz odrzekł chłodno.

- Nie masz, co? - syknął Collin. - Któż inny mógłby tak idealnie podrobić mój podpis, żeby nawet z eksperta zrobić idiotę? Kto dostał się do domu bez wzbudzania podejrzeń służby? Kto mógł mieć motyw ...

- Motyw? - Justin roześmiał się głośno. - Po co, u licha, miałbym ...

- Przestań! - warknął Collin. - Wiem wszystko o kłopotach, przed jakimi stanęła firma, jak ogromne długi miał ojciec w chwili śmierci. I nareszcie dowiedziałem się, dlaczego rodzice pojechali do Wenezueli i zginęli.

Justin zmarszczył czoło i zapatrzył się w pustą szklanę. - W takim razie rozumiesz także, czemu byłem zmuszony to zrobić - odezwał się wreszcie.

- Nie, do cholery, nie rozumiem! - krzyknął Collin. Nie znajdziesz żadnego usprawiedliwienia dla twojego łajdactwa! Te obrazy i biżuteria matki należały do mnie! Taka była umowa! Nie miałeś prawa tak po prostu ich wziąć!

- Musiałem chwycić się wszystkiego, żeby ratować firmę - oświadczył stanowczo Justin. - Oczywiście, nie było tego dużo, ale wystarczyło na początek. Rodzice też by sobie tego życzyli. Wiesz o tym.

- Tylko że ciebie wcale nie obchodzi, czego oni by chcieli - odparł Collin lodowato. - Dbasz wyłącznie o własny tyłek. Rzygać się chce od tego! Zasmakowałeś władzy i zrobiłbyś wszystko, żeby ją utrzymać. Ale zapamiętaj sobie, braciszku, nie ujdzie ci to bezkarnie.

Justin podniósł głowę.

- Co masz zamiar zrobić? - zapytał z wahaniem. Collin przyglądał mu się przez moment.

- Nie mam pojęcia - przyznał szczerze. Potem odwrócił się i wyszedł, trzaskając gniewnie drzwiami.

Wsiadł do pustej windy i oparł się o ścianę, dygocząc z wściekłości. Chciałby oddać Justina w ręce DeVriesa i towarzystwa ubezpieczeniowego. I policji. Wiedział jednak, że nie jest do tego zdolny. Cokolwiek się wydarzyło, nadal pozostali braćmi. Ukaranie Justina sprawiłoby być może trochę satysfakcji, ale takim zwycięstwem nie cieszyłby się długo. Rodzice nie chcieliby tego. Poza tym Collin miał ważniejsze sprawy na głowie.

Zamierzał odzyskać swoją własność.

*Big Sur, listopad 1979*

Nie wierć się! - skarciła go Ashley, zerkając znad szklonki. Brandon siedział na drewnianym ogrodzeniu w Julia Pfeiffer Bums State Park. Za jego plecami roztaczał się przepiękny widok na

Pacyfik. - Jeżeli dalej będziesz tak się kręcił, nigdy tego nie skończę!

\_ Nic na to nie poradzę! Złapał mnie kurcz w łydce i za chwilę wpadnę do tego bajora w dole - postękiwał błagalnie. - Chcesz się mnie pozbyć?

\_ Nie bądź śmieszny! - Uśmiechnęła się na myśl, jak daleki był od prawdy, po czym westchnęła głęboko. No dobra, znaj moje litościwe serce. Dziesięć minut przerwy.

\_ Dzięki, dobra pani -.zadrwił, zeskakując z ogrodzenia. - A może by tak godzinę, he? Wiesz, nigdy jeszcze tu nie byłem. Chciałbym trochę pozwiedzać.

\_ Później. Obiecałeś mi pożować, nie pamiętasz?

Ashley odłożyła przybory malarskie i wstała.

\_ Wiem, wiem, ale sądziłem, że namalujesz portret w ten sam sposób, w jaki tworzysz pejzaże - korzystając z fotografii i- slajdów, w pracowni. Nie myślałem, że przyjdzie mi stać się żywym pomnikiem - gderał.

\_ Fotografia nie wystarcza do zrobienia dobrego portretu - powiedziała malarka, wycierając dłonie w mały ręcznik. - Chcę cię takim, jaki jesteś.

Uśmiechnął się szeroko, przygarniając ją do siebie.

- Dlaczego wcześniej mi nie powiedziałaś? - zapytał rozbawiony. - Będę szczęśliwy, mogąc wyświadczyć ci tę przysługę. Szczerze mówiąc, myślałem, że już nigdy o to nie poprosisz. - Pocałował ją poządlawie.

Ashley z uśmiechem próbowała wysunąć się z jego ramion.

- Nie o tym mówiłam, panie Hollister. Źle mnie pan zrozumiał.

- Powiedziałaś, że chcesz mnie takim, jaki jestem. Cóż, bardziej nie potrafię być sobą - stwierdził, nie wypuszczając jej z objęć. - Chyba że ...

Ich spojrzenia spotkały się.

- Obiecałeś - przypomniała mu.

Patrzył na nią przez chwilę, po czym zwolnił uścisk.

- Zawsze będę tego żałował - powiedział ochryplym głosem. - Pragnę cię, Ashley ... Bóg jeden wie, jak bardzo!

- Uzgodniliśmy, że damy sobie trochę czasu - rzekła ostrożnie. Pragnęła Brandona równie mocno jak on jej. Celowo jednak trzymała go na dystans przez cały czas, ponieważ jeszcze tej nocy, kiedy spotkali się po raz pierwszy, wyczuła, że różni się on od wszystkich mężczyzn, jakich знаła. Był wyjątkowy. Od niego oczekiwała więcej niż krótkotrwałego romansu. Widziała siebie u jego boku, a jakiś głęboko ukryty instykt mówił jej od samego początku, że udając niedostępną, podsyci"pragnienia Brandona. Chcę cię całego - pomyślała, spoglądając na niego. - Wszystko albo nic. Stawali się sobie coraz bardziej bliscy. Czuła, że już niedługo odda mu się tak, jak tego pragnęła.

- Co będziemy robić' po południu?

- Chciałabym odwiedzić kilka sklepów w mieście \_ odparła w końcu - galerię, Big Sur Bazaar ... a po powrocie do Ventana Inn moglibyśmy wstąpić do tutejszego sklepiku z pamiątkami.

Przytaknął, wyciągając z futerału aparat fotograficzny.

- Nadeszła pora na zmianę ról - wtrącił szybko. - Pozowałem przez prawie dwie godziny - powiedział, wskazując ogrodzenie. - Teraz zrewanżujesz mi się za to.

Ashley roześmiała się.

- Zgoda - przytaknęła. - Co mam zrobić? Brandon uśmiechnął się szelmowsko.

- Naprawdę chcesz wiedzieć?

- Nie wygłupiaj się! - krzyknęła, rzucając weń ręcznikiem .

- Nigdy w życiu nie byłem bardziej poważny - odrzekł, regulując obiektyw, podczas gdy ona wdrapała się na ogrodzenie i przyjęła wymyślną pozę. Jej długie włosy falowały pod wpływem łagodnej bryzy niczym wielki, ciemny sztandar.

- No i jak? - zapytała.

- Idealnie. - Uniósł aparat i wyregulował obiektyw. - Pięknie, naprawdę pięknie - zapewnił. -

Dziękuję. - Uśmiechnęła się.

- Miałem na myśli krajobraz - rzekł niby obojętnym tonem.

- Panie Hollister, nie potrafi pan znaleźć właściwej drogi do serca kobiety! - zawołała z udawanym

gniewem.

- Nie ruszaj się! - nakazał. - Czekaj ... czy mogłabyś unieść spódniczkę odrobinę wyżej?

- Zdecyduj się w końcu - powiedziała groźnie. - Mam siedzieć cicho czy zadzierać kieckę?

- Podciągnij ją ... troszeczkę. Pokaż kolano. O tak, dobrze. - Brandon manipulował aparatem, gdy Ashley posłusznie uniosła spódniczkę powyżej kolan.

- Może jeszcze trochę wyżej - rzekł powoli, zerkając przez okienko aparatu.

Podciągnęła ją do połowy ud.

- Jeszcze tylko kawałeczek ...

Podparła się pod boki i spiorunowała Brandona wzrokiem.

- Jeżeli podciągnę tę cholerną spódnicę "jeszcze tylko kawałeczek", nikt nie zgodzi się wywołać tego filmu - zażartowała.

Popatrzył na nią znad aparatu i uśmiechnął się promiennie.

- Mam własną ciemnię - odparł.

- O! - Otworzyła usta ze zdumienia. - Więc to tak! W ten sposób robisz sobie własne świerszyczki, co? By zaspokoić osobiste potrzeby duchowe, prawda?

- Nigdy w życiu nie robiłem zdjęć pornograficznych! - zapewnił oburzony. - Oczywiście, w końcu zawsze nadchodzi ten pierwszy raz ... jeżeli więc masz ochotę zostać moją modelką ...

- Jesteś okropny! - Ashley roześmiała się.

- O, tak! - zawołał. - Dokładnie o to mi chodzi!

Pstryknął parę ujęć, wykorzystując moment, gdy śmiała się do rozpuku, odrzuciwszy włosy z twarzy. Policzki miała zarumienione, a wiatr odsłonił jej nogi, podwiewając spódnicę.

- Wiesz co ... - powiedziała, stając na szczycie ogrodzenia; zachwiała się niebezpiecznie, ale udało jej się utrzymać równowagę. - Jako dziecko często chodziłam po płotach, które otaczały winnice.

Byłam w tym całkiem niezła. Potrafiłam nawet utrzymać się dłużej niż niektórzy chłopcy. -

Rozłożyła szeroko ramiona i zaczęła stawiać ostrożnie jedną stopę za drugą.

Brandon opuścił aparat.

- Uważaj, Ashley - ostrzegł niepewnym głosem. \_ Możesz spaść ...

- Nonsens! - wykrzyknęła, pewna siebie. - Mówiłam ci, że mam w tym wprawę ... - Nagle jedna stopa obsunęła się. Ashley pochyliła się gwałtownie, usiłując odzyskać równowagę. Brandon rzucił się na ratunek, łapiąc dziewczynę w powietrzu, nim upadła na kamienny chodnik. Przez chwilę tulił ją, gładząc po włosach. Spojrzała na niego ciemnymi, błyszczącymi oczyma. Patrzył w nie długo, po czym ucałował ją mocno.

- Tak się bałem - szeptał, całując jej włosy.

- A co ja mam powiedzieć? - odparła, z trudem łapiąc oddech.

Spojrzał jej w oczy.

- Nie mam pojęcia, co bym zrobił, gdyby przytrafiło ci się coś złego - rzekł miękko i jeszcze raz pocałował. - Nie dopuściłbyś do tego - powiedziała cicho. Usta Brandona wędrowały po szyi dziewczyny.

- Kocham się, Ashley. Od samego początku.

- Mówisz tak, bo oboje się cholernie przestraszyliśmy. - Przytuliła się do niego czule.

- Nie ... nie dlatego - szepnął, delikatnie chwytając płatek jej ucha wargami. - Naprawdę cię kocham.

- Ja też cię kocham - przyznała nieśmiało.

- Wracajmy do hotelu - zamruczał jej prosto w kark.

- To nie fair!

- Co?

- Ty. Przecież nie wykorzystasz mnie w chwili mojej słabości, prawda?

- Lepiej przygotuj się na to, piękna pani - mruknął. Uśmiechnęła się do niego figlarnie.

- Sądzę, że jestem ci winna podziękowanie za ocalenie życia ...

Ventana Inn przy Pacific Coast Highway jest luksusowym motelem, zbudowanym na obszarze tysiąca akrów graniczących z oceanem. Roztacza się stąd wspaniały widok na Ocean Spokojny.

Otwarty cztery lata temu ośrodek zaspokoił w pełni zapotrzebowanie na miejsca noclegowe w dzikiej, magicznej okolicy Big Sur. W drewnianych domkach, których spadziste dachy idealnie harmonizują z krajobrazem, może przebywać czterdziestu gości. Wnętrza są utrzymane w żółtej lub niebieskiej tonacji, wykładziny doskonale współgrają kolorystycznie z lekkimi kołdrami, leżącymi na wygodnych łóżkach. Ściany pokryto cedrową boazerią, zdobioną białym stiukiem. Każdy domek ma balkon lub taras wychodzący na ocean, garderobę i luksusową łazienkę. Do pozostałych wygód można zaliczyć głęboki na dziewięćdziesiąt stóp ogrzewany basen i trzy gorące łaźnie japońskie, wyposażone w wiele pryszniców. Goście mogą kąpać się nago; jedną salę przeznaczono wyłącznie dla mężczyzn, drugą dla pań, a trzecią dla wszystkich, którzy nie mają obyczajowych zahamowań. Zajazd szczyli się znakomitą kuchnią. Restauracja jest doskonale klimatyzowana. Surowe wnętrza sali wyłożono cedrem. Sklepienie podparto solidnymi belkami, w rogu zaś stoi olbrzymi kamienny kominek. Stoły zostały wykonane z sekwoi, krzesła wplecione z trzciny i giętego drewna. Pod sufitem wiszą kuliste lampy, osłonięte abażurami z trzcinopalmy. Wszędzie stoją misy pełne świeżych owoców, a także kosze z paprociami i innymi roślinami.

Leżąc w ramionach Brandona, po cudownie spędzonym popołudniu w olbrzymim, wygodnym łóżku, Ashley uświadomiła sobie nagle, że właśnie zachodzi słońce. Nie jedli obiadu i jeżeli natychmiast nie obudzi kochanka, stracą też kolację. Spał spokojnie. Patrząc na jego gęste, rozwichrzone włosy koloru miodu, po raz setny tego popołudnia zastanawiała się, dlaczego czekała tak długo. Wierzyła, że postępuje słusznie, odwołując to, co nieuniknione, lecz w tej chwili wstrzeźliwość wydała się jej nieistotna i niepotrzebna. Teraz nie wątpiła w miłość Brandona. Nie dlatego, że to powiedział. Odczuła ją. Zdała sobie z tego sprawę, kiedy wziął ją w ramiona. Usta spotkały się, a ciała stopiły w jedno. Ten czar trwał od dawna, tylko że ona nie zdawała sobie z tego sprawy. Magia zaczęła działać od momentu, gdy pamiętnej nocy w Equinox skrzyżowały się ich spojrzenia, a Brandon pomieszał szyki Nelsonowi, który miał zamiar wykorzystać Ashley w celu zaspokojenia swych politycznych ambicji. Już wtedy cię pragnęłam, ty niemądry, cudowny głuptasie - myślała, wodząc koniuszkiem palca po policzku mężczyzny. \_ Chciałam się z tobą kochać każdej chwili, kiedy byliśmy razem.

Brandon otworzył jedno oko i uśmiechnął się.

- No i? - Spojrzał na nią pytająco.
- Co takiego? - Odwzajemniła uśmiech.
- Jakież reklamacje, może żałujesz czegoś?

Pocałowała go w szyję.

- Tylko tego, że tyle czasu zwlekaliśmy - odrzekła po prostu.
- To nie moja wina - przypomniał, gładząc jej włosy.
- Cały czas niczego bardziej nie pragnęłam. Ty za to nie dawałaś się namówić.

Przez chwilę przyglądała mu się uważnie, po czym zmarszczyła brwi.

- Bałam się - wyznała. Spojrzał na nią zaskoczony.
- Czego?
- Myślałam, że jeśli spędzimy razem noc, rozczarujesz się i opuścisz mnie - odparła, unikając jego wzroku. - Głupie, co?
- Głupie - przyznał. - Nie czułaś, że cię kocham?
- Nigdy nic nie mówiłaś ...

Zwiczrzył jej włosy.

- Nie potrafię ubierać uczuć w słowa. Podniosła się na łokciu zdziwiona.
- Prawnik, który nie radzi sobie ze słowami? Niestychane! - ironizowała, zmieniając nastrój.
- To zupełnie co innego i ty doskonale o tym wiesz zauważył. - Potrafię argumentować swoje stanowisko w jakiejś sprawie, spisać umowę czy testament, umiem błaznować i robić z siebie głupka, ale nigdy nie zdarzyło mi się wyznać kobiecie, że ją kocham. I było to o wiele trudniejsze, niż się spodziewałam.

Pocałowała go raz jeszcze.

- Chyba mieliśmy ten sam problem - powiedziała. Tyle razy chciałam ci powiedzieć, co czuję, lecz

nie mogłam wydusić z siebie słowa.

- Tobie brakowało słów? Trudno uwierzyć!

- Słuchaj no, nie kpjij ze mnie! - Usiadła i chwyciła w obie dłonie poduszkę, nie bacząc, że prześcieradło zsunęło się na biodra, odsłaniając nagie piersi. - Usiłuję powiedzieć, jak cię kocham, a ty stroisz sobie żarty!

- Przepraszam, kochanie, po prostu trudno sobie wyobrazić, że nie mówisz tego, co myślisz - odrzekł rozbawiony. Zabrał Ashley poduszkę i odrzucił na bok Chwycił dziewczynę za oba nadgarstki i przyciągnął do siebie. - Niech czyny mówią same za siebie.

- Nigdy nie masz dość?

- Czasem mam - przyznał, bawiąc się jej włosami. - Ale nie w takiej chwili.

Odsunęła się od niego.

- Nie wiem, czy starczy mi energii, żeby ci dorównać - powiedziała. - Zjadłabym coś. Mówiąc szczerze, umieram z głodu.

- Głodna? - Spojrzał na nią z niedowierzaniem. - Jak możesz być teraz głodna?

Roześmiała się.

- Zwyczajnie. Miłość ma wielki wpływ na mój apetyt - odrzekła, odrzucając głowę do tyłu i odgarniając włosy z twarzy.

- Aha! - Ziewnął przeraźliwie. - W porządku. Jeśli pozwolisz, żebym przedtem wziął prysznic, pójdziemy na kolację. Ale swoją drogą muszę cię ostrzec. Jeżeli seks zaostrza ci apetyt, naucz się go kontrolować. W przeciwnym razie w ciągu pół roku przybędzie ci z trzysta funtów!

Ashley siedziała na balkonie, obserwując pierwsze promienie świtu, przebijające się przez ciemność. Daleko, na oceanie, z wody wynurzył się wieloryb i już po chwili zniknął w odmętach, zostawiając po sobie gigantyczną falę. Ashley jednak nie zwróciła na to uwagi. Jej myśli krążyły wokół ważniejszych spraw. Nie miała pojęcia, jak długo tak siedzi, wpatrzona w ciemność. Obawiając się, że mogłaby obudzić Brandona, zostawiła go śpiącego smacznie w sypialni i przysłała tutaj, żeby spokojnie pomyśleć, znaleźć jakieś rozsądne rozwiązanie problemu.

Oklamała Brandona. Uwierzył, że Ashley jest córką ., właściciela ziemskiego z Napa Valley i pochodzi z rodziny równie bogatej jak Hollisterowie. Nigdy nie przyznała się do tego, że ojciec nie posiada winnicy, a tylko niej pracuje. Stworzyła bajeczkę o szczęśliwym dzieciństwie, by ułatwić sobie wejście w nowe życie. Nie miała wcześniej wyrzutów sumienia z tego powodu, ale teraz poczuła się kłamczuchą. Zastanawiała się, jak wyznać prawdę człowiekowi, którego kocha. Bo przecież kocha Brandona bardziej niż kogokolwiek dotychczas. Jest on ucieleśnieniem wszystkiego, czego kobieta pragnie i potrzebuje. Potrafi ciężko pracować i dać rzecz najważniejszą: miłość. Pokochał Ashley razem z jej wadami i zaletami. Wiedział, do czego jest zdolna w napadach złego humoru, i mimo to nie zmienił swych uczuć. Zachowywała się potwornie, a on jakby wcale tego nie zauważył - pomyślała, wspominając ich pierwsze spotkanie. - Ale jak się poczuje, gdy odkryje, że nie byłam wobec niego szczerą? Czy uda się nam przez to przejść?

Jest tylko jeden sposób, by się tego dowiedzieć. Wszystko mu powiem - przyrzekła sobie. - Już niedługo. Ale jeszcze nie teraz. Z pewnością nie jest to odpowiednia pora. Musiała przyznać, że to tchórzostwo, najzwyklejsze wykrety. Nie chciała niszczyć magicznego uroku dopiero co spełnionej miłości. Jeszcze nie teraz.

Brandon znosił cierpliwie jej piekielny temperament i skandaliczne zachowanie. Tolerował nagle "przyływy natchnienia", przez które musieli natychmiast przerywać kolację i biegać po całym mieście w poszukiwaniu bloku do szkicowania. Przyjmował posłusznie odmowy spędzenia wspólnie nocy, chociaż oboje tak samo tego pragnęli. To także zrozumie - powiedziała sobie. - Wiem, że tak będzie. Kocha mnie. Żadna, nawet najgorsza prawda tego nie zmieni. Jednakże wciąż żywiła niewypowiedziany lęk, że Brandon nie pojmie, dlaczego skłamała. Czy nie straci do niej zaufania, kiedy dowie się wszystkiego? Może przestanie wierzyć w cokolwiek, co od niej usłyszy? Nie bądź niemądra - powiedziała sobie. - Kto przejmuje się czymś pochodzeniem? Być może Brandon przyjmie prawdę spokojnie, ale jego rodzice mogą robić z tego problem.

Jedli śniadanie na balkonie, a Ashley rzucała kawałki croissanta krukom, które przysiadły na balustradzie, żebrząc o pokarm.

- Jak tak dalej pójdzie, pożrą całe twoje śniadanie ostrzegł ją Brandon.

Spojrzała na niego z wyrzutem.

- Wzięłam sobie do serca twoją przestrożę - odparła urażona, odłamując kolejny kawałek.

Spojrzał na nią zdziwiony znad filiżanki. - Moją przestrożę? - zapytał.

- A jakże - odrzekła. - Czy to nie ty powiedziałeś, że o ile nie nauczę się panować nad apetytem, który odczuwam zawsze po kochaniu się, to po kilku miesiącach przebywania z tobą będę ważyć tonę?

- Niezupełnie - sprostował. - Powiedziałem, że przybędzie ci trzysta funtów w ciągu 'Sześciu miesięcy.

- Też mi różnica. - Wzruszyła ramionami. Wstała, owijając się szczelniej zieloną jedwabną podomką. Nie miała nic pod spodem i w porannym słońcu przez ciekłą tkaninę można było dostrzec wyraźny zarys sylwetki.

- Chodź tutaj - szepnął Brandon, podniecony tym widokiem; i wyciągnął do niej ręce.

Ashley uśmiechnęła się.

- Co ci chodzi po głowie; niegodziwce? - zamruczała kokieteryjnie.

- Chodź, a się przekonasz.

- Czy to jest bezpieczne?

- Bynajmniej - przyznał. - Od kiedy zaczęłaś przejmować się takimi drobiazgami?

- Za dobrze mnie znasz. - Podeszła do niego. - Niech pan pamięta jednak, panie Hollister, że znajdujemy się w miejscu publicznym.

- Doskonale wiem, gdzie jestem. - Wyciągnął rękę i rozwiązał podomkę. Jej poły rozsunęły się. Dłonie Brandona powędrowały ku pełnym piersiom Ashley. Sutki stały się twarde i napięte. Uniósł głowę i zaczął brać je kolejno do ust, podczas gdy ona bawiła się jego włosami. Uwolnił ją z uścisku i włożył dłoń między smukłe uda, coraz intensywniej pieszcząc łono. Po chwili, nie mogąc znieść narastającego napięcia, Ashley rozsunęła nogi szeroko i usiadła Brandonowi na kolanach. Rozwiązała mu szlafrok, odsłaniając wspaniale zbudowane ciało, drżące z oczekiwania. Oparła dłonie na jego ramionach i uniosła się lekko w górę, kiedy kochanek w nią wchodził. Ich usta zwały się w żarliwym pocałunku. Objęła mocno Brandona, jej biodra poruszały się rytmicznie, aż równocześnie doznali rozkoszy. Drżąc na całym ciele, położyła głowę na ramieniu kochanka, a on przytulił ją mocno. Siedzieli długo w milczeniu, rozumiejąc się bez słów. W końcu Ashley przerwała ciszę.

- Kochanie, mam nadzieję, że to nie zburzy naszego szczęścia, ale ... - Urwała nagle.

- Co, skarbie? - szepnął.

- Jestem głodna.

Święto Dziękczynienia spędzili razem. Ashley wyjaśniła rodzicom, że przygotowuje się do wystawy i nie może przyjechać do domu. Nie opowiadała im jeszcze o Brandonie. Nie była pewna, co Hollister powiedział swoim rodzicom, kiedy dzwonił do Nowego Jorku. Niechętnie o nich wspominał, a ona nie domagała się żadnych wyjaśnień, tym bardziej że nie wydawały się jej konieczne. Nie rozstawali się przez całe cztery dni. Większość czasu spędzili w łóżku. Brandon, łagodny tradycjonalista, bywał częstokroć zaskoczony brakiem zahamowań seksualnych dziewczyny, ale im częściej się kochali, tym bardziej sam się ośmielał.

- Jesteś maniaczką seksualną - zażartował. Uśmiechnęła się dwuznacznie, nie przestając pieścić jego ciała.

- Wyzwolisz we mnie wszystko, co najgorsze - odrzekła.

- Nie nazwałbym tego w ten sposób - odpowiedział. W poniedziałek wybierał się do Los Angeles w interesach.

- Zmień zdanie i leć ze mną - zaproponował, kiedy zegnali się na lotnisku. - Nie podoba mi się myśl



o roz\_ łące z tobą, moja pani.

- To tylko dwa dni - przypomniała mu. - Będę na ciebie czekać i powitam cię po królewsku.

- Mimo to ... - zaczął.

- Spóźnisz się na samolot. - Wskazała pasażerów tłoczących się przy wyjściu na płytę. - No już, idź! Mam parę rzeczy do załatwienia podczas twojej nieobecności.

- Na przykład?

- To niespodzianka.

Nie kłamała. Zdziwisz się, jak powiem ci prawdę \_ pomyślała, patrząc, jak Brandon znika w tłumie.

Opuściła lotnisko i wjechała na trasę, którą przemierzała tyle razy w ciągu minionych trzech lat, drogę do Napa Valley. Całe popołudnie przesiedziała pod tym samym starym dębem, pod którym nigdy tak często dumiała nad krajobrazem. Teraz też patrzyła na leżące w dole winnice, pograżona w myślach. To jej przeszłość i dziedzictwo, część jej samej, tak jak malarstwo. Jeśli Brandon kocha ją, zaakceptuje to. Zrozumie, dlaczego skłamała. Wreszcie podjęła decyzję - powie mu wszystko, gdy spotkają się po jego powrocie z Los Angeles.

Wszystko.

- I to cała historia. - Ashley zakończyła swą opowieść. Stała obok kominka w saloniku, ubrana w czarne, luźne spodnie i szmaragdowy golf. - Wymyśliłam to, kiedy tu przybyłam, bo pragnęłam akceptacji. Naprawdę nazywam się Abby Giannini. Mój ojciec nie posiada winnic w Napa Valley. Jest robotnikiem. Nie pochodzę z bogatej rodziny. W rzeczywistości było mi cholernie ciężko dojść do tego, co mam dzisiaj. Wiesz, musiałam gotować kości królików zastrzelonych przez robotników w winnicach, żeby uzyskać klej do gruntowania moich płócien. Nienawidziłam tego, ale wiedziałam,

że nic nie osiągnę, jeśli przestanę walczyć. Masz prawo złościć się, może nawet nie będziesz już chciał mnie widywać, ale takie jest moje pochodzenie i nie wstydzę się go ...

- Spokojnie! - Brandon odstawił drinka. Wstał, podszedł do Ashley i przygarnął ją do siebie. - Po pierwsze nie jestem zły, a po drugie naprawdę nie masz powodu wstydić się czegośkolwiek.

- Nie gniewasz się, że cię okłamałam?" - zapytała.

- Gniewam się? Ulżyło mi! - Roześmiał się. - Kiedy powiedziałaś, że masz mi coś do powiedzenia, pomyślałem, że może jesteś mężatką z gromadką dzieci ukrytych w jakimś kącie!

- Mąż? Dzieci? - zawołała, żywo gestykułując. - Rozejrzyj się. Czy kiedykolwiek widziałeś tu jakiegoś faceta z dziećmi?

- Skądże!

- Więc gdzie, do licha, miałabym trzymać rodzinę? - Wybuchnęła śmiechem, gdyż kamień spadł jej z serca.

- Nie wiem, może masz jeszcze jakiś dom ... - Wzruszył ramionami.

- Mój kochany! - Jej oczy zwilgotniały. - Naprawdę nie kochasz mnie mniej po tym, co usłyszałeś? Pocałował ją czule.

- Ashley, zakochałem się w tobie, nie w twoim pochodzeniu - zapewnił - ale jest coś ...

- Co? - zapytała ostrożnie.

- Chciałbym poznać twoich rodziców. Pewnie często martwią się o swojego dzikusa - oznajmił wesoło. Powinienem zapewnić ich, że jesteś w dobrych rękach.

Uśmiechnęła się złośliwie. - W dobrych rękach!

Ashley nie uprzedziła telefonicznie rodziców o przyjeździe ani o tym, że przywozi Brandona. Nie wiedziała jeszcze, jak i co powie na temat swego związku. Kochali się, to prawda. Byli kochankami w najlepszym i najpełniejszym tego słowa znaczeniu. Ale przecież niczego sobie nie obiecywali. Nie wiedziała, co gotuje im los, więc jak odpowie na pytania, które z całą pewnością padną w rodzinnym domu?

Okazało się jednak, że niepotrzebnie się martwiła.

Brandon i jej ojciec niespodziewanie szybko doszli do porozumienia.

- Myślisz, że tata rzeczywiście go polubił? - zapytała, kiedy razem z matką przygotowywały w kuchni obiad. Ashley widziała przez okno, że mężczyźni rozmawiają na tylnej werandzie, ale nie była w stanie usłyszeć, o czym mówią. - Długo nie wracają ...

Lucia Giannini roześmiała się.

- Nie martw się, *cara* - powiedziała do córki. - Tony lubi twój mężczyznę. Wierz mi. Jestem jego żoną dosyć długo, żeby wiedzieć, kiedy mówi szczerze, a kiedy nie. Twój tata nie umie kłamać.

Ashley odwróciła się do matki.

- A co ty o tym myślisz, mamó?

Lucia uśmiechnęła się.

- Myślę, że dobrze robisz. - Przerwała. - Jesteś zakochana, prawda?

- Tak, mamó. Czy bardzo to widać?

- Masz to wypisane na twarzy - przytaknęła matka i zapytała: - Czy macie ... jakieś plany?

Ashley wzruszyła ramionami.

- Jeszcze nie. Nie spieszmy się - odrzekła niepewnie. - Może pewnego dnia ...

Lucia uśmiechnęła się i objęła ją.

- Będzie, jak ma być, Abby.

Dziewczyna uściśnęła matkę ze wszystkich sił, połykając łzy. Teraz dopiero uświadomiła sobie, że to nie reakcją Brandona na wyznanie prawdy niepokoiła się najbardziej. Udawanie kogoś innego ciążyło jak głaz. Jej rodzice, jej życie tutaj ... to nie powód do wstydu. Matka i ojciec byli dobrymi, prawymi ludźmi. Ashley potrafiła walczyć dzięki ich wychowaniu i miłości. Nigdy więcej nie wyprę się swego pochodzenia pomyślała.

- O czym tak długo rozmawiałeś z tatą? - zapytała Brandona, kiedy o zmroku spacerowali po winnicy. Nie przypuszczałam, że będziecie mieli wspólny temat. - Mam do omówienia jedną rzecz - powiedział. Wygląda na to, że obaj cię kochamy, chociaż każdy na swój sposób.

- Powiedziałeś mi to? - Ashley zmieszana się.

- Naturalnie - odrzekł, bawiąc się kciukiem winogron.

Jego błękitne oczy iskrzyły się szelmowsko w blasku zachodzącego słońca.

- Zapytał, jakie mam wobec ciebie zamiary, a ja mu odpowiedziałem.

Na twarzy Ashley malowało się bezbrzeżne zdumienie.

- Trudno mi uwierzyć, że ojciec zapytałby o coś takiego, a ty odpowiedziałbyś mi ...

- Nie ma nic złego w tym, co odpowiedziałem - odparł Brandon. - Jego pytanie wcale mnie nie zaskoczyło. Spodziewałem się go, prawdę mówiąc. Twój tata jest człowiekiem starej daty. Podoba mi się to. Czasem chciałbym, żeby mój ojciec miał jakieś zasady.

Wyjaśnienia te nie uspokoiły Ashley.

- Tata wie, co myślę o tradycji - rzuciła poirytowana.

- Nie uwierzę, żeby odważył się krępować nas w ten sposób!

Brandon chwycił ją za ramiona i spojrzał głęboko w oczy.

- Spokojnie - szepnął. - Nie potępiaj swego ojca.

Zależało mi na szczerzej rozmowie tak samo jak jemu. Może nawet bardziej.

- Nie bardzo ...

- Widzisz, kochanie, ja też jestem staroświecki pod pewnymi względami. Miałem szczególnie powód, żeby tu dziś przyjechać - wyznał zakłopotany.

Ashley zniecierpliwiała się w końcu.

- Przestań mówić szyfrem - zażądała. - O czym rozmawiałeś z moim ojcem?

- O tobie - odpowiedział prosto. - Poprosiłem go o twoją rękę. Ashley zanie: mówiła Z wrażenia. Po chwili zapytała,

nie wierząc własnym uszom:

- Ty ... co zrobiłeś?

Wziął ją pod brodę i czule pocałował.

- Kocham cię, moja pani - rzekł miękko. - Chcę się z tobą ożenić. Twój ojciec dał nam swoje

błogosławieństwo. Teraz oczekuję na twoją odpowiedź.

Przez chwilę bezgłośnie poruszała ustami, nie mogąc wykrztusić słowa.

-, Jak mogłeś mi to zrobić? - zapytała w końcu.

- Co takiego? - Brandon wyglądał na zaskoczonego.

- Rozmawiałeś z ojcem, zanim cokolwiek ustaliliśmy! - Zarzuciła mu ręce na szyję i pocałowała mocno.

- Powiedz mi: tak czy nie? - zapytał niepewnie.

- Tak, ty głuptasie! - Rozpląkała się ze szczęścia. - Tak!

*Nowy Jork, grudzień 1979*

- Muszę ci coś wyznać - powiedziała Ashley do Brandona, kiedy taksówka ruszyła spod lotniska Kennedy'ego. - Sądziłam, że chcesz, ukryć przed twoimi rodzicami wiadomość o naszych zaręczynach.

Spojrzał na nią zdziwiony.

- A czemu, na Boga, miałbym to ukrywać przed kimkolwiek? - zapytał, bezgranicznie zdumiony. Wzruszyła ramionami.

- Nie mam pojęcia. - Wydawało mi się po prostu, że zwlekasz z powiadomieniem rodziców o tym fakcie. Nie paliłeś się, żeby do nich zadzwonić.

Roześmiał się.

- Myślisz, że nie chcę im powiedzieć o tobie?

- N o cóż, na to wygląda - przyznała.

Otoczył ją ramieniem.

- Nie ukrywam ciebie ani nie robię tajemnicy z tego, co do ciebie czuję. Pozwól, a oznajmię to całemu światu, będę o tym krzyczał z każdego dachu na Manhattanie. Mogę też wykupić czas w telewizji. Albo ...

- Dosyć, wystarczy! - Ashley roześmiała się. - Nie musisz posuwać się tak daleko. Przekonałeś mnie. Przysięgam.

- Więc skąd te wątpliwości? Ashley potrząsnęła głową.

- Nie mogę zrozumieć, dlaczego zwlekałeś tak długo. Pewnie nie byłoby nas teraz tutaj, gdyby twoja matka nie nalegała, żebyś przyjechał do Nowego Jorku na Boże Narodzenie.

Przytulił ją czule.

- To nie jest tak, jak myślisz - odparł. - Mówiłem ci, mój ojciec... jak by to powiedzieć, różnimy się pod wieloma względami. Istnieje między nami parę konfliktów. Nie chcę w to ciebie mieszać. To wszystko.

Dziewczyna nagle spoważniała.

- Powinam zostać twoją żoną na dobre i złe - powiedziała krótko.

Uśmiechnął się i pocałował ją w czoło.

- Masz całkowitą słuszność - przyznał. - Jak ja dawałem sobie radę sam przez te wszystkie lata?

- Nie mam pojęcia - odrzekła, tuląc się do niego. - Nie próbuj tego robić w przyszłości!

Hollisterowie mieszkali w jednym z naj okazalszych domów przy Wschodniej Siedemdziesiątej Ósmej.

- Mają też posiadłość w Montauk - powiedział Brandon, kiedy znaleźli się w przestronnym holu, do którego wprowadził ich kamerdyner, niosący bagaże. - Zawsze wolałem ją od miejskiej rezydencji, ale moja matka lubi być zawsze tam, gdzie coś się dzieje.

Ashley nie odpowiedziała. Rozglądała się, podziwiając imponujące wnętrza. Wiedziała, że Hollisterowie są bogaci, ale do tej chwili nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo. Z każdego kąta krzyczały pieniądze, wielkie pieniądze. Abby Giannini chłonęła wszystko z zapartym tchem, porównując to do domu swego dzieciństwa. Ale przecież Brandon nie był tutaj szczęśliwy. Zostawił to miejsce, tych luźni. Nie muszę się z nimi porównywać. Cóż oni takiego posiadają, czego i my nie moglibyśmy kiedyś mieć?

- Brandon, kochanie! - Kobięcy głos przerwał rozważania Ashley. Elegancka brunetka koło pięćdziesiątki z uśmiechem weszła do holu i rozpostarła ramiona. \_ Tak się martwiłam, że w ostatniej chwili odwołasz swój przyjazd. Od dwóch lat wykręcasz się od wszystkich moich zaproszeń.

- Nie tym razem, mamó. Miałem szczególny powód, żeby przyjechać. - Odwrócił się ku Ashley. Dziewczyna podniosła wysoko głowę, po raz pierwszy stając twarzą w twarz z matką Brandona. Claudia Hollister była przystojną kobietą. Miała na sobie kostium od Valentina, a w jej uszach pobłyskiwały wspaniałe kolczyki z diamentami. Fryzura została idealnie ułożona, każdy włos leżał na swoim miejscu. Ashley dostrzegła w zielonych oczach Claudii lodowaty błysk. Pani Hollister uśmiechnęła się sztucznie do syna.

- Ashley chciała poznać moich rodziców - oznajmił Brandon.

Claudia ponownie przyjrzała się dziewczynie.

- Ashley, to moja matka, Claudia Hollister. Mamó, chciałbym ci przedstawić Ashley Gordon.

Przez twarz pani Hollister przemknął cień uznania. - Ta artystka? - zapytała.

Ashley przytaknęła.

- Może jest jeszcze jakaś o tym nazwisku - rzekła, starając się zachować naturalnie.

- Znam pani prace i jestem ich wielbicielką - powiedziała Claudia. Jej głos nabrął cieplej barwy. - Szczególnie lubię pani pejzaże.

- Dziękuję. - Ashley przyjęła komplement z wdzięcznością. Może nie zjedzą mnie tu żywcem - uspokajała się w duchu.

- Twój ojciec powinien zjawić się lada moment - poinformowała Claudia syna. - Zatrzymały go interesy.

- Interesy - powtórzył z drwiną w głosie. - Te same co zwykle ... nie myślę się, prawda?

Claudia spojrzała na niego, a potem na dziewczynę. - Nie powinniśmy rozmawiać o tym w obecności panny Gordon, mój drogi.

- Proszę mi mówić po imieniu - wtrąciła szybko Ashley. O czym nie powinno się przy mnie rozmawiać? - pomyślała zaintrygowana.

Claudia przytaknęła.

- Zgoda, ale w takim razie musisz mówić mi Claudia - zażądała. - Jestem pewna, że zmęczyliście się podróżą. Powiem Masonowi, żeby zaprowadził cię do twego pokoju. Jeśli chciałabyś się trochę odświeżyć ...

..., Dziękuję, z chęcią skorzystam - przytaknęła Ashley. Zastanawiała się, czego dotyczyła krótka wymiana zdań między synem a matką. Brandon wspominał coś o niechęci, jaka panuje między nim a ojcem, o tym, że nie podoba mu się sposób, w jaki ojciec prowadzi interesy, ale Ashley czuła podświadomie, iż chodzi tu o coś więcej.

- Mieliśmy z Claudią okazję oglądać twoją wystawę w galerii. Gdzie to było, moja droga? - Bradley Hollister, silnie zbudowany, wysoki, szpakowaty mężczyzna przed sześćdziesiątką siedział obok żony w bibliotece. Na jego twarzy pojawił się wyraz zakłopotania, gdy usiłował przypomnieć sobie, gdzie widział ekspozycję obrazów Ashley. - To było w San Francisco, dwa lata temu. Stawałaś się wtedy coraz bardziej popularna w świecie sztuki. Jedną z przyjaciółek Claudii kupiła twój pejzaż. Żona również była zdecydowana nabyć jeden. Niestety, kiedy odwiedziliśmy wystawę, wszystkie zostały już wyprzedane.

- Przyjaciółki matki - wyjaśnił Brandon, pochylając się w stronę Ashley - to gromada harpii, które całymi dniami poddają szczegółowej analizie każdego, kto nie należy do ich towarzystwa. A jeśli nadarzy się okazja, potrafią ostrzyć szpony na sobie nawzajem.

- Brandon! - Claudia Hollister była przerażona. - Co ty opowiadasz?!

- Czyżby coś zmieniło się podczas mojej nieobecności? - zapytał zdziwiony. - O ile sobie przypominam, wszystkie zajmowały się tą krwawą rozrywką.

- Możliwe, że czasem zdarzało nam się uczynić parę uwag pod adresem ludzi, którzy nie żyją

zgodnie z normami...

- To dotyczy zazwyczaj prawie całego Manhattanu \_ dokończył Brandon.

Ashley spojrzała na niego. Nigdy nie przypuszczała, że potrafi być tak cyniczny. Jego rodzice starali się zachowywać grzecznie wobec niej, podczas gdy on czuł się tu chyba nieswojo. Co zaszło między nimi, że stał się taki nieprzyjemny? - zastanawiała się. Od chwili przyjazdu napięcie między synem a matką narastało z każdą minutą. Z ojcem zamienił zaledwie kilka słów.

- Skąd pochodzisz, Ashley? - zapytała uprzejmie Claudia, zmieniając temat.

Dziewczyna uśmiechnęła się.

- Z Kalifornii. Spędziłam tam całe życie. Pochodzę z Santa Helena w Napa Valley niedaleko San Francisco.

- Kraina łwin - wtrącił Bradley Hollister. - Twoja rodzina siedzi w tym biznesie?

- Tak.

- Przypominam sobie ... gdzieś czytałem, że twój ojciec jest właścicielem kilku winnic w dolinie - zauważyła Claudia. - O ile dobrze pamiętam, to duże przedsiębiorstwo?

Ashley zawahała się, mając ochotę skłamać jeszcze raz. Szybko jednak zmieniła zdanie. Do diabła z nimi pomyślała przekornie. - Claudia i jej hieny nie zostawią na mnie suchej nitki podczas najbliższego spotkania. Niech bawią się dobrze. Jestem z siebie dumna.

- Niezupełnie - odezwała się w końcu. - Mój ojciec nie posiada winnicy, tylko w niej pracuje.

Zrywa dojrzałe winogrona podczas zbiorów. Zatrudnia się też w winiarni, jeśli go tam potrzebują. Bradley i Claudia Hollisterowie wymienili spojrzenia, ale nie odezwali się ani słowem. Ashley czytała w ich myślach. Brandon przerwał ciszę.

- Myślę, że to odpowiedni moment, by powiedzieć wam, dlaczego Ashley przyjechała tu ze mną - oświadczył. - Pobieramy się. Chciała poznać moich rodziców ... i ma nadzieję otrzymać wasze błogosławieństwo.

- A ty, Brandonie? - zapytał Bradley Hollister, odzyskując zimną krew. - Czy ty także go oczekujesz?

- Byłoby miło, ale nie jest to dla mnie istotne. Ashley spojrzała na Brandona. Powiedział kiedyś, że między nim a rodzicami istnieje "pewien konflikt". To tak, jakby nazwał drugą wojnę światową nic nie znaczącym incydentem międzynarodowym! Nic dziwnego, że nie chciał przyjeżdżać!

W drzwiach stanął Mason, kamerdyner Hollisterów. - Podano obiad - zaanonsował sztywnym, oficjalnym tonem.

Praca u nich musi być szczególnie zabawna - pomyślała Ashley.

- Wspaniale pachnie. - Brandon nachylił się do jej ucha, kiedy wchodzili do wytwornej jadalni. - Ciekawe, co to jest?

Dziewczyna spojrzała na niego, siląc się na uśmiech.

- Baranek ofiarny - szepnęła.

- Bradley, nie możemy dopuścić do zalegalizowania tego związku. - Późnym wieczorem Hollisterowie siedzieli sami w bibliotece, roztrząsając plany małżeńskie syna. Claudia była gotowa przyjąć Ashley do rodziny z otwartymi ramionami do momentu, w którym ta głupia dziewczyna w tak rażący sposób obwieściła wszem i wobec, że jej ojciec żyje ze zbierania winogron. - Musimy natychmiast położyć kres szaleństwu Brandona!

Bradley Hollister spojrzał na żonę rozbawiony.

- Byłaś tak słodka, że mogłabyś wprowadzić cukrzyka w stan śpiączki, dopóki nie dowiedziałaś się o pochodzeniu tej dziewczyny. Skąd tą nagłą odmianą? - zadrwił.

Claudia odpowiedziała ze złością:

- Czy próbujesz dać mi do zrozumienia, że pochwalasz ten związek?

Hollister podniósł wzrok i odpowiedział spokojnie: - Oczywiście, że nie. Ona absolutnie nie pasuje do Brandona - przyznał - ale nie sądzę, abyśmy byli w stanie wpłynąć na naszego syna.

Kiedy opuścił dom, dał nam jasno do zrozumienia, że nie życzy sobie, byśmy ingerowali w jego sprawy.

- Masz więc zamiar siedzieć z założonymi rękami i przyglądać się, jak twój syn popęlnia

największy błąd w życiu? - zapytała Claudia z niedowierzaniem.

- Tego nie powiedziałem. Ale najmniejszy protest z naszej strony może sprawić, że tym szybciej zostaną małżeństwem - odparł Hollister. - Byłby to nasz najgorszy ruch.

Claudia wstała, opierając ręce na masywnym mahoniowym biurku. Jej ciężkie złote bransolety zadźwięczały metalicznie.

- Wobec tego co należałoby zrobić? - zapytała.

- Będą tu jeszcze przez kilka dni. Brandon obiecał zostać na święta - przypomniał jej Hollister. -

Skontaktuję się telefonicznie z moimi ludźmi na Zachodnim Wybrzeżu i zobaczę, czego zdołają się dowiedzieć o pannie Ashley Gordon. Potem zrobimy z tego odpowiedni użytek.

Claudia spojrzała na niego nachmurzona.

- Przypuśćmy, że twoi ludzie nie znajdą nic, co moglibyśmy wykorzystać? Ta dziewczyna wygląda na uczciwą i nie jest typem kobiety, której Brandon mógłby powierzyć twoje "zawodowe" sekrety!

- Uspokój się, Claudio. Każdy ma jakieś brudy do ukrycia, a ja potrafię je ujawnić.

- To prawda - odezwała się powoli - ale ...

- Jeśli nic nie znajdę, sami coś wymyślimy. - Przerwał, a na jego ustach zaigrał nikły uśmiešek. -

Mimo wszystko nie dziwi mnie, że Brandon jej uległ. To nadzwyczaj atrakcyjna młoda kobieta. Dla takich jak ona mężczyźni zawsze tracą głowy.

Ashley leżała z szeroko otwartymi oczyma. Sen nie chciał nadejść mimo zmęczenia. Siedzieli w Nowym Jorku od trzech dni, a ona z każdą chwilą upewniała się, że rodzice Brandona nie cofną się przed niczym, by całkowicie usunąć ją z jego życia. Oczywiście nadal byli dla niej równie mili jak na początku wizyty. Serdeczność zabarwiona chłodem - pomyślała smętnie. Spojrzenie Claudii Hollister wywoływało zimne dreszcze. Zaczęła się zastanawiać, czy nie postąpiłaby lepiej, nic nie mówiąc. Niepotrzebnie tłumaczyła się przed Hollisterami. Nie musieli wiedzieć, skąd pochodzi narzeczo-

na syna i czym zajmuje się jej ojciec. Przecież to nie ich interes - pomyślała z oburzeniem. -

Wychodzę za Brandona, a nie za jego rodzinę. On akceptuje mnie, i tylko to się liczy.

Wstała z łóżka i podeszła do okna. Patrząc na księżyc, wiszący nad niebotycznymi wieżowcami Manhattanu, zaczęła nagle żałować, że tu przyjechała i namawiała Brandona, by przedstawił ją rodzicom. On wcale nie jest tu szczęśliwszy ode mnie - pomyślała. - Nie chciał przyjeżdżać. Zrobił to wyłącznie dla mnie. A teraz oboje znajdujemy się w nieprzyjemnej sytuacji.

Postanowiła nie mówić Brandonowi ani słowa o swoich odczuciach. Hollisterowie byli bardzo ostrożni, starając się nie urazić jej czymkolwiek w obecności syna. To oczywiste, że nie wyrażali otwarcie swojej opinii o planowanym ślubie. Rozmowa z Brandonem na ten temat tylko pogorszyłaby sytuację. Jest już wystarczająco wściekły na rodziców. Nic nie zyskam, pogłębiając przepaść, jaka ich dzieli, zranię go tylko. Muszę przetrwać parę dni. Wkrótce będziemy w domu i mam nadzieję, że nieprędko spotkam się z tymi ludźmi.

- Co, u diabła, próbujesz osiągnąć?! - Brandon gwałtownie odwrócił się do ojca. Oczy młodego człowieka błyszczały z gniewu. Bradley Hollister poprosił syna do biblioteki, by porozmawiać z nim na osobności.

- Ciszey, bo wszyscy cię usłyszą - upomniął go szeptem.

- Nie dbam o to! - rzucił Brandon. - W swoim czasie zdążyłeś wykręcić kilka niezłych numerów, ale teraz zanosisz się, że przejdiesz samego siebie! Po prostu nie mogłeś tak tego zostawić, prawda?

- Oboje z matką chcemy dla ciebie jak najlepiej ... \_ zaczął Hollister.

- O, tak, niewątpliwie! Przecież już wiele razy tego dowiedzieliście. Do tej pory robiłeś wyłącznie to, co dla mnie najlepsze. Twoje małe imperium też stworzyłeś z myślą o mnie, prawda?

- Tak, miałem nadzieję, że pewnego dnia przejmiesz ...

- Cóż za przykładowa ojcowska troskliwość! - Brandon przewracał oczami z niedowierzaniem.

- Ta kobieta jest przybłądą, chłopcze ...

- Nie zwracaj się tak do mnie! - krzyknął Brandon, potrząsając głową z wściekłością. - Chodzi ci tylko o to, by nie dopuścić do małżeństwa z kimkolwiek, kto mógłby odkryć prawdę o twoich interesikach, kto byłby na tyle uczciwy, żeby wyciągnąć twe nędzne machlojki na światło dzienne. Cóż, o to nie musisz się martwić. Nie powiem nic Ashley. Wstydziłbym się przyznać komukolwiek, co wyprawiasz, tak jak nie będę miał odwagi powiedzieć jej, co chciałeś nam zrobić.

- Nie zaprzeczysz jednak, że jest ona raczej ... osobą lekkich obyczajów ... - zaczął Hollister.

- Nie interesuje mnie, co robiła, zanim ją poznałem - oświadczył Brandon chłodno. - Nie miała nikogo poza mną od chwili, gdy się poznaliśmy, i tylko to się dla mnie liczy. -Będę ci dozgonnie wdzięczny, jeśli przestaniesz się wtrącać do naszego życia. - Skierował się do drzwi, ale w połowie drogi zatrzymał się i odwrócił do ojca. Wyjeżdżamy jutro z samego rana. Chcę ożenić się tak szybko, jak to tylko możliwe ... o ile Ashley jeszcze mnie zechce, poznawszy swych przyszłych teściów!

Wyszedł, a Hollister zrozumiał, że popełnił błąd.

Brandon dotrzymał słowa i pobrali się natychmiast po powrocie do San Francisco. Pragnął jechać w cudowną podróż poślubną na Karaiby, ale Ashley nalegała, by po prostu cieszyć się początkiem nowego życia.

- Musimy znaleźć jakiś dom - powiedziała, gdy spędzali w łóżku noc poślubną. - Nie możemy gnieździć się dalej w moim mieszkaniu.

- Dlaczego? - spytał, całując ją w kark. - Jest tu wystarczająco dużo miejsca dla dwóch osób. Poza tym z tobą byłbym szczęśliwy nawet w szafie.

- Dla dwojga to mieszkanie jest w sam raz, ale ...- zaczęła niepewnie.

Znieruchomiał i spojrzał na nią.

- Ale co? - zapytał. - Czy twoja matka sprowadza się do nas?

- Niezupełnie. Widzisz, nie czułam się ostatnio najlepiej, więc przed naszym wyjazdem do Nowego Jorku odwiedziłam doktora Edwardsa. Czekałam tylko na odpowiedni moment, żeby powiedzieć ci o tym, i...

- I co? - przynaglił, wciąż nie rozumiejąc. Wzięła głęboki oddech.

- Zadam ci to samo pytanie, jakie on mi zadał - odrzekła w końcu. - Wolałbyś chłopca czy dziewczynkę?

Patrzył na nią jak uderzony obuchem.

- Czy ty jesteś ... ty jesteś ...

Ashley roześmiała się.

- Tak, jestem w ciąży. Według doktora Edwardsa od sześciu tygodni.

- Ale jak to się stało? - zapytał oszołomiony.

- Starym sposobem, głuptasie! - Pocałowała go z uśmiechem. - Mam nadzieję, że się cieszysz. Szeroki uśmiech rozjaśnił wreszcie jego twarz.

- Oczywiście! - zawołał. - Jestem tylko trochę zaskoczony. Nie miałem pojęcia ...

- Ani ja - przyznała. - Myślałam, że to salmonella albo jakieś inne zatrucie.

- Ale ja sądziłem ... że przyjmujesz pigułki...

- Nie mogę ich brać - powiedziała. - Mam zaburzenia hormonalne. Czuję się po nich fatalnie.

Korzystam z kalendarzyka, ale wtedy, w Big Sur, wszystko potoczyło się tak szybko i niespodziewanie, że po prostu zapomniałam o tym. Raczej głupio, co?

- Wspaniale! - zaprzeczył. - Big Sur ... myślisz, że to stało się w Big Sur?

- Jestem tego pewna. Tylko wtedy zapomniałam się odparła z przekonaniem.

Nagle objął ją mocno i pocałował.

- To najwspanialszy prezent ślubny, jaki mogłaś mi ofiarować - szepnął.

Zamieszkali w N ob Hill, w przestronnym starym domu z dużymi pokojami, jakich nie spotyka się już w nowszych budynkach. Wymagał on remontu, ale Ashley paliła się do tej roboty. Będzie cudownie zrobić to wszystko samemu - myślała, wędrując po pustych pomieszczeniach. - Kiedy

skończymy, będzie to prawdziwy dom. Nasz dom.

Pory roku zmieniały się prawie niezauważalnie. Zima stała się wiosną, a wiosna latem. Cięża Ashley była coraz bardziej widoczna. Małżonkowie wynajęli miejscowych robotników, którzy zreperowali przeciekający dach, uszkodzoną kanalizację i instalację elektryczną. Od rana do wieczora w domu kręcili się cieśle, malarze, hydraulicy i elektrycy. Brandon martwił się, że Ashley zbyt angażuje się we wszystko, ale ona zapewniała, że nigdy nie czuła się lepiej.

- Robię dokładnie to, co chcę - uspakajała go. Odpoczywam, kiedy tego potrzebuję, i nie zaniedbuję posiłków . . . . Poklepała swój brzuch i roześmiała się. Czy wyglądam na niedożywioną?

- Chcę tylko, żebyś trzymała się ściśle zaleceń doktora Edwardsa - rzekł i położył dłoń na jej brzuchu. Maleństwo poruszyło się gwałtownie. - Chcę mieć zdrowe dziecko i jego matka również powinna czuć się dobrze.

- Nie martw się o mnie. Pochodzę z bardzo silnej rasy - szepnęła konfidencjonalnie. - Tylko obiecaj mi, że dom będzie wykończony, zanim urodzi się nasz syn.

Uniósł brwi. - Nasz syn?

- To będzie chłopiec - oświadczyła z przekonaniem.

- Syn ... dla ciebie.

Pocałował ją czule.

- Będę równie szczęśliwy, mając małą dziewczynkę, która byłaby żywym odbiciem matki - powiedział.

- To jest chłopiec!

Ashley nie brała pod uwagę możliwości zatrudnienia profesjonalnego dekoratora. Była artystką i dom miał odzwierciedlać jej własny styl oraz upodobania męża. Kupowała tapety, starannie dobierając każdy wzór i kolor. Często odwiedzała sklepy z antykami, wynajdowała cudowne dzieła sztuki na aukcjach i wyprzedażach. Do kuchni wybrała ręcznie malowane kafelki w wyrazistych kolorach, olbrzymią lodówkę i restauracyjny piec, który Brandon nazwał paskudztwem, ale nie oponował, gdy Ashley wytłumaczyła mu, jakie to funkcjonalne urządzenie.

- Jestem Włoszką, kochanie - przypomniała mu. \_ Większość włoskich kobiet uwielbia gotowanie. Nalegała, by ścian gabinetu Brandona nie pokrywano tapetą, lecz aksamitem w gołęzim odcieniu szarości, by uzyskać wrażenie ciepła. Kupiła mężowi olbrzymie stare biurko i kazała wbudować w ściany regały, sięgające od podłogi po sufit. Na licytacji odkryła zachwycający stary globus na bogato zdobionej nóżce, a także wspaniałe srebro, chińską porcelanę, kryształ, nakrycia stołowe i nabyła te rzeczy za namiastkę ich prawdziwej wartości. Trzy ściany w ogromnym salonie zostały pokryte białym jedwabiem, a na czwartej powstało malowidło ścienne, upamiętniające pobyt w Big Sur. Sofa: i krzesła, również upolowane na aukcji, zostały odnowione i pokryte drogimi tkaninami w szarym oraz fioletoworóżowym odcieniu. Wynałazła też gdzieś zabytkowe łóżeczko i komodę do pokoju dzieciennego, który urządziła w błękicie, żółci i różu.

- To tylko na razie - oznajmiła Brandonowi, kiedy wszedł tam po raz pierwszy. - Później, gdy dziecko dorośnie, przerobimy wnętrze.

Najwięcej czasu zabrało jej urządzenie sypialni i własnej pracowni. Wybrała na nią jeden z największych pokoi z oknami wychodzącymi na wschód, gdyż zazwyczaj pracowała wcześniej rano. Pomalowała ją na biało, tylko drewnianą podłogę zostawiła w surowym stanie. Ustawiła tam staromodny dębowy stół kreślarski z szufladami, w których zamierzała trzymać farby, paletę oraz pędzle. Oprócz sztalug, na których zwykle pracowała, sprawiła sobie dodatkowe i rozstawiła na nich wielki biały ekran. Miał służyć do projektowania obrazów na podstawie slajdów zrobionych, nad morzem, w górach i w innych miejscach, które chciała uwiecznić na płótnie. W jednym kącie ustawiła dużą gablotę z szesnastoma przegrodami, gdzie mogła przechowywać dodatkowe przybory - ołówki, tusze i farby. Kupiła też wielki stół do oprawiania prac, gilotynę do papieru, prasę drukarską i szeroką komodę do przechowywania surowych płócien, papieru i gotowych grafik. Wbudowana w ścianę szafa została wypełniona pustymi ramami i ukończonymi obrazami. Pracownia, o jakiej marzyłam - pomyślała Ashley z satysfakcją, lustrując swe dzieło.

Wykańczając sypialnię, postanowiła pomalować ściany własnoręcznie, stosując kolory morza: błękit i zieleń wody, róż muszelek, beż piasku na plaży. Kupiła królewskie łóżo z mosiądzu, białe



wiklinowe meble, pluszową sofę i pufy w kolorze ścian. W oknach zawiesiła jedwabne seledynowe zasłony, a na wiklinowym krześle, stojącym przy toalecie, położyła poduszkę z tego samego materiału. Ściany w łazience wyłożono wielkimi lustrami. Wszystkie dodatki były mosiężne. Ten dom to my myślała z radością Ashley, przechadzając się po wykończonych pokojach.

Wprowadzili się w połowie lipca. Nigdy nie wspominała o tym Brandonowi, ale była zadowolona, że dom został wreszcie odnowiony, gdyż w ciągu ostatnich tygodni traciła coraz więcej sił.

Naturalny rytm jej ciała zdawał się zwalniać, większość niespożytej energii została przelana w nowe życie, które rozwijało się w łonie. Czasem budziła się w środku nocy i leżała na plecach, dotykając wypukłego brzucha. Radowała się ruchami dzieciątka, z niecierpliwością oczekując jego przybycia.

Już niedługo - myślała radośnie.

Poród zaczął się w późne piątkowe popołudnie na początku sierpnia. Z początku nie bardzo zdawała sobie sprawę, co się dzieje, mimo że przeczytała wiele mądrych książek i wraz z Brandonem uczęszczała do szkoły rodzenia. Pierwsze bóle były słabe, nierówne i koncentrowały się w okolicy krzyża. Ashley zaniepokoiła się, a po godzinie zaczęła mierzyć czas skurczów. Występowały w odstępach dwunastominutowych. Nadal mierzyła czas. To już - pomyślała. Kiedy przerwy między bólami skróciły się do dziesięciu minut, zadzwoniła do doktora Edwardsa.

- Spotkamy się w szpitalu - rzekł.

Potem próbowała skontaktować się z mężem, który akurat był na jakimś spotkaniu.

- Mówi Ashley - powiedziała jego sekretarce. - Proszę przekazać Brandonowi, że czekam na niego w Bay Memorial Hospital.

Do szpitala pojechała sama, wbrew obietnicy danej mężowi kilka tygodni wcześniej, że weźmie taksówkę, gdyby poród zaczął się podczas jego nieobecności. Zjeżdżała na pobocze drogi, ilekroć bóle stawały się zbyt silne. Kiedy wreszcie dotarła do szpitala, na zewnątrz czekał już sanitariusz. Natychmiast zabrał ją na oddział położniczy, gdzie czekali na doktora Edwardsa. Ashley już leżała, kiedy wszedł do sali w zielonym, nieskazitelnie czystym fartuchu.

- Jak się pani czuje, pani Hollister? - zapytał uprzejmie.

- Jak wieloryb na mieliźnie - poskarżyła się, z trudem łapiąc oddech po ostatniej fali bólu. Każdy kolejny skurcz był silniejszy od poprzedniego. - Jak długo to jeszcze potrwa?

- Będę ,mógł coś powiedzieć po zbadaniu pani \_ rzekł. W asyście położnej szybko zbadał tętno i położenie płodu.

- No i co? - zapytała Ashley niecierpliwie.

- Myślę, że wkrótce przeniesiemy się na salę porodową - powiedział.

- Musimy zaczekać na mojego męża!

- Obawiam się, że dziecko nie będzie miało ochoty czekać. Jeżeli mąż nie zastanie nas tutaj, jedna z pielęgniarek z pewnością wskaże mu drogę.

W tym samym momencie drzwi otworzyły się i wbiegł Brandon.

- Przyjechałem tak szybko, jak tylko mogłem - rzekł zdyszany, ściskając dłoń żony. - Jak się czujesz?

- Okropnie - odparła słabo.

Brandon siedział przy niej, dopóki doktor Edwards nie uznał, że zaczyna się ostatnia faza porodu. Wówczas Hollister podążył za pielęgniarką do sali, w której kazano mu się umyć i włożyć zielony szpitalny fartuch. Zobaczył żonę ponownie w małym sterylnym pomieszczeniu, gdzie miał być przyjęty poród. Nawet w tym stanie wycieńczona, z grymasem bólu na złanej potem twarzy - była piękna. Trzymał Ashley za rękę, ocierając pot, i nie przestawał przemawiać łagodnym, kojącym głosem. Widząc, przez co musi przechodzić, postanowił nie nalegać, jeśli nie zgodziłaby się na więcej dzieci. To prawda - pomyślał. - Kobiety są w stanie znieść o wiele więcej niż najtwardszy mężczyzna. Pochylił się nad nią.

- Kocham cię - szepnął.

- Ja też cię kocham - wysapała. - Wiesz, urodzić jest o niebo trudniej niż począć.

To stwierdzenie było całkowicie w jej stylu.

Spojrzał na zegar, podczas gdy doktor Edwards przynaglał kobietę do ostatniego parcia. Wpół do dziesiątej wieczorem. Poród trwał już prawie osiem godzin. Teraz szczęśliwie zbliżał się do końca. Rozmyślenia mężczyzny przerwał cieniutki płacz.

Brandon spojrział na drugi koniec stołu. Doktor Edwards trzymał w górze dziecko, czerwone i pokryte jeszcze krwią matki.

- Już po wszystkim - oznajmiła położna. - Macie syna. Twarz Ashley promieniała.

### *Marrakesz, sierpień 1982*

Na pierwszy rzut oka Djeplaa El Fna, serce starego Marrakeszu, wydaje się zdominowane przez turystów, zatłoczone taksówkami i pełne rozpadających się straganów. Rzesze turystów - zarówno zagranicznych jak i Marokańczyków - napływają na ten plac wraz z tubylcami wyłącznie w jednym celu: chcą się dobrze zabawić w tym centrum rozrywki pod gołym niebem. W ciągu jednego popołudnia można tu nabyć strój narodowy, zjeść specjalność kuchni marokańskiej, wysłuchać kazania muzułmańskiego świętego, zobaczyć połykaczy ognia i wrzątku, dać sobie powróżyć albo postrzelać na strzelnicy. Collin Deverell, ubrany w szare spodnie i bladoniebieską koszulkę, torował sobie drogę przez tłum. W promieniach gasnącego słońca połyskiwał złoty medalion, z którym nigdy się nie rozstawał. Przystanął na chwilę, by przyjrzeć się turyście w średnim wieku, który próbował swych sił w grze przypominającej kregle, usiłując przewrócić kilka paczek papierosów, ustawionych za narysowaną na tarmakadamie linią. Mężczyzna wybuchał śmiechem, ilekroć udało mu się trafić jakąś paczkę; którą zresztą dostawał potem jako nagrodę. Collin pokręcił głową i ruszył dalej, częściowo tylko zwracając uwagę na egzotycznych muzyków, mówców ulicznych i przekupniów. Jego myśli błądziły gdzie indziej.

Pogrążony w zadumie wrócił do swego pokoju w Hotel des Almoravides' na Djenan Lakhdar. Trzy lata poświęcił na zlokalizowanie skradzionych obrazów i biżuterii matki. Trzeba przyznać, że udało mu się to głównie dzięki De Vriesowi. Agent sporządził listę nazwisk ludzi, którzy mogli nabyć własność Deverella drogą całkowicie legalną. Swój pościg za utraconymi pamiątkami Collin rozpoczął w Maroku. Wiedział, że obraz Renoira znajduje się obecnie w posiadaniu człowieka nazwiskiem William Harrington. Nie na długo ..i przyrzekł sobie Collin. Był gotów zrobić wszystko, by odzyskać każdy obraz i każdą sztukę biżuterii. Kiedy z tym skończy, zajmie się Justinem.

Wciąż nie mógł uwierzyć, że brat upadł tak nisko.

Aby ratować firmę, wyciągnął rękę po przedmioty, które dla Collina były wszystkim. Niewątpliwie sprzedałby własną duszę, żeby tylko nie stracić Intercontinental 011. Collin wiedział, że brat-bliźniak jest ambitny, ale do tej pory nie zdawał sobie sprawy, do jakiego stopnia. W trakcie poszukiwania śladów, które mogłyby doprowadzić do skradzionej własności, natknął się na tak szokujące informacje, że jeszcze dziś trudno mu było w nie uwierzyć. Kradzież rozpoczęła serię występków Justina, ponadto okazało się, że nie działał on sam. Podczas pobytu Collina w Europie sytuacja Intercontinental Oil zaczęła pogarszać się gwałtownie. Justin zupełnie stracił głowę. Zabezpieczył się finansowo, znajdując sobie wsparcie najgorsze z możliwych. Skorzystał z pomocy ludzi, którzy stali się bogaci i potężni wskutek kontaktów z przestępczymi syndykatami. Pozwolił im zainwestować i teraz oni przejmowali władzę w firmie. Z godnych zaufania źródeł informacji o świecie przestępczym Nowego Jorku, Chicago i innych większych miast Collinowi udało się dowiedzieć, że mafia chce przejąć Intercontinental. Powiedział sobie, że nie będzie interesował się losem przedsiębiorstwa, a Justin niech sam pije piwo, którego nawarzył. Jednakże w głębi serca Collin czuł, że zawiódł ojca. Kiedy duchy przestaną mnie gnębić? - pytał wciąż sam siebie. Sięgnął do kieszeni i wyjął z niej kartkę. Rozłożył ją i po raz kolejny przeczytał adres. Odkrył miejsce pobytu nieuchwytnego Williama Harringtona, ale to dopiero początek. Teraz należało odzyskać obraz.

Następnego ranka Collin siedział na tarasie małej kafejki. Jadł tradycyjne marokańskie śniadanie,

składające się z miętowej herbaty, tostów i garści oliwek. Był zbyt zdenerwowany i pochłonięty myślami, by przywiązywać większą wagę do jedzenia. Musiał ułożyć plan odzyskania obrazu, i to jak najszybciej. Harrington nie odda go na ZwYkłe żądanie, to pewne. Zresztą miałby się na baczności, gdyby wiedział, że Deverell pojawił się w Marrakeszu. Ale Collin przybył do Maroka ze świadomością, że może odzyskać własność jedynie w sposób, w jaki ją utracił - przez kradzież. Jak to zrobić? Próbował w życiu wielu rzeczy, ale nigdy nie był złodziejem.

Obserwując, jak potężny tłum tłoczy się na wąskich uliczkach, przypomniał sobie nagle, że w Marrakeszu obchodzony jest właśnie nieZwYkłe barwne doroczne święto ku czci lokalnego świętego, Moussema z Sitti Fatma. Miasto zamieniło się w obóz tysięcy pielgrzymów, ulice wypełniły się tancerzami, kuglarzami, akrobatami i bajarzami. Choć "niewierni" nie mieli dostępu do grobu świętego, mogli uczestniczyć w nie kończącej się zabawie. Collin jednak nie był w nastroju do świętowania. Dla człowieka podróżującego po świecie w poszukiwaniu zabawy i wrażeń taki festyn mógłby stanowić nie lada gratkę, ale teraz umysł mężczyzny był zaprzątnięty tylko jedną, obsesyjną myślą.

Skinął na kelnera.

- Ile płacę? - zapytał po arabsku, wskazując talerz.

Młody kelner uśmiechnął się i z szybkością karabinu maszynowego powiedział, ile się należy. Collin popatrzył na niego przez chwilę, wy dobył z kieszeni kilka drachm i wręczył je młodzieńcowi.

- Reszty ,nie trzeba - rzekł, starannie wymawiając słowa. Chłopak spojrział na monety, wyszczerzył radośnie zęby, pokiwał głową i wyraził wdzięczność zdaniem, którego Collin nie zrozumiał. Mógł jedynie domyślić się jego znaczenia, patrząc na wyraz twarzy kelnera. Co ja takiego zrobiłem? Może dałem mu dwudziestodolarowy napiwek? - zastanawiał się po odejściu kelnera.

Wczesnym popołudniem Collin stanął przed murem okalającym wspaniałą willę Harringtona, znajdującą się na rubieżach miasta. Ależ to prawdziwa forteca pomyślał ponuro, zaglądając do środka przez ciężkie żelazne wrota. Po dziedzińcu spacerowali uzbrojeni strażnicy, patrolujący teren, po którym biegało wolno pół tuzina groźnie wyglądających dobermanów. Właściciel domu musiał obawiać się, że agenci amerykańscy przyjadą za nim aż tutaj. Przed czterema laty William Harrington należał do najbardziej bezwzględnych i wpływowych członków zorganizowanego świata przestępczego. Mówiło się, że jest zamieszany w międzynarodowy handel bronią, czym bardzo interesowało się Ministerstwo Sprawiedliwości. Kiedy zaczęto gromadzić dowody przeciwko handlarzowi, któremu nie udało się przekupić nikogo odpowiedniego, zbiegł do Maroka, gdzie nie musiał obawiać się ekstradycji. Nie mam szans dobrać się do tego skurwysyna - pomyślał Collin. - Jak mogłem być tak cholernie głupi, że nie przyjechałem tu z gotowym planem. Nie miał pojęcia, jak dostać się do twierdzy Harringtona.

Problem nieoczekiwanie rozwiązał się sam jeszcze tego samego wieczoru w kasynie luksusowego hotelu Mamounia. Collin postanowił wtopić się w nocne życie Marrakeszu, licząc na to, że trafi na jakiegoś znajomego Williama Harringtona albo znajdzie osobę, która wskaże mu sposób, w jaki mógłby się dostać na teren posiadłości. Nie spodziewał się bynajmniej spotkać rodzonej córki Harringtona ani nie sądził, że tak bardzo spodoba się tej dziewczynie.

Samanta Harrington miała dwadzieścia dwa lata. Była wYsoką i fantastycznie zbudowaną blondynką, niezwykle nieśmiałą i skromną. Oszałamiająco piękną i niewiarygodnie naiwną. Co ona może robić w takim miejscu? - zastanawiał się CoHin. - To nie może być jego córka - pomyślał rozbawiony, gdy usiedli obok siebie przy drinku. - Porwał pewnie jakieś dziecko swojej ofiary. Boże, przecież córka sukinsyna nie może tak wyglądać!

Kiedy rozmawiali, a ona tęsknie patrzyła na niego głębokimi błękitnymi oczami, w głowie Deverella zaczął się rodzić plan. Samanta mogła stać się kluczem do domu swego ojca. Zostanie jej kochankiem, i już jest jedną nogą na progu niegościnnego zamczyska!

- Przeznaczenie skrzyżowało nasze ścieżki, *cherie* - powiedział, pochylając się nad stołem, by ująć

jej dłoń.

Uśmiechnęła się skromnie.

\_ . Naprawdę wierzysz, że to przeznaczenie?

Ich spojrzenia spotkały się.

- Ja to wiem - odparł szczerze.

Samanta Harrington musiała wieść w Maroku nader nudne życie. Zresztą w Nowym Jorku tak samo. Była niemal całkowicie odcięta od świata, na co dzień stykając się jedynie z oziębłym, perfidnym draniem. Collin szybko zauważył, że dziewczyna nie pasuje do świata Williama Harringtona. Była cicha i nieśmiała, wręcz staroświecka. Kobieta-d.ziecko, która najwyraźniej nie miała zbyt wiele do czynienia z mężczyznami. Mężczyźni, których spotkała, najprawdopodobniej bali się jej dotknąć - pomyślał Collin. - Nic dziwnego, Harrington z pewnością poobrywałby im jaja i rzucił hienom na pożarcie.

Collin codziennie widywał się z Samantą. Zawsze spotykali się na mieście, czasem w porze lunchu, ale bardzo często już rano i spędzali razem cały dzień. Żegnali się dopiero nocą. Ani razu nie poprosiła go, żeby odwiózł ją do domu albo do niej zadzwonił. Do miasta przyjeżdżała samochodem Harringtona, a kierowca czekał na nią aż do wieczora.

Wreszcie Collin uznał, że uzyska zaproszenie do jej domu tylko wtedy, gdy przekona ją o swoich poważnych zamiarach. Musi dać jej do zrozumienia, że jest zakochany. Zrobię to jeszcze dzisiaj - postanowił, czekając na dziewczynę w umówionym miejscu.

Gdy wysiadała z samochodu, wysoka i opalona, długie złote włosy falowały wokół ramion. Szła w stronę Collina. Miała na sobie granatowe płócienne spodnie, przejrzystą białą bluzkę i ciężki naszyjnik ze srebra. Jest prześliczna - pomyślał Collin, wstając z miejsca. Szkoda, że ma ojca potwora.

- Dzień dobry, *cherie* - pozdrowił ją, całując delikatnie w rękę.

Uśmiechnęła się i zarumieniła lekko.

- Witaj, Collinie - odrzekła niskim, miękkim głosem.

- Wybacz mi spóźnienie. Długo czekałeś?

Pokręcił głową.

- Na ciebie zawsze warto czekać - zapewnił z ciepłym uśmiechem.

- Jesteś taki miły. - Była zakłopotana komplementem. - Zasnęłam. Wróciłam do domu około trzeciej w nocy.

- Nie miałaś żadnych nieprzyjemności z mojego powodu? - zagaił ostrożnie Collin. Ostatnia rzecz, jakiej potrzebował, to rozgniewać Harringtona albo wzbudzić jego podejrzliwość.

Samanta pokręciła głową.

- Nie, skądże. Zresztą ojciec wyjechał do Tangeru. Nie będzie go tydzień albo dwa.

Spojrzał na dziewczynę, starając się ukryć zaskoczenie.

Była to miła niespodzianka. Harrington opuścił swą twierdzę, a jego córka przybędzie na każde zawołanie ... CoHin sam nie wymyśliłby lepszej okazji.

- To dobrze - odezwał się w końcu. - Będziemy mogli więcej czasu spędzać razem.

- A moglibyśmy przebywać razem jeszcze dłużej niż do tej pory? - Samanta zachichotała.

Spojrzał jej głęboko w oczy.

- Jest pewien sposób ...

Słońce chyliło się ku zachodowi, gdy Collin prowadził Samantę do swego pokoju w Hotel des Almoravides. Z początku opierała się nieco, ale użył całego wdzięku, by przekonać ją, że postępują słusznie.

- Jak mam okazać, co do ciebie czuję, jeśli nie pozwolisz mi się z tobą kochać? - zapytał, całując ją namiętnie w cieniu minaretu Koutoubia. Wkrótce jej wątpliwości rozproszyły się pod wpływem rozbudzonego pożądania.

Teraz, kiedy znaleźli się sam na sam w pokoju hotelowym, przyciągnął ją do siebie i znowu pocałował.

- Nie bój się - szeptał, głaszcząc ją po włosach. \_ Będzie cudownie, zobaczysz.

- Kocham cię, Collin, ale ... - Zająknęła się nerwowo.

- Ale co? - zaczął całować jej kark.

Zawahała się.

- Jeszcze nigdy tego nie robiłam - odrzekła w końcu.

- Nigdy nie byłam z mężczyzną.

Nie zaskoczyła tym Collina. Harrington prawdopodobnie strzegł jej uważniej niż swoich kradzionych skarbów.

Przynajmniej usiłował.

- Będę bardzo delikatny, Sam, przyrzekam - powiedział, bawiąc się guzikami jej bluzki. - Nie zrobię niczego, na co nie będziesz miała ochoty, zgoda? - Powoli odpiął guziki, odsłaniając jej piersi. Przykrył dłonią jedną z nich. - Jesteś piękna - szepnął i pieszcząc ją delikatnie, pocałował pełne usta. Drżała. - Odpreź się \_ powiedział cicho, biorąc dziewczynę na ręce.

Zaniósł ją do łóżka i powoli rozebrał do końca. Szepcząc wyznania miłosne, czule dotykał zmysłowego ciała - własnego ubrania pozbył się o wiele szybciej - po czym położył się obok niej. Pieścił i całował ciało Samanty cal po calu. Jesteś naprawdę piękna - pomyślał, czując wzrastające pożądanie.

- Odpreź się, *cherie* - zamruczał niskim głosem, wodząc opuszkami palców po piersiach dziewczyny. Zataczał kciukiem małe kręgi wokół sutków. Pochylił głowę i wziął jedną do ust. Ssał ją powoli i delikatnie, starając się pobudzić kobietę. Wsunął dłoń między nogi i zaczął pieścić łono. Zacisnęła uda, ale on łagodnie rozsunął je i kontynuował to, co zaczął. Czuł już wilgoć, ale wiedział, że dziewczyna nie jest jeszcze gotowa. .

- Chcę cię tam pocałować - szepnął, a jego palce nie przestawały podniecać jej coraz bardziej. Gwałtownie potrząsnęła głową.

- Tylko raz, kochanie - nalegał łagodnie. - Jeżeli nie spodoba ci się, przestanę. Przyrzekam.

Nie czekając na odpowiedź, ześlizgnął się w dół łóżka, pochylając twarz nad trójkątem miękkich złotych włosów pokrywających łono. Rozsunął różowe wargi, przypominające muszlę morską, pochylił usta i pocałował ją. Potem jeszcze raz i jeszcze. W końcu, kiedy był pewien, że jest gotowa, zaczął dotykać jej także językiem. Czuł, jak cała dygocze pod wpływem pieszczot. Nie próbowała go powstrzymać, więc nie przestawał, dopóki nie zaczęła pojękiwać cicho i widać się pod dotykiem warg. Przytrzymał ją mocno i doprowadził do gwałtownego orgazmu, aż krzyknęła głośno, a jej plecy wygięły się w łuk.

Ciało Collina drżało z pożądania, ale nie nadeszła jeszcze odpowiednia chwila. Wyciągnął się obok dziewczyny i wsunął prawą dłoń między jej uda. Drgnęła, ale przytulił ją mocno i wsunął w nią najpierw jeden, a potem dwa palce, nie przestając zapewniać o swej miłości.

- Dotknij - powiedział cicho, prowadząc dłoń Samanty do swego gorącego, nabrzmiałego członka. - Wejdę tym w ciebie. Teraz.

- Jeszcze nie - błagała.

- Zaboli, ale tylko troszkę - obiecał. - Spokojnie, kochanie ... pozwól dać sobie moją miłość. -

Uniósł się i przygniótł dziewczynę do łóżka, wchodząc w nią cicho, cierpliwie. Krzyknęła krótko, ale Collin wciąż głaskał złociste włosy i okrywał ją pocałunkami. - Odpreź się nalegał. - Leż spokojnie i pozwól mi się kochać... Zaczął poruszać się wewnątrz niej, coraz szybciej, głębiej, czując, jak narasta jego podniecenie, aż w końcu eksplodował. Opadł na dziewczynę bez sił leżąc tak, dopóki nie wrócił mu normalny oddech.

- Wszystko W porządku? - zapytał po długiej chwili. Samanta pokiwała głową, uśmiechając się promiennie.

- Cieszę się, że to się stało, kochanie - powiedziała miękko. - Od dawna chciałam się z tobą kochać, jeszcze tej nocy, gdy się poznaliśmy, ale nie tobiłam tego nigdy wcześniej i nie byłam pewna ...

Oparł się na łokciach i spojrzał na nią w ciemnościach.

- Czasami pierwszy raz bywa trudny, ale później udaje się coraz lepiej. Będzie wspaniale.

Zobaczysz \_ zapewnił ją.

- Jestem tego pewna - odrzekła, bawiąc się jego złotym medalionem. - Masz tyle cierpliwości... Nie masz nawet pojęcia ile - pomyślał.

Collinowi nie podobał się pomysł wykorzystania Samanty. Łatwo ją zranić. Poza tym kochała go. Był zły na siebie za to, co jej zrobił, ale nie widział innego sposobu odzyskania własności. Próbował usprawiedliwić się, mówiąc sobie, że Harrington zabrał rzecz należącą do niego, więc i on miał prawo wziąć coś, co należy do Harringtona. Ale ona nie jest obrazem ani brylantowym naszyjnikiem - myślał ponuro. - Jest istotą ludzką. Ciepłą, wrażliwą kobietą, którą wykorzystałem. Kiedy to odkryje, prawda może ją zranić. Nie miał zamiaru nikogo ranić. Chciał tylko odzyskać swoje. Teraz nie jestem

. lepszy od nich - pomyślał. Ale nie pora zawracać. Zaszedł już tak daleko, że nawet sumienie go nie powstrzyma. Nadal spotykał się z Samantą, utwierdzając ją w przekonaniu, że jest w niej zakochany. Dziewczyna szybko pokonywała wszelkie obawy, dręczące ją podczas pierwszej wspólnej nocy, i teraz najchętniej nie opuszczałyby łóżka. Niezależnie od tego, czy właśnie jedli kolację w najlepszej restauracji w mieście, czy rozkoszowali się nocnym życiem Marrakeszu, wystarczyło, że Collin spojrzał znacząco, a już ruszali do hotelu. Miał świadomość, że może osiąść Samantę, gdzie i kiedy zechce. Robił wszystko, żeby zawsze miała ochotę na seks. Rozporządzał jej ciałem i duszą. Wcześniej czy później wprowadzi go do willi swego ojca. Czas uciekał. Harrington był jeszcze w Tangerze, ale mógł wrócić lada dzień. Collin musiał dostać się do willi i zabrać obraz przed powrotem gangstera.

Nastąpiło to zupełnie niespodziewanie. Pewnego poranka Samanta zatelefonowała do hotelu, by powiedzieć, że samochód się zepsuł i kierowca nie może przywieźć jej do miasta. Collin był wniebowzięty - oto okazja, na którą czekał.

- Może ja mógłbym po ciebie przyjechać? - zaproponował od niechcienia.

- Sama nie wiem ... - zaczęła niepewnie.

Czego się obawia? - zastanawiał się Collin. Jej ojciec nie opuścił jeszcze Tangeru.

- Chcesz być ze mną, skarbie? - zapytał sugestywnym tonem.

- Naturalnie! Ale ... - Wahała się przez chwilę. - Dobrze. Poinformuję strażnika przy głównej bramie. Wejdiesz do domu, będę na ciebie czekać.

- Przyjadę za godzinę - obiecał.

W drodze do willi Harringtona rozmyślał gorączkowo ..

Kiedy dostanie się do budynku, musi przede wszystkim zlokalizować obraz. Potem znajdzie sposób, by wynieść go bez wzbudzania podejrzeń Samanty i straży. Pomyślał o psach. Rozerwą mnie na strzępy - stwierdził. Klął siebie w duchu za to, że nie przygotował wcześniej planu, nie przemyślał wszystkiego szczegółowo.

Kiedy przyjechał, umundurowany strażnik wskazał mu drogę. Jadąc długim, brukowanym podjazdem, podziwiał wspaniałą willę w stylu śródziemnomorskim .. Miała co najmniej czterdzieści pokoi. Cały dzień można stracić na poszukiwania. Poza tym nie trudno zabłądzić - pomyślał. Zaparkował, wysiadł z samochodu i podszedł do frontowych drzwi. Marokański boy wpuścił gościa do środka, zaprowadził do biblioteki i poprosił go, by poczekał. Collin uśmiechnął się pod nosem. Samanta pewnie jeszcze nie zdecydowała, co na siebie włoży. Jej radość z każdej nowej sukienki czy pary butów była niemal dziecinna. Czekał cierpliwie. Zyskam na czasie i może w końcu coś wymyślę - powiedział sobie.

Za jego plecami otworzyły się drzwi.

- Mam nadzieję, *cherie*, że jesteś gotowa ... - Collin odwrócił się i urwał, zdając sobie nagle sprawę, że stoi twarzą w twarz z Williamem Harringtonem. Mężczyzna był wysoki i siwy, miał surowe jastrzębie rysy.

- Dzień dobry - rzekł chłodno. - Obawiam się, że moja córka nie spotka się dzisiaj z panem.

Właśnie wyjechała do Paryża.

- Nie wspomniała o tym przez telefon... - zaczął Collin.

- Dowiedziała się o podróży zaledwie półtorej godziny temu. Kazałem jej wyjechać. - Harrington usiadł przy obitym zieloną skórą zabytkowym biurku. - Wiem wszystko o pańskim związku z nią ...

i nie akceptuję go.

- Samanta jest dostatecznie dorosła, żeby decydować za siebie ...

- Niech pan się nie wysila. Wiem, po co pan tu przyjechał, Deverell. Wykorzystał pan inożą córkę, by się tu dostać. Wszystko na darmo. Zapłaciłem kolosalną sumę za to dzieło i nie mam zamiaru się z nim rozstawać.

- Należy do mnie! - zawołał Collin z furją. - Zostało ukradzione!

- Mam dowód kupna.

- Sfalszowany!

- Każdy sąd go uzna - przypomniał szyderczo Harrington.

- Nie sądzę, żebyś w promieniu pięćdziesięciu mil znalazł jakiś sąd - zakpił Collin.

- Nie będę musiał - odparł spokojnie Harrington. \_ Deverell, moi ludzie obserwowali pana od chwili przyjazdu do Marrakeszu. Uwiodłeś moją córkę! Już za to powinienem się ciebie pozbyć. Wtedy dopiero dotarło do Collina, co Harrington zamierza. Odruchowo rzucił się przed siebie, ale potężny goryl przewrócił go na ziemię jedną ręką. Kiedy usiłował stanąć na nogi, został pochwycony przez dwóch innych mężczyzn. Próbował im się wyrwać, ale goryl wymierzył mu potężny cios w splot słoneczny. Collin zgiął się wpół, wywracając oczy z bólu. Rzucili go na podłogę. Stracił przytomność.

Olbrzymi zwrócił się do Williama Harringtona:

Co mamy z nim zrobić, szefie? - zapytał.

- Pozbądźcie się go - polecił zimno gangster. - Ale nie za szybko. Chcę, żeby się trochę pomęczył, zanim zdechnie.

Collin z wysiłkiem rozwarł powieki. Z początku nie wiedział, gdzie się znajduje. Tak więc wygląda piekło pomyślał oszołomiony. Spróbował oprzeć się na prawym ramieniu, ale nie dał rady. Te sukinsyny złamały mi rękę. Mrużąc oczy, spojrzął w górę na rozżarzone do białości słońce. Gorąco ... gorąco nie do wytrzymania pomyślał. Leżał na piasku. Był na pustyni! Usiłował czołgać się, pomagając sobie lewą ręką, ale jego ciało było niewiarygodnie ciężkie. Rozglądał się, ale jego wzrok jednak nie był wystarczająco ostry, tak jakby mu się przez głowę przetaczał pociąg towarowy. Gardło wyschło na wiór. Collin nie miał pojęcia, ile czasu tu leży. Harrington chciał jego śmierci i wyglądało na to, że jego życzenie się spełni.

Ponownie spojrzął w niebo. Wyraźnie dostrzegał olbrzymie ptaki, zataczające kręgi nad jego głową. Sępy? Może to tylko halucynacje? Obserwują i czekają. Ten widok napełnił Collina furją... i świeżymi siłami do walki o przetrwanie. Może wygrasz, draniu - pomyślał z wściekłością. - Może nie uda mi się wy dostać z tej przeklętej pustyni. Ale jeżeli przetrwam, dostanę ciebie i całą resztę. Łącznie z moim drogim braciszkiem. Nawet jeśli przyjdzie mi poświęcić na to całe życie. Znowu stracił świadomość.

### *Ouarzazate, Maroko, wrzesień 1982*

Collin czuł, że chwilami budzi się ze stanu podobnego do snu, nigdy nie odzyskując pełnej świadomości. Mglisto zdawał sobie sprawę, że nie leży już na piasku. Nie było skwaru, palącego słońca, jego oślepiających promieni. Tylko chłodny, przyjemny mrok Deverell miał niejasne wrażenie, że unosi się na obłoku miękkiego, orzeźwiająco zimnego jedwabiu. Od czasu do czasu czuł na twarzy dotyk czegoś chłodnego i wilgotnego. Nie miał pojęcia, gdzie się znajduje i od jak dawna tu przebywa. Czy ja nie żyję? - zastanawiał się, po czym świat ponownie pogrążył się w ciemności.

Kiedy wreszcie mgły opadły i mógł po raz pierwszy trzeźwo pomyśleć, odkrył, że jest w całkowicie nieznanym miejscu. Leżał na łóżku w małym, pustym, słabo oświetlonym pomieszczeniu. Próbował usiąść, ale nie mógł się poruszyć. Prawe ramię było unieruchomione, lecz nie odczuwał bólu. Głowa bardzo ciążyła. Uniósł lewą rękę i delikatnie dotknął skroni. Całą głowę miał zabandażowaną. Jak ja się tu dostałem? - pomyślał. \_ Kto opatrzył rany i złożył złamaną rękę? Jak udało się przetrwać na pustyni? Na ostatnie pytanie znał odpowiedź: przetrwał dzięki chęci życia. Nie umarł, bo nie wyrównał jeszcze rachunków. Musiał dokończyć rozpoczęte dzieło, zemścić się

na człowieku, który ograbił go i próbował zabić.

W tym momencie drzwi otworzyły się i do pokoju wszedł wysoki ciemnoskóry mężczyzna koło sześćdziesiątki, Arab, ale najprawdopodobniej nie Marokańczyk. Miał czarne, mocno kręcone włosy lekko przyprószone siwizną i śniadą ce.rę. Był ubrany w tradycyjny bawełniany strój. Na małym stoliku, obok łóżka Collina, postawił srebrną misę pełną wody. Deverell próbował coś powiedzieć, ale język odmówił mu posłuszeństwa i słowa zmieniły się w niezrozumiałe bełkot.

Mężczyzna nabrał szklanek wody i przyłożył ją do ust Collina, zachęcając do picia. Ranny pił wojno, małymi łykami, po czym jeszcze raz spróbował mówić. Tym razem udało mu się wydusić z siebie podziękowanie, którego nauczył się z "Rozmówek arabskich".

Arab spójrzył na niego rozbawiony.

- Mówię po angielsku - odezwał się z twardym akcentem charakterystycznym dla ludzi Wschodu.

Collin przyglądał mu się przez chwilę.

- Jak .. jak się tu znalazłem? - zapytał wreszcie.

- Przyniosłem cię tutaj. - Mężczyzna namoczył gąbkę w misce, wycisnął z niej nadmiar wody i zwilżył Collinowi twarz.

- Długo tu jestem?

- Prawie dwa tygodnie. Bardzo długo spałeś. Pewnie zjadłbyś coś?

Collin przytaknął, nagle uświadamiając sobie, że jest przeraźliwie głodny.

- Zajmę się tym. To nie potrwa długo. - Nieznajomy chciał się podnieść z krzesła, ale Collin chwycił go za ramię.

- Zaczekaj! - rzekł rozkazującym tonem. - Musisz mi powiedzieć ...

Mężczyzna uśmiechnął się wyrozumiale.

- Nie jesteś jeszcze gotów do rozmowy - odparł. - Później, kiedy odzyskasz siły odpowiem na wszystkie pytania. Na razie musisz odpoczywać i wracać do zdrowia. Czekaj nas długa droga, przyjacielu. I bardzo niebezpieczna. Będziesz potrzebował całej swej siły i odwagi, by stawić czoło nadchodzącym dniom. - Wstał i podszedł do drzwi. - Zaraz wrócę. Nie próbuj wstawać z łóżka. Nie jesteś jeszcze gotowy. - Wyszedł z pokoju, zamykając za sobą drzwi.

Collin długo patrzył za nim rozmyślając. Czekaj nas długa droga. Nas. Ten człowiek uratował mu życie, pielęgnował go. Dlaczego?

Czego on może ode mnie chcieć?

- Przetrwaleś - rzekł mężczyzna, z zadowoleniem obserwując, jak Collin pochłania posiłek. Minał tydzień od chwili, gdy Deverell odzyskał przytomność. Z każdym dniem przybywało mu sił. - To dobry znak.

- Jaki znak? - Collin podniósł głowę znad talerza. \_ W ciągu minionego tygodnia często wspominałeś o trudnym zadaniu i o różnych rzeczach, których musimy dokonać, a ja nawet nie wiem, kim jesteś i dlaczego mnie uratowałeś!

- Jesteś strasznie niecierpliwy - stwierdził Arab. \_ Będziesz musiał się nauczyć opanowania. Moje imię nie jest istotne, zresztą i tak nie potrafiłbyś go wymówić. Mów mi Blackjack. Jeżeli chodzi o to, dlaczego zabrałem cię z pustyni... Możesz nazwać to troską o bliźniego.

- Jednak mam wrażenie, że chodzi tu o coś więcej, nieprawdaż? - Collin indagował uparcie.

Blackjack wahał się przez moment.

- To prawda - przyznał w końcu.

Deverell wolno pokiwał głową, biorąc do ust kawałek pieczonego *kefia*, które przyrządził jego opiekun. Jest to potrawa z mielonego mięsa, aromatycznie i ostro przyprawionego. Smakowała wybornie.

- Cóż - powiedział po chwili - jeśli jestem komuś coś winien, to z pewnością tobie. Jak więc mam spłacić dług? .

- Zrealizuj zamiar, z którym przyjechałeś do Maroka. Collin spojrzył na niego szczerze zdumiony.

- Wiesz coś o tym? - zapytał, odkładając widelec z mięsem.

Blackjack przytaknął.



- Wiem, kim jesteś i w jakim celu tu przyjechałeś. Wiem również, dlaczego Harrington chciał cię zabić odrzekł bez ogródek. - Obserwowałem cię od chwili twego przyjazdu. Widziałem, jak Wynosili cię z willi. Podążyłem za nimi na pustynię. Kiedy upewniłem się, że odeszli, zabrałem cię stamtąd i przyniosłem tutaj.

- Dlaczego? - nalegał Collin, oszołomiony tym, co usłyszał. - Czemu interesujesz się, czy odbiorę mój obraz Harringtonowi?

Mężczyzna uśmiechnął się.

- Nie tylko ty masz rachunki do wyrównania - odparł spokojnie. - Chciałbym upiec moją pieczeń przy twoim ogniu, czy jak wy, Amerykanie, to nazywacie. Mam u Harringtona i paru innych dług do spłacenia.

- A do czego ja jestem ci potrzebny? - zapytał Collin.

- Potrzebujemy siebie nawzajem. Ty jesteś młody i zdeterminowany. Odważny, ale głupi. Ja jestem za stary, żeby przystępować do tej walki, ale mam wiedzę i doświadczenie, którymi się z tobą podzielę. Tak przygotowany, będziesz miał szansę na wygraną.

- Nie bardzo rozumiem.

- Zrozumiesz - obiecał Blackjack. - Widzisz, żeby pokonać facetów takich jak William Harrington, trzeba stosować ich własną broń.

- Ich broń? - Collin nadal nie był pewien, czy dobrze rozumie.

- To złodzieje - wyjaśnił Blackjack. - Jeśli chcesz mieć jakieś szanse w walce z nimi, musisz także kraść i nauczyć się omijać prawo.

Collin zdecydowanie pokręcił głową. - Ale ja nie wiem, jak. ..

Blackjack uniósł dłoń.

- Ja, mój przyjacielu, pokażę ci, jak - przyrzekł.

Chociaż Blackjack nie mówił zbyt wiele ani o sobie, ani o powodach, które skłaniały go do zemsty na Harringtonie, Collinowi udało się dowiedzieć, że jego wybawca był kiedyś profesjonalnym włamywaczem, zajmującym się dziełami sztuki. Pracował w "duecie" z człowiekiem Harringtona. Nadszedł jednak dzień, kiedy zoł: stał oszukany na olbrzymią sumę i znalazł się w więzieniu. W momencie zwolnienia był już zbyt stary, by wracać do poprzedni,ej działalności. Nie znał innego zawodu. Podczas nieobecności Blackjacks handlarze "żywym towarem" sprzedali jego piętnastoletnią córkę do burdelu w Tangerze. To także stało się za sprawą Harringtona. Blackjack chciał na początku zabić gangstera, ale nie mógł się do niego zbliżyć. Przez całe lata czekał z nadzieją, że uda mu się nawiązać kontakt z kimś, kto pałałby nienawiścią do jego wroga. Gdy Collin pojawił się w Marrake": szu, Arab wiedział, że znalazł właściwą osobę.

- Przypuszczam, że nie podzielasz mojego zdania \_ powiedział Blackjack pewnej nocy, gdy rozmawiali, siedząc przy rozpalonym kominku w saloniku - ale sprawiło mi satysfakcję to, co zrobiłeś z córką tego drania. Myślałem wtedy o mojej Yasmin i czułem, że została pomszczona.

Collin wpatrywał się w ogień spod przymkniętych powiek.

- Nie jestem dumny, że wykorzystałem Samantę \_ odparł cicho. - Nie powinna odpowiadać za czyny swego ojca. Nawet nie zdaje sobie sprawy, jakim on jest człowiekiem.

- Winy ojców spadają na głowy ich synów ... i córek \_ rzekł Blackjack.

- Być może - przytaknął Collin - ale to chyba nie jest sprawiedliwe? - Wstał i zaczął krążyć po pokoju niczym zwierzę uwiecznione w klatce. Nie myślał o Samancie, lecz o sobie i o bracie. Poróżnili się, bo przyszło im płacić za błędy ojca.

Blackjack spojrział na Deverella.

- N a razie jesteś tylko amatorskim graczem w profesjonalnej rozgrywce. Musisz nauczyć się kierować rozumem, a nie sercem, jeśli chcesz przetrwać w naszym świecie - ostrzegł. - W tym interesie nie ma lhisca na sentymenty. Sumienie musi milczeć.

"Nasz świat" ... - Collin westchnął głęboko. Czy naprawdę był to jego świat? Czy musi stać się innym człowiekiem, by osiągnąć swój cel? Ich wspólny cel. Człowiek, który na Saharze wyrwał Deverella śmierci i przywiózł go do Ouarzazate, na skraj pustyni, miał

wiele silniejsze motywy zemsty niż on. Collin myślał córce Blackjacka, niewinnej dziewczynie, z której te sukinsyny zrobiły prostytutkę. Blackjack szukał jej po wyjściu z więzienia, ale wszystkie wysiłki zdały się na nic. Została sprzedana bogatemu Francuzowi i nikt w burdelu nie potrafił powiedzieć, dokąd wyjechała. A nawet jeśli ktoś wiedział, nie chciał mówić. Collin pokręcił głową. Pomyślał o długiej drodze, która przywiodła go aż tutaj, o ojcu i matce, ich bezsensownej śmierci, o Justinie obsesyjnie opętanym przez żądzę władzy. Uświadomił sobie, że nie zazna spokoju, dopóki nie dokończy dzieła. Odwrócił się do Blackjacka.

- Kiedy zaczynamy?

- O jednym nie możesz zapomnieć: tutaj nie ma miejsca na błędy - powiedział Blackjack. - Jeden niewłaściwy krok może być ostatnim.

Collin miał wrażenie, że przygotowuje się do igrzysk olimpijskich. Pracowali od świtu do nocy przez siedem dni w tygodniu, zachowując spartańską dyscyplinę, trudną do zniesienia nawet dla tak wysportowanego mężczyzny jak Collin. Rozłączał alarmy przeciwwłamaniowe i otwierał sejfy. Ćwiczył rozmaite metody włamań. Nauczył się fałszować dokumenty i rozróżniać kilkadziesiąt systemów bezpieczeństwa. Blackjack pokazał mu, jak korzystać z drabinki sznurowej i nauczył mocować liny. Dzięki temu Collin mógł bez trudu dostać się do wszystkich gabinetów i apartamentów, położo-

'nych nawet na najwyższych piętrach. Blackjack był surowym i wymagającym instruktorem. Collin musiał powtarzać każdy manewr tysiące razy, dopóki nie wykonał go sprawnie i precyzyjnie. Był jednak obiecującym uczniem, bystrym, zręcznym i nieustraszonym.

Po kolacji całymi godzinami omawiali miniony dzień i planowali następny. Collin nauczył się bardzo wiele.

Sprawność fizyczna, idealna równowaga i koordynacja ruchów uczyniły go włamywaczem zwinnym niczym kot.

- Masz umiejętności i motywację - powiedział Blackjack. - Jesteś w stanie dokonać cudu. Pobijesz mistrzów w ich własnej grze.

Podczas bezsennych nocy Collin rozmyślał nad tym, jak daleko zaszedł i dokąd jeszcze zajdzie. Popęlił niewybaczalny błąd, przyjeżdżając do Maroka bez ustalonego planu. Nie docenił Harringtona. Nigdy więcej nie wyda o nikim podobnie mylnego sądu;

Kukłę powieszono u krokwi w małej walącej się szopie na tyłach domu. Nie było tam elektryczności, ale mnóstwo światła przedostawało się przez liczne szpary w ścianach i dachu szopy. Collin uważnie przyjrzał się manekinowi, który miał na sobie garnitur z dziesięcioma kieszeniami. Do każdej z nich przyczepiono dzwoneczek.

- Kieszenie są wypełnione pieniędzmi i biżuterią - wyjaśnił Blackjack. - Należy opróżnić wszystkie dziesięć kieszeni bez poruszania dzwoneczków.

Jasna cholera - pomyślał Collin, a głośno zapytał: - Będę obrabiać kieszenie?

- Możliwe. - Blackjack skinął głową. - Musisz być przygotowany na wszystko.

Collin zastanawiał się przez chwilę. Jeżeli to ci się uda, dasz sobie radę w każdej sytuacji - zdecydował. Niestety, poruszył dzwonek przy pierwszej kieszeni. Następnym razem był bardziej ostrożny. Udało się dopiero przy czwartym popejściu. Próbował uparcie, aż wreszcie po koniec dnia opróżnił wszystkie dziesięć kieszeni bez dotykania dzwoneczków.

- Łatwo wkraczasz w to życie - powiedział Blackjack tej nocy. - UCZysz się o wiele szybciej niż niejeden z zawodowców.

W odpowiedzi Collin uśmiechnął się szeroko. Usiadł na kolorowym ręcznie tkanym chodniczku przed kominkiem. Wpatrując się w ogień, wspominał słowa ojca:

"Cokolwiek robisz, niezależnie od tego, czy to interes czy przyjemność, zawsze staraj się być najlepszy. Tacy są wszyscy Deverellowie". Uśmiechnął się do siebie. Dobrze, tato, tym razem wezmę do serca twoją radę, choć wątpię, byś miał na myśli to zajęcie. - Roześmiał się głośno.

- Co cię tak ubawiło? - zapytał Blackjack. Collin wyjaśnił mu.

- Mamy przed sobą jeszcze dużo roboty - dodał. Kiedy skończymy, będę najlepszym złodziejem w tym kraju.

- Nadszedł czas sprawdzenia twoich umiejętności - powiedział Blackjack pewnego ranka. - Jesteś gotów powrócić do Marrakeszu.

Collin podniósł wzrok. Pracowali ciężko, dążąc do celu przez długie miesiące. Teraz, kiedy nadeszła oczekiwana chwila, miał wrażenie, że wszystko dzieje się zbyt szybko.

- Jesteś pewien? - zapytał ostrożnie.

- Nie mam najmniejszych wątpliwości - odparł Blackjack. - Uważam, że jesteś odpowiednio przygotowany, by podjąć się tego zadania. Nie wysyłałbym cię przecież na pewną śmierć. Byłeś bezpieczny tylko dlatego, że uchodziłeś za zmarłego.

Collin przytaknął.

- Kiedy wyruszamy?

- Jutro rano. Do Marrakeszu jest ponad trzysta mil. Mamy niecałe dwadzieścia cztery godziny na wykonanie zadania.

- My? - zdziwił się Collin. - Wybierasz się ze mną? Blackjack pokręcił głową.

- Nie. Gdy stąd wyjedziesz, będziesz zdany wyłącznie na siebie - odparł poważnie. - Musisz polegać na własnej inteligencji. Ale mogę udzielić ci jeszcze paru wskazówek, dotyczących Harringtona i jego posiadłości. Collin zmarszczył czoło. Moja próba ogniowa - pomyślał.

Po terenie kręci się sześciu uzbrojonych strażników - powiedział Blackjack, kiedy wraz z Collinem siedzieli, pochyleni nad planem posiadłości Harringtona. - No i psy. Około tuzina tresowanych psów, gotowych rozszarpać człowieka na kawałki. Możesz zapomnieć o głównej bramie, bo nią nie da się wejść.

- A co z murem? - zapytał Collin. - Mógłbym przejść górą i...

- I psy rozdarłyby ci gardło, zanim zdążyłbyś przebiec dwadzieścia jardów. - Blackjack pokręcił głową. - Nie, ta droga odpada. Musisz znaleźć sposób, żeby ją ominąć. Pomyśl. Jesteś teraz sam, pozbawiony pomocy w razie schwytania. Którędy byś poszedł?

Collin długo i uważnie wpatrywał się w plan.

- Tędy - odezwał się w końcu, wskazując palcem wybraną trasę. - Dokładnie w połowie drogi między murem a tym balkonem rośnie rozłożyste drzewo. Za pomocą liny mógłbym dostać się na balkon i wejść do willi przez jeden z głównych pokoi.

Blackjack spojrział na współnika.

- Zdajesz sobie sprawę, jaką odległość musiałbyś pokonać?

Collin skinął głową.

- Jakież trzysta jardów. Drobiazg.

- Nie widzisz innego sposobu?

- Nie. To moja jedyna szansa.

- Nauka nie poszła w las - rzekł Blackjack z aprobatą. - Tak się składa, że pokój, o którym mówisz, ma wejście do schowka.

- Schowka?

Blackjack przytaknął.

- Jest to duże pomieszczenie, w którym można się swobodnie poruszać. To tam Harrington przechowuje swoje skarby - pieniądze, biżuterię, cenne dokumenty. Twój obraz może się też tam znajdować.

- W kryjówce? - zdziwił się Collin.

- Harrington ma mnóstwo dzieł sztuki - wyjaśnił Blackjack - Wiem dobrze, wiele z nich ukradłem osobiście. Nie wystawia ich, gdyż łatwo mogą zostać rozpoznane. Niektóre ukryto, dopóki nie będzie mógł nimi dowolnie rozporządzać albo przenieść w inne miejsce.

- W takim razie mojego obrazu może już tam nie być - podsumował Collin.

Blackjack pokręcił głową.

- Założę się o każdą sumę, że nadal tam jest - rzekł.

- Harrington posunął się do zbrodni, żeby nie wpuścić ciebie do swojego domu. Jest przekonany, że nie żyjesz. Ten obraz musi być gdzieś w willi, jeśli nie na ścianie, to z całą pewnością w schowku. Collin przytaknął.

- Jeżeli tam jest, znajdę go.

Spał niespokojnie. Wstał przed wschodem słońca.

Nie był w stanie nic przelknąć, myślał tylko o czekającym go zadaniu. "Jeden niewłaściwy ruch może być ostatni". Słowa te nieustannie brzęczały w głowie Deverella niczym natrętne owady, gdy po raz ostatni patrzył na plan posiadłości.

- Pamiętaj ... nie rób nic, co mogłoby wzbudzić podejrzenia. - Blackjack udzielał współnikowi ostatnich wskazówek Collin przygotowywał właśnie do wyjazdu dżipa, którego przyjaciel pozostawił mu do dyspozycji. - Muszą nadal wierzyć, że nie żyjesz. Dopóki nie zaczniesz działać, noś długi kaftan i turban. Każdy, zapamiętaj, każdy musi uważać cię za jednego z miejscowych. Nie pozwól, by ktokolwiek zobaczył twoją twarz.

- Nie martw się - uspokoił 'go Collin. - Nie zabawię w Marrakeszu tak długo, by ktoś mnie zapamiętał.

- *In sha allaah\**. Zobaczymy się jutro wieczorem powiedział Blackjack, wręczając Deverellowi plecak z najpotrzebniejszymi rzeczami.

• *In sha allaah* (arab.) -Jak, Bóg da.

Collin rzucił go na tylne siedzenie.

- Na pewno. Słuchaj, wiele ci zawdzięczam. Nie przypominam sobie, żebym Eiedyś dziękował ci za ocalenie życia. Chciałbym zrobić to teraz.

- Najlepszym podziękowaniem będzie pomyślne zakończenie twojej wyprawy - odparł szczerze Blackjack.

- Wiem - Przytaknął Collin - ale gdybym nie mógł powrócić tutaj od razu albo został zmuszony do ucieczki, przyrzekam, że odnajdę twoją córkę. A wtedy ci ją odeślę, w taki czy inny sposób. Arab uśmiechnął się ze wzruszeniem.

- Wierzę ci - odrzekł zdławionym głosem. Collin uśmiechnął się szeroko.

- Dorwę tych skurwysynów. Pomszczę nas obu. Blackjack patrzył za nim, dopóki dżip nie zniknął w tumanach kurzu, unoszących się nad suchą drogą. Wtedy po raz pierwszy od wielu lat w oczach starszego człowieka zabłyśły łzy.

Allach wysłuchał jego modłów.

Było tuż po północy. Willa tonęła w ciemnościach, tylko kilka świateł paliło się na parterze. Collin zdążył się już dowiedzieć, że William Harrington wyjechał do Paryża na ślub córki. Ciekawe, ile za nią dostał - pomyślał Deverell. Osłonięty gałęziami drzewa, usiadł na szczycie wysokiego muru, skąd miał zamiar dostać się do budynku. Natychmiast odsunął od siebie myśl o Samancie. Wciąż dręczyło go poczucie winy. Naucz się myśleć głową, nie sercem. W tym świecie nie ma miejsca na wyrzuty sumienia. Patrzył w milczeniu na strażników mijających jego kryjówkę. Z oddali dochodziło szczekanie psów. Jak tylko uzbrojeni mężczyźni oddalą się na bezpieczną odległość, zamierzał przystąpić do działania.

Czekanie dłużyło się w nieskończoność. Cierpliwości - powtarzał sobie w duchu. - Ucz się czekać. W końcu nadeszła odpowiednia chwila. Zsunął z ramienia zbuchtowaną linę, zakończoną potężnym rozwidlonym hakiem, przypominającym kotwicę. Ujął go pewnie w obie dłonie i z całą siłą rzucił przed siebie tak, by hak zaczepił się o balustradę balkonu. Szarpnął silnie, by upewnić się, czy dobrze trafił. Nieźle - pomyślał. Udało się za pierwszym podejściem. Potem po linie przeleciał nad dziedzińcem, by znaleźć się dokładnie pod dużym balkonem, prowadzącym do sypialni pana domu. Błyskawicznie wspiął się po balustradzie i Wskoczył do środka. Słyszac zbliżające się głosy, przykucnął i obserwował strażników, którzy mijali go już po raz drugi tej nocy.

- Niech to diabli! - mruknął przez zaciśnięte zęby. Gdyby był jakiś sposób, żeby ich stąd odciągnąć

...

Kiedy odeszli, ostrożnie wyłączył system alarmowy, tak jak pokazywał mu Blackjack, po czym otworzył zamek WYtrychem i wszedł do sypialni. Otaczały go zupełne ciemności. Sejf znajdował się po drugiej stronie pokoju. Collin po omacku ruszył przed siebie. Nagle wystraszył się odgłosu jakiegoś zwierzęcia. Cofnął się. W klatce obok okna siedziała mangusta. Blackjack opowiadał kiedyś Deverellowi, że Harrington i jego goście zabawiali się często, obserwując walkę mangust z kobrami. Zakładali się, które zwierzę zwycięży. Wyglądało na to, że pupil Harringtona nie ucierpiał podczas tych walk.

- Zamknij się - syknął Collin, zaniepokojony odgłosami wydawanymi przez egzotyczne stworzenie. Wtedy usłyszał dźwięki docierające z holu. Głosy. Szybko wskoczył za ciężkie zasłony. Drzwi sypialni otworzyły się i weszło dwóch uzbrojonych mężczyzn. Jeden z nich trzymał w ręku małe urządzenie, przypominające układ zdalnego sterowania.

- Nie rozumiem, dlaczego Harringtonowi tak zależy na sprawdzaniu schowka każdej nocy - odezwał się jeden z mężczyzn. - Chyba nikt z zewnątrz nie ma szans się tutaj dostać?

- Skądże! - odpowiedział drugi, wybuchając śmiechem. - Ale znasz szefa. Nigdy nie naraża się na zbędne ryzyko. - Przycisnął guzik urządzenia, które trzymał w ręku. Czerwone światelko rozbłysło i rozległ się wysoki dźwięk, przypominający gwizd. Potężne stalowe drzwi, ukryte do tej pory za ciężką kotarą, rozsunęły się natychmiast. Collin zerknął przez szparę między zasłonami. Mężczyźni wchodzili do środka. Dostrzegł swój obraz oparty o jedną ze ścian schowka. Zaklął w duchu. Nauczył się włamywać do każdego rodzaju sejfu, ale jak otworzy te drzwi, kiedy strażnicy się oddalą? To niemożliwe - pomyślał. I wtedy przypomniał sobie słowa Blackjaka: "Nic nie jest tak naprawdę niemożliwe. Może być nieprawdopodobnie trudne, ale nigdy nie niemożliwe". Myślał intensywnie. Trzeba znaleźć coś, co imitowałoby ten dźwięk. Ale co? Musi to być dokładnie ten sam odgłos, jako że drzwi są sterowane elektronicznie za pomocą konkretnego sygnału. Harrington z pewnością nie narażałby się na niepotrzebne ryzyko - pomyślał Collin ponuro. Czuł, że serce wali mu tak mocno, jakby chciało rozsadzić pierś. Kiedy oni się stąd wyniosą?

W końcu dwaj mężczyźni opuścili schowek, zamykając za sobą drzwi w ten sam sposób, jak je otworzyli. Śmiejąc się i rozmawiając głośno, zaciągnęli kotarę i wyszli, nie trudząc się gaszeniem światła. Gdy tylko Collin został sam, wyszedł z ukrycia i zaczął rozglądać się za czymś, co mogło naśladować dźwięk otwierający schowek. Mangusta krążyła niespokojnie po klatce i wydając przedziwne odgłosy, obserwowała każdy ruch Collina. Musi tu coś być - myślał gorączkowo. Nagle jego wzrok padł na butelkę wina i dwa kryształowe kieliszki, stojące na stoliku obok łóżka.

Przypomniał sobie matkę, która chcąc zabawić bliźniaków, nalewała wina do kryształowego pucharika i wodząc palcem po brzegu, wytwarzała niskie tony. Odetchnął głęboko i wziął do ręki butelkę. Stał naprzeciw drzwi, odkorkował wino i napełnił kieliszek. Pociągnął palcem wzdłuż krawędzi szkła. To nie to. Za dużo wina? - zastanowił się. Pośpiesznie upił duży łyk. Boże, jak on może pić coś podobnego? - skrzywił się. Trunek przypominał w smaku benzynę. Collin spróbował jeszcze raz. Wciąż niezupełnie to samo. Wypił jeszcze trochę wina. Jeżeli wkrótce nie znajdzie właściwego tonu, jutro zastaną mnie tu nieprzytomnego na podłodze - pomyślał. Trzymając kieliszek przed sobą, po raz trzeci przeciągnął palcem po krawędzi. Tym razem usłyszał znajomy wysoki sygnał. Wstrzymał oddech, patrząc, jak drzwi otwierają się przed nim niczym wrota Sezamu. Bingo! - pomyślał, wbiegając do środka. Wydobył z plecaka nóż i stanął przed obrazem Renoira. Nie chciał tego robić, ale nie było innego sposobu odzyskania go. Oprawię go natychmiast po powrocie do Nowego Jorku - obiecał sobie w duszy, wycinając płótno z ram. Pośpiesznie zrolował je i wsunął do plecaka. Już miał wychodzić, gdy jego wzrok padł na kilka starych banknotów, ułożonych równo na półce przy drzwiach. Pomyślał o Blackjaku, oszukanym przez Harringtona i jego ludzi. Wziął tyle pieniędzy, ile zdołał pomieścić plecak, i opuścił schowek. Nagle ostry dźwięk wypełnił pokój i Collin znieruchomiał, uświadamiając sobie z przerażeniem, że popełnił pierwszy błąd - zapomniał wyłączyć alarm przed schowkiem. W panice zaczął rozglądać się, aż jego wzrok spoczął na manguście. Deverell z uśmiechem podszedł do klatki, pewien, że problem został rozwiązany.

- Może rzeczywiście masz w tym życiu ważną rolę do spełnienia - szepnął bezgłośnie, majstrując przy zamku.

Kiedy dwaj mężczyźni wraz ze strażnikami, zwykle patrolującymi teren, wpadli do pokoju, po Collinie nie było już śladu.

- Niemożliwe, żeby ktoś tu wtargnął - upierał się jeden z mężczyzn. - Stąd nie ma ucieczki. Gdyby intruz próbował wydostać się przez okno, już dawno dopadłyby go psy.

- A oto mamy winnego - oznajmił strażnik, podnosząc mangustę, która siedziała na dywanie przed schowkiem. - To ona uruchomiła alarm.

- Kto, do diabła, zostawił otwartą klatkę?

- To prawdopodobnie przypadek. Ktoś, kto karmił zwierzaka dziś wieczorem, po prostu nie domknął drzwiczek - odparł rozbawiony strażnik, umieszczając mangustę z powrotem w klatce. - Nic się nie stało.

- Nic się nie stało! - Rozwścieczony mężczyzna sapał. - O mało nie narobiłem w portki przez ten przeklęty alarm.

- Powinieneś się trochę rozluźnić - upomniął go strażnik. - Chodźmy stąd.

A tymczasem za murem posiadłości Harringtona Collin pędził już dżipem, oddychając z ulgą.

Niewiele brakowało. Ale gdy zbliżał się do Ouarzazate i myślał o tym, czego udało mu się dokonać, przepełniało go uczucie radości. Życie było ciągłym poszukiwaniem nowej przygody, wiecznym wyzwaniem. Tej nocy Deverell zaspokoił swoje pragnienie. A przecież miał przed sobą długą drogę. Czuł, że czeka go wspaniała zabawa.

Pomyślał o tym, jak uwolnił z klatki mangustę, i zastanawiał się, co pomyśleli strażnicy, widząc zwierzaka spacerującego sobie w najlepsze po sypialni Harringtona. Wybuchnął nie kontrolowanym śmiechem.

To prawda. Tych facetów można pobić tylko ich własną bronią!

### *San Francisco, grudzień 1985*

Ostatnie lata przyniosły Ashley szczęście. Małżeństwo z Brandonem ułożyło się dobrze, była u szczytu sławy.

Została entuzjastycznie przyjęta na międzynarodowym rynku sztuki i mówiono, że wkrótce pojedzie z wystawą do Londynu. Brandon stał się współnikiem w firmie prawniczej i coraz bardziej interesowali się nim wpływowi politycy.

- Zastanawiam się, jakie galerie są w Waszyngtonie zagaiła nie, winnie Ashley podczas kolacji. - Prawdopodobnie w ciągu kilku przyszłych lat będę musiała tam pracować.

\_. Nie przesadzaj - odezwał się Brandon z uśmiechem. - Politycy tylko okazują mi trochę zainteresowania. N a razie nikt mi nic nie proponował.

- Ale z pewnością wkrótce to nastąpi - zapewniła Ashley. - Ci faceci nie są tacy głupi, kochanie.

Wiedziała, że Bradley i Claudia Hollisterowie nigdy nie przestali budować bariery między młodymi małżonkami, ale nie dbała o to. Mam szczęście, że mieszkają na

. drugim końcu kraju - mówiła sobie w duchu. - Moi teściowie specjalizują się w konfliktach na odległość. Wiedziała, że Brandon kontaktuje się z rodzicami przez telefon, ale nigdy nie odwiedza ich i nie odpowiada na listy.

- To twoi rodzice - przypomniała mu Ashley. - Nie sądzisz, że należałoby się w końcu z nimi pogodzić? \_ Była zadowolona, że nie musi ich widywać, jednak cokolwiek zaszło między Brandonem a jego ojcem, poczułaby się lepiej, gdyby zawarli pokój. Ale nie wyglądało na to, żeby mąż był tym specjalnie zainteresowany.

- Niektórych rzeczy nie można tak po prostu wybaczyć - odpowiedział bez dodatkowych wyjaśnień. Nigdy nie wytłumaczył żonie, co właściwie zaszło między nim a rodzicami, a ona z kolei nie naciskała, by o tym mówił. Często jednak zastanawiała się, co było przyczyną tak poważnego konfliktu. Hollisterów nie mogła rozdrażnić byle drobnostka.

Syn otrzymał imię po bracie Ashley. Robert skończył już pięć lat i do złudzenia przypominał ojca.

Miał gęste blond włosy Brandona i jego inteligentne niebieskie oczy. Był wysoki jak na swój wiek i

proporcjonalnie zbudowany. Po ojcu odziedziczył też bystrość 'umysłu oraz poczucie humoru.

- Nawet za pomocą kserografu nie potrafiłabym cię lepiej skopiować - często żartowała Ashley. Brandon zbudował na drzewie domek dla Roberta. Ashley mogła obserwować przez okna pracowni, jak synek bawi się w konarach potężnego dębu, rosnącego w ogrodzie. Czasem przerywała pracę, stawała przy oknie i patrzyła, jak chłopiec wdrapuje się do domku po drabince własnego pomysłu albo bawi się z psem rasy collie, Ścigaczem - nazwałabym tak ze względu na zamiłowanie do pogoni za samochodami. Gdy Robert pływał w odkrytym basenie, zachwycała się cudem, jaki zdołali stworzyć. Moje największe dzieło - myślała, pełna satysfakcji, jakiej nie doznawała nigdy przedtem. Hollisterowie znali wnuka jedynie z fotografii, ale Robert nie odczuwał braku dziadków, gdyż mnóstwo czasu spędzał z matką i ojcem Ashley, których ubóstwiał. Zdarzyło się, że zostawał tydzień lub dwa w Napa Valley, gdy Brandon wyjeżdżał w interesach, a Ashley przygotowywała się do kolejnej wystawy. Po powrocie chłopiec napełniał dom entuzjastycznymi opisami zbiorów czy procesów produkcji wina. Podnieconym głosem komentował opowieści dziadka o toskańskich przodkach.

- Mamusiu, nie chciałabyś zamieszkać w Napa? pytał niejednokrotnie. - Moglibyśmy być tam przez cały czas!

- Na pewno byłoby wspaniale - przytakiwała Ashley. Teraz, stojąc przed sztalugami i wpatrując się w czyste płótno, zastanawiała się, jak zacząć obraz, do którego zabierała się od dawna - portret syna. Rośnie tak szybko - myślała z żalem. Pragnęła uchwycić na płótnie dziecięcą niewinność.

- Siedź cicho, Robercie - powiedziała. Maluch wiercił się niecierpliwie na taborecie, nie mogąc zachować pozy, w której posadziła go matka.

- Jak długo będę musiał tak siedzieć? - zapytał znudzony.

- Chwileczkę - odrzekła. - Chcesz sprawić niespodziankę tatusiowi, prawda?

- Chodźmy do centrum, zrobimy zdjęcie w takiej budce - zaproponował, zachwycony swym pomysłem. To kosztuje tylko pięćdziesiąt centów.

Ashley pokręciła głowę z dezaprobatą. To nie była sztuka. Ani nawet dobra fotografia.

- Myślę, że tatuś wolałby dostać prawdziwy portret.

- Może zrobisz mi zdjęcie i będziesz malowała z niego, tak jak inne obrazy - rzekł Robert pełen inicjatywy. - Nie wierę się, proszę! - błagała.

- Kiedy coś uzażyło mnie w nogę ... - zaczął, gwałtownie trąc łydkę.

Ashley z trudem powstrzymywała śmiech.

- Jesteś taki sam jak twój ojciec - powiedziała, przypominając sobie, jak usiłowała uwiecznić Brandona w Big Sur. - On też nie potrafił usiedzieć spokojnie i już nigdy więcej nie prosiłam go, żeby mi pozował. Czy o to ci chodzi?

Uśmiech rozjaśnił twarz Roberta.

- Tak! - zawołał chłopiec.

- W porządku, wygrałeś. ~ Machnęła ręką z rezygnacją. - Możesz wyjść na dwór. Poszperam trochę w twoich najnowszych zdjęciach.

Gdy patrzyła, jak syn zeskakuje z taboretu i wybiega z pracowni, jej serce przepełniło się miłością. A przecież był czas, kiedy nie chciała mieć dzieci. Marzyła o karierze i sądziła, że to wystarczy do szczęścia. Jak bardzo się myliła! Malowanie nigdy nie przyniosłoby tego, czym obdarowali ją Brandon i Robert. Dzięki miłości czuła, że żyje naprawdę. Poza nimi nic nie miało większego znaczenia.

- Muszę lecieć do Denver na kilka dni - oznajmił Brandon. Spacerowali wzdłuż plaży, trzymając się za ręce. Robert wybiegł naprzód w poszukiwaniu muszelek, a Ścigacz wytrwale podążał za chłopcem.

Spojrzała na męża.

- W czwartek jest nasza rocznica, gdybyś zapomniał - przypomniała. - Planowaliśmy ...

- Wiem - rzekł cicho. - Wierz mi, kochanie, wykreśliłbym się od tego, gdybym mógł. Jestem zaufanym radcą prawnym tego faceta od ponad dwu lat. Wysłanie kogoś innego nie wchodzi w grę.

- Ale...

Przystanął i chwycił ją za ramię.

- Nie chcę jechać. Muszę - tłumaczył. - Sprawa jest zbyt ważna, żeby odwlekać ją choć o jeden dzień. Czuję to samo co ty, ale ...

Nie umiała ukryć rozczarowania.

- Rozumiem, a w każdym razie usiłuję. - Westchnęła. - Wiesz, kiedy za ciebie wychodziłam, przyrzekałam ci miłość i wierność w chorobie i w zdrowiu ... i cierpliwość wobec wymagających klientów. Jednak czasami...

Pocałował ją w czoło.

- Wynagrodzę ci to. Słowo skauta - przyrzekł: - Będę w domu w piątek. Podrzucilibyśmy Roberta do twoich rodziców, a sami pojechali do Big Sur, tylko we dwoje ... Zatrzymalibyśmy się w Ventana Inn ...

Udała zagniewaną.

- Czy sądzi pan, że uda się panu mnie przekupić? zapytała.

- N o cóż ... - zaczął, niewinnie spuszczać wzrok.

- Tym razem udało ci się. - Objęła go mocno. - Jesteśmy umówieni. Ale jeśli nie dotrzymasz słowa, do końca swych dni będziesz żył jak mnich!

Uśmiechnął się szeroko.

- Jest tyle kobiet w San Francisco. Dlaczego mnie trafiła się akurat ta najbardziej postrzelona?

Pocałowała go.

- Nie mogłeś się jej oprzeć. Przecież byłeś frajerem, który wybawia panienki z opresji.

Ashley przewróciła się na drugi bok i wyciągnęła rękę, żeby objąć męża. Kiedy nie znalazła Brandona obok siebie, zdziwiona otworzyła oczy i przypomniała sobie, że wyjechał do Denver. Usiadła na łóżku i odgarnęła włosy z twarzy. Nie znosiła wyjazdów męża, nawet jeśli nie trwały długo. Nie cierpiała sypiać sama.

- Przyzwyczyłam się do twojej twarzy - żartowała czasem. - W końcu przytulanie się do kogoś jest o wiele zabawniejsze niż tulenie poduszki.

Często przed zaśnięciem przewracała się i wierciła w łóżku tak długo, dopóki nie objęła mocno Brandona. Wtedy, rozkoszując się zbliżeniem, odcinała się od reszty świata z taką łatwością, z jaką zamyka się drzwi do sypialni.

Nasze małżeństwo jest wciąż romantyczne - pomyślała. - Nawet bardziej niż kiedykolwiek.

Ashley uśmiechnęła się do siebie na myśl o nadchodzącym weekend'zie w Big Sur. Ilu mężczyzn wpadłoby na pomysł, żeby w rocznicę ślubu zaprosić żonę tam, gdzie kochali się po raz pierwszy? Większość z nich prawdopodobnie nie mogłaby tego zrobić - pomyślała kwaśno. - Która kobieta chciałaby spędzić romantyczny weekend na tylnym siedzeniu starego Chevroleta?

Spojrzała na telefon stojący na nocnym stoliku, zastanawiając się, czy nie zadzwonić do Brandona. W Denver jest około ósmej, mąż pewnie je śniadanie w swoim apartamencie. Dwa razy wyciągała rękę po słuchawkę, ale rozmyślała się w ostatniej chwili. Mógł już wyjść powiedziała sobie w duchu. Kiedy telefon rozdzwonił się niespodziewanie, podskoczyła wystraszona. Podniosła słuchawkę.

- Halo? - rzuciła zirytowanym tonem. .Rozmówca był wyraźnie rozbawiony.

- Hej, czemu zrzędzisz od samego rana! Obudziłem cię?

- Brandon! Musiałeś czytać w moich myślach!

- Co?

- Właśnie leżałam sobie i chciałam do ciebie zadzwonić - powiedziała. - Jak tam w Denver?

- Dwadzieścia dziewięć stopni poniżej zera i pada śnieg - odparł. - Tak sobie myślałem ... może przyleciałabyś tutaj w czwartek wieczorem? Moglibyśmy się wybrać do Aspen albo Vail... .

- Nic z tych rzeczy! - zaoponowała. - Obiecałeś mi Big Sur i trzymam cię za słowo!

- Jesteś pewna, że nie chcesz zmienić planów? zapytał. - Nigdy nie byłaś w tych miejscowościach.

- Nigdy nie miałam na nogach nart. - Zaśmiała się. ~ Zaraz wylądowałabym na jakimś drzewie!

- Myślę, że byłby z ciebie wspaniały narciarz, gdybyś tylko chciała. Masz dobrą koordynację



ruchów ...

- Ale brakuje mi cierpliwości. Jedźmy po prostu do Big Sur, gdzie będę mogła robić coś, w czym jestem naprawdę dobra.

Po drugiej stronie zaległa cisza.

- Masz całkowitą rację \_ . odezwał się wreszcie. Myślę, że właśnie tam odkryłem twój wielki talent. Ashley roześmiała się.

- Jak przypuszczam, nie masz na myśli portretu, który ci tam robiłam?

- No ... nie, niezupełnie.

- A jak tam twoje sprawy? - zapytała, szybko zmieniając temat.

\_ Nie mogło być lepiej. O ile dzisiaj wszystko pójdzie sprawnie, być może będę w domu już w czwartek oznajmił.

- Ależ to cudowna nowina!

- Wiem. Tęsknię zatobą, naj droższa.

\_ Oboje z Robertem nie możemy się doczekać twojego powrotu.

Brandon roześmiał się.

\_ Czy nadal masz zamiar zawieźć go w piątek do Santa Helena? .

\_ Skoro wracasz wcześniej, odwozę go już w czwartek rano - odparła. - W ten sposób będziemy mogli świętować naszą rocznicę tylko we dwoje ...

\_ Hmm ... Po takiej propozycji nie pozostaje mi nic innego, jak zakasać rękawy i wziąć się do roboty. Chociaż wątpię, czy będę w stanie skoncentrować się na interesach, mając świadomość, co czeka mnie w domu.

Roześmiała się.

\_ Tylko daj mi znać, kiedy wracasz, żebym mogła wyjechać po ciebie na lotnisko.

\_ Na pewno - obiecał. - Muszę już pędzić, bo w przeciwnym razie nic dziś nie zdziałam.

\_ Masz rację - zgodziła się. - Kocham cię.

Kiedy Brandon rozłączył się, Ashley ujęła słuchawkę w obie dłonie.

\_ Tak bardzo cię kocham. Wracaj do mnie jak najprędzej, najdroższy - wyszeptała.

Ashley stała przed sztalugami, patrząc na pejzaż morski, który malowała ostatnio. Nie była zadowolona z tej pracy. Może po prostu powinnam odłożyć to na jakiś czas i zająć się czym innym - myślała sfrustrowana. - Najlepiej spać to i dam sobie spokój. I tak zmarnowałam zbyt wiele czasu przy tym płótnie.

Prawda była taka, że tego popołudnia nie mogła się skoncentrować ani nad obrazem, ani nad niczym innym.

Wcześniej rano odwozła Roberta do rodziców. Teraz dom wydawał się jej pusty i jakby wymarły.

Od czasu do czasu odkładała paletę i pędzel, by podejść do okna, spodziewając się ujrzeć synka, wdrapującego się do swojego domku na drzewie, albo schodziła na dół, do gabinetu Brandona. Jak ja mogłam kiedykolwiek żyć sama? - zadawała sobie pytanie, rozbawiona swym dawnym podejściem do życia.

Sprawdziła czas. Za dwie godziny wyjedzie na lotnisko. Samolot miał przylecieć dopiero o szóstej, ale wolała mieć trochę czasu w rezerwie, na przykład na wypadek korków ulicznych. Wzięła prysznic, ubrała się i stanęła przed olbrzymim lustrem w sypialni. Nagle dotarło do niej, jak bardzo zmieniła się w ciągu dziewięciu lat, które spędziła w San Francisco. Przed oczami stanął jej obraz Abby Giannini z zarumienionymi policzkami, w dżinsach i ręcznie dzierganej bluzce. J akże różniła się ta dziewczyna od wytwornej Ashley Gordon-Hollister, której projektowano stroje na zamówienie! Zamiłowanie do śmiałych kolorów i .eleganckich kapeluszy nie pasowało do winnic, ale było całkowicie na miejscu w centrum świata sztuki w San Francisco. To znak - pomyślała. Całkowicie zmieniony wizerunek kobiety, która przeszła długą drogę w ciągu dziewięciu lat. To kawał życia.

Jej rozważania przerwał ostry dźwięk telefonu. Pospiesznie podniosła słuchawkę, obawiając się, że Brandon odwołuje swój przyjazd.

- Halo?

- Ashley, cieszę się, że udało mi się ciebie zastać.
- Mogłaś wyjechać już na lotnisko. - To była Melania Masters, impresario Ashley.
- Właśnie miałam zamiar.
- Chciałam skontaktować się z tobą, zanim wyjedziesz - wyjaśniła Melania. - Wiem, że masz plany na dzisiejszy wieczór, ale mogłabyś uczcić jeszcze jedną okazję.
- Masz dla mnie czek - domyśliła się Ashley.
- Coś lepszego - odrzekła Melania. - To już pewne. Pod koniec marca będziesz miała swój show.

Ashley spacerowała nerwowo po zatłoczonym terminalu lotniska w San Francisco. Na autostradzie panował wyjątkowy ruch. Przyjechała nieco później, niż planowała, ale w informacji dowiedziała się, że lot Brandona opóźnia się z powodu zamieci, która szaleje nad górami. Ashley zawsze niepokoiła się, gdy mąż latał o tej porze roku. Tak wiele wschodnich stanów tonęło w śniegu! Marznące deszcze sprawiały, że podróże powietrzne były ryzykowne. Zerknęła na zegarek. Godzina spóźnienia. Co ich zatrzymuje? - zastanawiała się.

Nie mogła się doczekać, aby wreszcie obwieścić Brandonowi nowinę Melanii. Londyn! Ashley nigdy nie wyjeżdżała za granicę. To będzie najpiękniejszy miesiąc miodowy.

Oczywiście Brandon pojedzie z nią, co do tego nie miała wątpliwości. Na pewno firma podaruje mu kilka tygodni! Będzie wspaniale, chociaż ona właściwie jedzie tam pracować. Przez chwilę rozważała, czy zabrać Roberta, ale uznała, że chłopiec będzie szczęśliwszy, pozostając z dziadkami. Nie mogliby spędzać razem zbyt wiele czasu, gdyż byłaby wolna dopiero wieczorami, a Robert, jak każde dziecko w jego wieku, wcześniej chodzi spać. Kiedyś, gdy będzie starszy, wyjazd z matką sprawi mu z pewnością prawdziwą przyjemność.

Może pojedą wtedy do Paryża, Rzymu, Amsterdamu ... Znowu zerknęła na zegarek. Postanowiła jeszcze raz porozmawiać z urzędniczką. Kiedy skierowała się w stronę kontuaru, drogę zaszedł jej Harry Wilcox, starszy wspólnik w firmie Brandona.

- Harry? Co tu robisz? - zapytała zdziwiona. - Czy Brandon nie powiedział ci, że po niego przyjadę?

Twarz Wilcoxa nabrała dziwnego wyrazu.

- Usiądź - rzekł cicho.

Ashley czuła, że narasta w niej irracjonalny lęk. Energicznie pokręciła głową.

- Samolot spóźnia się, Harry - powiedziała. - Właśnie miałam dowiedzieć się ...

Chwycił ją za ramiona.

- Siadaj! - rozkazał ostro.

- Nie, Harry - szeptała. Nie chciała usłyszeć tego, co miał jej do powiedzenia.

- Zdarzył się wypadek. - Te słowa uderzyły prosto w serce. - Samolot... rozbił się w Sierra Nevada

...

- Brandon ... - Zaczęła dygotać na całym ciele. Nie ... to nie mogło się stać. Nie potrafiła pozbierać myśli. Weekend spędzimy w Big Sur, to nasza rocznica. Będzie tak jak za pierwszym razem. A do Londynu pojedziemy na cudowny, najwspanialszy miesiąc miodowy. Mąż będzie dumny ze mnie, kiedy mu powiem o wystawie. Postaramy się o jeszcze jedno dziecko ... Może tym razem będzie to dziewczynka. - Spojrzała na zakłopotaną twarz Wilcoxa. - Nie ... to nie mogło się stać. Nie nam. Nie teraz. - Harry, proszę ... - szepnęła błagalnie. - Nie ... - Łzy spływały jej po policzkach, rozmazując tusz do rzęs. Oczy piekły ją mocno.

- Rozbili się - powiedział Wilcox nienaturalnym głosem, gdy Ashley wyrwała się z jego uścisku. - Nikt nie przeżył.

Odwróciła się do niego ponownie, patrząc wzrokiem zranionego zwierzęcia. Kręciła głową, niezdolna zmierzyć się z prawdą.

- Nie ...

- On nie żyje, Ashley - rzekł Wilcox, podchodząc do niej. - Brandon nie żyje.

Przerażenie odebrało jej mowę. Przykryła usta dłonią. Wilcox zdażył pochwycić kobietę w ramiona, zanim upadła. Nie słyszała już nadawanej przez megafon informacji, nie widziała reakcji

zrozpaczonych ludzi.

To tylko zły sen - pomyślała, zanim świat zatonął w mroku.

*Santa Helena, grudzień 1985*

- Wciąż nie mogę uwierzyć, że jego naprawdę już nie ma. - Ashley stała przy kuchennym oknie i przyglądała się, jak jej ojciec i Robert kręcą się po podwórku za domem. - Przecież przechodziłam przez wszystkie okropieństwa tej śmierci, sama musiałam organizować pogrzeb i wiem, że straciłam męża bezpowrotnie, ale moje serce wciąż nie może się z tym pogodzić. - Odwróciła się twarzą do matki, nerwowo wykręcając palce. - Nawet nie wiem, jak powiedzieć Robertowi, że jego ojciec odszedł na zawsze. Zdaję Sobie sprawę, że będzie to najtrudniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek robiłam. Jadąc tutaj samochodem ... bez przerwy o tym myślałam, dobierałam właściwe słowa. Ale takich słów w ogóle nie ma .. Jak uświadomić dziecku, że jego ojciec ... - Ucięła nagle tok swoich rozważań, gdyż nie mogła, myśląc o rozmowie z synem, wypowiedzieć: "Brandon nie żyje". Gdzieś w podświadomości próbowała sobie wmówić, że jeżeli tego okropnego faktu nie wyrazi słowami, to wszystko będzie jak przedtem.

Lucia Giannini zmarszczyła czoło, współczując córce, ale wiedziała, że nikt nie potrafi złagodzić jej cierpienia.

- Może chcesz, żebyśmy my to zrobili? - zapytała. Ashley potrząsnęła głową.

- Dziękuję ci, mamu, ale nie - rzekła zmęczonym głosem. - Powinien dowiedzieć się tego ode mnie. Robert zaczyna dopiero rozumieć, co to znaczy umrzeć. Pamiętam, jaki przeżył wstrząs, gdy ubiegłego lata padła świnka morska. Będzie mnie teraz bardzo potrzebował. - A ja będę potrzebowała jego - dodała w myślach.

- Kiedy chcesz mu o tym powiedzieć? - zapytała zaniepokojona matka.

- Dziś. Gdy tylko nadarzy się sposobność. Już i tak zbyt długo zwlekałam - rzekła Ashley, wpatrując się w syna ganiającego wokół dziadka na podwórku. - Powinnam była przyjechać tu natychmiast, gdy tylko wróciłam z Lake Tahoe. - Przez ostatnie dwa dni musiała zaangażować się w przykry rytuał związany z pogrzebem: wybrać trumnę, zakupić działkę na cmentarzu, ale działała jak zahipnotyzowana, przebrnęła przez to wszystko, niezupełnie zdając sobie sprawę, co robi i co się wokół niej dzieje. Poruszała się tak, jakby kierował nią prymitywny, pierwotny instynkt przetrwania. Do rodziców wysłała telegram, nie mając sił z nimi rozmawiać. Nie przypomina sobie, czy w ogóle poruszała z nimi ten temat. Pamiętała jak przez mgłę swoją rozmowę z przedstawicielem zakładu pogrzebowego. Jednej tylko rzeczy nie potrafiła do tej pory zrobić. Jak przekazać tę wiadomość synowi, jak uświadomić mu, że ojciec nigdy nie powróci do domu? Jeszcze przez kilka sekund przyglądała się dziecku, po czym odetchnęła głęboko, otworzyła drzwi i wyszła na tylny ganek.

- Robercie! - zawołała syna.

Spojrzał na nią uradowany i uśmiechnął się szeroko.

- Mamunia! - krzyknął podniecony i pobiegł do niej szybko. - Czy tata przyjechał z tobą?

Teraz miało nastąpić to najtrudniejsze.

- Nie rozumiem, mamuniu. - Robert zakłopotany podniósł ku niej małą twarzyczkę. Szeroko otwarte niebieskie oczy napelniły się łzami. - Przecież powiedziałaś, że tata wróci dziś do domu, że

...

- Tak myślałam, ale zdarzył się wyp

adek. - Ashley odgarnęła z twarzy dziecka loczek jasnych włosów. - Twój tatuś wracał do domu samolotem. Była bardzo zła pogoda, burza śnieżna, i coś się wydarzyło. Na razie nie wiadomo dokładnie, co się stało. Być może już nigdy nie dowiemy się prawdy. W każdym razie samolot rozbił się i tatuś zginął.

Robert nie mógł w pełni zrozumieć istoty śmierci.

- To znaczy, że już nigdy nie wróci?

Ashley ujęła w dłonie jego główkę.

- Tak, kochanie, nie zobaczymy już tatusia. - Zamilkła na chwilę. - Czy przypominasz sobie, jak w zeszłym roku umarła twoja świnka morska, Harold?

Robert przytaknął.

- Wyszliśmy wtedy do ogródka. Tatusi wykopał w ziemi dołek i urządził Haroldowi pogrzeb.

- Tak ...

- Wspominaliśmy wtedy, jaka to była kochana świnka, a potem złożyliśmy ją w dołku. Tatusi zakopał ją i przykrył ziemię darnią. Pamiętasz to wszystko? - zapytała Ashley.

Robert jeszcze raz przytaknął.

- Teraz rozumiesz, dlaczego musimy pożegnać się z tatusiem na zawsze - rzekła Ashley czule. Głos jej się łamał, ale zebrała wszystkie siły, żeby mówić dalej. Przybędą nasi przyjaciele, którzy kochali tatusia. Wszyscy zbiorą się wokół nas i wtedy ...

- Nie! - Rozdrażniony Robert potrząsnął głową. - Ja nie chcę, żeby tatusia zakopali w ziemi! Nie chcę się z nim żegnać! Ja chcę tatusia! - Chłopiec zaczął rozpaczliwie szlochać.

Ashley przytuliła go, gładząc po włosach, a on ukrył twarz w jej ciemnoniebieskim swetrze.

- Rozumiem cię, synku, ja też nie chciałabym żegnać się z tatusiem. Nigdy. Ale czasami tak jest, że nie mamy wyboru. Sprawy nie toczą się tak, jak byśmy chcieli. Gdy to mówiła, myślała, że umrze z bólu. Tak to, synku, wygląda - pomyślała. - Płacz, płacz. Daj upust swojemu bólowi. I kiedy to wszystko już minie, może będę mogła przezwyciężyć moje cierpienie.

Ashley stała nad trumną, która niebawem miała zostać spuszczone do grobu, i mocno trzymała syna za rączkę. Miała suche oczy i była opanowana. Wiedziała, że powinna być silna ze względu na Roberta. Musi teraz polegać na niej bardziej niż przedtem. Muszę żyć dalej - rzekła do siebie. - Mam Roberta.

Spojrzała na czysty błękit nieba i pomyślała, że jest w tym wszystkim coś potwornego. Niezwykle piękny dzień, dookoła toczy się życie, a cały jej świat zawalił się. Chowala męża w pogodny grudniowy ranek, który bardziej przypominał kwiecień lub maj. Z kącika oka wypłynęła łza i potoczyła się po policzku, nie zauważona przez nikogo pod szeroką czarną woalką i rondem czarnego kapelusza. Ashley spoglądała na Roberta, wyprostowanego przy jej boku, ubranego w ciemnogranatowe ubranko, które ojciec kupił mu miesiąc temu. Brandon był bardzo dumny z syna - pomyślała smutno. Z przyszłością Roberta wiązał najwspanialsze marzenia. Teraz nawet nie zobaczy, jak jego syn rozwija się, jaki człowiek z niego wyrośnie.

Na ramieniu poczuła dotknięcie matki, więc odwróciła się do Lucii, by pokazać jej, że się trzyma, jakby chciała rzec: "Nie martw się, będę dzielna, mamie ... obiecuję". Przy boku matki stał ojciec i Ashley zauważyła łzy także w jego oczach. Tony Giannini od śmierci własnego syna nigdy nie uronił łzy w miejscu publicznym. Teraz płakał nad śmiercią zięcia, którego kochał jak własne dziecko. Ashley była wdzięczna ojcu za to, że przyjął Brandona do rodziny i zaakceptował go, zanim jeszcze zostali małżeństwem. Spojrzawszy na sporą grupę przyjaciół, zebranych wokół grobu, uświadomiła sobie, jak bardzo mąż był Kochany. Hollisterowie, którzy nie chcieli utożsamiać się z resztą grupy, stali parę kroków dalej. Uznawali wyłącznie swojego wnuka. Ashley przypominała sobie teraz ich przybycie do San Francisco. Domagali się, by ich syn został pochowany w Nowym Jorku, w rodzinnym grobowcu na Long Island, i byli wściekli, gdy stanowczo odrzuciła ten pomysł. Podświadomie czuła, że Brandon nigdy nie zgodziłby się na coś takiego. Swoje kontakty z rodzicami zerwał definitywnie, tego była absolutnie pewna. W San Francisco czuł się u siebie i Ashley była przekonana, że tutaj też chciałby być pochowany.

- To twoja wina, że nigdy nie widzieliśmy naszego wnuka! - Dźwięczały jej teraz w uszach oskarżenia Claudii Hollister. - To ty zbuntowałaś Brandona przeciwko nam. Gdy ożenił się z tobą, przestał nawet odpowiadać na nasze listy.

To było oszczerstwo. Brandon nie utrzymywał kontaktów z rodzicami, bo nie chciał. Ileż to razy sugerowała mu, by wziął Roberta i odwiedził ich w Nowym Jorku. Nie wahała się powiedzieć o tym Claudii. Ale teraz nie miało to żadnego znaczenia; ta kobieta i tak nie wierzy synowej.

Później, jak wszystko się uspokoi i Robert oswoi się ze śmiercią ojca, Ashley napisze do Hollisterów i zaproponuje im, żeby wnuk odwiedził ich latem, jeżeli im na tym zależy. Przypominała sobie, że w przyszłym roku Robert pójdzie do szkoły. Ale wakacje letnie będą przecież co roku. Nie zamierzała odizolować syna od dziadków, aczkolwiek niepokoiło ją, że Brandon tak postąpił.

Spojrzała na chłopca i uświadomiła sobie, jak bardzo cieszy się, że go ma. On jest celem mego życia - pomyślała.

Widząc, że ceremonia dobiegła końca, powróciła myślami do aktualnych wydarzeń. Pastor składał jej kondolencje. Ashley podała mu rękę.

- Bardzo dziękuję - powiedziała cicho. - Przemówienie było bardzo piękne. - Nie widziała powodu, by dać komukolwiek poznać, że nie usłyszała ani jednego słowa. Rzuciła okiem na Hollisterów, ale postanowiła ich nie zagadywać.

Gdy pastor odszedł, podeszli do niej jej rodzice.

- Mieliliśmy zamiar pojechać dzisiaj do domu, Abby; rzekł Tony Giannini niskim głosem - jeżeli jednak potrzebujesz nas, możemy zostać ....

Ashley potrząsnęła głową.

- Nie martw się, będę dzielna - zapewniła go. W nagłym przypływie wzruszenia objęła rodziców serdecznie. - Najważniejsze, że miałam was przy sobie w tej chwili.

- Jesteś tego pewna ... ? - zaczęła matka.

Młoda kobieta kiwnęła głową, siłą powstrzymując łzy.

- W tej chwili najbardziej potrzebuję samotności.

Ashley sama nie wiedziała, jak przeżyła pierwsze dni po pogrzebie. Nie mogła spać i większą część nocy spędzała skulona przy wychodzących na zatokę oknach sypialni Roberta, czuwając nad jego snem, gdyż niepokoiły go koszmary. Nie mogła poddać się cierpieniu i ulżyć sobie, dając upust nagromadzonym emocjom, ponieważ zdawała sobie sprawę, że musi być dzielna ze względu na syna. Zamknęła się z Robertem w domu i odcięła całkowicie od świata. Nie przyjmowała nikogo i nie odpowiadała na telefony. Odprawiła służącą, mówiąc, że przez pewien czas jej pomoc nie będzie potrzebna. Od śmierci męża nie była także ani razu w pracowni. I co by to dało? - pytała samą siebie. \_ Teraz mogłabym malować wyłącznie śmierć.

Codziennie Ashley przeżywała od nowa, szczegół po szczególe, to tragiczne wydarzenie. Chciała pojechać w okolice Lake Tahoe, gdzie samolot spadł, obstawała także, by osobiście zidentyfikować zwłoki męża, pomimo że Harry Wilcox chciał ją zastąpić.

- Muszę tego sama dopatrzeć, Harry - rzekła. - Jeżeli go nie zobaczę, nigdy nie uwierzę, że zginął.

- Zobaczysz go na pogrzebie - odpowiedział Wilcox.

- To będzie dostatecznie duży wstrząs ...

- Ja muszę tam pojechać, Harry! - I na tym stanęło.

Niemniej jednak była zadowolona, że Wilcox uparł się jej towarzyszyć. Było to dla niej dużo trudniejsze przeżycie, niż przewidywała. Zwłoki zniesiono z gór, niektóre na noszach, a te bardziej zmasakrowane w jutowych workach. Gdy po raz pierwszy pokazano jej męża, nie mogła go rozpoznać. Wilcox zażądał ekspertyzy dentystycznej, żeby potwierdzić identyfikację. Ashley rozchorowała się na ten widok i umieszczono ją w szpitalu, gdzie leczono członków ekipy ratowniczej, którzy doznali odmrożeń w czasie akcji. Gdy leżała na łóżku, kręciło jej się w głowie.

Wmawiała sobie, że może Brandon wciąż jeszcze żyje ...

- Zadzwoń do hotelu w Denver, Harry - prosiła Wilcoxa. - Zadzwoń do Brown Palace. Może Brandon tam jest. Może nie zdążył na swój lot...

Wilcox złapał ją mocno za ramiona i potrząsnął brutalnie, chcąc przerwać atak hysterii.

- Jego nie ma w Denver, Ashley - rzekł szorstko. - On nie żyje. Wszyscy, którzy lecieli tym samolotem, zginęli, nikt nie ocalał!-

- Nie! - Kręciła głową jak szalona. - To nie był on!

Jestem o tym przekonana! Przecież poznałabym swojego męża, Harry ...

- Ashley, musisz się opanować ~ nalegał. - Musisz to przyjąć do wiadomości. Brandon nie żyje!

- Nie!

Ekspertyza dentystyczna potwierdziła ten fakt. Dlaczego musiał zginąć? Czemu był jednym z pasażerów tego samolotu? Uderzyło ją przerażające odkrycie. Poleciał tym samolotem ze względu na nią. Miał zamiar wracać do domu dopiero w piątek. Pozałatwiał swoje sprawy w Denver szybciej i kupił bilet na wcześniejszy lot, bo ona chciała, żeby był w domu na rocznicę ślubu.

To ona rezerwowała miejsca w Ventana Inn. Zupełnie o tym zapomniała. Mieli takie wspaniałe plany! Jakże to wszystko niesprawiedliwe. Mieli przed sobą taką jasną przyszłość! To nie fair - myślała rozszalona. Po raz pierwszy od dnia katastrofy zaczęła płakać. Wreszcie dała upust łzom, pozwoliła sobie na chwilę słabości, poddając się bezradnie bólowi.

Usłyszała natarczywe dzwonięcie do drzwi. Wahala się. Może gość, kimkolwiek jest, sobie pójdzie. Gdy jednak dzwonek nie umilkł, otarła łzy i zeszła na dół. Ostrożnie otworzyła drzwi.

- Pani Ashley Hollister? - zapytał wysoki, rudy mężczyzna. - To dla pani. Życzę dobrego dnia. - Obrócił się na pięcie i odszedł.

Ashley spoglądała za nim przez chwilę, zdziwiona niezwykle uprzejmością. Zamknęła drzwi i spojrzała na papier, który trzymała w ręku. Wezwanie sądowe! Otworzyła pismo i przeczytała je pospiesznie. Z początku nie pojęła, o co chodzi, i musiała przeczytać pozew jeszcze raz, zanim zrozumiała jego treść.

- A to łajdaki! - rzekła wolno. Wiadomość aż ją zatkała. ... Wyrachowane, działające z zimną krwią potwory.

Pobiegła do znajdującego się w gabinecie Brandona telefonu i połączyła się z Wilcoxem.

- Harry, natychmiast potrzebuję twojej pomocy! - wyjąkała zdyszany, przerażonym głosem, gdy tyll\o uzyskała połączenie.

- Spokojnie, Ashley - mitygował ją. - Powiedz, o co chodzi.

- Jak mogę się uspokoić? - krzyczała do słuchawki. - Ci nikczemni, bezlitośni...

- O kogo chodzi, Ashley? - pytał Wilcox, starając się zrozumieć, o czym mówi zrozpaczona kobieta.

- Hollisterowie! - wrzasnęła. - Rodzice Brandona będą procesować się o przyznanie im opieki nad Robertem!

Piętnaście minut później Ashley, działając zgodnie ze wskazówkami Wilcoxa, udała się do apartamentu Hollisterów w Pacific Plaza.

- Tylko marnujesz niepotrzebnie czas - poinformował ją w drzwiach Bradley Hollister. - Wszystko, cokolwiek masz do powiedzenia, powinno być przekazywane za pośrednictwem naszych adwokatów.

- O tym, co mam wam do powiedzenia, wasi adwokaci nie chcieliby wiedzieć - odparła ostro Ashley, wchodząc do środka.

Z sypialni wyszła Claudia. Miała na sobie aksamitny szlafrok, a na głowie gruby ręcznik, zawinięty jak turban.

- Bradley? Co tam ... - Zdębiała na widok synowej. A ty czego tu szukasz?

- Przyszłam powiedzieć wam, że nigdy nie odbierzecie mi syna. - Ashley trzęsła się ze złości. - Nigdy!

- Trzeba z tym poczekać na decyzję sądu - odparł Hollister bezbarwnym głosem, zamykając drzwi.

- Jestem jego matką! Sądzicie, że można tak po prostu zabrać go, bo tak się wam podoba? - dopytywała się natarczywie Ashley.

- Lepiej przestań - rzekła złośliwie Claudia. - Z twoją przeszłością ...

- Zamknij się! - uciął gniewnie Hollister. - Nasi adwokaci...

Ashley z wściekłością zwróciła się do teścia.

- Co mogą wasi adwokaci? - zapytała, spoglądając podejrzliwie.

- Nie będę z tobą dyskutował - oświadczył Hollister beznamytnie. - Proponuję, żebyś wynajęła sobie adwokata i poleciła mu skontaktować się z moimi przedstawicielami.

- Mam adwokata - ucięła Ashley - ale chcę, żebyście zapamiętali... Kpię sobie z waszych pieniędzy i z tego, ilu przekupionych prawników wystawicie przeciwko mnie. Możecie wysłać nawet cały pluton adwokatów, a i tak nie odbierzecie mi Roberta.

- Nasz wnuk to wszystko, co pozostało nam po Brandonie ... - zaczęła znowu Claudia.

- Straciliście syna na długo przedtem, zanim wydarzyła się katastrofa - rzekła szorstko Ashley.  
- Przez ciebie - zareplikowała Claudia.  
- Nie! - Ashley potrząsnęła wymownie głową. - Sama go nakłaniałam, żeby nie tracił z wami kontaktu, wziął Roberta i pojechał odwiedzić was w Nowym Jorku. Ale on nie chciał was w ogóle wspominać ... Nie wiem, dlaczego miał tak wielką awersję do rodziców, ale gdy zrozumiałam, jakie z was potwory, nie dziwię się ani trochę!  
- Chwileczkę, miła pani!... - odezwał się Hollister.  
- Brandon wyjechał z Nowego Jorku, ponieważ uciekał od was. Za nic nie chciał prowadzić firmy swojego ojca, bo nie podobał mu się wasz sposób załatwiania interesów. Wydawało mi się, że niesłusznie postępuje, izolując Roberta od dziadków, ale teraz już wszystko rozumiem! - Ashley płonąła gniewem. Nie była w stanie dłużej nad sobą panować. - Nie życzył sobie, żeby jego syn was znał, i ja będę respektowała życzenie męża. Nigdy nie zrobicie Robertowi tego, co zrobiliście swojemu synowi, bez względu na to, co to było! - Rozdygotana ruszyła do drzwi.  
- Zaczekaj chwileczkę! - zawołał za nią Bradley Hollister.  
Ashley stanęła jak wmurowana i obejrzała się. Jej oczy pociemniały z wściekłości, ale nie powiedziała ani słowa, chcąc dowiedzieć się, co teść może mieć do powiedzenia.  
- Będziemy negocjować w sądzie - oświadczył. - My ten proces wygramy, mogę ci to już teraz powiedzieć. Nie masz szans. Gdybyś okazała dobrą wolę i oddała nam wnuka, byłbym skłonny pójść ci na rękę. Jestem jak najbardziej za tym, żeby przyznać ci prawo odwiedzania dziecka i bardzo dużą rekompensatę w gotówce.  
- Pieniądze? - Ashley wybałuszyła oczy. - Ty draniu! Mój syn nie jest na sprzedaż ... za żadną cenę! Hollister odetchnął głęboko.  
- Wobec tego zobaczymy się w sądzie - rzekł poważnie.  
- Panie Hollister - energicznie pokręciła głową \_ chciałabym zobaczyć was raczej w piekle. - Zawróciła gwałtownie i wyszła.

- Oni mogą ten proces wygrać?! - Ashley siedziała po drugiej stronie biurka Wilcoxa w jego luksusowo urządzonej gabinecie z oknami wychodzącymi na zatokę, San Francisco.  
- Chcę tylko powiedzieć, że powinniśmy przygotować się na piekielną walkę - tłumaczył ostrożnie, przerzucając stosy papierów. - Hollisterowie mają wielkie wpływy. Stoją za nimi miliony, nie wspominając już o paru znakomitościach świata prawniczego.  
- I to wszystko ma znaczenie, gdy rozstrzyga się sprawa opieki nad bezbronny dzieckiem? - zapytała, nie mogąc uwierzyć. - Ile kto ma pieniędzy, ilu adwokatów siedzi w jego kieszeni?  
- No nie, oczywiście, że nie. - Wilcox bardzo lubił Ashley Hollister i wiedział o tym, że Brandon, którego traktował jak własnego syna, nigdy nie zgodziłby się, żeby rodzice wychowywali dziecko. Aczkolwiek przyjaciel rzadko o tym wspominał, Wilcox dobrze wiedział, że stosunki Brandona't rodzicami były bardzo złe. Dlatego czuł moralny obowiązek ochraniać wdowę. Zapowiadało się na nieczystą walkę sądową. Postanowił zrobić wszystko, żeby dopomóc matce zachować prawo do dziecka. Wiedział, że to nie będzie łatwe, ale postanowił wywiązać się z zadania jak najlepiej.  
- Co o tym sądzisz, Harry? - zapytała go Ashley. Proszę ... nie oszczędzaj mnie. Muszę wiedzieć, czego się spodziewać. Czy oni mogą zabrać mi Roberta?  
Wilcox zawahał się, a następnie przytaknął.

- Tak. Trzeba liczyć się z taką ewentualnością powiedział w końcu. - Ashley, znam doskonale reputację Hollistera. On nie blefuje, gdy grozi ci wystawieniem swojej ciężkiej artylerii. Ten człowiek nie dlatego do-o szedł do ogromnej potęgi, że składał cze obietnice.  
- Jak on może ... - zaczęła Ashley.  
- Bardzo dociekliwie grzebał w twojej przeszłości - rzekł nieco speszony Wilcox. - Dobrze wie, co robiłaś, zanim wyszłaś za jego syna. Poznał również nazwiska wszystkich mężczyzn, z którymi coś cię łączyło.  
- Kiedyś! - rzekła Ashley powoli. - To kluczowe słowo w tej sprawie, Harry. Od kiedy spotkałam Brandona, nie było nikogo innego w moim życiu.

- Mówisz prawdę, Ashley? - Popatrzył jej prosto w oczy. Zarumieniała się z gniewu.
- Oczywiście ... a jeżeli mi nie wierzysz, idź do diabła razem ze wszystkimi! - rzekła ostro.
- Pohamuj się! - odpowiedział pospiesznie. - Musiałem cię o to zapytać. Chcę dobrze przygotować się do sprawy. Zawsze byłem przekonany, że stworzycie z Brandonem dobre małżeństwo, ale człowiek nigdy nie ma pewności.
- Kochałam Brandona. Nie zdradziłam go ani razu . i jestem przekonana, że on mnie także - powiedziała na zakończenie.
- Wilcox przyglądał się pięknej kobiecie, która siedziała naprzeciwko niego, ubrana w szarą wełnianą sukienkę. Ciemne oczy rzucały błyskawice gniewu, a twarz zarumieniała się na myśl o zdradzie małżeńskiej. Cokolwiek robiła dawniej Ashley Hollister, Wilcox był całkowicie pewien, że kocha syna i jest gotowa o niego walczyć na śmierć i życie. Niemniej jednak \_ pomyślał zbity z tropu - może dojść do takiej ostateczności.
- Ashley, musisz się z tym liczyć - zaczął niezręcznie. - Hollister jest przygotowany, żeby zeszmacic cię w sądzie. Twoja reputacja może zostać zniszczona na zawsze.
- Mam gdzieś opinię, Harry. Jedyna rzecz, na jakiej mi w tej chwili zależy, to szczęście Roberta - odrzekła bez namysłu.
- Jedno może zależeć od drugiego. Jeżeli Hollister i jego adwokaci zdołają przekonać sąd, że jesteś nieodpowiedzielną matką, stracisz dziecko.
- Nie chcę o czymś takim nawet myśleć!
- Musimy się z tym liczyć. - upierał się Wilcox. \_ Musimy przygotować się na to, że oni nie będą przebierali w środkach. Przypuszczają niesamowity atak. Będziesz musiała przysłuchiwać się w milczeniu, jak rzucają na ciebie najobrzydliwsze oszczerstwa. Musisz się z nimi zmierzyć, podczas gdy oni będą starali się zrobić z ciebie pospolitą dziwkę ...
- Ashley podniosła się gwałtownie.
- Mogę zmierzyć się ze wszystkim, Harry - zapewniła - tylko nie zniosę równoczesnej utraty męża i syna.

Ashley siedziała bez ruchu w sali sądowej, z adwokatem przy boku. Uprzedził ją, że może to być brudna rozprawa, ale te słowa nie oddawały atmosfery procesu. To polowanie na czarownicę - pomyślała Ashley, gdy przysłuchiwała się zeznaniom Hollisterów, którzy zrobili z niej wiedźmę czyhającą na ich fortunę, dziedzictwo Brandona.

- Odciągnęła od nas syna - zeznawała Claudia z aktorstwem godnym Oscara. Zachowywała się jak prawdziwy anioł dobroci. Nie, to nie jest anioł - pomyślała Ashley. - Odkąd Brandon się ożenił, odciał się . od nas całkowicie. Ani razu do nas nie zadzwonił, nie odwiedził nas, nie odpowiadał na listy. Nie pokazał nam naszego jedyne wnuka! - Claudia błagalnie wpatrywała się w oczy sędziego.
- Skończona dziwka - pomyślała rozgniewana Ashley. - Ona powstrzymywała naszego syna od powrotu do Nowego Jorku i nie pozwalała mu na przejęcie kierownictwa działu prawnego Hollister International - rzekł Bradley do sędziego. - Chodziło o to, żebyśmy nie przejrzeni jej przebiegłych zagrywek. Dobrze wiedziała, że Brandon pewnego dnia wszystko odziedziczy ... Nigdy nie kochała naszego syna, oszukiwała go od pierwszego dnia małżeństwa.
- Ashley poderwała się na równe nogi.
- To wierutne kłamstwo! - wybuchnęła.
- Pani Hollister! - krzyknął sędzia karzącym głosem. - Panie Wilcox, jeżeli pan nie zapanuje nad swoją klientką, będę zmuszony uznać ją winną obrazy sądu!
- Ashley! - Wilcox złapał ją za łokieć. - Natychmiast usiądź. Nie możesz pozwolić na to, żeby wyprowadzili cię z równowagi. Im o to tylko chodzi - uspokajał ją cicho.
- Ashley usiadła na swoim miejscu.
- Nie mogłam tego dłużej wytrzymać, Harry - szepnęła. - Przecież oni kłamią.
- Musimy przed sądem zdemaskować te oszczerstwa - rzekł z naciskiem adwokat. Ucisnął rękę



klientki, żeby dodać jej odwagi. - Rozgrywka jeszcze się nie skończyła.

Oszołomiona Ashley milczała i z największym trudem panowała nad gniewem, słysząc, jak niektórzy jej dawni kochankowie zeznają pod przysięgą, że sypiali z nią w okresie, gdy była żoną Brandona Rollistera.

- Przecież oni kłamią - powiedziała do Wilcoxa. \_ Chciałabym wiedzieć, ile kosztowało Rollisterów, to widowisko?

Przesłuchania ciągnęły się dwa dni. W drugim, dniu posiedzenia Rany Wilcox starał się obalić fałszywy wizerunek Ashley, przedstawiony przez jej teściów.

- Wysoki Sądzie - zwrócił się do sędziego - pani Hollister nie miała absolutnie żadnych powodów, żeby wychodzić za mąż z wyrachowania. Nie musiała liczyć na spadek męża, bez względu na wysokość tej sumy. Ashley Gordon-Hollister ma osiągnięcia, jej obrazy zdobyły międzynarodowy rozgłos, wystawiane są aktualnie w różnych częściach Europy. Pragnę podkreślić, że swoje malarskie sukcesy odnosiła jeszcze przed zawarciem związku małżeńskiego ....

Usiłował obalić zeznania Hollisterów. Oboje trzymali się uparcie swej linii obrony.

- Ich argumenty rzeczywiście były przekonujące \_ rzekł do Ashley.

- Sytuacja nie wygląda najkorzystniej, prawda, Harry? - zapytała Ashley, gdy opuszczali salę sądową.

- No cóż ... - zaczął z pewnym ociąganiem.

- Tylko nie kłam, Harry - nalegała. - Muszę to wiedzieć. Jaki będzie wyrok?

- Bardzo dużo namieszali - przyznał uczciwie. - Dopóki jednak sędzia nie ogłosi wyroku, nie jesteśmy w stanie przewidzieć, jak bardzo nas ugodzili.

Ashley spoglądała na niego, nie mogąc pogodzić się z faktem, że miałyby stracić Roberta. Na coś takiego Brandon nie zgodziłby się nigdy.

Nie mogę do tego dopuścić - myślała uparcie.

Wyrok sądu zapadł zaskakująco szybko.

- To zły znak, prawda? - zapytała Ashley, gdy wchodziła z Wilcoxem po schodach do gmachu sądu.

- Nie powinnaś przepowiadać najgorszego, zanim nie spełni się los - ostrzegł ją.

- Sądzę, że już po wszystkim - rzekła ponuro Ashley. Hollisterowie siedzieli już w sali. Bradley w ogóle nie spojrzał na synową, a jego żona rzuciła jej tylko pewny siebie uśmiešek. Ashley miała ochotę rzucić się na nią z pięściami, ale zapanowała nad gniewem, usiadła obok Wilcoxa i nie ruszyła się z miejsca, dopóki nie kazano wszystkim wstać. Wszedł sędzia. Po zajęciu miejsc zabrał głos.

- Z największą troską podszedłem do problemu opieki nad dzieckiem, Robertem Brandonem Hollisterem zaczął z namaszczaniem. Reszty Ashley nie usłyszała. Z samego sposobu, w jaki na nią patrzył, i z tonu głosu domyśliła się, że przegrała sprawę. Nagle głos sędziego gdzieś uciekł, jakby wydobywał się z głębokiego tunelu, a cała sala zaczęła dziko wirować. Ashley złapała Wilcoxa za ramię, gdyż wydawało jej się, że zapada się pod ziemię. Wyobraziła sobie, że znowu jest na lotnisku i dowiaduje się o śmierci Brandona. Sędzia plótł coś na temat korzyści Roberta.

- ... oboje dowiedli, że mają najlepszą wolę zapewnić dziecku ustabilizowane życie rodzinne.

Ach, Boże, nie! - myślała. Wirowało jej w głowie. To nie może być prawda ... to nie może wydarzyć się po raz drugi!

- Pani Gordon-Hollister, decyzją tego sądu przekaze . pani dziecko państwu Hollisterom nie później niż w piątek w południe, dnia piętnastego lutego - powiedział sędzia.

On też jest przekupiony - pomyślała Ashley, zupełnie oszalała. Zanim Wilcox zdążył ją zatrzymać, podniosła się i zaczęła krzyczeć gniewnie do sędziego.

- Nie miałeś prawa tego zrobić! - zawołała ochryplym głosem. - Nie widzisz, co oni wyprawiają? A może i ty też jesteś na żołądź u tego drania?!

- Pani Hollister! - uciał ostro sędzia. - Już raz panią ostrzegałem przed tego rodzaju wybuchami!

- Ashley! - Harry Wilcox stanął przy boku klientki, starając się ją zmusić, by usiadła. Z całej

siłyodepchnęła go.i dalej atakowała sędziego.

- Cóż możesz mi jeszcze zrobić? - Odwróciła się plecami i wybiegła na korytarz, nie zwracając uwagi na sędziego, który przywoływał ją do porządku.

Wilcox znalazł ją opartą o ścianę. Drżała jak liść.

- Ashley, nie mam pojęcia, jak mógłbym cię pocieszyć - zaczął bardzo cicho.

- To nie twoja wina, Harry - odrzekł,a drżącym głosem. - Zrobiłeś wszystko, co w tych okolicznościach dało się zrobić. Skąd mogłeś wiedzieć, że oprócz ciebie i mnie wszyscy na sali sądowej byli przekupieni.

Wtem drzwi się otworzyły. Hollisterowie wyszli, uśmiechając się triumfalnie. Zbliżyli się do Ashley.

- Przyjść po Roberta w piątek o dwunastej - oświadczyła Claudia zimno. - Zadbaj o to, żeby był przygotowany. Odlatujemy do Nowego Jorku i nie chciałabym się spóźnić na samolot.

- Ty stara dziwko ... - wybuchnęła znowu Ashley, zaciskając pięści. Wilcox złapał ją za ramię, bojąc się, że uderzy byłą teściową.

- Od początku nie miałaś najmniejszej szansy \_ stwierdziła Claudia, upajając się zwycięstwem.

- Jeszcze z tobą nie skończyłam ""- rzekła Ashley groźnym tonem.

- Ależ to kqniec! Nie spodziewam się, żebyśmy miały zobaczyć się kiedykolwiek - odparła Claudia, dając tym samym do zrozumienia, że żadne odwiedziny Roberta u matki nie wchodzi w rachubę.

- Nie, ja jeszcze nie skończyłam! - obstawała przy swoim Ashley. - Kiedy rzeczywiście skończę, pożałujesz, że w ogóle ze mną zaczynałaś. - Odwróciła się i wyszła z sądu.

- Pamiętaj, kochanie, co ci powiedziałam. - Ashley klęczała przed Robertem na błękitnym dywanie jego sypialni. Jeszcze raz wygładziła przód koszuli chłopca.Bez względu na to, jak przykre wydają się pewne rzeczy, możemy WYtrzymać wszystko, jeśli jest to tylko tymczasowe.

- Co znaczy, mamuniu, to słowo? - zapytał. Miał buzię zalaną łzami. Nie chciał zasnąć poprzedniej nocy, a Ashley nie potrafiła go pocieszyć.

- Tymczasowe? To znaczy, że nie rozstajemy się na zawsze. Tylko na krótko - powiedziała, powstrzymując łzy. - Nikt nie może rozdzielić nas na zawsze.

- Ale ja w ogóle nie chcę opuszczać cię, mamuniu oświadczył chłopczyk. - Czemu muszę z nimi jechać? Przecież w ogóle ich nie znam. Mówisz, że to mój dziadek i babcia, a ja nigdy ich nie widziałem.

- To rodzice twojego tatusia. Nie spotykałeś się z nimi, bo mieszkają daleko stąd. Ale oni cię kochają. Bardzo. Dla nich jesteś wszystkim, co pozostało po twoim tatusiu. - Bez względu na to, jak bardzo nienawidziła Hollisterów, nie mogła przecież straszyć Roberta jeszcze bardziej, opowiadając mu, jakimi ludźmi są naprawdę. Musiała robić wszystko, by ułatwić dziecku rozłąkę, zanim znajdzie sposób, jak je odzyskać.

- Jeżeli tak bardzo mnie kochają, to czemu mi "to robią? - pytał chłopiec. - Czemu zabierają mnie od ciebie?

- Bardzo bym chciała wytłumaczyć ci to, synku, ale sama nie mogę tego zrozumieć. - Pogładziła go po włosach i zmusiła się do uśmiechu. - Ale to nie potrwa długo. Zobaczysz.

- I ty zgadzasz się, żebym wyjechał?

Popatrzyła na niego. Nie potrafiła mu wyjaśnić, że nie mają wyboru. Chłopcu zdawało się, że spotyka go jakaś niesprawiedliwa kara. Nie rozumiał swojej sytuacji i to dodatkowo bolało jego matkę.

- Nigdy nie zgodziłabym się na to, gdybym mogła postąpić inaczej - rzekła zgodnie z prawdą, wYcierając mu chusteczką zapłakane oczy. - Sama nie potrafię na ten temat powiedzieć więcej niż ty.

- Przecież jesteś moją mamusią! Ty mówisz mi zawsze, co mam robić. - Spoglądał na nią jak małe, przestraszone zwierzątko zapędzone do kąta. .

Ashley odetchnęła głęboko.

- Na tym świecie są ludzie, którzy rozkazują nawet mamusiom - powiedziała, starając się, żeby głos

brzmiał naturalnie. - Czasami tak bywa, niestety. I taka chwila nastala dla nas, moje kochanie. Ci ludzie myla sie, ale ja nic na to nie poradze ... nie w tej chwili.

- Ale przeciez przyjedziesz po mnie, prawda? \_ W glোসie chlopca pojawilo sie cos alarmujacego, co kusilo Ashley, zeby wziac go za raczke i uciekac z nim natychmiast tak daleko, jak tylko sie da. Nie dbam o to, chocym miala uciekac przed prawem przez cale zycie - pomyslala. - Ale to nie byloby korzystne dla ciebie, Robercie. Musi sie znalezc jakies lepsze wyjscie.

Dzwonek do drzwi ostro przecial tok jej myśli.

- N o, juz przysli - rzekla powaznie i wziala chlopca za reke, prowadzac go po schodach.

Otworzyła drzwi i zobaczyła Claudię w towarzystwie dwóch umundurowanych policjantów.

- To niepotrzebne - odezwala sie cicho.

- Musialam sie zabezpieczyc na wypadek, gdyby cos glupiego przyszlo ci do glowy - oswiadczyla Claudia.

- Robert bedzie sie ich bal - odrzekla Ashley slabym glосem.:- Moze nie ma to dla ciebie zadnego znaczenia?

- Oczywiscie, ze ma znaczenie. To sad ich przyslal.

- Wierzę ci - zapewnila Ashley. - Walizki sa zapakowane. Znajduja sie na gorze ...

- Nie bedzie ich potrzebował - rzekla pospiesznie Claudia. - Mam zamiar kupic mu nowe ubrania, gdy przyjedziemy do domu.

- Jego dom jest tutaj! - uciela Ashley i zniyzyla glос. Ma pare ulubionych rzeczy, z ktorymi nie bedzie chcial sie rozstac.

Claudia popatrzyła na nia, a nastepnie przytaknela.

Zwrócila sie do jednego z policjantów:

- Niech pan uprzejmie zabierze bagaze chlopca. Tamten kiwnal glową. Ashley ruchem glowy wskazala schody.

- Pierwsze drzwi na prawo.

Policjant szybko zszedl z dwiema wielkimi walizkami. Claudia wziala Roberta za reke, ale on sie wyrwal.

- Nie chce isc z toba!

- Musisz ze mna pojsc - stanowczym glосem rzekla

Claudia. - Bedzie ci sie podobalo zycie w Nowym Jorku. Przygotowalam dla ciebie stary pokoj twojego ojca, poza tym ...

- Nie pojde z toba! - krzyczal rozgniewany Robert, wyrwijac sie ponownie. - Chce zostac z moja mamusia! - Przywarl do Ashley, krzyczac na caly glос: - Proszę cię, mamuniu, nie pozwól, zeby oni mnie zabrali! Błagam!

Ashley spojrzala na Claudię z nienawiscia i przyklekla przed synem.

- To nie potrwa dlugo, kochanie ... obiecuję ci to szepnela. - Tylko nie zapomnij, jak bardzo cię kocham. Nigdy ... bez względu na to, jak czędko ci bedzie zyc.

Claudia złapala chlopca szorstko za reke i wszystko, co Ashley potrafila zrobic, to powstrzymac sie przed zaatakowaniem jej w obecności policjantów. Pocalowala Roberta na pozegnanie, a potem stala w drzwiach domu i patrzyla, dopoki samochod nie odjechal. Zamknela za soba drzwi i oparla sie o nie, a lzy laly sie jej po policzkach. Widok drobnej twarzyczki syna wyrwanego z jej objec dzialal jak strzal w samo serce. Uderzenie kuli nie byloby takie bolesne - pomyslala; czula ze wali sie caly swiat. Miala wielka ochote wydrapac tej wiedzmi oczy. W tej chwili gotowa byla zabic Claudię i jej wszechmocnego meza własnymi rekoma. Tak czy inaczej musze znalezc jakis sposob na odzyskanie ciebie, mój synku - pomyslala i przeniknela ja jakaś nowa energia. - A jak juz cię odzyskam, Hollisterowie zaplacą za wszystko, co zrobili twojemu ojcu... i teraz nam. Zniszczę ich.

*Paryż, październik 1986*

Uzbrojony straznik sprawdzal sale domu jubilerskiego Ferrand-Besseges przy rue Francois. Obcasy glосno stukaly po marmurowej posadzce. Odglосy kroków rozchodzily sie echem po pustym sklepie. Byl pewny, ze wszystko zostalo nalezycie zabezpieczone, wiec usiadl spokojnie na zapleczu. W sali wystawowej stalo pełno szklanych gablot, pustych o tej porze, poniewaz wszystkie

wyroby jubilerskie wynoszono na noc do gigantycznego sejfu, usytuowanego na tyłach budynku. Chciał już uciąć sobie drzemkę, bo jego przełożony nie miał pojawić się tej nocy. Wyjechał na tydzień do Lyonu, więc nie przyjdzie, jak miał w zwyczaju, żeby wszystko sprawdzić. Gdyby przyłapał kogoś na drzemce w czasie pracy - *merde!* Strażnik nie widział najmniejszego powodu do tak wielkiej ostrożności. Noc w tym pomieszczeniu przypomina czuwanie w mauzoleum. Ukryty w sejfie Collin myślał dokładnie to samo.

Usiadł na podłodze hermetycznie zamkniętej komory i oparł się o ścianę z szufladami, wypełnionymi biżuterią o przeróżnej wartości. Oddychając głęboko przez maskę tlenową, wpatrywał się w ciemność. Tkwił tu dopiero parę godzin, ale czuł się jak ugotowany. W takim miejscu można łatwo popaść w klaustrofobię - pomyślał, wyciągając z kieszeni misternie wykonany naszyjnik, wysadzany diamentami i szafirami; był to prezent, który ojciec podarował matce w dwudziestą rocznicę ślubu. Collin potrzebował prawie trzech lat, żeby go odnaleźć - naszyjnik był dwukrotnie kupowany i ponownie sprzedawany, aż wreszcie znalazł się w gigantycznym sejfie jednego z najbardziej prestiżowych domów jubilerskich Paryża. To ostatni rodzinny klejnot, jaki należało -odzyskać. Collin z sentymentem przyglądał się naszyjnikowi, albowiem przypominał sobie chwilę, gdy widział go na szyi matki w czasie bezpośredniej, serdecznej rozmowy w przeddzień wyjazdu rodziców do Caracas. Pamiętał tamten wieczór tak wyraźnie, jakby to było wczoraj. Cóż, naszyjnik w końcu powraca na swoje miejsce - pomyślał z zadowoleniem.

Schował go do plecaka i ściągnął maskę tlenową, żeby zarzucić ciężar na plecy. Poczul lekki zawrót głowy, założył więc szybko maskę z powrotem i oddychał głęboko. Realizował swoje najbardziej ryzykowne przedsięwzięcie. Potrzebował wiele czasu, żeby dokładnie rozpracować, jak dostać się do sejfu i ukryć się w nim aż do zamknięcia sklepu. Zdobycie wszystkich potrzebnych rekwizytów nie było łatwe, choć Blackjack udzielił Collinowi dokładnych wskazówek. W minionym tygodniu Deverell odwiedzał jubilera wielokrotnie, za każdym razem w innym przebraniu. W czasie tych wizyt stwierdził, że sejfu nigdy nie spuszczało z oka na dłuższy czas. Drzwi zamykały się automatycznie, gdy zamykano sklep i tak samo otwierały się każdego ranka. Collin zdawał sobie sprawę, że będzie musiał siedzieć tam do rana. Nie wydostanie się stamtąd przed czasem automatycznego otwarcia. Opracowanie właściwego planu zajęło sporo czasu i kosztowało немало wysiłku intelektualnego. Poprzedniego dnia zjawił się w sklepie w kolejnym wcieleniu, ukrywając włosy pod ciemnoblonde peruką. Policzki rozjaśnił pianką, a piwne oczy przysłonił szklami kontaktowymi w zielonym kolorze. Był modnie ubrany i wyglądał na człowieka zamożnego, który może zapłacić za wyroby prezentowane w sklepie. Mówił po francusku z niemieckim akcentem. Nie spiesząc się, chodził dookoła i pilnie przyglądał się biżuterii. Dwaj sprzedawcy kierowali swoją uwagę raczej ku innym klientom. Gdy nikt nie zwracał na niego uwagi, Collin wyjął z kieszeni mały, cylindryczny przedmiot, pociągnął za czerwoną zawleczkę, po czym rzucił go za gablotę stojącą w kącie pomieszczenia. Urządzenie zaczęło natychmiast emitować dym. W ciągu paru sekund czujniki zareagowały, zagłuszając inne dźwięki. Miał dokładnie tyle czasu, ile potrzebował, żeby powrócić do hotelu i przygotować się do wykonania następnej fazy planu,!!

Dokładnie o piątej po południu przybył znowu do sklepu, tym razem udając elektryka. Wszedł do biura na zapleczu, ubrany w powalany kombinezon, w którym wydawał się cięższy przynajmniej o dwanaście funtów. Na głowie miał ciemną, kędzierzawą perukę, pod nosem sumiaste wąsy, a policzki i nos pokryte pianką. Dźwigał ogromną torbę z narzędziami.

- Myślę, że to nie potrwa długo - rzekł czystą francuszczyzną, udając, że sprawdza przewody i bezpieczniki.

Gdy nikt nie zwracał na niego uwagi, wyciągnął z torby plasterki suchego lodu i wsadził go do skrzynki z bezpiecznikami. Następnie wziął puszkę wody sodowej, otworzył ją i powoli wylał na lód. Zgodnie z przewidywaniami zaczął się wydobywać obficie dym.

- Niech pan na razie wyłączy tę część instalacji zwrócił się do kierownika. - Będziemy mieli trochę więcej roboty. Poradzę sobie z tym, ale skończę pracę dopiero jutro. Muszę znaleźć kogoś do pomocy i zabrać trochę więcej narzędzi.

Gdy personel przygotowywał się do wyjścia, Collin udawał zajętego zbieraniem narzędzi. W

odpowiednim momencie wślizgnął się do sejfu. Niebawem masywne drzwi zamknęły się za "elektrykiem", pograżając wnętrze w ciemności. Zdjął perukę i wasy, schował je do torby i starannie wytarł twarz. Ściągnął kombinezon, pozostając w czarnym golfie, obcisłych spodniach i skórzanej bluzie, pod którą był ukryty plecak. Szybko wyjął latarkę kieszonkową i zaczął przeszukiwać szufladki, aż wreszcie znalazł to, czego szukał. Następnie przygotował się na spędzenie długiej nocy w sejfie. Wyciągnął z torby kanapkę i termos. Zaczął jeść. Sporadycznie spoglądał na zegarek, wiedział bowiem dokładnie, na jak długo wystarczy mu powietrza. Gdy nadszedł czas, sięgnął do torby po butlę tlenową i maskę, układając się jak najwygodniej. Z niepokojem myślał, jak się stąd WYmknie, gdy nazajutrz sejf ponownie zostanie otwarty.

Collin powrócił myślami do teraźniejszości. Szybko rzucił okiem na zegarek. Szósta rano. Jeszcze godzina do otwarcia sejfu. Trzeba się przygotować. Gdy o godzinie siódmej drzwi się otworzą, nie będzie ani chwili do stracenia. Przed sejfem czekać będzie przynajmniej trzech ludzi: kierownik sklepu i dwóch strażników, którzy wejdą do środka i zaczną zabierać kosztowności, żeby je umieścić w gablotach. Musi działać błyskawicznie, nie dając im szansy na sięgnięcie po broń, zanim nie oddali się na tyle, by skutecznie uciec.

Przemyślał wszystko dokładnie. Starannie przeanalizował każdy szczegół, licząc się z każdą ewentualnością. Jeżeli nauczył się czegoś od Blackjacka, to właśnie dokładności. Arab z uporem kładł do głowy swemu uczniowi, że musi przewidywać absolutnie wszystko. Collin zdjął maskę tlenową i wyjął z torby parę najwyższej jakości wrotek. Z zadowoleniem uśmiechnął się do siebie. Wciąż uczył się czegoś nowego - pomyślał z satysfakcją. - Nie da się temu zaprzeczyć, przyjacielu. Ściągnął z nóg stare buty i nałożył wrotki, sznurując je bardzo dokładnie. Nie ma to jak zestaw dobrych kółek - pomyślał z rozbawieniem. Zaskoczy ich jak wszyscy diabli, gdy tylko drzwi zostaną otwarte.

Przez ostatnią godzinę prawie nie spuszczał oka z zegarka. Nie wolno zmarnować ani jednej sekundy - powtarzał sobie bez końca. - Gdy drzwi się otworzą, musisz być gotowy do startu. Wdychał głęboko tlen i starał się myśleć jasno. Tu nie ma absolutnie żadnego marginesu na błąd. Blackjack zawsze powtarzał, że błąd to ostatni ruch. Collin był ciekaw, co przyjaciel teraz robi. Nie widział go prawie od trzech lat, od tamtego poranka, gdy opuścił Maroko, ale był pewien, że Blackjack śledzi relacje w środkach masowego przekazu. Wyczyny tajemniczego włamywacza były szlagierem głównych wydań wiadomości na czterech kontynentach przez ostatnie dwa i pół roku, aczkolwiek nikt nie znał tożsamości śmiałka. Był ciekaw, co Blackjack zrobił z pieniędzmi zabranymi z sejfu Williama Harringtona. Deverell miał też nadzieję, że przyjaciel pamięta o obietnicy. Do tej pory Collin jeszcze nic nie osiągnął, ale był zdecydowany dotrzymać słowa, jakie dał, wyruszając do Marrakeszu. Odnajdzie Yasmin.

Szósta pięćdziesiąt dziewięć. Po raz ostatni przyłożył maskę do ust i odetchnął czystym tlenem, po czym zamaskował twarz czarnym wełnianym kołnierzem narciarskim. Odliczając czas, naciągnął na ręce skórzane rękawice. Dziesięć ... dziewięć ... osiem ... siedem ... Słyszał głośnie tykanie mechanizmu ustawiającego automatyczne otwieranie drzwi. Sześć ... pięć ... cztery ... Nabrał w płuca powietrza, stanął i przysunął się do drzwi. Trzy... dwa ... jeden ... Kiedy tylko drzwi się otworzyły, Collin skoczył do przodu jak z procy i minął oglupiałego kierownika i strażników. Jak szalony pognął w kierunku frontowego wyjścia.

\_ Co, u licha ... ! - Kierownik pobladł, wyglądał, jakby miał zaraz dostać ataku serca, ale Collin tego nie zauważył. Gnał przez sklep jak błyskawica w stronę podwójnych szklanych drzwi, prowadzących na rue Francois.

Strażnicy pobiegli za nim.

\_ stój, bo będę strzelał! - wołał jeden z nich, wyciągając z kabury pistolet. Strzelił raz, ale Collin się nie zatrzymał.

Nie taki diabeł straszny - pomyślał, wysoko podnosząc ramiona i energicznie wymachując raz jedną, raz drugą ręką. Pędził prosto ku szklanym drzwiom. Przymknął oczy i usłyszał brzęk tłuczonego szkła, gdy staranował drzwi i wypadł na ulicę. Ani na moment nie zwolnił. Sunąc w dół ulicy, słyszał przenikliwe wycie alarmu. Teraz za włamywaczem gnał już cały pluton żandarmów,

wszyscy nawoływali i strzelali, ale żaden z nich nie trafił. Dziękować Bogu, że to kiepscy strzelcy - pomyślał z ulgą, gwałtownie skręcając i pędząc przed siebie ciemną aleją. Pospiesznie ściągnął skózaną bluzę i opuścił kołnierz narciarski, a na sweter włożył szarą marynarkę. Następnie wdział luźne spodnie w takim samym kolorze. Pozbył się bluzy, maski i wrotek, plecak zaś wsunął do obszernej brezentowej torby lotniczej. Obojętnym krokiem pomaszerował w kierunku ulicy i wszedł do małego sklepiku, oddalonego pół bloku od salonu jubilerskiego. Sprzedawca stał przy wejściu i przyglądał się, jak policja przetrząsa teren.

- O co tu chodzi? - zapytał po francusku Collin.

- Ktoś obrabował sklep jubilerski - odrzekł sklepikarz, wskazując głową w tamtym kierunku. - Włamywacz skrył się najwidoczniej w sejfie i gdy otwierano go dziś rano, całkowicie zaskoczył obsługę. Złodziej musi być chyba szalony.

Collin skwapliwie przytaknął.

Szach i mat - pomyślał, wychodząc ze sklepu.

Tego samego dnia po południu Collin przybył na lotnisko de Gaulle'a i czekał na samolot TWA do Nowego Jorku. Naszyjnik był dobrze ukryty w małej giemzowej torebce, umocowanej pod spodniami dookoła bioder mocnym sznurkiem. Gotów był, jak tyle razy przedtem, założyć się, że znów wygra pojedynek z celnikami. Dawno już przestał przejmować się odprawami celnymi.

Czuję się jak człowiek, który usiadł na dzieciennym trójkołowym rowerku po długim czasie wygrywania wyścigów motocyklowych - pomyślał z rozbawieniem, kierując się do kiosku.

Kupił pudełeczko cukierków miętowych. Gorzka kawa, którą popijał w ciągu nocy spędzonej w sejfie, pozostawiła w ustach nieprzyjemny smak. Odwinął miętówkę i wsadził ją do ust. Rzucił okiem na dzisiejsze wydanie "Le Monde". Pierwsza strona donosiła o udanym rabunku w "prawobrzeżnym ekskluzywnym sklepie jubilerskim".

Popatrzmy sobie, co też o nas piszą - pomyślał Collin, wyciągając jeden egzemplarz i płacąc należność w kasie. Może powinienem zacząć zbierać wycinki z gazet? Znalazł wolne miejsce w pobliżu barierki, przy której miała odbyć się odprawa na jego lot, i usiadł wygodnie, by przeczytać artykuł.

Rozbawiony zauważył, że znowu nie odkryto żadnych śladów wskazujących na tożsamość człowieka, który ukrył się w sejfie. Zdaniem francuskiej policji, głównym podejrzanym był mężczyzna, który podawał się za elektryka, żeby zapewnić sobie dostęp do sejfu. Funkcjonariusze byli wręcz zaszokowani faktem, że zginęła tylko jedna sztuka biżuterii. Nie przerywając lektury, Collin pomyślał: Nigdy nie zabieram tego, co do mnie nie należy. I na tym polega różnica pomiędzy mną a moim ukochanym braciszkiem.

Siedział samotnie w rzędzie pustych foteli samolotu lecącego do Nowego Jorku. Był bardzo zdziwiony, że celnicy tylko pobieżnie skontrolowali bagaż pomimo dużego prawdopodobieństwa, że ktoś, kto zabrał naszyjnik, będzie starał się wywieźć go z kraju. No tak pomyślał Collin - nikt nie byłby na tyle głupi. Po zjedzeniu obiadu uświadomił sobie, że cieszy się z powrotu do domu. Tym razem przebywał w świecie trochę za długo. Przez ostatnie trzy lata rzadko odwiedzał Sea Cliff. Po opuszczeniu Maroka udał się do Rzymu, gdzie zlokalizował obrazy Cezanne'a i Moneta. Inne płótno przemycono do Genewy. Potem powrócił do Sea Cliff na sześć miesięcy, zanim udał się do Ameryki południowej, by wytropić tam kilka egzemplarzy matczynej biżuterii. Był w Caracas, Bogocie, Montevideo i Rio de Janeiro. Potem pojechał do Londynu, Madrytu i Biarritz. Z rozrzewnieniem myślał o tym, jak cudownie byłoby posiedzieć przez jakiś czas w rodzinnej posiadłości i brać życie, tak jak leci, ale dobrze wiedział, że do tego .na razie nie dojdzie. Zbyt wiele miał jeszcze do zrobienia. Justin zdradził go i oszukał. Ale co było stokroć gorsze, brat wszystko wyprzedał. Przejął firmę, którą ojciec zbudował od podłóg, swobodnie posługiwał się tą władzą i nadużył jej, dopuścił do tego, by zorganizowana przestępczość przeniknęła struktury przedsiębiorstwa i całkowicie nim zawładnęła. Szefowie mafii odzierali firmę z aktywów, biorąc, co im się podoba, a kiedy już nasycą się, Intercóntinental on pozostanie tylko wypatroszoną 'skorupą, cieniem dawnego imperium. Aczkolwiek CollinoWi nigdy nie zależało na władzy nad firmą, którą ojciec chciał mu przekazać, zaczynał przekonywać się coraz bardziej, że posłużyłby się

nią znacznie lepiej niż Justin. W każdym razie nie jest jeszcze za późno, żeby naprawić to, co brat zniszczył - pomyślał, opróżniając kieliszek wina, zanim stewardesa zabrała tackę. Począł rozwijać plany zmierzające do odzyskania kontroli nad firmą i postawienia przed sądem przestępczych szefów. Był to bardzo ryzykowny plan. Trudno zrealizować go w pojedynkę. Gdybym miał przy sobie Blackjacka - marzył Collin. Niestety, Arab był ~był stary i schorowany, żeby brać czynny udział w szalonych WYczynach Deverella, który potrzebował kogoś równie młodego, sprawnego i nieustraszonego jak on sam, kogoś, kto miałby podobną motywację do walki. Ktoś, komu mógłby zaufać. Znalezienie takiej osoby nie przyjdzie łatwo. Ludzie, którzy mają zamiar przeciwstawić się zorganizowanej przestępczości, na ogół publicznie tego nie ogłaszają.

Czuł się zmęczony, ale nie mógł zasnąć. Przeczytał od deski do deski gazetę, którą kupił na lotnisku, po czym dał znak stewardesie.

- Czy nie znajdzie pani' na pokładzie aktualnego WYdania "New York Timesa"? - zapytał. - Dawno wyjechałem z domu i chciałbym poczytać o najnowszych wydarzeniach.

Młoda kobieta, która do niego podeszła, była piękną blondynką w wieku około dwudziestu pięciu lat, ale Collin, zaabsorbowany swoimi planami, obdarzył ją tylko grzecznym uśmiechem.

\_ Prawdę powiedziawszy, kupiłam dziennik przed odlotem z Nowego Jorku do Paryża - rzekła do niego. To wydanie wczorajsze, ale jeżeli ...

\_ Doskonale - podziękował jej szybko Collin.

Uprzejmie skinęła głową.

- Już idę po gazetę.

Ileż wydarzyło się przez te lata! Jestem ciekaw, czy poznam jeszcze Manhattan. Czytał gazetę i dziwił się wszystkiemu, co stało się w czasie jego nieobecności. Odnowienie Statuy Wolności zostało zakończone, a w lipcu udostępniono pomnik zwiedzającym. W związku z terrorystycznymi zamachami na obywateli amerykańskich, zwłaszcza po kwietniowym ataku Stanów Zjednoczonych na Libię, zaostrzono rygory bezpieczeństwa na lotnisku. A to dopiero - pomyślał Collin. - Przejście przez kontrolę celną na lotnisku Kennedy'ego może się okazać bardziej skomplikowane, niż przypuszczałem. Postanowił być tym razem szczególnie ostrożny.

Otworzył gazetę na stronie, gdzie omawiano tematykę kulturalną i różnorodne imprezy rozrywkowe. Na pierwszym miejscu znajdował się artykuł o wystawie Ashley Gordon-Hollister, zlokalizowanej w galerii przy Madison Avenue. Collin długo wpatrywał się w fotografię artystki. Była nieprawdopodobnie piękną kobietą. Synowa Bradleya, Hollistera. Wyszła za jego zbuntowanego syna. Po śmierci Brandona w ubiegłym roku Hollisterowie procesowali się z wdową o prawo do opieki nad jej nieletnim synem i wygrali sprawę. Najprawdopodobniej cały system sądowiczy San, Francisco siedzi u nich w kieszeni - pomyślał ponuro Collin. Spośród ludzi, którym poprzysiągł zemstę, Bradley Hollister znajdował się na pierwszym miejscu 'czarnej listy'. Prowadził ogromny syndykat niczym potworną maszynę władzy, bezlitośnie pochłaniał legalne interesy i korporacje, które pozwalały mu na przeprowadzanie nielegalnych operacji bez wzbudzania podejrzeń - w ten sposób prał brudne pieniądze. Collin dobrze go pamiętał. Jeszcze za życia Quentina Deverella ten krętać mi,ał zakusy na przejęcie Intercontinentała on i najprawdopodobniej przyczynił się do finansowych kłopotów firmy. Dla Collina równało się to z zabójstwem jego rodziców, tak jakby to on spowodował wybuch szybu naftowego. Była synowa musiała nienawidzić swojego teścia jeszcze bardziej. Oto kobieta, która ma wystarczające powody, żeby życzyć Hollisterowi jak najgorzej \_ pomyślał zaintrygowany Collin. - Chętnie spotkałbym ją. Jestem ciekaw, co ona wie na temat rodziny swojego męża.

Gdy 747 zaczął schodzić do lądowania, Collin zapiął pas i oparł się wygodnie, nastawiając się na każdą niespodziankę, jaka mogłaby się przydarzyć w czasie kontroli celnej. Sprawdził ręką nogę, gdzie pod spodniami wisiała giemzowa saszetka. Odetchnął głęboko. Doszedłem już tak daleko. Musi się udać. Nie mogę dać się teraz złapać.

Zbliżając się do punktu kontrolnego, Collin wyjął paszport. Inspektor wziął go i otworzył w miejscu, gdzie było zdjęcie Deverella, rzucił na nie okiem, po czym spojrzał na wysokiego mężczyznę, ubranego w czarny sweter, czarne spodnie oraz szarą bluzę, trzymającego niedbale na

ramieniu wyładowaną torbę podróżną. Następnie wystukał na komputerze jakieś hasło. Przez moment spoglądał na ekran, kiwnął głową i oddał paszport.

- Witamy w domu, panie Deverell - rzekł, uśmiechając się przyjaźnie.

- Miło mi. - Collin skinął głową.

Podszedł do stanowiska odprawy celnej i stanął w kolejce za niską i bardzo tłustą kobietą w futrze z norek i za wysokim, chudym mężczyzną z monoklem. Ów podróżny włókł do kontroli trzy ogromne walizy.

- Miałabym za to płacić coś? - Tłusta kobieta wymachiwała rękami przed nosem celnika, który wyciągnął z jej toreb pięć butelek najdroższych francuskich perfum i poustawiał je na kontuarze. - To tylko prezenty!

- Prezenty też podlegają ocenie, proszę pani. Deklaracja mówi o tym zupełnie jasno - tłumaczył celnik cierpliwie, pokazując coś palcem na odwrotnej stronie kartki. - Te perfumy kosztują sto pięćdziesiąt dolarów za uncję, a to przecież kupa forsy.

- Odwołam się w tej sprawie do kongresu! - krzyczała zażywna jejmość bez poczucia osobistej godności.

Celnik uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Skoro pani uważa, że to coś pomoże, proszę bardzo - rzekł uprzejmie, oddając jej paszport.

Chudy mężczyzna, stojący bezpośrednio przed Collinem, miał tyle bagażu, że wystarczyłoby na sześciuosobową rodzinę. Deverell niecierpliwił się z minuty na minutę, obserwując, jak celnik sprawdza jedną rzecz po drugiej, nie znajdując nic godnego uwagi. Wreszcie mężczyzna został zwolniony. Collin odetchnął z ulgą, gdy postawił na kontuarze swoją torbę. Celnik rozpoznał go natychmiast.

- Witamy w domu, panie Deverell - pozdrowił grzecznie podróżnego. - Dawno pana nie widziałem.

- Dużo podróżowałem - odparł Collin zmęczonym głosem. - Stęskniłem się za domem.

- To zrozumiałe - rzekł celnik. - Bał bym się teraz podróżować po Europie.

Collin zmusił się do uśmiechu.

- Ja po prostu udaję tam Francuza, Szwajcara lub Niemca - rzucił od niechcienia.

Celnik wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Niezły pomysł. - Zakreślił kredą znak na torbie, nawet nie zaglądając do środka. - Jak zwykle tylko jedna?

Deverell kiwnął głową.

- Jeszcze raz wszystkiego najlepszego w domu. Collin odprężył się, gdy zarzucił ponownie torbę na ramię i skierował się poprzez zatłoczony terminal do głównego wyjścia. Denerwował się niepotrzebnie! Ale przecież nie spodziewał się zastać przy odprawie znajomego celnika. Szczęście znowu się do niego uśmiecha - pomyślał, torując sobie drogę w tłumie do postoju taksówek przed dworcem lotniczym.

Gdy kierował się do pustej taksówki, zderzył się z jakąś kobietą. Zdecydowanie chwyciła za klamkę i spojrzała na niego. Jej policzki zarumieniły się, a ciemne oczy zapłonęły gniewem. Musiała być tuż przed trzydziestką, miała bujne ciemne włosy i cudowną twarz. Nosiła ciemną wełnianą garsonkę, jaką widział w kolekcji Pauliny Trigere w ostatnim magazynie, oraz ogromny kapelusz, który częściowo zasłaniał twarz. Mój Boże, jest dużo piękniejsza niż na zdjęciu! - pomyślał Collin, rozpoznawszy ją natychmiast.

- Ja byłem pierwsza - rzuciła ostro, otwierając drzwi i wsuwając stopę do samochodu.

Uśmiechnął się serdecznie. A więc to jest Ashley Gordon-Hollister - pomyślał zaintrygowany:

- Nie odważyłbym się zaprzeczyć - rzekł grzecznie, trzymając otwarte drzwi taksówki. Przeniósł walizki kobiety do bagażnika, pomagając kierowcy je ułożyć. Gdy taksówka odjechała, uświadomił sobie, że artystka nawet nie podziękowała. Wzruszając ramionami, wszedł do następnego samochodu i podał kierowcy adres. Gdy wóz manewrował po zatłoczonym parkingu, Collin nadal pozostawał myślami przy pięknej kobiecie, o której niedawno czytał. Był pewien, że wkrótce znowu ją zobaczy.



*Nowy Jork, listopad 1986*

Ashley szła samotnie Piątą Aleją, obojętna na otaczające ją tłumy. Wiatr szarpał szarą wełnianą narzutkę, hulał pomiędzy drapaczami chmur, ale kobieta nie zwracała na to uwagi. Nie patrzyła też na błyszczące wystawy sklepowe, które zapowiadały świąteczny szal na Manhattanie. Ashley wciąż była myślami na spotkaniu z wynajętym adwokatem" który miał się zająć jej apelacją. Zgodziła się na show w Nowym Jorku, ponieważ sądziła, że w ten sposób zdoła wzmocnić swoje siły, jeszcze raz zmusi Hollisterów do oficjalnego wystąpienia i odzyska prawo opieki nad Robertem. Adwokat nie patrzył na sprawę optymistycznie. Ponownie przesłedził protokoły z pierwszego procesu i był zaskoczony siłą Hollisterów i ich adwokatów. Oczywiście, Ashley ma pewne szanse wygrania procesu apelacyjnego, ale są one niewielkie. W pewnym momencie chciała poszukać innego adwokata, ale w końcu doszła do wniosku, że to nie ma sensu, gdyż każdy powiedziałby jej to samo. Poza tym Elliott Morgan zgadzał się na prowadzenie sprawy pomimo niewielkich szans i był szczerze przekonany, że dziecko należy się matce, wreszcie Ashley rozumiała, że sama spisałaby się dużo gorzej niż on. Tego ranka długo rozmawiała z Wilcoxem, który powiedział, że Morgan potrafi odpowiednio zająć się jej sprawami.

Skręciła przy rogu Central Park South, patrząc bezmyślnie na limuzyny zaparkowane przy wejściu do Plaza, i szybko poszła do biura, które znajdowało się w drugiej połowie bloku. Po wejściu do holu skierowała się do windy i skinęła po drodze umundurowanemu portierowi, który przytrzymał drzwi. Wcisnęła się do zatłoczonego wnętrza, a gdy tylko drzwi się zamknęły, nabrała głęboko powietrza. Na dworze nie czuła zimna. Teraz, wtłoczona w ciasną przestrzeń windy, ściśnięta przez dwie inne osoby, otulona ciepłą zimową peleryną, miała wrażenie, że się upiecze.

Jechała na górne piętro w milczeniu, unikając spojrzeń i konwersacji z pasażerami windy. Nikogo z nich nie znała i nie była w nastroju do zdawkowej wymiany zdań. Wsiadając na dziesiątym piętrze, zanurzyła rękę w skórzanej torebce, szukając kluczy. Weszła do apartamentu i zamknęła za sobą drzwi, a następnie ściągnęła długie czarne rękawiczki ze skóry i zdjęła czarny kapelusz. Zrzucając pelerynę, rozejrzała się z upodobaniem po mieszkaniu. Było pięknie umeblowane. Wystrój stanowił mieszaninę stylów regencji i Ludwika XV, w odcieniach niebieskich i zielonych. Niestety, nie należało do niej. Dopiero tydzień temu wynajęła ten lokal od innej malarki, byłej klientki Melanii Masters, która miała akurat serię wystaw w Europie. Po ich zakończeniu artystka miała spędzić cały rok na Cap d'Antibes. Ashley podnajęła od niej na ten czas apartament, aczkolwiek nie sądziła, że będzie go tak długo potrzebowała. Jak wszystko pójdzie dobrze - myślała - zabiorę Roberta i za kilka miesięcy wrócimy do domu.

Usiadła na kanapie. Ściągnęła z 'nóg czarne kozaki i zaniosiła je do sypialni. Gdy otworzyła drzwi szafy, ujrzała swoją postać w lustrze umieszczonym na ich wewnętrznej stronie. Rozwiane włosy, rozpalone policzki, flanelowy kostium w kolorze wina, nabyty w ekskluzywnym sklepie. Była niewątpliwie bardzo atrakcyjną kobietą. Ludzie wciąż jeszcze mówili, że jest piękna, ale Ashley czuła się własnym cieniem. Wciąż wyglądała tak samo, ubierała się w tym samym teatralnym guście, ale coś w niej zmieniło się zdecydowanie. Być może oprawa oczu... żaden makijaż nie mógł przywrócić blasku jej zgaszonemu spojrzeniu.

W pamięci żywo brzmiały słowa Brandona:

"Najpiękniejsze w tobie, Ashley, są te żywe iskry w oczach.

Moje oczy już dawno się nie iskrzyły, Brandonie pomyślała smutno.- Gdybyś tu był, kochanie ...

Ściągnęła żakiet z modnie poszerzonymi ramionami i czarnymi welwetowymi wyłogami i zawiesiła go na ciężkim drewnianym wieszaku. Pod spodem nosiła koronkową bluzkę z wysokim wiktoriańskim kołnierzem i perłowymi guziczkami. Dobrze pamiętała dzień, kiedy ją po raz pierwszy włożyła. Urządzili sobie z Brandonem romantyczny obiad przy świecach; Robert był u jej rodziców w Santa Helena. Miała na sobie wtedy długą do samej ziemi czarną spódnicę i dwa sznury prawdziwych pereł na szyi. Rozpuszczone włosy opadały na ramiona. Brandon zauważył, że aczkolwiek strój W)~aje się bardzo wiktoriański, to ażur koronek jest niezwykle seksowny. Ashley zapamiętała ten komentarz i na spotkaniu z Morganem włożyła na wierzch żakiet.

Podeszła do okien, które wychodziły na Central Park. Gdy spoglądała w kierunku wejścia do parku, na rogu Piątej Alei i Central Park South spostrzegła grupkę biegnących dzieci, opatulonych w

zimowe stroje. Pomyślała o synku i serce zabiło jej tak, jakby chciało wyskoczyć z piersi. Robert, jej ukochane, cudowne dziecko, znajdował się w odległości zaledwie paru bloków stąd, w miejskim domu Hollisterów przy Wschodniej Siedemdziesiątej Ósmej Ulicy, a matce nie pozwolono spotkać się z nim ani nawet do niego zatelefonować od czasu jej przybycia do Nowego Jorku. Dwukrotnie dzwoniła do Claudii Hollister i za każdym razem teściowa odmówiła jej widzenia się z synem. Chłopiec ciężko przechodzi okres adaptacji - stwierdziła chłodno - i twoje spotkanie z nim mogłoby tylko pogorszyć sytuację.

Ashley z trudem panowała nad sobą, trzęsąc się z gniewu. Emocjonalny stan Roberta nie ma nic wspólnego z odmową Claudii, która jest po prostu mściwa. Ta kobieta nigdy nie mogła pogodzić się z tym, że straciła Brandona na długo przedtem, zanim spotkał przyszłą żonę. Teraz chce mnie wykończyć - myślała Ashley, patrząc bezmyślnie na tłum przechodniów.

Rzuciła się na łóżko, biorąc do ręki oprawioną w ramki fotografię Brandona i Roberta, która zawsze stała na nocnym stoliku. Przypomniała sobie dzień, kiedy została zrobiona. Byli nad morzem i Brandon udawał konia, wożąc syna na plecach po plaży. Za nimi biegł pies. Gdy Ashley robiła to zdjęcie, stała zaledwie parę kroków od nich.

W jej oczach pokazały się łzy. Ponad rok temu życie toczyło się zupełnie inaczej. Byli u szczytu powodzenia. Brandon żył, a kariery małżonków wciąż się rozwijały. Czuli się tacy szczęśliwi. Teraz mąż odszedł na zawsze, ona nie widziała Roberta od ponad sześciu miesięcy. Cały jej świat zawalił się. Dawniej wszystko było takie łatwe. Teraz przeżycie jednego dnia wymagało kolosalnego wysiłku.

Mason-Gilling Gallery mieści się przy Madison Avenue, na północ od Wschodniej Siedemdziesiątej Czwartej. Ashley poszła tam z Melanią Masters, żeby omówić swą wystawę z właścicielem galerii. Ściany były wówczas obwieszane bajecznie kolorowymi obrazami jakiegoś znakomitego artysty kolumbijskiego. Tylko przelotnie rzuciła na nie okiem, idąc na zaplecze budynku. Chętnie zagłębiłaby się w tajniki tej sztuki, gdyby tak samo jak każdego ranka nie myślała przede wszystkim o tym, jak odzyskać syna.

Tym razem ściany były puste. Puste jak moja dusza - pomyślała gorzko Ashley. Jej obrazy stały na podłodze, po trzy lub cztery obok siebie, poopierane o ściany. Przystanąła na chwilę, żeby się im przyjrzeć. Były tam pejzaże z kalifornijskiego wybrzeża, z Big Sur i Carmel, dwa znad zatoki San Francisco oraz sześć wcześniejszych z Napa Valley. Płótna przypominały o różnych wydarzeniach, jedne o przyjemnych, inne o bolesnych. Przeważały te przykre wspomnienia.

- Nie mieliśmy czasu, żeby je pozawieszać. Bardzo mi przykro.

Zaskoczona Ashley uniosła głowę. Mówiła do niej właścicielka galerii, Diana Gilling, wysoka blondynka w wieku około czterdziestu lat. Stała przy wejściu do biura, ubrana w szmaragdową garsonkę i granatową jedwabną bluzeczkę.

- Przyszły dopiero dzisiaj rano - wyjaśniła. Ashley zdobyła się na wymuszony uśmiech.

- Mogłabym sama je rozmieścić, gdybym miała pewność, że zapewni to powodzenie wystawie - powiedziała, prostując się i wygładzając malinową, długą do połowy łydek skórzaną spódnicę.

Diana roześmiała się szczerze.

- Nie ma powodu do obaw - rzekła z przekonaniem.

- Daję pani słowo, że ta wystawa odniesie sukces.

- Mam nadzieję - rzuciła Ashley, spoglądając ponownie na obrazy.

- Wszystko jest w najlepszym porządku - upewniła ją Diana. - Jeszcze nie zdarzyło mi się spotkać artysty, który przynajmniej trochę nie denerwowałby się przed otwarciem. Będzie miała pani niesamowite powodzenie w Nowym Jorku. Nie mniejsze niż na Zachodnim Wybrzeżu .. Już przyciąga pani uwagę koneserów sztuki. Miałam właśnie teleron od pewnego dżentelmena, który jest jednym z najbardziej wpływowych mecenasów i kolekcjonerów. Bardzo interesuje się tymi dziełami.

- Czyżby? - Ashley była zaskoczona i zaintrygowana. Diana przytaknęła.

- Ten pan posiada w swojej kolekcji obrazy Moneta, Cezanne'a, Renoira i Picassa.

Ashley uśmiechnęła się nieśmiało.

- I zainteresował się moimi pracami? - zapytała. - Człowiek posiadający taką kolekcję?
- Pewnego dnia pani też może stać się bardzo sławna - zauważyła Diana. - On na to stawia.
- Dopiero po śmierci - powiedziała szybko Ashley. - Każdy wie, że artyści stają się sławni, kiedy ich już nie ma.

Diana milczała przez moment.

- To miło widzieć panią zadowoloną. Chyba po raz pierwszy widzę, jak się pani uśmiecha - rzekła na koniec. - Słyszałam, że ostatnio miała pani problemy osobiste ...
- Człowiek przyzwyczajają się do wszystkiego - odparła Ashley wymijająco. - Teraz chciałabym całkowicie skupić się na wystawie.

Diana Gilling nie odpowiedziała. Spoglądała na Ashley, zastanawiając się, czy przypadkiem jej czymś nie uraziła. Przyglądała się, jak artystka jeszcze raz dokonuje przeglądu swoich prac, i dziwiła się niepomnie, że może, w ogóle skupić się na tej wystawie, zważywszy zamieszanie w prywatnym życiu. Diana nie wiedziała, że zaangażowanie w pracę pomagało Ashley w walce o odzyskanie syna i skutecznie odrywało od codziennych trosk.

To dzięki sztuce dotąd jeszcze nie zwariowała.

Aczkolwiek dni, które Ashley spędzała na Manhattanie, były całkowicie wypełnione spotkaniami i przygotowaniem do otwarcia wystawy, to samotne noce dłużyły się nieznośnie. Miała znajomości w świecie artystycznym Nowego Jorku. Melania, która była jej jedynym bliskim przyjacielem, także przyjechała do miasta w związku z wystawą. Mimo to Ashley bardzo rzadko przyjmowała zaproszenia na obiady i wystawy. Przeważnie spędzała wieczory samotnie w swoim apartamencie, przeglądając albumy i marząc, żeby dało się w jakiś sposób cofnąć wskazówki zegara. Fotografie Brandona i Roberta przypominały piękne przeżycia. Nieodmiennie pQpadała w głęboką depresję i płakała, ale nie potrafiła zapomnieć i nie brać albumów do ręki. Chyba jestem masochistką - myślała ponuro. - Czemu bez przerwy torturuję się w ten sposób?

- Musisz o tym zapomnieć albo jeszcze raz ściągnąć Hollisterów do sądu i wygrać sprawę - mawiała nieraz Melania i powtórzyła to jeszcze raz w czasie lunchu w La Côte Basque.
- Latwo powiedzieć. - Ashley potrząsnęła głową. Masz dwójkę dzieci, Me!. Jak byś się czuła, gdyby jakiś sędzia odebrał ci je, a ty nie mogłabyś się nawet z nimi zobaczyć?
- Na pewno bym je odzyskała - rzekła Melania bez wahania.
- Rozmawiałam w tej sprawie z tutejszym adwokatem - odparła Ashley, rozglądając się obojętnie po zatłoczonej restauracji, ozdobionej freskami Lamotte'a, przedstawiającymi wybrzeże i porty baskijskie. Odetchnęła głęboko. - Zgodził się na prowadzenie mojej sprawy, ale nie zapatruje się zbyt optymistycznie na wynik apelacji. Mogę stracić ostatnią szansę odzyskania Roberta.

Melania sączyła wino z kieliszka.

- Jeżeli nie uda ci się odzyskać prawa opieki nad dzieckiem, to przynajmniej mogłabyś wymusić od sądu prawo widywania się z nim.

Ashley potrząsnęła głową.

- Dopóki sędzia siedzi w kieszeni Bradleya Hollistera - rzekła ponuro - to niemożliwe. - Odłożyła widelec. - Gdybym mogła to udowodnić ...
- Tylko ostrożnie. Jeżeli chodzą ci po głowie jakieś głupie pomysły ...
- Nie martw się - uspokoiła ją Ashley. - Nie mam żadnych pomysłów. Nie mogę sobie na to pozwolić po tym, co do tej pory przeżyłam.
- Jeśli nie zrobisz głupstwa, możesz wiele osiągnąć.
- Nie mam syna. Straciłam męża.
- To prawda - zgodziła się Melania - ale przed tobą kariera, na którą ciężko pracowałaś. Masz też jeszcze szansę odzyskania dziecka.

Spojrzenia kobiet spotkały się.

- I ta szansa, Mel - monotonnym głosem rzekła Ashley - trzyma mnie przy życiu. Gdybym ją straciła, nie mam pojęcia, co bym zrobiła.

Ashley samotnie spacerowała po Central Parku, walcząc z ostrym zimowym wiatrem, ubrana w

kurtkę ze srebrnego lisa. Na głowie miała stylowy kapelusz. Codziennie wybierała się na taki spacer, nie rezygnując z niego nawet w najzimniejsze dni, każdego dnia rozkładała też na podłodze sypialni matę i przynajmniej przez godzinę ćwiczyła jogę. Narzuciła sobie to zaraz po przyjeździe do San Francisco, ponieważ przekonała się, że w ten sposób znakomicie odpręża się po staniu przed sztalugami. Teraz ćwiczyła bez względu na to, czym się zajmowała. Osiągała bardzo dobre wyniki. Cokolwiek robiła, czyniła to pod wpływem podświadomej pasji, która trawiła ją jak niespożyty płomień. Nieustannie poszukiwała drogi wyjścia z mroku, w jakim pograżyła się jej dusza. Nic jednak nie przynosiło ulgi. Rozpaczliwe wysiłki nie dawały żadnego efektu. Nic, absolutnie nic nie było w stanie przerwać tej męki. .

Spacerując, szczelnie otulała się kurtką .. Policzki Ashley steżały na zimnym, siekącym wietrze. Był to niezwykle zimny dzień, nawet jak na listopad w Nowym Jorku. Przyglądała się gromadce dzieci ubranych w kolorowe narciarskie kurtki i wełniane czapki. Spieszyły' z łyżwami w kierunku lodowiska Wollman. Widok tych szczęśliwych istot sprawił, że łzy napłynęły jej do oczu.

Przypomniała sobie, jak ona i Brandon zabrali Roberta do Lake Tahoe pomiędzy Bożym Narodzeniem a Nowym Rokiem. Chłopiec był zachwycony tą wycieczką. Ojciec uczył go jeździć na łyżwach. Ashley nigdy w życiu tego nie robiła i nie miała odwagi spróbować, mimo że mąż bardzo ją zachęcał.

- Nigdy nie ślizgałam się na lodzie - wyznała szczerze, sznurując Robertowi łyżwy. - Człowiek wychowany w dolinach nie ma okazji się tego nauczyć.

- To nic wielkiego - rzekł Brandon. - Jeździłem na lodowisku w Centrum Rockefellera każdej zimy, kiedy jeszcze byłem dzieckiem.

Ashley spojrzała na niego ciepło. Tylko ten jeden raz przypomniał sobie coś przyjemnego z dzieciństwa. Zawsze dziwiła się, czemu tak jest, ale po śmierci męża, gdy Hollisterowie pokazali swoje prawdziwe oblicze, zrozumiała prawdę.

Parę jardów przed sobą ujrzała siwowłosą zażywną damę, która prowadziła za rękę chłopczyka. Serce Ashley zamarło.

- Robert! - zawołała. - Robert! - Dziecko nie zareagowało, kobieta także. Ashley przyspieszyła kroku i stanęła jak w~, gdy chłopiec obejrzał się, a ona z bliska zobaczyła jego twarz.

To nie jest Robert - pomyślała, drżąc z rozczarowania. - Mój Boże, to nie jest Robert!

Stała tak nieruchomo i patrzyła, jak kobieta i dziecko znikają w oddali. Westchnęła i uświadomiła sobie, że nie może dłużej żyć w takiej udreće.

Musi zobaczyć synka.

Ashley była przejęta do głębi, gdy wysiadała z taksówki przed trzypiętrowym nowoczesnym domem Hollisterów. Nie przyjeżdżała tutaj od czasu wspólnej wizyty z Brandonem tuż przed ślubem. Hollisterów nie widziała po ich wyjeździe z San Francisco, gdy przejęli opiekę nad Robertem. Muszę spotkać się z nimi wcześniej czy później - rzekła do siebie. - I tak zorientują się, po co tu przyjechałam. Niechże więc dowiedzą się tego bezpośrednio ode mnie.

Zapłaciła taksówkarzowi i stanęła na chodniku, gotując się do walki. Wzięła głęboki oddech i wyprostowała się, a następnie znowu odwróciła się twarzą do budynku. Przekonana, że w ten lub inny sposób musi połączyć się z synem, otworzyła ciężką, misternie wykutą bramę z żelaza i zdecydowanym krokiem pomaszerowała chodnikiem do drzwi. Niecierpliwie naciskała dzwonek, dopóki nie zjawił się Mason, majordomus Hollisterów. Uśmiechał się do niej, gdyż natychmiast ją rozpoznał.

- Dzień dobry, panno Gordon, och, przepraszam, pani Hollister - pozdrowił ją ciepło i zrobił przejście do holu.

Oni nie omawiają swoich tajemnic w obecności służby - pomyślała Ashley, ściągając czarne rękawiczki i bacznie się rozglądając.

- Czy Claudia, to znaczy pani Hollister, jest w domu? - zapytała.

- Tak, madame, pani jest w domu - odpowiedział Mason wyuczoną formułkę. - Zdaje się, że przebywa w bibliotece. Powiem jej, że pani przysłała.

- Dziękuję, Mason.

Gdy zniknął na końcu długiego korytarza, Ashley rozpięła kurtkę, gdyż nagle zrobiło się jej gorąco. Gdzie może być Robert? - zastanawiała się, spoglądając na schody. Miała nadzieję, że go gdzieś ujrzy. Minęło ponad osiem miesięcy od dnia, kiedy zabrano go z San Francisco. Przez cały ten czas myślała o nim, niepokojąc się o to, jak się czuje, jak przystosował się do nowego życia, czy nadal wierzy, że matka dotrzyma słowa i po niego przyjdzie. Martwiła się, że dziecko cierpi, tym bardziej teraz, gdy patrzyła na otaczające ją marmury i kryształły. Piękno domu Hollisterów nie robiło na niej żadnego wrażenia, czuła tu chłód i brak uczuć. To nie jest dom, raczej jakieś przeklęte muzeum

- pomyślała strapiona.

- A co ty tu robisz?

Podniosła głowę. Claudia Hollister stała na półpiętrze z niezadowoloną miną.

- Miło cię widzieć - rzekła Ashley sucho. - Przyszłam zobaczyć się z Robertem - dodała, widząc, jak teściowa schodzi ze schodów.

- To nie wchodzi w rachubę - ucięła ostro Claudia. \_ Czy mogę dowiedzieć się, kto cię wpuścił?

- Mason - odparła Ashley. - Sądzę, że powinniście pouczyć swoich ludzi, kogo należy wpuszczać, a kogo nie.

- Będziemy musieli tak zrobić. A teraz wyjdź stąd. Ashley przeciwstawiła swój upór lodowatej bezczelności Claudii.

- Nie odejdę, dopóki nie zobaczę mojego synka - oświadczyła stanowczo.

- Wobec tego każę cię stąd usunąć.

- Mamunia!

Kobiety równocześnie spojrzały w górę. Na szczycie schodów stał Robert, rozpromieniony na widok m.atki. Zbiegł na dół tak szybko, jak pozwalały mu małe nóżki, i skoczył w objęcia Ashley.

- Mamuniu, byłem pewien, że przyjdziesz! - Rozpląkał się, tuląc twarz do jej szyi. - Brad i Claudia mówili mi, że poszłaś sobie i nigdy więcej cię nie zobaczę, ale ja wiedziałem, że wrócisz.

Ashley zdumiona spojrzała na rywalkę.

- On mówi ci po imieniu?

Claudia znieruchomiała.

- Twierdzi, że nie jesteśmy jego dziadkami, bo oni mieszkają w winnicy - rzekła nerwowo. - Ale to oczywiście twoja robota.

- A czego się spodziewałaś? - zadrwiła Ashley. Jesteście dla niego obcymi ludźmi! - Znowu zwróciła się do Roberta, całując go w czoło: - Nigdy o tobie nie zapomnę, dziecino - szeptała.

- Lepiej już idź - nalegała Claudia. Ashley nie zwracała na nią uwagi.

- Jak się czujesz, kochanie? - zapytała łagodnie, stawiając chłopca na podłodze i klękając przed nim.

- Przy tobie wspaniale, mamuniu. - Westchnął, obejmując ją mocno. - Zabierzesz mnie stąd?

- Chyba powinnaś już pójść - powtórzyła Claudia.

- Jeszcze nie tym razem, mój figlarzu! - powiedziała Ashley do syna. - Wkrótce będziemy razem. Daję słowo.

- Wyjdiesz stąd natychmiast, czy mam zawołać policję?!

Ashley wstała wolno, patrząc na zniecierpliwioną rywalkę.

- Już idę - rzekła dobitnie, starając się utrzymać nerwy na wodzy - ale niebawem wrócę.

Claudia zimno spojrzała jej w oczy.

- Nie wyjdzie ci to na dobre - powiedziała ostro.

- Jeszcze zobaczymy - odparła cicho Ashley. Pocałowała synka na pożegnanie, odwróciła się i wyszła.

*Sea Cliff, Long Island, listopad 1986*

Collin usiadł na szerokiej kanapie w obudowanej dębowymi regalami bibliotece Deverellów i zabrał się do czytania porannej prasy. Codziennie dostarczano mu wszystkie nowojorskie gazety, a

on z nabożeństwem czytał je od pierwszej do ostatniej strony, szczególnie od czasu powrotu z Paryża, po przypadkowym spotkaniu z Ashley Gordon-Hollister. Gdy tak siedział wygodnie na kanapie, ubrany w dzinsy i obszerny szary sweter, kończąc poranną kawę przy lekturze "Daily News", zaintrygowała go fotografia pięknej kobiety o ognistym temperamentem, którą pewnego dnia spotkał na lotnisku. Collinowi zaimponowała odwaga, z jaką Ashley walczy o dziecko. Podziwiał jej silną wolę. Może nareszcie uda mi się znaleźć godnego współnika - myślał, przyglądając się fotografii.

Odstawił filiżankę i podszedł do biurka. Starannie wyciął fotografię razem z artykułem. Wziął z półki brązową kopertę i wysypał jej zawartość na biurko. Zgromadził mnóstwo wycinków. Wszystko, co tylko napisano na temat Ashley Gordon-Hollister. Artykuły z gazet nowojorskich i z San Francisco, z przewodników po galeriach i z magazynów poświęconych sztuce. W ostatnich kilku tygodniach dowiedział się wiele o tej pani. Pewnie wiem o niej już tyle, ile jej rodzona matka - pomyślał z głęboką satysfakcją. Za tydzień miał się odbyć wernisaż, w którym zamierzał uczestniczyć. Los sprawił, że spotkali się na postoju taksówek, by zawrzeć sojusz, który umożliwi im realizację zamierzonych celów. Być może ona niejako wie zbyt wiele o machinacjach byłego teścia, ale Collin gotów był się założyć, że posiada wystarczająco dużo informacji o Hollisterach, żeby sojusz opłacił się obu stronom. Przyglądając się uważnie jednej z fotografii, uśmiechnął się czule. Tę kobietę warto by było poznać, choćby nic nie łączyło jej z Hollisterami.

Włożył wszystkie wycinki z powrotem do koperty i schował ją do szafki. Wyciągnął z kieszeni kluczyk i zamknął schowek. Służba nie grzebała w prywatnych papierach chlebobdawcy, ale nie widział powodu, żeby stwarzać okazję. Nie mógł ufać nikomu poza Harrisonem; on był jedynym zaufanym człowiekiem poza Blackjackiem. Wiedział, czym Collin zajmuje się i dlaczego. Deverell musiał skorzystać z pomocy służącego przy realizacji niektórych zamierzeń. Nie miał pewności, czy starszy człowiek aprobuje jego metody, ale Harrison nie osądzał innych, po prostu dyskretnie przyglądał się wydarzeniom.

Collin podszedł do regałów, którymi zabudowana była jedna ze ścian pokoju. Zdjął z półki wybrany tom i uruchomił ukrytą dźwignię. Jedna część ściany przesunęła się w bok i Collin wszedł do małego zaciemnionego pomieszczenia. Ściana natychmiast zasunęła się. Ukryta komórka wypełniona była zielonym, tajemniczo jarzącym się światłem ekranów komputerowych. Deverell sam je zainstalował ponad rok temu i służba nie miała pojęcia, co się tu znajduje. Komputerowy bank informacji posiadał rozległe dane na temat przywódców zorganizowanej, przestępczości - począwszy od działalności gospodarczej, a na danych personalnych skończywszy - jak również rejestrował nazwiska i aktywa firm należących do mafii lub przez nią kontrolowanych.

Początkowo Collin bardzo się dziwił, jak wiele pozornie legalnych firm i korporacji ma powiązania ze światem przestępczym. Mafia przedstawiała się niczym gigantyczna ośmiornica, której potężne macki sięgają wszędzie. Była właścicielem całych konsorcjów i małych interesików. Zatrudniała tuzinkowych konfidentów i profesjonalnych policjantów, adwokatów, sędziów i wysoko postawionych polityków. Kontrolowała rynek samochodowy i firmy ubezpieczeniowe, ratalną i gotówkową sprzedaż, restauracje, teatry i wiele wydawnictw. Z tym krył się cały front nielegalnych operacji, i Collin zdumiony odczytywał dane z ekranów. To było szokujące. Wykorzystywał dokumenty i inne informacje, które uzyskiwał od wysoko postawionych osobistości, żeby sporządzić charakterystykę świata przestępczego. Przestrzegał zasady maksymalnego rozpoznania wroga przed podjęciem ataku. Musisz poznać słabości przeciwników i ich silne strony - powtarzał sobie często. W tej dziedzinie bardzo pomocna powinna być Ashley Gordon-Hollister. Wyszła przecież za syna Hollisterów. Musi coś wiedzieć o malwersacjach teścia, ale ile? Jedyny syn napsuł rodzicom sporo krwi, zanim zginął. Czemu? Czyżby wypadek miał coś wspólnego z mafią?

Bez względu na to, ile, Ashley Hollister wie, Collin chciał, posłużyć się jej osobą. Tak czy inaczej musi nienawidzić Hollistera przynajmniej tak samo jak on. Czuł, że może jej zdradzić pewne tajemnice osobiste i wtajemniczyć w szczegóły swoich planów. Mogła mu bardzo pomóc. Jako profesjonalny złodziej potrafił działać w pojedynkę bardzo skutecznie, jednak co dwie głowy, to

nie jedna. W wielu sytuacjach dwa ciała również - pomyślał rezolutnie. Aczkolwiek był głęboko przeświadczony, jego kariera włamywacza' jeszcze się nie skończyła, to zdawał sobie sprawę. że gra, jaką prowadzi, jest bardzo skomplikowana. Walczył z potężnym wrogiem, gromadząc przeciwko niemu dowody. Wielu zamysłów Collinanie dałoby się urzeczywistnić w pojedynkę. Ashley była piękną kobietą i miała głęboką motywację do działania. Collin, uśmiechnął się do własnych myśli. Bardzo lubił powtarzać za swoim ojcem, że łańcuch jest tak mocny, jak jego naj słabsze ogniwo. W swoim czasie Deverell znajdzie naj słabszy punkt mafii. Wówczas rzuci na kolana najpotężniejszą organizację podziemnego świata.

Anton De Vries siedział w swoim biurze na Manhattanie i w kółko czytał raport, który otrzymał z Interpolu trzy dni temu. Pismo dotyczyło kradzieży wysadzanego diamentami i szafirami naszyjnika ze sklepu jub'ilerskiego Ferrand-Besseges w Paryżu. Stróże prawa 'byli zaintrygowani nie tylko samym faktem kradzieży, która dokonana została z wyobraźnią w biały dzień na oczach kierownika sklepu i pół tuzina funkcjonariuszy ochrony, lecz również z tego powodu, że zniknęła tylko jedna rzecz. Prawdopodobnie złodziej przebywał w sejfie przez całą noc. Miał więc bardzo dużo czasu, żeby wziąć, co tylko miał ochotę. W sejfie znajdowały się egzemplarze warte królewskiego okupu, a złodziej zadowolił się jednym naszyjnikiem. I nie był to bynajmniej okaz najcenniejszy w kolekcji. Zdumiewające. Przestępca uciekł na wrotkach. Dobre sobie! Komu mogło przyjść do głowy coś takiego?

De Vries czuł się jak pies myśliwski, który właśnie zwietrzył trop. W ciągu ostatnich paru miesięcy czytał niezliczone raporty, sporządzone przez kwaterę główną Interpolu w Paryżu, na temat zdumiewająco podobnych włamań, równie odważnych, które miały miejsce w różnych miejscach na czterech kontynentach. Interpol sugerował, że kradzieży dokonuje grupa zręcznych włamywaczy. De Vries miał na ten temat własną teorię. W ciągu sześciu minionych miesięcy narastało w nim podejrzenie, które teraz zmieniło się w pewność. Wziął z szafki stojącej przy biurku jeszcze jedną teczkę i przejrzał ją bardzo starannie. Otóż to - wysadzany diamentami i szafirami naszyjnik wart ćwierć miliona dolarów. Teraz miał niezbitą dowód, że jest na właściwym tropie. To mógł zrobić tylko jeden człowiek, genialny, pełen znakomitych pomysłów. Collin Deverell.

Klinga szpady błysnęła groźnie, gdy Collin ruszył do przodu, zmuszając przeciwnika do odpierania ataków. Zazwyczaj angażował się w walkę bez reszty. Dzisiaj jednak był na planszy tylko ciałem, a jego myśli krążyły zupełnie gdzie indziej. Myślał o rozmowie telefonicznej, jaką przeprowadził tego ranka z Williamem McNicholem, od niepamiętnych czasów dyrektorem naczelnym Intercontinental Oil. Gdy bliźniacy osiągnęli pełnoletność, McNichol zaprzyjaźnił się bardziej z Collinem zapewne dlatego, że jego brat lubił trzymać ludzi na dystans. 'f-raz Justin nie informował McNichola o wielu sprawach niezależnie od pozycji, jaką zajmował w firmie. Przyczyny takiego stanu rzeczy były dla Collina oczywiste.

McNichol zatelefonował do niego, ponieważ jak twierdził, nie miał nikogo, z kim mógłby podzielić się podejrzeniami.

- Wygląda na to, że twój brat i paru członków zarządu dążą do zlikwidowania przedsiębiorstwa - rzekł zakłopotany.

Collin nie ukrywał zaskoczenia.

- Czyżby firma była w tak beznadziejnej kondycji finansowej, że nie da się jej już uratować?

- Zła kondycja? - McNichola ogarnął pusty śmiech. Wszelkie problemy dałyby się bez trudu rozwiązać, gdyby twój brat nie wprowadził swoich przyjaciół, kimkolwiek oni są. Zaczęli przenosić aktywa.

- Przenosić aktywa? Do cholery, w jakim celu?

- Żebym ja to wiedział! - odparł McNichol. - Justin ukrywa to przede mną. Przypadkowo wpadłem na te machinacje, sprawdzając pewne niezgodności na komputerze.

- Jakie niezgodności? - zapytał Collin ostrożnie.

- Sprawy mniejszej wagi. Nie wyjaśnione fundacje, transfery kapitału akcyjnego i podobne sprawy.

- Dyrektor był szczerze przejęty. - Gdy zobaczyłem, na co się zanosi...
- Powiedz mi dokładnie, co się dzieje - nalegał Collin. - W jaki sposób pozbywają się aktywów firmy?
- Jeżeli moje domysły są słuszne, przenoszą całe pakiety kapitałów akcyjnych, przesuują aktywa do fikcyjnych korporacji. To nie do wiary, co oni robią. Jakbym patrzył na stado szakali pożerających padlinę.
- Czemu zwróciłeś się z tym do mnie? - zapytał Collin, ostrożnie. - Czego się spodziewasz? Co, twoim zdaniem, mogę w tej sprawie zrobić?
- Doprawdy nie wiem - odrzekł szczerze dyrektor. - Po prostu nie wiedziałem, do kogo się z tym udać. Nie mogłem się zwrócić do Justina, a coraz trudniej komukolwiek w firmie zaufać.
- Tak się składa, że od dziesięciu lat ja także nie liczę się w tej grze - powiedział Collin. - Nawet nie mam akcji.
- Sądziłem, że może będziesz mógł dowiedzieć się czegoś od Justina ...
- Rozmowa z nim na nic się nie zda - rzekł Collin poważnie. - Dość dawno go nie widziałem i podejrzewam, że on także za mną nie tęskni.
- Odsunąłeś się ostatecznie od Intercontinental Oil, gdy zginęli twoi rodzice - rozpoczął niepewnie McNichol - ale ja nie mogę uwierzyć, żebyś siedział z założonymi rękami, gdy dzieło Quentina rozsypuje się w proch.
- Moja pozycja nie sprzyja, niestety, podejmowaniu jakichkolwiek działań, Bill - przypomniał mu Collin. - Daj mi trochę czasu do namysłu. Może jak popracujemy nad tym wspólnie, coś z tego wyjdzie.

Deverell powrócił na planszę. Szykował się do ataku.

Był bardzo zadowolony, że McNichol pierwszy zatelefonował. Podejrzenia tego człowieka były oczywiście najzupełniej słuszne. Nie mógł pójść do Justina, a w radzie nadzorczej także nie było osoby godnej zaufania. Bill podjął najważniejszą decyzję, zwracając się do Collina, który mimo to nie mógł powiedzieć nikomu, nawet najbardziej zaufanemu współpracownikowi ojca, jakie ma zamiary.

Ucieszył się bardzo, że wciąż ma kogoś zaufanego w firmie. Bill McNichol nie mylił się w jeszcze jednej sprawie - niezależnie od osobistych uczuć Collin nie mógł i nie chciał biernie przyglądać się, jak wskutek niekompetencji brata niszczy to, co ojciec przez całe życie zdołał zbudować. Collin nie mógł się zgodzić, żeby trzydzieści lat pracy Quentina poszło na marne.

Tak wiele mu zawdzięczam - pomyślał ze smutkiem.

Trzy dni później Collin zatelefonował do Williama McNichola do domu.

- Czy mógłbyś dać mi wydruki komputerowe tych danych, o których wspominałeś? - zapytał.

Po chwili wahania McNichol rzekł:

- Oczywiście. Przyniosę je jutro wieczorem. Czy ci to odpowiada?

- Jak najbardziej - zgodził się szybko Collin. Przyjdź około wpół do dziewiątej.

- Czy możemy umówić się na dziewiątą?

- Wspaniale. To niepotrzebna uwaga z mojej strony, Bill, ale, proszę cię, nie wspominaj nikomu o naszej rozmowie.

- Zrozumiałe. Nie musisz mi o tym mówić.

- Czy możesz zdobyć te wydruki bez wzbudzania jakichkolwiek podejrzeń? - zapytał Collin, gryzmołąc coś w notesie. Deverellowi bardzo zależało na dyskrecji. Nie powinno być z tym żadnych trudności, ponieważ Bill mógł wpaść do biura, kiedy mu się podobało.

- Nie ma problemu. Bez względu na wysiłki twojego brata, żeby trzymać mnie z dala od tych spraw, w końcu wciąż jestem dyrektorem generalnym.

- Dyrektor, który został wyłączony z większości poczynañ firmy - dodał Collin poważnie. - Musisz przyjąć do wiadomości, Bill, że mój brat traktuje cię ostatnio jak grzyba: trzyma w ciemności i karmi kupą cuchnącego nawozu.

- Żebyś wiedział - przyznał McNichol.



- Justin to żalosny głupiec - rzekł Collin, przeglądając notatki, które zrobił podczas rozmowy. - To jedyne

określenie, na jakie mogę się w tej chwili zdobyć.

Odłożył słuchawkę, myśląc o tym, co najbardziej leży mu na sercu. Miał wielką ochotę dać Billowi choćby minimalne gwarancje powodzenia, ale nie mógł. Należał do świata, w którym nikomu nie wolno ufać, gdzie wyłącznie samotnik ma szansę przetrwania. W końcu liczy się ostateczny rezultat - rzekł do siebie, gasząc lampkę na biurku. Poszedł na górę i położył się spać.

- Jak więc sam widzisz, oni wysysają z nas krew - rzekł William McNichol do Collina, gdy wspólnie analizowali wydruk komputerowy. - Aktywa przenoszone są codziennie, akcje zaś realizuje parę wybranych osób. Popatrz, Justin nie figuruje wśród nich!

Collin dłuższy czas przyglądał się wydrukowi, trąc w zamyśleniu czoło.

- Czy tego rodzaju poczynania są nielegalne? - zapytał wreszcie.

- Tylko w przypadku, jeżeli akcje zostały nabyte nieuczciwie - odrzekł McNichol. - Gdyby taka okoliczność zachodziła, istniałby powód do wszczęcia dochodzenia przez Komisję Ekonomiczną. Collin odwrócił się.

- Ale nie mamy do czynienia z takim przypadkiem? McNichol zaprzeczył ruchem głowy.

- Raczej nie. Nie mógłbym na to przysiąc, ponieważ w takich okolicznościach wszystko jest możliwe, ale wygląda na to, że oni zdobywają pakiety akcji całkowicie legalnymi metodami. Collin nasrożył się.

- Ci ludzie mają sposoby, by nieuczciwe interesy wyglądały całkowicie legalnie.

- Mógłbyś wnieść pozew przeciwko bratu i dochodzić swoich praw w sądzie - stwierdził McNichol posepnielec zanim odzyskałby swoje udziały w firmie, oni mieliby aż nadto czasu, by oskubać ją całkowicie. - Wyciągnął z dyplomaty następną wydruk i rozłożył go na biurku; tymczasem wszedł Harrison, niosąc na wielkiej srebrnej tacy kanapki i kawę dla obu panów. - Przyjrzyj się temu ... - Ujrzawszy Harrisona, Bill urwał natychmiast

- W porządku! - Collin odgarnął z zakłopotaniem włosy z czoła. Wziął kanapkę i zachęcił McNichola, żeby się poczęstował.

Starszy pan podziękował.

- Jak więc widzisz, wielkie pakiety akcji zostały zdobyte przez każdego z tych ludzi w ciągu sześciu ostatnich miesięcy."J ak tak dalej pójdzie, do końca tego roku przejmą całkowitą kontrolę nad firmą. Nawet Justin zostanie wysadzony.

Collin analizował wydruk, żując powoli kanapkę.

- To bardzo interesujące. Mój braciszek osaczony przez własnych ludzi, zupełnie nieświadomy tarapatów, w jakie się wpakował - mruczał pod nosem.

- Wątpię, żeby zechciał uwierzyć, gdybyśmy mu to powiedzieli - rzekł McNichol, sięgając po filiżankę. Jak na inteligentnego człowieka okazał się zaskakująco łatwowierny w stosunku do tych ludzi.

- Może należałoby spróbować udowodnić im oszustwa ... wezwać agenta Komisji i wszczęć dochodzenie zasugerował Collin.

McNichol potrząsnął głową. - To nic nie da.

- Może jednak spowoduje jakiś wstrząs - upierał się

Deverell. - Ostatnia rzecz, na jakiej mogłoby zależeć kompanom mojego brata, to zwracanie na siebie uwagi. Jeżeli pójdę do Justina i uświadomię mu prawdziwe zagrożenie, może przyhamują swoje zapędy. Moglibyśmy zyskać na czasie, nie uważasz?

McNichol wypił trochę kawy.

- I co dalej? - zapytał bez przekonania.

- Może i nic nie działamy - przyznał Collin - ale miałbym przynajmniej dość czasu, żeby opracować jakiś plan.

- Jeżeli w ogóle coś można zrobić ... Collin zmusił się do uśmiechu.

- Będiesz pierwszą osobą, którą powiadomię, gdy coś wymyślę - zapewnił starszego pana. -

Możesz na mnie liczyć.

McNichol podniósł się.

- Zatrzymaj sobie te wydruki - rzekł, opierając dyplomatkę o biurko, by ją zatrzasnąć. - Mam własne kopie.

Collin skinął głową.

- Dziękuję, że zwróciłeś uwagę na tę sprawę, Bill \_ powiedział, odprowadzając go do drzwi. Starszy pan ściągnął brwi.

- Chciałbym wierzyć, że nie jest za późno, żeby cokolwiek zrobić.

- Ja też. - Collin otworzył drzwi i zawahał się. \_ Uważaj na siebie, Bill. - Ci ludzie są niebezpieczni. Jeżeli coś wywąchają ... - Uciął w pół zdania. - Musimy zrobić wszystko, żeby się niczego nie domyślili.

William McNichol spojrział na niego zaintrygowany, ale zaniechał dalszych pytań.

- Niczego się nie domyślą - zapewnił. - Byłem dyrektorem generalnym tej firmy przeszło dwadzieścia sześć lat. Wiem, co robię.

- Nie dzwoń do mnie z biura - ostrzegł Collin. \_ Niech nikt nie wie, że się kontaktowaliśmy.

Starszy pan spojrział na niego i otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, lecz zmienił zamiar. Skinął głową.

- Będę z tobą w kontakcie - rzekł, podając Collinowi rękę.

Gospodarz wychylił się przez poręcz, patrząc, jak McNichol schodzi po schodach i idzie do swojego Mercedesa.

Było oczywiste, że ten człowiek przejął się kłopotami firmy.

Collin zresztą także.

- Nie wkładasz w to serca - zawyrokowała Melania Masters znad *creme brulee*, który zamówiła na deser w Le Cirque.

Ashley zafundowała sobie tort kawowy. Uśmiechała się gorzko do Melanii. Ciemne oczy artystki zasłaniało szerokie rondo kapelusza, który znakomicie harmonizował z kaszmirową garsonką.

- Czy to tak bardzo rzuca się w oczy? - zapytała. Melania przytaknęła.

- Tak, aż za .bardzo - rzekła z przekonaniem. Gdy pochyliła się, od jej złotej broszki w kształcie charta, wpiętej w klapę żakietu od Chanel, silnie odbiło się światło. - Mam nadzieję - zniżyła głos niemal do szeptu - że okażesz odrobinę entuzjazmu z okazji otwarcia wystawy. Tego wieczoru będą przyglądać ci się oczy najznakomitszych krytyków sztuki z Manhattanu.

Ashley uniosła rękę, żeby przerwać przyjaciółce.

-: Nie przejmuj się mną tak bardzo, Me!. Z pewnością zachowam się wzorowo - obiecała. ""

Wymaluję nawet uśmiech na własnej twarzy, jeżeli będzie trzeba.

Melania uśmiechała się cierpliwie.

- Mam nadzieję, że nie będziesz musiała - rzekła, odgarniając kosmyk krótkich kasztanowych włosów, który wysunął się spod czarnego welwetowego kapelusika. Jej ciemne oczy patrzyły na Ashley z sympatią. - Praca zawsze była dla ciebie taka ważna.

- Dużo rzeczy było ważnych - stwierdziła Ashley z powagą. - Teraz nie pozostało mi już nic innego.

- Będziesz potrzebowała pieniędzy, jeśli masz zamiar walczyć z teściami - przypomniała Melania. - Ta wystawa może stać się bardzo ważna z finansowego punktu widzenia.

- Liczysz zapewne, że wszystkie moje obrazy zostaną sprzedane - rzuciła, siląc się na beztroski ton. Melania zapaliła papierosa.

- Większość już sprzedano - oświadczyła z szelmowskim uśmiechem.

- Co takiego? - Ashley spojrziała na nią zdziwiona. \_ Przecież nie zostały jeszcze wystawione ...

- Wyniuchałam to dziś rano. Wygląda na to, że Diana zaaranżowała prywatny pokaz dla kolekcjonera, o którym ci wspominała. Najwidoczniej ten człowiek zakochał się w twoich dziełach i zarezerwował wszystkie obrazy, a sześć z nich już kupił.

- Kim jest ten ... wielki mecenas sztuki? - zaciekawiała się Ashley.
- Nazywa się Collin Deverell. - Melania strzepnęła popiół z papierosa do popielniczki. - Podobno jest dość bogatym ... filantropem, jak twierdzi Diana. Ponoć posiada jedną z naj znakomitszych kolekcji na świecie.
- Ile zapłacił za moje obrazy? - zapytała niecierpliwie.
- Dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Artystka nie potrafiła ukryć zaskoczenia. - Aż tyle ...
- Jest zafascynowany twoimi pracami - oznajmiła Melania z satysfakcją i skończyła jeść deser.
- Musi być zwariowany na punkcie sztuki - spekulowała Ashley, zaskoczona wiadomością. Wyprostowała się na krześle i potrząsała głową, usiłując oswoić się z rzeczywistością.
- Powinnaś być szczęśliwa z tego powodu - powiedziała szybko Melania.
- Ach, jestem, oczywiście - zapewniła Ashley - ale to mnie trochę krępuje
- Dlaczego?
- Sama nie wiem. Może dlatego, że do tej pory nikt nie zainwestował w moje prace tak wielkich pieniędzy. Z wyjątkiem ... - Urwała, gdyż przypomniała sobie Michaela Antony'ego, który zabezpieczył finansowo jej start w San Francisco. - Zresztą jakie to ma znaczenie, skoro ktoś płaci za moje obrazy?
- Absolutnie żadnego - rzekła Melania entuzjastycznie. - Powinnaś być z siebie zadowolona. Nieczęsto zdarza się, żeby malarz, nawet bardzo popularny, sprzedawał prawie wszystkie obrazy na tydzień przed otwarciem wystawy. Masz szczęście, moja droga.
- Ashley uśmiechnęła się słabo. Mam nadzieję, że szczęście mnie nie opuści - pomyślała.

Collin, ubrany w czarne obcisłe spodnie i golf, stał na schodach prze ci wpożarowych po zewnętrznej stronie okna sypialni Ashley. Tylko przez moment wahał się, zanim zaczął manipulować przy okiennym zamku. Otworzywszy go starannie, wsadził do środka najpierw jedną, potem drugą rwgę. Siedząc na parapecie, rozejrzał się uważnie, po czym wślizgnął się do pokoju. Sypialnia była pogrążona w ciemnościach i przez falujące firany docierało do niego tylko światło latarni ulicznych. Uświadomił sobie, że dziś po raz pierwszy w ciągu kilkuletniej kariery złodziejskiej zainteresował się osobą spoza mafii, kobietą, która nie posiada nic, co należało do niego. To konieczność - uspokajał sam siebie. Musiał dowiedzieć się o tej kobiecie jak najwięcej, zanim spotka się z nią i zaproponuje współpracę. Ciekawe, co ona wie na temat pogmatwanych interesów Bradleya Hollistera.

Najpierw przeszukał szufladki nocnego stolika; znalazł tam Wykaz adresów, parę listów oraz album z fotografiami. Nic szczególnego. Listy pochodziły od rodziców z Kalifornii. Zdjęcia były pamiątkami po mężu i synku. Teraz włamywacz zajął się szafą ubraniową. Tu też nie znalazł nic ciekawego. Zazwyczaj mieszkanie jest wiernym odbiciem osobowości lokatorów, tymczasem ten apartament wydawał się zupełnie bezosobowy. Collin miał wrażenie, że kobieta, która zajmuje ten pokój, właściwie nie żyje, lecz wegetuje, jakby jej dusza była pustą formą, pozbawioną uczuć. Ona umarła i nawet (!) tym nie wie - pomyślał, niemile zaskoczony swym odkryciem. Nigdzie nie zauważył żadnego drobiazgu, które normalnie spotyka się nawet w domu za- mieszkany od niedawna - jakiegoś zdjęcia oprawionego w ramki, osobistych drobiazgów, do których lokator jest szczególnie przywiązany. Widziałem już pokoje her telowe, które lepiej wyrażały osobowość mieszkańców \_ pomyślał, myszkując po szufladach. Nie znalazł niczego, co mogłoby wyrobić pogląd na temat Ashley GordonHollister. Jaki ma charakter? Jakim typem kobiety była kiedyś? Otworzył szufladę z damską bielizną i wyciągnął z niej przeźroczystą malinową, nocną koszulę z jedwabiu. Gdy przyglądał się jej z zainteresowaniem, pomyślał o osobie, która ją nosi. To coś bardzo osobistego i w twoim guście, prawda, Ashley?

Dotykał białej lamówki. Wielokrotnie zastanawiał się, jaka kobieta kryje się pod tymi stylowymi strojami. Teraz bardzo, pragnął zobaczyć ją w tej prowokacyjnej koszuli. Ashley Gordon-Hollister była atrakcyjną kobietą i Collin musiał przyznać, aczkolwiek tylko przed samym sobą, że jego zainteresowanie nią nie wynika jedynie z potrzeby posiadania asystentki. Stanął mu przed oczami

jej obraz na lotnisku Kennedy'ego - miała zarumienione policzki i pałające ciemne oczy. Była kobietą z temperamentem. Collin chciałby się dowiedzieć, jaka jest w łóżku. Zapewne prawdziwa ty\_gryś. Nagle przerwał rozmyślenia, złożył nocną koszulę i zamknął szufladę. Potem kontynuował poszukiwania.

W ciągu dwudziestu minut spenetrował cały apartament od podłogi aż po sufit i nie znalazł nic godnego uwagi, czegoś co mówiłoby o charakterze kobiety zamieszkującej ten pokój, kobiety którą upatrzył sobie na współnika. W końcu zrezygnował. Gdy wychodził przez okno, jeszcze raz zerknął na pokój. Jest tylko jeden sposób, żeby dowiedzieć się czegoś istotnego o Ashley Gordon-Hollister. Bezpośrednia rozmowa.

- Nie jesteś jeszcze ubrana! - Melania stanęła w drzwiach w obszernej szarej marynarce, narzuconej na obcisłą czarną sukienkę, - Za godzinę musimy być w galerii!
- Spokojnie - rzekła szybko Ashley, wpuszczając przyjaciółkę do apartamentu. Spojrzała na swój czarny szlafrok. - Nie mam nic więcej do roboty, tylko włożyć sukienkę. Zaraz wychodzimy.
- Jesteś uśmiechnięta - zauważyła Melania, rzucając torebkę na kanapę. - Przynajmniej za tobą jestem wdzięczna Bogu.
- Nie jest to aż takie trudne - przyznała Ashley, znikając w sypialni. Mówiła głośno, żeby Melania mogła ją słyszeć. - Wystarczyło, bym uświadomiła sobie, że ta wystawa, a przede wszystkim mecenas nazwiskiem Collin Deverell~ sfinansują moją bitwę o dziecko. - Nastąpiła chwila milczenia.
- Mel, wiesz, gdzie jest barek, gdybyś więc miała ochotę na drinka ...
- Chyba zaczekam - rzekła Melania. - W galerii przygotowali aż za dużo trunków, a ja muszę być trzeźwa dziś wieczorem.
- Czy ten tajemniczy Collin Deverell też będzie obecny? - zapytała Ashley.
- Nie wiem - odparła Melania. - Biorąc jednak pod uwagę rozmiary jego inwestycji w twoje dzieła, sądzę, że powinien przyjść.
- Znakomicie. - Ashley otworzyła szafę i wyjęła z niej suknię specjalnie przygotowaną na wernisaż.
- Chciałabym go spotkać. - Zamilkła na moment. - Czego dowiedziałas się od Diany na jego temat?
- Niewiele - odrzekła Melania. - Nikt nie wie o nim dużo. Podobno nie jest zbyt aktywny towarzysko.
- Przecież ktoś w końcu musi go znać. - Ashley otworzyła szufladę z bielizną i coś ją tknęło. Coś tu było nie tak. ...jakoś inaczej. Nie potrafiła powiedzieć, co się nie zgadza. Czuła, że ktoś grzebał w jej rzeczach. Sprawdziła schowek z biżuterią. Niczego nie brakowało. Nie miała dość czasu, by wszystko dokładnie sprawdzać, ale zajmie się tym wieczorem, po powrocie z wystawy.
- Mogę służyć ci tylko zdawkową informacją - powiedziała Melania. - Collin Deverell jest jednym z bliźniaczych synów Quentina Deverella, założyciela firmy Intercontinental Oil. Należy do dziesięciu najzamożniejszych ludzi w kraju i nie trzeba dodawać, że stanowi najatrakcyjniejszą partię w Nowym Jorku. \_ Zamilkła na moment, patrząc na wysadzany brylantami zegarek. - Ashley, nie chcę cię poganiać, ale ...
- Jeszcze chwilę, Mel! Zaraz będę gotowa.

Kilka minut później Ashley wyszła z sypialni w czerwonej jedwabnej sukience z czterema rzędami naszytych pereł; na szyi miała rubinowy naszyjnik a na uszach ogromne klipsy z tymi samymi kamieniami. Rozpuszczone włosy upięła z tyłu głowy starymi sztyldkretowymi grzebieniami.

- Czy możemy już iść? Umieram z ciekawości, żeby zobaczyć mojego nowego mecenasa.

Galeria Mason-Gilling była wypełniona po brzegi. Gdy Ashley i Melania weszły, reporterzy natychmiast skierowali na ich twarze flesze aparatów. Z drugiej strony sali machała Diana Gilling, która stała w towarzystwie krytyka artystycznego z "New York Timesa" i o czymś z nim rozmawiała. Ashley i Melania przeciskały się przez tłum w jej kierunku.

- Już zaczynałam wątpić, czy zechcesz pokazać się osobiście na wernisażu - rzekła Diana pół żartem, pół serio, goY Ashley do niej dotarła. - To, moja droga, pan Rance Bascomb z "Timesa". Rance, pozwól, że przedstawię ci Ashley Gordon-Hollister i Melanię Masters.
- Bardzo mi przyjemnie poznać obie panie.

- Mężczyzna wyciągnął rękę.
- Pani Hollister, jestem zachwycony tymi pracami.

Ashley odpowiedziała z uśmiechem:

- Miło mi to słyszeć, panie Bascomb.

Podczas gdy Melania zaangażowała się w poważną rozmowę na temat utalentowanych młodych malarzy, jacy pojawili się na rynku międzynarodowym, Diana cierpliwie przedstawiała Ashley pozostałym krytykom.

- Czy on tu jest? - spytała artystka, gdy przecisnęły się przez tłum.
- Kto? - odrzekła zdziwiona Diana.
- Collin Deverell. Bardzo chciałabym go zobaczyć.

Diana potrząsnęła głową.

- Rzadko pokazuje się na wernisażach - powiedziała.
- Gdy interesuje go jakiś młody artysta, kupuje wybrane dzieła jeszcze przed wystawą. Odnoszę wrażenie, że nie znosi tłumów.

Ashley poczuła się niemile zaskoczona.

- Ale - ciągnęła Diana - jest tu dzisiaj wielu ludzi, którzy umierają z ciekawości, żeby się z tobą spotkać. Chodź ze mną, widzę właśnie Harriet Ambrose, o tam ...

Znużona ceremoniałem i tym, by zdobyć się na kilka miłych słów do każdej spośród ważnych osobistości, które okazały zainteresowanie debiutem artystycznym w Nowym Jorku, Ashley w końcu zdołała uciec. Gdy obchodziła spokojnie galerię, przyglądając się każdemu obrazowi z osobna, ktoś podał jej kieliszek wina. Ciemne oczy artystki lustrowały salon, badając twarze poszczególnych mężczyzn. Zastanawiała się, która z nich jest obliczem Collina Deverella. Jeżeli zakupił prawie wszystkie obrazy, to dlaczego nie przyszedł, żeby przekonać się, jakie wrażenie zrobią na krytykach?

Zatrzymała się dłużej przed płótnem przedstawiającym bogactwo kolorów Napa Valley. Z zadumą popijała wino, zastanawiając się, jak wygląda Collin Deverell. Melania twierdziła, że to przystojny mężczyzna. Musi być, bardzo bogaty. Wyobrażała sobie wysokiego mężczyznę w wieku około pięćdziesięciu lat, o surowej, poważnej twarzy i przenikliwych oczach. Ciemne włosy z pierwszymi oznakami siwizny. Inteligentny arystokrata. Właściciel terenów roponośnych. Melania powiedziała, że jest on jedną z najbardziej atrakcyjnych partii w Nowym Jorku. Jednego więc absolutnie można było być pewnym - nie istniała jeszcze żadna pani Deverell. .

- Odnoszę wrażenie, że ma pani do tego obrazu jakiś sentyment. - Charakterystyczny męski głos przerwał rozmyślenia malarki.

Zaskoczona Ashley obejrzała się. Przy jej lewym boku stał wysoki, szczupły brunet koło trzydziestki. Jego włosy kręciły się dookoła uszu i silnej, kwadratowej szczęki. Patrzył na nią przenikliwymi piwnymi oczyma i Ashley pomyślała, że nieznajomy całkiem nieźle wygląda w tym czarnym. smokingu. Ale przede wszystkim przykuwał jej uwagę rozbijający uśmiech.

- Przepraszam, pan coś powiedział? - zapytała, nie mając pewności, czy dobrze go zrozumiała.
- Pytałem, czy żywi pani sentyment do tego obrazu? Jeszcze raz przyjrzała się swemu dziełu i przytaknęła z uśmiechem.

- W pewnym sensie tak - przyznała. - Przypomina dawne dobre czasy.

Przez moment przyglądał się bacznie obrazowi.

- Podoba mi się sam w sobie. Kojarzy się z dziełami wielkich impresjonistów, Moneta, Cezanne'a.
- Widzę, że pan lubi ten rodzaj malarstwa - rzekła, z uśmiechem.
- Lubię impresjonistów i malarzy renesansu, wszystko z wyjątkiem malarstwa abstrakcyjnego.

Ashley uniosła brwi.

- Nie ma pan przekonania do nowoczesnej sztuki? zapytała.

Wzruszył ramionami.

- Gdy patrzę na obraz lub rzeźbę i muszę pytać, co przedstawiają, nie jest to dla mnie żadna sztuka - odpowiedział z uśmiechem.

Ashley roześmiała się. Nie pamiętała już, kiedy po raz ostatni zrobiła to szczerze. Ten mężczyzna - kimkolwiek był - wskrzesił w niej coś, co dawno zostało pogrzebane.

- Pan mówi tak samo jak ... - omal nie powiedziała, że wyraża się o sztuce jak Brandon - jak ktoś, kto był mi bardzo bliski - zakończyła cicho.

Collin uśmiechnął się.

- Myślę, że to komplement.

Ashley przytaknęła.

- Oczywiście.

\_ Bardzo mi miło. Teraz, kiedy poznałem już artystkę, jestem szczęśliwy, że kupiłem wiele jej prac. Żałuję tylko, że nie zarezerwowałem sobie wszystkich.

\_ To pan kupił moje obrazy? - spytała z niedowierzaniem. - Więc to pan ...

Rozbroił ją całkowicie zniewalającym uśmiechem, wyciągając do niej rękę.

\_ Pani pozwoli, że się przedstawię - rzekł szarmancko. - Nazywam się Collin Deverell.

*Nowy Jork, grudzień 1986*

Ashley, zanurzona w wannie wypełnionej po brzegi pianą, starała się zrelaksować. Bez skutku. Począwszy od dnia wernisażu podejrzewała, że ktoś buszował w mieszkaniu. Stała się nerwowa i podejrzliwa, gdy była sama, zwłaszcza nocą. Sądziła, że ktoś włamał się do mieszkania i może zjawić się ponownie, nawet w czasie jej obecności.

Starała się o tym nie myśleć. Koncentrowała się na nadchodzącym wieczorze. Zapowiadał się interesująco. Miała zjeść kolację z Collinem Deverellem w restauracji Pod Gołębiem. Gdy przedstawił się w galerii, nie spodziewała się takiej propozycji. Nie mogła odmówić miłemu zaproszeniu, poza tym była ogromnie wdzięczna Collinowi, że dzięki niemu wystawa nabrała wielkiego rozgłosu. Podtrzymywanie znajomości z Deverellem mogło przynieść ewidentne korzyści. Jest w końcu bardzo zamożnym kolekcjonerem, wielkodusznym mecenasem sztuki, dawał artystce środki do walki o jedyną sprawę, na której jej naprawdę zależało odzyskanie syna. Ashley potrzebowała finansowego wsparcia i zależało jej, by fascynacja Collina pejzażami nadal rosła. Prawdę mówiąc - pomyślała - Jego zainteresowanie moją osobą wydaje się bardziej osobiste niż profesjonalne.

Westchnęła głęboko.

Staną na posadzce i sięgnęła po ręcznik. Osuszyła starannie całe ciało, po czym natarła je wonnym balsamem. Przyglądając się uciekającej z wanny wodzie, przypomniała sobie wieczór, kiedy po raz pierwszy zobaczyła Collina Deverella. Był bez wątpienia najatrakcyjniejszym mężczyzną obecnym na wernisażu, czarującym koneserem sztuki. Ashley bynajmniej nie dziwiła się temu, bo nasłuchiwała się wiele na temat jego prywatnej kolekcji. Chociaż nie liczyła na zawarcie bliskiej znajomości, bez wahania przyjęła zaproszenie.

Rzuciła na bok ręcznik i włożyła czarne jedwabne kimono, przewiązała je szeroką szarfą i boso poszła do sypialni. Otworzyła podwójne drzwi ogromnej, wbudowanej w ścianę szafy. Przerzucając długi rząd ubrań, szukała czegoś odpowiedniego na tę okazję. W końcu zdecydowała się na drapowaną dżersejową sukienkę w kolorze śliwki, z rękawami zwężającymi się przy nadgarstkach. Kreacja ta wydawała się elegancka, a jednocześnie skromna. Ashley wybrała ponadto parę czarnych pantofli i zatraskiwaną wieczorową torebkę. Zamknęła schowek i położyła rzeczy na łóżku. Ubierając się myślała o sytuacji, w jakiej znalazła się, rozbudzając zainteresowanie Collina Deverella swoją osobą. Aczkolwiek niewiele wiedziała na jego temat, po rozmowie z nim odniosła wrażenie, że jest to typ człowieka, który nie lubi się bawić w kotka i myszkę. Jeżeli istotnie zainteresowała go, nie będzie miała szansy na odwrót.

Wsunęła pantofelki i wyjęła z nocnego stolika czerwoną saszetkę z biżuterią. Wybrała srebrną bransoletę, wisiorek z ametystem i odpowiednie klipsy. Zwinęła ciężkie ciemne włosy w zgrabny kok i przejrzała się w lustrze, żeby ocenić efekt. Nie była zadowolona ze swojego wyglądu, więc powyciągała szpilki i rozczesała włosy, które rozsypały się luźnymi falami na ramionach. Uznała, że teraz wygląda znacznie lepiej. Nie potrafiła, jak inne kobiety, spleść ciasno włosów. Nie jestem przecież primabaleriną - pomyślała.

Dzwonek przy drzwiach przerwał jej rozmyślenia. Złasiła lampę na nocnym stoliku i poszła otworzyć drzwi. Collin był równie elegancki i przystojny, jak tamtego wieczoru w galerii.

- Widzę, że jest pan punktualny - przywitała go niefrasobliwie. Uśmiechnął się rozbawiony i przytaknął.
- Dokładne odliczanie czasu to najważniejsza rzecz w moim życiu - odrzekł.

Człowiek ma wrażenie, że znajduje się na bezludnej wyspie - pomyślała Ashley, rozglądając się po restauracji. Patrzyła obojętnie na obrusy w brzoskwińowym kolorze, koronkowe firanki, lustra i pnące rośliny. Siedząc naprzeciwko Collina Deverella, zastanawiała się nad tym, czego on może od niej chcieć. Sprawa w dalszym ciągu nie była zupełnie jasna. W samochodzie rozmawiał z Ashley o sukcesie wystawy i o tych obrazach, które podobały mu się najbardziej. W restauracji zaczął mówić o swojej kolekcji dzieł sztuki, szacowanej przez ekspertów na siedemnaście milionów. Sam ani nie potwierdził, ani nie zaprzeczył tym informacjom. Ashley przypomniała sobie, że parę lat temu krążyły plotki, jakoby kolekcja ta została skradziona, gdy właściciel przebywał za granicą. Szybko jednak dowiedziała się, że kłopoty Collina się skończyły. Jeżeli chciał od Ashley czegoś więcej niż podtrzymania kontaktów handlowych, nie dał tego po sobie poznać.

- Czy ten łosoś nie smakuje pani? - zapytał.
- Słucham? - Ashley została nagle przywołana do rzeczywistości. - Jest znakomity.
- Wobec tego czemu pani nie je? Od dziesięciu minut przesuwam go pani po talerzu.

Zakłopotana Ashley potrząsnęła głową.

- Łosoś jest wyśmienity. Ja tylko tak. ... chodzi mi po głowie parę myśli...
- O walce, jaką pani toczy z byłymi teściami? Podniosła wzrok. Miała zamiar zapytać, skąd Collin o tym wie, ale poczuła się głupio. Przecież pisali o tym we wszystkich gazetach.
- Tak - odpowiedziała.
- Pani wie, że stoi pani na straconej pozycji? - spytał, opierając się wygodnie na krześle. Nie odwracał od niej wzroku.

Ashley spojrzała na niego i czuła, że jej policzki zaczynają płonąć gniewem.

- Czy pan przypadkiem nie pracuje dla Hollisterów? - zapytała, a gniew wzbierał w niej coraz bardziej.
- Nie pracowałbym dla nich, choćbym miał umrzeć z głodu - odrzekł ostro Collin. - W ogóle dla nikogo nie pracuję ...

- Więc czemu ... - podjęła zirytowana.
- Jeżeli chcesz walczyć ze smokiem, powinnaś się dowiedzieć, czego należy się po nim spodziewać
- powiedział, sięgając po szklankę. Pociągnął duży łyk. Niestety trafiłaś na najpotężniejszego i najgroźniejszego potwora. Powinnaś się dobrze przygotować do ostatecznej rozprawy.

Ashley przyjrzała się uważnie swemu rozmówcy. - I pan chce mnie do tego przygotować.

- Może. - Twarz mężczyzny nie wyrażała żadnego uczucia.
- Czemu? - spytała zaniepokojona.
- Powiedzmy, że ja tak samo nie lubię Bradleya Hollistera jak pani - odrzekł Collin, przywołując kelnera, by zamówić jeszcze jednego drinka.
- Czułabym się znacznie lepiej, gdyby pan mówił mniej zagadkowo - dorzuciła Ashley, zaintrygowana słowami Deverella.
- Może innym razem - obiecał, dając do zrozumienia, że nie ma zamiaru podtrzymywać tego tematu.

Ashley przyglądała się mężczyźnie siedzącemu po drugiej stronie stołu i zastanawiała się nad grą, jaką prowadzi. Może myliła się, sądząc go po pierwszym wrażeniu. Może to nie tylko kolekcjoner sztuki, któremu podobały się jej prace? Może kupił wszystkie obrazy z jakiegoś szczególnego powodu, którego na razie nie ma zamiaru ujawniać? Czemu interesuje go tak bardzo proces z Hollisterami?

Kelner przyniósł Collinowi zamówionego drinka. Pociągnął mały łyk, delectował się przez jakiś czas napojem, po czym się uśmiechnął.

- Nieźle - pochwalił i pociągnął jeszcze raz. - Całkiem nieźle.

Ashley chciała coś powiedzieć, ale rozmyśliła się.

Odniosła wrażenie, że bez względu na to, ile pytań postawi, on i tak nic więcej nie powie. W

każdym razie nie teraz. Dobrze, będę robiła dobrą minę do złej gry pomyślała. Później się przekonam, czego naprawdę ode mnie chcesz.

Wieczór okazał się całkiem przyjemny. Niechęć Collina do rozmowy na temat konfliktu o odzyskanie praw rodzicielskich i równoczesne zainteresowanie wynikiem tego sporu zaintrygowały Ashley. Była zdenerwowana. Wyczuwając to, Collin roztropnie zmienił temat i zaczął mówić o przyjemniejszych sprawach, o sztuce i bieżącym programie na Broadwayu. Oboje byli zaskoczeni tym, że mają tak podobne gusta i poglądy na wiele spraw. Jeszcze bardziej zdziwiło Ashley to, że tak bardzo podobał jej się ten wieczór. Od śmierci Brandona zdarza mi się po raz pierwszy dobrze się czuć w czyimś towarzystwie - pomyślała, gdy wspomnienie męża przyćmiło jej nastrój. Mimo wszystko miło spędzać czas z Collinem, choć może tylko nienawiść do Hollisterów pcha mnie ku niemu.

Po deserze Collin umówił się z nią na ponowne spotkanie.

- Znam miejsce przy Lexington, gdzie podają najlepsze *lasagne* - rzekł, prosząc kelnera o rachunek.

Ashley roześmiała się głośno.

~ Boże! Całe wieki nie jadłam dobrego *lasagna* wyznała. - Gdy byłam małą dziewczynką, robiła je moja mama, ale ona ma znakomity przepis, odziedziczony po włoskich przodkach ...

Spojrzał na nią szczerze zdziwiony.

- Pani pochodzi z Włoch? - zapytał.

- Nie mogłabym bardziej być Włoszką, nawet gdybym się urodziła nad brzegami Amory - zapewniła.

- Moi przodkowie przywędrowali z Toskanii i osiedlili się w Napa Valley trzy pokolenia temu.

- Moja matka też była Włoszką - powiedział, wyciągając kartę kredytową. Podał ją kelnerowi. -

Urodziła się w Mediolanie. - Na jej wspomnienie uśmiechnął się. Była najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek widziałem.

Ashley odwzajemniła uśmiech.

- Czy robiła najlepsze *lasagne* na świecie?

Collin roześmiał się głośno.

- Moją matką, nigdy nie zbliżała się do kuchni, a gdyby się coś takiego przytrafiło, ojciec z pewnością zrobiłby wszystko, żeby to się nie powtórzyło - rzekł, rozbawiony samą myślą, że matka miałaby zajmować się gotowaniem. - Nie, ona nigdy nie gotowała ani, uchowaj Boże, nie prała pieluch. Mimo to była bardzo dobrą matką. Cudowną matką.

Ashley przyglądała mu się przez moment i odniosła wrażenie, że ma okazję zobaczyć tę stronę osobowości, której nie odsłaniał przed nikim. Aczkolwiek nie wiedziała o nim prawie nic, pomijając oczywiście to, co usłyszała od Melanii i Diany, zauważyła, że Collin Deverell to samotnik, który nie lubi zwierzać się nikomu, ma niewielu przyjaciół i nikogo, komu mógłby zaufać. A jednak doszło do tego, że znalazła się z nim na obiedzie i otworzyło się przed nią głęboko ludzkie, wrażliwe wnętrze.

- Widzę, że był pan bardzo blisko związany z matką - zauważyła.

- Bardzo - odrzekł cicho Collin. - Kochałem oboje rodziców, ale matka zawsze była mi bliższa.

- A pański brat? - zapytała. - Diana mówiła mi, że jesteście bliźniakami. Czy bliźniacy nie są zazwyczaj bardzo blisko związani? .

- Zazwyczaj - odparł, unikając jej spojrzenia.

W tym momencie podszedł kelner i Collin podpisał rachunek.

- W naszym przypadku fakt, że jesteście bliźniakami, o niczym nie świadczy. Moglibyśmy być zupełnie obcymi ludźmi. Łączy nas tylko ta sama twarz. Ale pani nie udzieliła mi odpowiedzi. Co z jutrzejszym wieczorem?

- Będzie mi bardzo miło zjeść z panem najlepsze *lasagne* w mieście. Ona absolutnie nic nie podejrzewa - rzekł Collin do Harrisona, wstając z kanapy i zbliżając się do barku. Na jego grubym zielonym swetrze połyskiwał złoty Feniks. - Jest trochę ciekawa. Powinienem poczekać, nim poruszę sprawę opieki nad jej synem.

- Czy jesteś pewien, że nie domyśla się prawdy? zapytał Harrison podejrzliwie.

Collin nalał sobie drinka.



- Znasz mnie, Henry - rzekł, uśmiechając się szeroko.
- Lubię wykorzystywać okazje.
- Każdy może się pomylić.
- Czasy, w których popełniałem błędy, mam już za sobą. - Collin usiadł na kanapie z kieliszkiem w rękę. Życzyłbym tylko sobie, żebym nie musiał się spieszyć, ale Bill twierdzi, że czas nagli.
- Czy chciałbyś wtajemniczyć tę osobę już teraz? indagował Harrison.

Collin przytaknął.

- Obawiam się, że to konieczność. - Spojrzał na starszego pana i uśmiechnął się. - Nie mogę wszystkiego zrobić sam, a ty, mój przyjacielu, jesteś trochę za stary. - Pociągnął duży łyk z kieliszka. - Ashley jest moim jedynym atutem.
  - Można jej wierzyć?
  - Jeżeli nie zaufam tej kobiecie, nie będę mógł zaufać nikomu. - Collin obstawał przy swoim. - Ashley ma najgłębszą motywację, by zniszczyć Hollistera. Ten łobuz po prostu ukradł jej syna. Harrison potrząsnął głową.
  - Mam wątpliwości, czy ona zaakceptuje twoje niekonwencjonalne metody.
- Collin zastanawiał się, obracając w dłoni kieliszek.
- Myślę - zaczął powoli - że zrobi wszystko, z wyjątkiem morderstwa, by odzyskać synka.

- Powiedz mi, Diano, co wiesz na temat Collina Deverella - rzuciła Ashley od niechcienia, gdy wchodziły do biura na zapleczu galerii. Pejzaże wciąż wisiały na nieskazitelnie białych ścianach i miały być eksponowane jeszcze przez następny tydzień.

Diana Gilling spojrzała zdziwiona.

- Prawdę powiedziawszy, niewiele - wyznała szczerze. - Przychodzi do galerii dość często, ale zazwyczaj nie uczestniczy w wernisażach. Nie lubi mówić o sobie. - Przerwała, a na jej nordyckiej, zazwyczaj chłodnej twarzy wyraźnie malowało się zaciekawienie - Czemu o to pytasz?
- Byłam z nim wczoraj na obiedzie - odparła Ashley. - To bardzo interesujący mężczyzna, ale trochę zagadkowy. - Moje gratulacje! - rzekła Diana entuzjastycznie. Ashley spojrzała na nią figlarnie.
- Z jakiego powodu?
- Że zaprosił cię na obiad. - Diana usadowiła się za oszklonym kontuarem w małym, przytulnym kantorku. Niewielu kobietom udaje się tak z nim zbliżyć ... wyjąwszy przypadki, kiedy idą z nim do łóżka.
- No, ja z nim w łóżku nie byłam! - zaprotestowała Ashley.
- Wcale tak nie myślałam - powiedziała spieszenie Diana. - Nieuchwytny pan Deverell to prawdziwy samotnik. Nie posiada rodziny, z wyjątkiem brata, z którym nie widział się od paru lat. Nie ma bliskich przyjaciół ani stałej kobiety... wiadomo tylko o całej serii partnerek na jedną noc.
- Na pewno jest z kimś związany - nalegała Ashley, a jej ciekawość wciąż rosła.
- Jeżeli ktoś taki rzeczywiście istnieje, to panuje na ten temat głucho milczenie. Cóż, w końcu żyjemy w wielkim mieście. Nie znam tu wszystkich ludzi.
- Znasz jednak osoby, które to może obchodzić, prawda? - zapytała Ashley z uśmiechem.
- Powiedzmy, kilka osób, które mogłyby mieć powiązania z Collinem Deverellem - sprostowała Diana - oraz parę kobiet, które miały z nim intymne stosunki. Nawet i one niewiele o nim wiedzą ... poza tym, jak wygląda nago i czy jest dobry w łóżku.
- A jest dobry? - zapytała Ashley z sarkazmem.
- Czy to ciebie naprawdę interesuje?
- Chcę po prostu się dowiedzieć, z jakiego powodu ten facet tak bardzo się mną interesuje - wyznała szczerze.

- Co to ma do rzeczy? - Melania Masters naciągała szare rękawiczki, gdy taksówka manewrowała w niesamowitym tłoku na drodze szybkiego ruchu, prowadzącej na lotnisko Kennedy'ego. - Ten człowiek wybulił na obrazy ponad ćwierć miliona dolarów, więc jest poruszony twoją twórczością i

talentem. A jeżeli interesuje się tobą również jako kobietą, to czego ci bardziej potrzeba?

- Ty wiesz, Mel, jakie jest moje zdanie na ten temat? powiedziała Ashley pogardliwie. - Dobry Boże ... przecież nawet rok nie minął od śmierci Brandona.

- I nie ma najmniejszej potrzeby, żebyś umarła razem z nim - rzekła szybko Melania. - Ashley, rozumiem, co czujesz, ale jego już nie ma i nic go do życia nie przywróci. Jeżeli cierpisz, nie musisz dobijać się sama. Zachowujesz się jak żywy trup. Jakbyś leciała z mężem tym samolotem ...

- W jakimś sensie rzeczywiście z nim byłam - przyznała Ashley pośpiesznie.

- Zbyt długo żyjesz samotnie - stwierdziła Melania kategorycznie. - Nie chciałabym być okrutna wobec ciebie, ale czy nie czas już skończyć żałobę? Brandon nie wróci i nie wydaje mi się, żeby mu zależało, byś przez resztę życia rozpamiętywała przeszłość.

Ashley spojrzała przez okno na gąszcz samochodów. - Na pewno masz rację - rzekła bezbarwnie. - Niestety, taka już jestem. Nie chcę zaczynać życia od nowa. W każdym razie nie teraz.

- Wobec tego dlaczego się uśmiechasz, ilekroć ktoś wspomni Collina Deverella?

- Jest po prostu interesującym człowiekiem - powiedziała Ashley. - Intryguje mnie, czego on ode mnie oczekuje.

Melania uśmiechnęła się.

- Jeżeli ci się nie podoba, to właściwie co to ma do rzeczy?

- Niepokoi mnie - rzekła Ashley. - Nie potrafię tego wytłumaczyć, ale czuję się dziwnie w jego obecności. Mam wrażenie, jakby nie o mnie mu chodziło ani nawet o moje prace. W jakimś sensie to wszystko łączy się z Hollisterami. To dlatego zgodziłam się na powtórne spotkanie z Collinem.

- I to jest jedyny powód? - spytała bez przekonania Melania.

- Tak, oczywiście.

Gdy zbliżały się do lotniska, nisko nad ich głowami przeleciał startujący 747 i Wycie maszyny zagłuszyło rozmowę.

- Zdecydowanie zbyt długo żyjesz sama - upierała się Melania. - Jesteś podejrzliwa wobec tego mężczyzny tylko dlatego, że okazał zainteresowanie tobą niezależnie od twoich prac. Szukasz pretekstu, żeby go odtrącić.

Ashley uśmiechnęła się smutno.

- Dziękuję za dobre chęci, pani Masters. Jak będę znowu potrzebowała posłuchania, dam znać.

- No, mam rację czy nie? - spytała Melania, gdy samochód stanął przy wejściu do terminalu.

- Nie muszę się usprawiedliwiać, Mel - rzekła Ashley zdecydowanie, wysiadając z taksówki. - Powiedziałam już... po prostu nie jestem jeszcze na to przygotowana. I może już nigdy nie będę.

Melania zapłaciła kierowcy, który wyjął jej walizkę z bagażnika i przekazał młodemu tragarzowi. Nie odezwała się już ani słowem. Dopiero gdy szły zatłoczonym terminalem, kierując się ku płycie lotniska, powiedziała:

- A jeżeli on interesuje się tobą poważnie? - zapytała wreszcie.

Ashley pozostała obojętna. - To co z tego?

- Wcześniej czy później będziesz musiała zapomnieć przeszłości - rzekła z naciskiem Melania. Przerwała, słuchając zapowiedzi swego lotu. - Trzeba żyć dla samej siebie.

Ashley zmusiła się do uśmiechu.

- Już ja wezmę się za siebie, Mel - obiecała. - Niech tylko odzyskam Roberta.

Garsonka od Schiaparelli jest doskonała - pomyślała Ashley, nakładając parę starych srebrnych klipsów i spiesząc otworzyć drzwi. Wyglądała elegancko, ale nie prowokująco. Nie chciała, by Gollin, który, wedle relacji Diany Gill i innych, szczylił się niebывалым powodzeniem u kobiet, źle ją zrozumiał. Chciałabym się tylko dowiedzieć, czemu on interesuje się rewizją mojego procesu. To wszystko - pomyślała, otwierając drzwi.

- Przyszedł pan wcześniej, ale ... - Przerwała nagle, gdy go zobaczyła. Miał przerzucony przez ramię trenz. Ubrany był w luźne granatowe spodnie marynarskie, białą koszulę i ciemnoszary pulower. Stojem nawet nie przypominał człowieka, z którym jadła kolację poprzedniego dnia, odzianego w drogi, ręcznie skrojony garnitur, ani tego mężczyzny w eleganckim smokingu, spotkanego na wystawie w galerii.

- Ach, proszę wejść - wykrztusiła wreszcie, odzyskując głos.

Collin wydawał się nieco zakłopotany.

- Naturalnie zapomniałem pani powiedzieć - zaczął usprawiedliwiać się niskim głosem, wchodząc do środka - że w lokalu, o którym wspominałem, panuje dość swobodna atmosfera. Ashley zamknęła drzwi i wstrzymała oddech, spoglądając na swoją garsonkę.

- Czy mogę podać panu drinka, zanim przebiorę się w coś ... bardziej stosownego?

Uśmiechnął się.

- Dziękuję, będzie mi bardzo miło. Podeszła do barku.

- Co pan pije? - zapytała, otwierając wiaderko z lodem.

- Szkocką z odrobiną wody sodowej, proszę.

Ashley automatycznie odłożyła szczypce do lodu i sięgnęła po szkocką.

- Dokąd pójdziemy? - Nalała płynu do szklanki.

- Czy była pani kiedyś w Pete's Tavern? - zapytał, biorąc z jej ręki szklanki.

Potrząsnęła głową.

- Nie znam N owego Jorku - rzekła. - Poza Maçon-Gilling Gallery niewiele tu widziałam.

- Wiem, jak długo przebywa pani w tym mieście rzekł. - Spotkaliśmy się w dniu pani przyjazdu.

Ashley spojrzała na Collina figlarnie. W galerii odniosła wrażenie, jakby go gdzieś przedtem widziała, ale sądziła, że zapewne oglądała zdjęcie Deverella w jakimś magazynie lub gazecie.

Jego piwne oczy błyszczały wesoło. Pociągnął z kieliszka.

- Na lotnisku Kennedy'ego - powiedział, starając się przypomnieć jej pierwsze spotkanie. - Oboje próbowaliśmy zająć tę samą taksówkę ...

- To był pan?

- Jeśli sobie dobrze przypominam, nie była pani wówczas w najlepszym nastroju - rzucił beztrąsko.

Skinęła głową.

- Istotnie, ostatnio rzadko miewam dobry humor przyznała szczerze.

- Ależ tak nie można! - Spojrzał na zegarek. - Niechże pani nareszcie się przebierze.

Porozmawiamy w drodze do restauracji.

Ashley roześmiała się.

- Da mi pan jeszcze pięć minut!

- Najwyżej trzy.

Ashley nie przyszło nawet do głowy, że Collin zamierza iść na piechotę, ale teraz, gdy spacerowali po Piątej Alei, która o tej porze nie jest już taka ożywiona, czuła się po prostu szczęśliwa, że wpadł na ten pomysł. Mieli znakomitą okazję porozmawiać i mogli poznać się lepiej. Miała wrażenie, że są sobie tak bliscy, jak to tylko możliwe.

Jest czarujący, aż nazbyt grzeczny, a jednak zachowuje dystans - pomyślała, patrząc mu w oczy. -

Może dlatego tak bardzo go lubię. Pod tym względem jesteśmy podobni. Jakaś swoją część Ashley bardzo 19nęła do Collina, aczkolwiek sama dobrze nie wiedziała dlaczego. Bardzo chciała mu zaufać i zdawała sobie sprawę, że i jemu na tym zależy.

- Ale pan mi nie powiedział - zaczęła ostrożnie - czy ubrałam się stosownie do Pete's Tavern?

Miała na sobie obcisłe czarne spodnie, wpuszczone w wysokie kozaki barwy wina, granatową luźną bluzkę, szeroki czarny pas i dwa ciężkie srebrne łańcuchy. Na wierzch włożyła ocieplany trencz, przypominający płaszcz żołnierski z drugiej wojny światowej. Wyglądała wyjątkowo pięknie i nonszalancko.

- Obleci - ocenił ją.

- Stokrotne dzięki!

- Proszę się zrelaksować - rzekł. - Reprezentuje pani typ kobiety, która wyróżnia się w tłumie bez względu na to, gdzie się znajduje. Ma pani absolutnie własny styl.

- Chyba powinnam uznać to za komplement. - Ashley uśmiechnęła się.

- Bo to jest komplement - odparł bez namysłu.

Gdy przeszli przez Piątą Aleję i skręcili na wschód w kierunku Lexington, zaczęło padać. Nie była to ulewa, zaledwie kapuśniaczek. CoHin natychmiast otworzył ogromny czarny parasol. Trzymając

go nad ich głowami, przybliżył się do Ashley. Szli obok siebie żwawo Dwudziestą Trzecią Ulicą i rozmawiali wesoło. Kierując się Aleją Lexingtona na południe, ku Gramercy Park, obeszlili mały prywatny park i doszli do Irving Place.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmił Collin, otwierając drzwi.

Gdy weszli do lokalu, Ashley zaczęła rozglądać się i chłonąć wszystkie widoki, odgłosy i zapachy, które wypełniały zatłoczoną, ale bardzo przyjemną restaurację. Grupa młodych, bezpretensjonalnie ubranych mężczyzn i kobiet siedziała przy barze, chrupiąc chipsy. W jednym z rogów trójka roześmianych mężczyzn piła

piwo. Collin przeszedł z Ashley przez bar do sali jadalnej. Szepnął coś kelnerowi, który poprowadził ich do stolika przez zatłoczoną i słabo oświetloną salę. Gdy zajmowali miejsca, Ashley spojrzała na portret wiszący nad stolikiem. Mężczyzna z obrazka przypominał kowbojów, których widywała czasami w starych westernach - miał surową, kanciastą twarz, kasztanowe włosy i wąsy. Na małej złoczonej tabliczce, umieszczonej u dołu ramki, widniał napis: "Stolik Mela".

- Kim był Mel i cóż my robimy przy jego stoliku? zapytała zdziwiona Ashley.

Collin uśmiechnął się.

- To jeden z dawnych bywalców - objaśniał, spoglądając na portret. - W tym samym czasie do tej tawerny

zachodził sławny Henry, o czym możesz się przekonać, czytając menu i księgę pamiątkową lokalu. Zasiadał tam. - Collin wskazał głową inny stolik. - Ten lokal to najstarsza oryginalna tawerna w Nowym Jorku ... zastała otwarta w tysiąc osiemset sześćdziesiątym czwartym roku...

- Często pan tu bywa? - spytała Ashley, gdy kelner stawiał przed nimi napoje.

Pokręcił głową.

- Nie przychodzę na Manhattan zbyt często - rzekł. Bywam tu od przypadku do przypadku, by zrelaksować się i zakosztować nocnego życia ... mam na myśli zabawę w moim guście. Tutaj nikt nikogo nie prowokuje.

Spojrzała na niego figlarnie.

- Prowokuje?

- Mam na myśli podrywanie - wyjaśnił Deverell. - To nie w moim stylu.

- Rozumiem. - Ashley wzięła swój kieliszek, lecz Collin wstrzymał ją, zanim zdążyła się napić.

- Chciałbym wznieść toast. - Nagle spoważniał. Ashley uśmiechnęła się.

- Za co?

Collin podniósł kieliszek.

- Za nasze przymierze, droga Ashley - rzekł, a szkło zadzwoniło cicho. - Mamy pewne szanse na zwycięstwo.

### *Paryż, grudzień 1986*

Anton De Vries zatrzymał się przed numerem dwudziestym szóstym przy rue Armengaud, tuż za wysokim żywoplotem i murem otaczającymi siedmiopiętrowy, zbudowany ze szkła i stali kompleks biurowy, gdzie mieści się światowa siedziba Interpolu - International Police Organization. Gdy wreszcie pozwolono mu przekroczyć bramę, która jest zawsze zamknięta, w dalszym ciągu nie mógł wejść do budynku, dopóki nie obejrzano go dokładnie za pomocą zdalnie sterowanej kamery telewizyjnej. Przy wejściu czekał inspektor Rene Dussault, wysoki, szczupły i przystojny Francuz w wieku około trzydziestu pięciu lat, o szczupłej twarzy, gęstych ciemnych włosach i starannie przystrzyżonym wąsiku. .

- Dzień dobry, *monsieur* De Vries - przywitał serdecznie gościa i wprowadził go do środka, a następnie schodami na drugie piętro. - To niezbyt przyjemna procedura, ale niestety konieczna - rzekł, otwierając kluczem żelazną kratę na szczycie schodów.

De Vries skinął głową; znał te sprawy aż za dobrze. Przyglądał się grupie funkcjonariuszy Interpolu, którzy przedtem pracowali w Surete Nationale lub w Prefekturze Paryża. Patrzył, jak sprawnie sporządzają wykazy aktualnej działalności kryminalnej na całym świecie i rozsyłają informacje na ten temat do stu dwudziestu sześciu placówek policyjnych w siedemdziesięciu ośmiu

krajach za pomocą radia, telefaksu i połączeń satelitalnych.

- Przechowujemy tutaj najbardziej kompletne na świecie akta ponad dwu milionów znanych kryminalistów - rzekł Dussault.

- Czy również tę informację, o której rozmawialiśmy przez telefon? - zapytał niecierpliwie De Vries.

- W moim biurze. Tędy proszę.

Agent podążył za Francuzem długim korytarzem, aż doszli do małego i skromnie umeblowanego narożnego pokoju. Gdy weszli do środka, Dussault wskazał De Vriesowi krzesło i zamknął drzwi.

- Analizowałem przypadki, o które pan pytał - zaczął, siadając za zagraconym biurkiem. - Nie sądzę, że zadowoli pana to, co mam do powiedzenia. .

De Vries siedział na krześle wyprostowany jakby kij połknął.

- Co mi pan powie? - zapytał ostrożnie. Francuz zacisnął mocno dłoń.

- Jeśli chodzi o te włamania ... nie dostrzegamy między nimi żadnych powiązań.

- To niemożliwe! ~ żywo zaprotestował De Vries. Dussault uśmiechnął się cierpliwie.

- Liczyłem się z taką reakcją - rzekł spokojnie. \_ Chcę panu pokazać coś interesującego. - Podniósł się z krzesła i zgasił światło. Następnie zbliżył się do rzutnika, który stał na niskiej szafce z aktami tuż przy biurku. Włączył aparat i pokój wypełnił się ostrym światłem, odbijającym się od jaskrawej bieli ekranu. Wreszcie pojawiła się na nim fotografia mężczyzny.

- Tego człowieka podejrzewa się o dokonanie kradzieży w sklepie Ferrand-Besseges - objaśnił Dussault, a De Vries przyglądał się widniejącej na ekranie twarzy o regularnych rysach, szerokim nosie, ciemnych, kędzierzawych włosach i sumiastych wąsach. - Fotografia została wykonana przez kamerę w sklepie jubilerskim. Mężczyzna przedstawił się jako elektryk... oczywiście był przebrany. Niestety, połapano się zbyt późno. Na ekranie pokazała się cała seria zdjęć. Najpierw dystyngowany szpakowaty starszy pan w rogowych okularach.

- Ten podawał się za handlarza dziełami sztuki, żeby uzyskać dostęp do posiadłości barona de Martigny w pobliżu Saint Raphael, gdzie ukradł dzieło Cezanne'a warte królewskiego okupu - przypomniał Dussault. Następnie ukazał się rudowłosy mężczyzna z bujną brodą i laseczką. - Ten wyraźnie utykał - wyjaśnił Dussault. Zrabował biżuterię wartości dwu milionów franków pewnemu kupcowi w Brukseli... Jesteśmy przeświadczeni, że to jest poszukiwany przez nas człowiek.

Czwartą postacią był mężczyzna w wieku około trzydziestu pięciu lat, dość przystojny; miał ciemną, prawie śniadą karnację, czarne jak smoła włosy i wąsy, a na prawym oku czarną przepaskę.

- Podejrzewa się go o kradzież dwóch obrazów w Rzymie - rzekł Dussault. Pokazał De Vriesowi ponadto cały szereg przeźroczy przedstawiających innych mężczyzn podejrzanych o kradzieże w Europie i w obu Amerykach, wyjaśniając pokrótce, w co ludzie ci byli zamieszani i jak Interpol zdobył ich fotografie albo portrety pamięciowe. Gdy skończył, wyłączył rzutnik i ponownie zapalił światło.

- Sądzimy, że to międzynarodowa siatka włamywaczy - przyznał Dussault. - Każdy z tych rabunków został znakomicie zaplanowany i przeprowadzony z wielką wyobraźnią, bez najmniejszego potknięcia. Często kradzieże dokonywano dosłownie pod samym nosem strażników. Nigdy jednak nie było żadnych konkretnych śladów, naprowadzających na skradzione dzieła bądź na przestępców.

- Czy jest pan tego absolutnie pewien? - De Vries nie dawał się przekonać.

- Tak, *monsieur* - rzekł Dussault bez wahania.

- A ja nie. - Agent wstał z krzesła. - Jeżeli nie ma pan nic przeciwko temu, chciałbym przejrzeć akta.

- Absolutnie nic - odpowiedział Francuz bez wahania. - Liczyłem się z tą prośbą i dlatego sporządziłem kopie, które może pan zabrać. - Podał De Vriesowi dużą brązową kopertę.

- Proszę również o kopie fotografii.

- Wszystko znajduje się w kopercie - zapewnił Dussault. - Jeżeli będzie potrzeba czegoś jeszcze...

- To pan pierwszy dowie się o tym. - De Vries wsunął kopertę pod pachę i wyszedł z pokoju.

Prawie sześć mil dzieli gmach centrali Interpolu od Paryża. Anton De Vries zameldował się w hotelu Lancaster przy Champs-Elysees i udał się prosto do pokoju. Zamówił lekki obiad i wysypał na łóżko zawartość koperty, którą mu dał inspektor Dussault. Fotografie i rysunki rozłożył równo na łóżku i przyglądał się im uważnie. Przedstawieni na nich ludzie byli do siebie rażąco niepodobni - mieli inną karnację, inny kolor oczu i włosów, różną budowę oraz muskulaturę, a mimo to coś ich łączyło. Coś, czego nie umiał dokładnie określić.

Młody kelner przyniósł obiad i De Vries czytał w czasie jedzenia raporty funkcjonariuszy Interpolu. Szukał czegoś, co mogłoby potwierdzić jego przypuszczenia. Porównał wykaz kosztowności, które zginęły w czasie napadów rabunkowych, z klejnotami skradzionymi z domu rodzinnego Deverellów. Za każdym razem przynajmniej jedna z rzeczy figurowała w obu wykazach. Nie można było tego traktować jako przypadku.

Jeszcze raz przypatrzył się rozłożonym na łóżku fotografiom i przypomniał sobie, co powiedział Dussault: "Każdy z tych rabunków został znakomicie zaplanowany i przeprowadzony z wielką wyobraźnią, bez naj mniejszego potknięcia".

To jeszcze nie wszystko - pomyślał De Vries, wpatrując się w twarze poszczególnych mężczyzn i starając się skojarzyć je z Collinem Deverellem. Ten człowiek przysiągł sobie, że odzyska wszystko, co do niego należy, nawet jeśli miałyby to być niezgodne z prawem.

Interpol nie zdaje sobie sprawy, z kim walczy - pomyślał agent, sięgając po telefon.

Wykręcił numer inspektora Dussaulta.

- Jest w tej sprawie wspólne ogniwo - rzekł stanowczo - ale nie ma żadnej siatki. To jeden mężczyzna ... jeden zdeterminowany i bardzo utalentowany człowiek.

- To niemożliwe! - oponował Dussault.

- Dla niego wszystko jest możliwe. Nie mówimy ani tuzinkowych włamywaczach, ani o pańskich funkcjonariuszach. Ten człowiek ma głowę na karku i prawdziwy nerw do działania, a na dodatek jest światowej klasy sportowcem. Problem polega na tym, że on bawi się w złodzieja, udając współczesnego Robin Hooda.

- To niemożliwe! - gorliwie zaprzeczył Dussault. Sam pan widział fotografie ...

- To tylko seria bardzo pomysłowych charakterystyk - wyjaśnił De Vries - cholernie bliskich doskonałości.

To jeden człowiek, Dussault. Ma odpowiedni zasób inteligencji, pomysłowość i fizyczne warunki, żeby tego wszystkiego dokonać. To prawdziwy kameleon! Dokonuje radykalnej przemiany swojego wyglądu w sposób całkowicie przekonujący. Przecież to możliwe, nieprawdaż?

- Możliwe, ale bardzo nieprawdopodobne - powiedział Dussault.

- Tak czy inaczej w końcu go dopadnę - zaklinał się De Vries.

- Wówczas przekonamy się, co jest możliwe, a co nie. Rzucił słuchawkę na widełki, zdeglustowany sceptycyzmem Francuza, który nie chciał uznać słuszności jego teorii. Podszedł do łóżka i przyglądał się fotografiom. Doskonale cię rozumiem, Deverell - rzekł do siebie w myślach - ale wnet skończą się twoje sukcesy. Nie spuszczę z ciebie oka, ponieważ prędzej czy później noga ci się powinie, a ja będę pilnował, żebyś sprawiedliwie zapłacił za to potknięcie. Wtedy zobaczymy, kto będzie się śmiał ostatni. Przypomniał sobie dzień, gdy przybył do mieszkania Collina Deverella na Long Island. Wówczas ten człowiek był ofiarą. Został wyprowadzony w pole, najprawdopodobniej przez własnego brata. Wtedy był niewinny - pomyślał agent - ale teraz już nie.

Na Manhattanie padał śnieg. Collin i Ashley jedli obiad w restauracji The Celler, na sto siódmym piętrze One World Trade Center. Od swojego stolika stojącego w pobliżu okien mogli swobodnie obserwować padający śnieg. Collin pochłaniał jedną za drugą tartinki z wędzonym łososiem i kawiozem, wygłaszając jednocześnie wielce ożywiony monolog. Wreszcie przestał mówić i przyglądał się przez moment Ashley, która nawet nie tknęła homara.

- Czy coś nie gra? - zaniepokoił się Collin.

- Skądże, wszystko w porządku - zapewniła, marszcząc brwi.

- Przecież nic nie jesz.
- Przykro mi. - Odłożyła widelec. - Nie mam apetytu. Collin nasrożył się niczym prokurator i wskazał homara.
- Słuchaj, kobieto - warknął z udawanym gniewem sama wydałaś wyrok na to stworzenie. Teraz więc zjedz je, żeby jego śmierć nie była daremna!
- Ashley uśmiechnęła się nieznacznie, potrząsając głową.
- Jesteś niepoprawny - oświadczyła z westchnieniem - ale doceniam, że chcesz poprawić mi nastrój. Deverell roześmiał się szeroko.
- Robię to przede wszystkim ... dla homara.
- Nie będę zbyt towarzyska w ciągu najbliższych paru tygodni - wyznała, pochylając głowę. - Do Bożego Narodzenia pozostało jeszcze dziesięć dni. Powracam myślą do świąt, które obchodziłam z mężem i synem. Okres świąteczny mnie przygnębia.
- To bardzo dobry powód, by nie spędzać tych dni samotnie - zauważył bez namysłu Collin. - Choć, żebyś pojechała ze mną ... do Sea Cliff. Spojrzała na niego zaskoczona. Jaki charakter ma ta propozycja?
- Sama nie wiem ... - zaczęła z wahaniem. Przeczuwając, co Ashley ma na myśli, roześmiał się głośno.
- Nie musisz się niczego obawiać - zapewnił ją. Zachowam się absolutnie nienagannie, a ty będziesz miała do dyspozycji oddzielny pokój. Słowo skauta.
- Uśmiechnęła się znużona.
- Założę się, że nigdy w życiu nie byłeś skautem rzekła podejrzliwie.
- Ooo, przepraszam! Wyróżniłem się nawet. Byłem, jak sądzę, jedynym ośmiolatkiem w stanie Nowy Jork, którego haniebnie wyrzucono z drużyny zuchów.
- Ashley patrzyła na niego i nagle uświadomiła sobie, że z zadowoleniem przyjęła zaproszenie na ten obiad, choć znajdowała się w fatalnym nastroju, gdy Collin do niej zatelefonował. Aczkolwiek wciąż jeszcze miała do niego pewne uprzedzenia, nieniej jednak bardzo przyjemnie spędzała czas w jego towarzystwie. Mogła zrelaksować się przy nim tak, jak nie potrafiła już od dawna. Łatwo nawiązywała z nim kontakt.
- Daj mi odrobinę nadziei - prosił Collin. - Co będzie z tymi wspólnymi świątami?
- Sama nie wiem. - Potrząsnęła głową i zapatrzyła się w ciemność zapadającą za oknem. - Muszę się nad tym zastanowić. Nie jestem przekonana, czy w tak kiepskim nastroju byłabym dla ciebie odpowiednim towarzystwem.
- Oczywiście, że tak - obstawał przy swoim. - Nie zaprosiłbym cię, gdyby tak nie było.
- Odpowiem ci za dzień lub dwa, dobrze? Przyglądał się jej przez moment.
- Dobra, niech będzie - rzekł wreszcie - ale ostrzegam cię lojalnie ... ja nie uznaję odmowy.

Gwiazdkowe zakupy idą pełną parą - pomyślała Ashley, idąc samotnie Piątą Aleją i spoglądając bezmyślnie na wystawy sklepowe. Mimo najlepszych chęci nie mogła zainteresować się świątami. Wzruszyła sferę troską Collina o to, by w tym czasie nie czuła się samotna, ale wciąż jeszcze nie była pewna, czy nie chce pozostać sama. Myślała o świątach spędzonych z Brandonem i Robertem. Chciała zachować te wspomnienia żywe, by dać wyraz niegasnącej miłości do męża i syna. Stała się duchem minionych świąt - pomyślała melancholijnie.

Na skrzyżowaniu Piątej Alei z Pięćdziesiątą Ulicą weszła na jezdnię przy czerwonym świetle. Taksówkarz, pędzący w kierunku południowym, gwałtownie nacisnął hamulec i z wściekłością walił w klakson.

- Hej, zamyślona lady ... paniusia jest daltonistką czy co, do cholery? - Ashley w ogóle go nie słyszała. Zamyślona szła dalej.

Nie zwracając uwagi na ruch uliczny, na pieszych, widoki i hałas centrum Manhattanu, dotarła wreszcie do FAO Schwarz, największego na świecie sklepu z zabawkami. Zatrzymała się przy wejściu, podziwiając zmechanizowaną wystawę, która wyglądała jak ucieleśnienie dziecięcych

snów. Robert byłby tym zachwycony - pomyślała smutno. Gdyby mogła go tu przyprowadzić! W myślach przywoływała obraz syna sprzed dwu lat, gdy pokazała mu sklep z zabawkami Santa Claus w San Francisco w centrum handlowym Embarcadero. Robert zwrócił się do niej z jednym tylko życzeniem na Boże Narodzenie: chciał w prezencie braciszka albo siostrzyczkę. Łzy stanęły Ashley w oczach, gdy przypomniała sobie odpowiedź Brandona.

Chyba będziemy musieli nad tym popracować - odrzekł, śmiejąc się głośno. - Jak się dobrze postaramy, może na przyszłą gwiazdkę będzie dostawa.

Podniecona Ashley weszła do sklepu. Niezależnie od tego, na co stać Claudię Hollister, z pewnością nie mogła zabronić matce kupowania prezentów gwiazdkowych dla syna. Nawet ta stara dziwka nie mogła odmówić Robertowi ich przyjęcia. Rozgniewana Ashley torowała sobie drogę przez zatłoczony parter w kierunku schodów. Sama jeszcze nie wiedziała, co kupi, ale była pewna, że znajdzie coś odpowiedniego.

Myślała o tym, wchodząc po schodach. Robert był zawsze bardzo twórczy. Brandon twierdził, że syn odziedziczył to po matce. Chłopiec miał bardzo zręczne rączki; a ona mówiła mu, że to po ojcu. Obejrzała wszystko na drugim piętrze i zdecydowała się na zestaw elementów, z których syn będzie mógł zbudować prawdziwe miasto. Dobrała do tego plastelinę i kredki. Również na trzecim piętrze dokonała zakupów. Gdy poukładała wszystko na kontuarze, rozejrzała się jeszcze raz, zastanawiając się, czy o czymś nie zapomniała. Następnie pogrzebała w ogromnej torbie wiszącej na ramieniu i wydobyla z portfela kartę kredytową, by podać ją kasjerce. Czy Claudia pozwoli jej zobaczyć się z Robertem wystarczająco długo, żeby udało się przekazać mu wszystkie prezenty? Ashley miała wątpliwości. Chyba będzie musiała oddać je Masonowi przy drzwiach.

Schodząc na parter, zauważyła kobietę z małym chłopcem, którzy przyglądali się elektrycznej kolejce na wystawie. Kobieta klęczała obok dziecka i obejmowała je czule. Oboje ~miali się, serdecznie rozbawieni. Ten obraz znowu wywołał stare wspomnienia. Łzy nabiegły Ashley do oczu, gdy przechyliła się przez barierkę. Walczyła jak mogła z ogarniającym ją wzruszeniem. Jak długo będzie jeszcze musiała toczyć tę beznadziejną walkę?

- Prosiłem cię, Bill, żebyś nie dzwonił do mnie z biura - rzekł Collin poirytowany, biorąc telefon i przenosząc go na kanapę. - To, cholera, zbyt ryzykowne ... ktoś może cię podsłuchać.

- Nie dzwonię z biura - tłumaczył cierpliwie William McNichol. - Telefonuję z domu.

Powiedziałem sekretarce, że mam dziś umówione spotkanie na mieście.

- Co masz tak ważnego, że nie można poczekać z tym do wieczora?

- Pomyślałem, że powinienś dowiedzieć się o tym natychmiast. Toczą się pewne rozmowy.

Hollister International chce nas pochłonąć ... "Przyjacielskie przejęcie", tak to pewnie zostanie określone.

- Przyjacielskie, do diabła! - zagrzmiał Collin. - Przewidywałem, że mój braciszek posunie' się kiedyś za daleko. To na pewno jego pomysł?

- Nie, to nie jego pomysł - zaprzeczył McNichol z wahaniem - ale nie sprzeciwia się temu.

Collin westchnął głęboko.

- Jestem ciekaw, co dali mu w zamian za jego duszę - mruknął pod nosem.

- Co mówisz?

- Nic, Bill. Tak sobie mamroczę sam do siebie - rzekł szybko Collin.

- Sądziłem, że cię to zainteresuje.

- Jak najbardziej. Chcę wiedzieć absolutnie o wszystkim, co się dzieje w przedsiębiorstwie ... bez względu na to, jak mało ważne może wydawać się to w danym momencie - pouczał go Collin. -

Muszę wiedzieć na bieżąco, co się dzieje w Intercontinental Oil w takim samym stopniu jak Justin ... a jeżeli to możliwe, nawet w większym.

- Zrobię wszystko, co w mojej mocy - biegał McNichol.

Collin powoli odwiesił słuchawkę. Stało się. Justin zabrnął tak daleko w zorganizowaną przestępczość, że dopuszcza, by firma została pochłonięta przez należącego do mafii Hollister International. Posunął się za daleko - pomyślał gniewnie Collin. - Trzeba go zatrzymać.

Stał przy drzwiach balkonowych, spoglądał na ogród i myślał, jak pokrzyżować plany przejęcia.



Kluczem jest Justin - zawyrokował. Trzeba zorganizować dywersję, wymyślić coś, żeby partnerzy stracili do brata zaufanie przynajmniej na krótko.  
Ale jak to zrobić?

Ashley stała po drugiej stronie wysokiego żelaznego ogrodzenia, okalającego miejską posiadłość Hollisterów przy Wschodniej Siedemdziesiątej Ósmej Ulicy i miała nadzieję, że zobaczy, choć przelotnie, wychodzącego lub powracającego do domu syna. Trzy dni temu przez specjalnego posłańca przekazała mu prezenty. Czy Claudia dała je Robertowi? Czy chociaż je zobaczył? Czy wciąż świadomy, że matka myśli o nim i nigdy go nie zapomni?

Muszę go zobaczyć - myślała zdesperowana, spoglądając przez żelazne pręty.

Spięła się cała, widząc, że drzwi frontowe otwierają się. Ukazał się w nich Robert, ubrany w ciepłą odzież. Podszedł do krawędzi schodów i zatrzymał się, rozglądając się, jakby czegoś szukał, zanim zdecydował się zejść na dół. Nie widział matki.

- Robercie! - zawołała.

Rozejrzał się dziko i wreszcie ją spostrzegł.

- Mamuniu! - wykrzyknął radośnie i pognął na oślep prosto do płotu. - Mamunia... wiedziałem, że przyjdiesz!

Ashley wyciągnęła ręce przez płot i złapała małe rączki w swoje dłonie. Palce matki i syna splotły się. Łzy spływały jej po policzkach, gdy tama, zbudowana głęboko w duszy, pękła, uwalniając wszystkie uczucia tłumione przez taki długi czas. Nareszcie widzi swego synka, jedyną osobę na świecie, którą kocha bardziej niż własne życie!

- Jak bardzo jesteś mi potrzebny, Robercie! - wyrzuciła z siebie drżącym głosem. - Boże, jak bardzo!

- Jak też bardzo cię potrzebuję, mamuniu - rzekł dziecięcym głosem. - Chociaż mówili mi, że odeszłaś na zawsze, że nigdy więcej cię nie zobaczę, ja i tak wiem, że o mnie nie zapomnisz!

- Nigdy w życiu! - zapewniała go Ashley, połykając łzy. - Obiecałam, że wkrótce znowu będziemy razem i stanie się tak, zobaczysz!

- Ale kiedy, mamuniu? - zapytał chłopczyk.

- Już niedługo, synku. Naprawdę niedługo.

- Obiecujesz?

Przygryzła wargę.

- Oczywiście. - Milczała przez chwilę. - Jak oni cię traktują? Czy są dobrzy dla ciebie?

Pokiwał głową i zmarszczył brwi.

- Nieźle. Ale brak mi ciebie.

- A mnie ciebie, kochanie... ale to już długo nie potrwa.

W tym momencie w drzwiach ukazała się Claudia Hollister. Gdy zobaczyła chłopca rozmawiającego z matką, krzyknęła rozwścieczona:

- Robercie! Chodź tu w tej chwili!

- Rozmawiam z moją mamą - odrzekł chłopiec, nie ruszając się od płotu.

- Dobrze to widzę - stwierdziła zimno Claudia. - Teraz rób, co ci każe.

- Ale ja chcę porozmawiać z mamunią ...

- Wejź do domu! - rozkazała ostro kobieta. - Chcę zamienić kilka słów z twoją matką.

Robert spojrział rezolutnie na Ashley i chcąc pocałować ją na pożegnanie, przycisnął twarz do prętów. Następnie wbiegł po schodach i zniknął w drzwiach. Claudia zbliżyła się do płotu, a Ashley podniosła się.

- Powiedziała ci, żebyś się trzymała z daleka - rzekła Claudia groźnie.

- On jest moim synem. Mam prawo się z nim widywać!

- Nie masz do niego żadnych praw, dopóki sąd ci ich nie przyzna! A to mało prawdopodobne.

- Jeszcze zobaczymy!

- Dopóki to się nie stanie, trzymaj się z daleka. Zrozumiano?

- Aż za dobrze.

- Świetnie. - Claudia odwróciła się na pięcie i odmaszerowała do domu.

Ashley stała przytulona do ogrodzenia i płakała, aż szloch zmienił się w suche, dławione łkanie. Wreszcie wyprostowała się i odetchnęła głęboko. Z kieszeni płaszcza wyciągnęła chusteczkę i odchodząc, wycierała oczy. Oszołomiona szła Piątą Aleją wzdłuż Central Parku. Czuła ból równie dotkliwy, jak tamtego dnia, gdy zabierano jej syna. Więcej nie potrafiła znieść. Była zdecydowana uczynić wszystko, by odzyskać go i zatrzyma~ przy sobie na zawsze. Gdyby tylko wiedziała, co robić i od czego zacząć.

Kiedy tylko powróciła do mieszkania, zatelefonowała do Collina Deverella.

- Czy zaproszenie na święta Bożego Narodzenia jest nadal aktualne?

Gdy 747 linii Air France zbliżył się do lądowania na lotnisku Kennedy'ego, Anton De Vries zapiął pas i schował wszystkie raporty do teczki. Całkowicie wyczerpany, ziewnął szeroko i przetarł pięściami oczy. Samolot był opóźniony. Agent czuł się tak, jakby od wyjazdu do Paryża nie przespał ani jednej nocy. Odetchnął głęboko. Był przekonany, że jego trud się opłaci. Dowiedział się wszystkiego, na czym mu zależało, a to, że Interpol nie podzielał jego poglądów, zupełnie nie przeszkadzało.

Wszystko pasowało doskonale. Collin Deverell podejrzany o kradzież swojej własności w celu wyłudzenia ubezpieczenia został niesłusznie oskarżony siedem lat temu. De Vries nigdy nie dowiedział się, kto go w to wrobił. Collin nie uzyskał żadnego odszkodowania od towarzystwa ubezpieczeniowego, nie mógł więc już legalną drogą dochodzić praw do utraconej własności. Wziął sprawę całkowicie w swoje ręce. Z ofiary przeistoczył się w niezwykle sprytnego złodzieja i mściciela. Teraz toczyła się inna gra. Stał się przestępcą, a De Vries czuł się w pewnym stopniu współwinnym, gdyż to on uratował Deverella przed uwięzieniem. Teraz jak maniak pragnął dowieść prawdziwości swojej teorii i za wszelką cenę postawić Collina przed sądem. Nie miał wątpliwości, że to on dopuścił się głośnych kradzieży w Paryżu, Amsterdamie, Brukseli, Londynie, Bogocie, Rio i w Nowym Jorku. Deverell uważa się za współczesnego Robin Hooda, który odbiera to, co prawnie należy do niego.

Była to bardzo interesująca historia. Cztery lata temu Collin udał się do Maroka, żeby odzyskać bardzo cenny obraz Renoira. Dobrał się do Williama Harringtona, człowieka podejrzanego o kontakty ze światem przestępczym. Pewnego dnia Deverell zniknął. Uważano, że zginął. Fakty przemawiały za tym, ale on powrócił dużo bardziej zdeterminowany niż kiedykolwiek. W ciągu czterech minionych lat zdołał odzyskać całą utraconą własność.

De Vries pamiętał dzień, gdy Deverell przyszedł do jego biura na Manhattanie. Był wówczas bardzo zdenerwowany. Agent wciąż miał przed oczyma złoty medalion, zawieszony na szyi młodego mężczyzny. Był to Feniks, mityczny ptak, który odradza się z popiołów. Podobnie jak on, Collin Deverell zmartwychwstał na Saharze, odrodził się, żeby pomścić krzywdy.

De Vries był głęboko przekonany, że Collin to Feniks.

### *Sea Cliff, grudzień 1986*

Ashley siedziała w milczeniu obok Collina i patrzyła, jak znakomicie radzi sobie z ostrymi zakrętami wzdłuż cieśniny Long Island, prując białym Excaliburem w kierunku posiadłości Deverellów, Sea Cliff. Dlaczego właściwie przyjęła zaproszenie?

Jedno było pewne - nie potrafiłaby spędzić świąt w samotności. Spojrzała ukradkiem na Collina. Był taki mocny, pewny siebie. Zdawało jej się, że ten człowiek całkowicie panuje nad sobą i nad światem, w którym żyje. Gdyby potrafiła zapanować choćby tylko nad sobą - pomyślała ponuro. - Jak tu pięknie! - powiedziała, próbując nawiązać rozmowę. Oboje z zadziwiającą konsekwencją zachowywali milczenie w czasie podróży z Manhattanu i Ashley podejrzewała, że Collin ma mnóstwo kłopotów, zupełnie tak samo jak ona. - Z przyjemnością pomalowałabym tu trochę. Spojrzał na nią i uśmiechnął się.

- To bardzo dobry pomysł... nigdy jeszcze nie byłaś w Sea Cliff. Jestem przekonany, że w porównaniu z miejskim zgiełkiem znajdziesz tu bardzo korzystną odmianę - rzekł. - Tak tu cicho i spokojnie ...

zatrzymał Excalibura i czekał, niecierpliwie poklepując kierownicę, gdy tymczasem zaskoczony strażnik, który od razu rozpoznał Collina, otwierał ogromną, żelazną bramę posiadłości. Uruchamiając samochód, Deverell pomachał ręką strażnikowi i ruszył długą, wysadzaną drzewami aleją, która prowadziła przed główny budynek.

- Byłaś dzisiaj wyjątkowo milcząca - powiedział. Ashley nie spojrzała na niego.
- Usiłuję zgadnąć, po co mnie tu zaprosiłeś.
- Żeby cię uwieść, ma się rozumieć - rzekł, uśmiechając się szeroko.
- Pytam poważnie.
- Zawsze mam na myśli własny interes - odparł bez namysłu.
- Po co mnie tu sprowadziłeś? - nalegała. Odetchnął głęboko.
- Jestem przeświadczony, że potrzebujesz przyjaciela - rzekł cicho. - Chciałbym nim być, ale odnoszę wrażenie, że mi nie ufasz.
- I uważasz, że to zmieni się od razu?
- Mam taką nadzieję.

Popatrzyła na niego przez chwilę. A więc chodzi mu to! Chce się do niej zbliżyć. Ale wciąż jeszcze nie powiedział, co go do tego skłania.

- Jaki masz w tym interes? - zapytała niepewnie. Spojrzał na nią, ale tym razem bez uśmiechu.
- Czy każdy musi mieć zawsze ukrytą motywację?
- Nie - rzekła ostrożnie - ale zazwyczaj ludzie mają jakieś intencje.
- Jeżeli jesteś tak cholernie podejrzliwa, to po co, u diabła, przyjechałaś moje zaproszenie? - zapytał CoHin, odwracając wzrok.
- Z ciekawości - powiedziała po prostu.

Zatrzymując samochód przed budynkiem, uśmiechnął się szeroko.

- Ciekawość, droga Ashley, to pierwszy stopień do piekła - przypomniał stare przysłowie. Wyskoczył zza kierownicy i szybko okrążył samochód, żeby otworzyć drzwi.

Wysiadając z Excalibura, przyglądała się wspaniałej rezydencji w stylu elżbietańskim.

- Wygląda jak zamek - rzekła, uśmiechając się z aprobatą.
- CoHin wzruszył ramionami.
- Lubię mój dom - rzekł od niechcienia. - Jest bardzo wygodny.
  - Wygodny? - Ashley roześmiała się głośno. - Założę się, że w dzieciństwie często gubiliście się tu z bratem.

Collin nasrożył się.

- Ja się gubiłem, ale Justin miał na to zbyt mało wyobraźni.

Przyjrzała mu się uważnie. Odniosła wrażenie, że samo wspomnienie brata było jakimś tabu. Wzięła jej torby i ruszył w kierunku szerokich marmurowych schodów. Poszła z nim. W środku natknęli się na dwóch służących, którzy natychmiast odebrali bagaż Ashley.

- Zanieście rzeczy pani Hollister do jej pokoju polecił CoHin.
- Tak, sir.

Spojrzała na niego pytająco, widząc, jak służący taszcza po schodach jej bagaż.

- Kazałem przygotować ci pokój.

Ashley uśmiechnęła się, ale tego nie skomentowała.

- Przepraszam, sir. - Podszedł do nich sześćdziesięcioletni dystyngowany mężczyzna, który mówił z wyraźnym brytyjskim akcentem. - Telefon do pana ... dzentelmen z Nicei mówi, że zdobył... no ... tę informację, o jaką panu chodzi - rzekł ostrożnie.

- Yasmin? - zapytał CoHin krótko.

- Tak powiedział, sir.

- Wobec tego najlepiej sam z nim porozmawiam. - Zwrócił się do Ashley: - To nie potrwa długo.

Henry pokaże ci twój pokój i pomoże się urządzić. - Odwrócił się i popędził długim korytarzem do holu.

- Proszę tędy, pani Hollister - rzekł Harrison i skierował się ku schodom.

Poszła za nim w milczeniu. Przygotowano dla niej uroczy pokój. Był bardzo przestronny, a wystrój utrzymano w bieli i błękicie.

Znajdowało się tu wspaniałe łożo z baldachimem i drzwi otwierające się na balkon, z którego roztaczał się wspaniały widok na bujny i zadbane ogród.

- Jeżeli będzie pani czegokolwiek potrzebowała, madame, proszę tylko powiadomić którąś z pokojówek \_ poinformował Harrison.

- Z pewnością to zrobię. Zanim pan wyjdzie, chciałabym o coś zapytać ...

- Połącz się ze mną natychmiast, jak tylko będziesz miał coś pewnego - rzekł Collin, przytrzymując słuchawkę ramieniem. Pochylił się na wysokim, obitym czarną skórą krześle.

- Tak jest... Tak. .. Będę z tobą w kontakcie. - Gdy odkładał słuchawkę, do biblioteki wszedł Harrison. \_ Wyglądasz, jakby cała służba nagle się zbuntowała \_ rzekł rozbawiony Deverell.

- Pani Hollister zadawała mi pytania - odrzekł starszy pan z zakłopotaniem. - Pytała mnie, czym właściwie się zajmujesz i...

Collin roześmiał się.

- Tylko tyle?

Harrison zmieszał się jeszcze bardziej.

- Jak to "tylko tyle"? Jak możesz śmiać się z czegoś takiego? Przyprowadziłeś tutaj tę kobietę, wiedząc, że ona podejrzewa cię o coś ...

- Wcześniej czy później i tak musi się dowiedzieć prawdy - przerwał mu Collin.

- W takim momencie? Deverell zacisnął usta i syknął.

- Czas ucieka, Henry - rzekł wreszcie. - Bardzo bym chciał, iebym wszystko szło powoli i gładko, ale jeżeli natychmiast czegoś nie wymyślę, Intercontinental OH ulegnie likwidacji. Nie mogę do tego dopuścić.

- A jak temu przeszkodzisz?

Collin uśmiechnął się ze znudzoną miną.

- Tak samo, jak robiłem to przez ostatnich parę lat.

Pobiję tych łobuzów ich własną bronią.

- Wygląda na to, że będziemy mieli jednak białe święta ~ powiedziała Ashley, patrząc przez okno pokoju muzycznego. Płatki śniegu zasypywały ogród. Ten widok warto było uwiecznić na płótnie. Ale ona nie miała nastroju do malowania.

Collin rozsiadł się wygodnie w fotelu i uśmiechał się błogo.

- Boże Narodzenie było dla nas szczególnym okresem - rzekł, przywołując wspomnienia z dzieciństwa. - Moja matka robiła z tego fantastyczne przedstawienie. Pilnowała każdego szczegółu

- wysoką na dwanaście stóp choinkę ustawiało się w salonie i stroiło ozdobami z całego świata oraz specjalnie sprowadzanymi ręcznie produkowanymi sopłami ze szkła. Na drzewku znajdował się zawsze kryształowy anioł, którego matka kupiła gdzieś w Szwajcarii. Prezentów wystarczyłoby na obdarowanie dwanaściorga dzieciaków. Moja matka nigdy nie potrafiła zapamiętać, co lubimy najbardziej, i dlatego kupowała wszystko. Ojciec mawiał, że jego cichymi współnikami są supermarkety Bloomingdale'a i Bergdorf Goodman, które ciągną większe profity z Intercontinental Oil niż on sam. - Po chwili dorzucił: - W tych rodzinnych świętach najbardziej podobało mi się to, że tego dnia byliśmy wszyscy razem ... a nie każdy w innej części świata.

- Wiem, co masz na myśli - przyznała Ashley ze słodkim uśmiechem. - U nas nie było czterometrowej choinki, importowanych świecidełek ani nadmiaru prezentów, ale mieliśmy siebie nawzajem i dlatego byliśmy szczęśliwi.

Przyglądał się jej uważnie.

- Skąd pochodzisz?

- Z Santa Helena. To takie miasto w Napa Valley, na północ od San Francisco. - Ashley wciąż wpatrywała się w szare, zachmurzone niebo i padający gęsto śnieg.

- To kraina winnic - zauważył Collin.

Ashley odwróciła się do niego.

- Wyrosłam w winnicach - rzekła. - Tamtejsi ludzie to właściwie jedna wielka, szczęśliwa rodzina. Na Boże Narodzenie było zawsze coś dobrego do jedzenia i parę drobnych prezentów, ale to nigdy nie było najważniejsze. Największą przyjemność sprawiało spędzanie świąt w gronie rodziny i przyjaciół.

Przyglądał się jej uważnie i zapytał:

- Skoro było ci tam tak dobrze, dlaczego stamtąd wyjechałaś?

Ashley wzruszyła ramionami i obciągnęła biały, wyszywany perełkami sweterek w stylu lat czterdziestych, " jeden ze skarbów, jaki wyszukała w swym ulubionym butiku ze starociami.

- Sama nie wiem - rzekła smutno. - Sądzę, że zawsze mi czegoś brakowało. Bez względu na to, gdzie byłam i czym się zajmowałam, miałam ochotę na coś więcej. To głupie, prawda?

- Wcale tak nie uważam - odparł Collin, potrząsając głową. - Zawsze czułem się tak samo.

- Rozglądałam się za czymś, czego nie ma w mojej uroczej dolinie - wyznała, po raz pierwszy w życiu ubierając swoje uczucia w słowa.

Collin zawahał się.

- I znalazłaś to przy boku Brandona Hollistera?

- Tak - rzekła cicho. - Przez pięć lat byliśmy bardzo szczęśliwi. Czułam się tak, jakbym nareszcie znalazła to, czego zawsze pragnęłam.

- Podejrzewam, że jego rodzice nie byli zachwyceni . małżeństwem syna - rzekł Collin, nalewając sobie do kubka gorącej czekolady ze stojącego na stole srebrnego dzbanka. - Napijesz się jeszcze, Ashley?

Potrząsnęła głową.

- To bardzo delikatne określenie - odpowiedziała. Wyglądziła kanty czarnych jedwabnych spodni. - Oni robili wszystko, żeby powstrzymać Brandona przed małżeństwem ze mną. Kiedy już byliśmy po ślubie, nie zaprzestali wysiłków, żeby nas rozdzielić. Brandon nie chciał nawet czytać listów ani odpowiadać na telefony od rodziców. Oczywiście rozstał się z nimi na długo przedtem, zanim się poznaliśmy.

Collin bardzo zainteresował się jej relacją.

- Dlaczego? - zapytał.

Odwróciła się do niego. Czemu zadaje tak wiele osobistych pytań?

- Czy nie moglibyśmy mówić o czym innym? Zmusiła się do uśmiechu. - Hollisterowie nie są moim ulubionym tematem na popołudniowe rozmowy.

- Oczywiście - zgodził się chętnie, wyczuwając jej skrepowanie. - Zajmijmy się czymś przyjemniejszym. Ożywił się wyraźnie. - N a przykład sztuką. Sądzę, że nie widziałaś jeszcze całej kolekcji Deverellów ...

Boże Narodzenie upływało przyjemnie mimo okoliczności, które sprawiły, że spędzali je wspólnie. Nie bez satysfakcji Collin doszedł do wniosku, że łączy ich głęboka, paląca nienawiść do Bradleya Hollistera, która zżera dusze jak złośliwa zaraza. Spojrzał na siedzącą po drugiej stronie stołu kobietę i pomyślał, że nienawiść jest siłą równie' potężną jak miłość, a być może nawet większą. To nienawiść wpływa na bieg historii i wykuwa ludzkie przeznaczenia. Zbliżyła Ashley do niego i będą razem tak długo, dopóki nie wykonają swojego zadania. Ona potrzebuje mnie, a ja jej. Może ona nawet bardziej niż ja pragnie sprzymierzeńca - pomyślał. - Jeszcze nie wie o tym, że rozprawa apelacyjna została już sfingowana.

Collin odłożył widelec.

- Kiedy ma się odbyć rozprawa? - zapytał pozornie obojętnym tonem.

- Za dwa tygodnie - odpowiedziała Ashley. - Miałabym lepszy nastrój, gdyby mój adwokat był bardziej optymistycznie nastawiony. - Collin dostrzegł lęk w jej oczach. - Mam wrażenie, że to moja ostatnia szansa.

Deverell sięgnął po kieliszek.

- Morgan zdążył się zapoznać z potęgą maszyny Hollistera - rzekł. - Wie, że on prowadzi nieczystą grę.

- Dziękuję ci za pocieszenie - odparła kwaśno.

- Nie mam zamiaru cię pocieszać. Uważam, że powinnaś odzyskać syna. Nigdy nie powinno było dojść do tego, że ci go odebrano. Miejsce dziecka jest przy matce. Ale Bradley Hollister to człowiek bez skrupułów, zrobi wszystko, żeby postawić na swoim. Przeprowadzenie tej sprawy nie może być zgodne z prawem.

- Tak właśnie uważa Morgan. - Ashley pociągnęła łyk wina. - Porównuje naszą stronę do bezbronnego Dawida, który wyrusza do walki przeciwko Goliatowi. Hollisterowie posiadają wielką władzę w tym stanie i najwidoczniej zamierzają wytoczyć przeciwko mnie ciężką artylerię.

- Ludzie pokroju Bradleya Hollistera działają poza prawem. - Collin wziął widelec i włożył sobie do ust kolejny kęs. - Może powinnaś odpłacić mu tą samą monetą?

Zaskoczona tą uwagą Ashley nie skomentowała jego wypowiedzi.

Jedli w milczeniu. Powrócili do tej sprawy dopiero późnym wieczorem, gdy siedzieli w bibliotece, pijąc drinka na dobranoc.

- Mam dla ciebie prezent pod choinkę - powiedział Collin, podając Ashley lampkę koniaku. Spojrzała na niego zdziwiona.

- Nie powinienes dawać mi upominków - rzekła spłoszona. - Nie mogłabym przyjąć ...

Uśmiechał się wyrozumiale, gdy ich spojrzenia się spotkały.

- Ten prezent na pewno przyjmiesz - oświadczył pewnym głosem. - Prawo działa przeciwko tobie, moja droga Ashley, ale ja jestem z tobą. Odzyskam dla ciebie twojego syna, a ściśle mówiąc, dokonamy tego wspólnie.

Ashley wciąż myślała o zagadkowej deklaracji Collina, gdy pierwszego dnia nowego roku wracała na Manhattan. Co on miał na myśli? - dziwiła się. - O co mu chodzi? Czemu jest taki skory pomagać obcej osobie? Wspominał, że podziela jej nienawiść do byłego teścia, ale dlaczego? Co Hollister mu zrobił? Do czego Collin zmierza? Jaką prowadzi grę? Czego oczekuje?

To wygląda jak układanka, w której brakuje przynajmniej połowy elementów - myślała Ashley, rozpakowując bagaże. Parę rzeczy odłożyła na bok, by oddać je do czyszczenia. Gdy wzięła do ręki sweterek wyszywany perełkami, przez chwilę zatrzymała na nim wzrok. Zazwyczaj prała go ręcznie. Był tak stary i słaby, że wołała nie ryzykować. Miała niewielkie szanse, że odbierze go z pralni w całości. Otóż to, jej szanse. Co zyska, wchodząc w układy z Collinem? Uśmiechnęła się do siebie. Przebywała w jego posiadłości ponad tydzień, a Deverell przez cały ten okres zachowywał się wobec niej jak dżentelmen. Ani razu nie zbliżył się do niej, nie sugerował, że jej pragnie. Raz tylko w samochodzie zażartował, że zamierza ją uwieść. Niemniej jednak zadał jej bardzo osobiste pytanie na temat małżeństwa i konfliktu z Hollisterami.

Bardzo bym chciała wiedzieć, co zamierzasz, Collinie - pomyślała, do głębi przejęta tą zagadką.

O drugiej nad ranem w pewnym kompleksie biurowym wieżowca na Wall Street umundurowany strażnik dokonywał obchodu pomieszczeń. Jak zwykle było cicho i bezpiecznie, ale strażnik co godzinę wykonywał swoje obowiązki. Dwukrotnie sprawdził każde zamknięte drzwi, po czym podszedł do umieszczonej na ścianie tablicy rozdzielczej i jeszcze raz się upewnił, że wszystkie światła w biurach zostały wyłączone. Następnie poszedł sprawdzać kolejne piętro.

Parę minut później uchyliły się drzwi przy ruchomych schodach i w ciemności zamajaczyła szczupła, zwinna postać. Ubrana całkowicie na czarno, poruszała się z wdziękiem i całkowitą pewnością siebie. Tajemniczy człowiek wiedział, po co tu przyszedł, i nie marnował czasu. Małym, płaskim przedmiotem, przypominającym cienki pilniczek, w ciągu paru sekund otworzył zamek i wszedł do biura niczym do własnego domu.

Wiedział, gdzie czego szukać. Nie zapalił światła.

Poruszał się w ciemnościach pewnie, jak ślepiec, który dokładnie zna swoje środowisko. Skierował się prosto do dużego obrazu, wiszącego na ścianie łączącej się z drugą, całkowicie zabudowaną półkami, odsunął obraz i odsłonił niewielki sejf. Trochę więcej czasu poświęcił na odkrycie szyfru.

Przyłożył do drzwiczek wrażliwe ucho. Palce delikatnie wYłapywały kombinację cyfr. Dokonał tego bez wYsiłku i otworzył w pośpiechu. Nie trując się sprawdzaniem dokumentów, zabrał wszystko, co tam znalazł, i wpakował do płóciq.nego worka. Po zamknięciu sejfu umieścił obraz na starym miejscu i wYszedł z biura, nie pozostawiając po sobie śladu. Gdy wYchodził, usłyszał na korytarzu jakiś hałas i natychmiast przepadł w mroku. Miał zamiar pójść schodami prowadzącymi do tylnego wyjśCia, ale nie mógł z nich skorzystać, ponieważ jakiś człowiek kręcił się po korytarzu. Najbliżej znajdował się transporter przenoszący cięższe ładunki z piętra na piętro. Upewniwszy się, że nikt go nie obserwuje, Collin wszedł do pustej kabiny i wduził przycisk, uruchamiając dźwig. Gdy transporter ruszył w dół, zaczął gorączkowo myśleć. Nie mógł tak po prostu wYsiaść i przejść przez główny hol do wyjścia. Nie, musi znaleźć lepszą drogę na zewnątrz. Powrócić do pierwotnego planu i wYdostać się stąd tylnym wyjściem. Gdy głowił się nad tym, spojrział w górę i zauważył na suficie kabiny wielkie prostokątne kasetony. Wiedział, że za nimi znajduje się zapadnia, prowadząca do szybu transportera. Gdyby mógł wspiąć się po kablu na drugie piętro, gdy wózek się zatrzyma ... Szybko sięgnął do góry i otworzył kaseton. Sprawnie precyzyjnie się przez otwór i odchylił klapę zapadni. Sięgnąwszy w dół, zamknął z powrotem kaseton, a następnie przedostał się do mrocznego szybu. Spoglądał w ciemność. W każdej chwili elewator mógł zatrzymać się na wysokości holu. Collin wciągnął na ręce czarne skórzane rękawiczki, zawisnął na jednym z ciężkich kabli i czekał. Gdy kabina zatrzymała się, mocno chwYcił kabel i szybko się podciągając, dotarł do drzwi prowadzących na drugie piętro. Zamachnął się całym ciałem i w locie chwycił żelazny pręt, zamontowany przy drzwiach. Trzymając go mocno lewą ręką i stojąc na przeraźliwie wąskiej belce pod drzwiami szybu, z całej siły usiłował otworzyć drzwi prawą ręką. Twarz mężczyzny pokryła się potem, gdy mocował się z ciężkimi, opornymi drzwiami, a każdy muskuł ciała napinał się boleśnie. W tym niesamowitym momencie całe życie stanęło mu przed oczami jak na filmie. A więc tak to wygląda - pomyślał. - Teraz albo nigdy.

Gdy drzwi otworzyły się wreszcie, Collin wylądował na podłodze po ich drugiej stronie, oddychając z ulgą. Ale nie miał czasu na odpoczynek. Podniósł się i natychmiast pobiegł długim, ciemnym korytarzem w kierunku klatki schodowej, znajdującej się po drugiej stronie budynku. Wyszedł przez drzwi, które zatrzasnęły się za nim automatycznie. Pokonawszy wielkimi susami trzy kondygnacje schodów, znalazł się na poziomie ulicy, szybko uporał się z zamkiem, przeszedł przez drzwi i ruszył kolejnym korytarzem w kierunku wejścia służbowego.

Diabli nadali - zaklął pod nosem, gdy zobaczył ciężką kłódkę przy ogromnych podwójnych drzwiach. Tego nie przewidział. Wziął głęboki oddech i wyciągnął z kieszeni pęk kluczy różnych wielkości i kształtów. Poszperał w nim, by wreszcie wybrać klucz, który wydawał się odpowiedni, ale nie chciał przekreślić się w zamku.

- Skurwysyn! - mruknął pod nosem. Wyszukał inny klucz, ale i ten się nie nadawał.

No, to chyba ten - pomyślał Collin, wybierając czwarty z kolei klucz. Wsunął go do zamka i ostrożnie próbował przekreślić. Kłódką otworzyła się automatycznie. . Deverell odetchnął z ulgą, gdy nareszcie wyszedł w nocne, zimne, powietrze. Pobiegł zaśmieconą ciasną uliczką, minął śpiącego pijaka i skręcił w przecznicę, która prowadziła do Wall Street, gdzie czekała furgonetka. Gdy wsiadł i zapuścił silnik, nie myślał o tym, co mogło się tej nocy wydarzyć. Analizował to, o czym się dowiedział od Williama McNichola, co potwierdzały komputerowe wydruki, ukryte na zapleczu biblioteki . w Sea Cliff. Myślał o tym, co Justin wyprawia z ojcowizną i jak kła pamięć ojca, o Ashley i o Hollisterze.

Czas szybko umykał.

*Nowy Jork, styczeń 1987*

Sfora reporterów otoczyła Ashley, która wysiadła z taksówki przed budynkiem New York County Courthouse przy Pearl Street. Przecisnęła się przez tłum i szybko pobiegła betonowymi schodami do sześciokątnego budynku, zbudowanego w stylu klasycystycznym. Skierowała się ku sali sądowej, gdzie miała się spotkać z Elliottem Morganem. Wielka sala była zupełnie pusta. Ashley stanęła przy drzwiach i rozejrzała się. Gdzie, do diabła, podziewa się Morgan? - zastanawiała się, spoglądając na zegarek. Powiedział, że spotka się z nią o dziewiątej czterdzieści pięć. Była za

cztery dziesiąta.

Wtem ujrzała go wchodzącego drzwiami po przeciwnej stronie sali. Ruszyła do niego, a odgłos jej kroków odbijał się echem od ścian. Była zdenerwowana. Miała wrażenie, że żołądek podchodzi jej do gardła. Morgan wziął ją za ramię i podprowadził do jednego z długich stołów, ustawionych z przodu sali sądowej.

- Nie będę opowiadał ci bajeczek, Ashley - oświadczył, siadając obok niej. - Musisz być przygotowana na najgorsze. To trudna przeprawa. Bradley Hollister to potężny i wpływowy człowiek, a jego adwokat nie przebiera w środkach.

- Powiedz mi coś na ten temat - rzekła ponuro. Elliott, ja muszę tę sprawę wygrać. Chcę, żebyś walczył ich bronią. Rób wszystko, żeby wygrać.

- Latwo powiedzieć, trudniej zrobić - odpowiedział adwokat cierpliwie. - Oni będą cię nurzać w błocie i nie zawahają się przed niczym.

- Do diaska z moją opinią - odparła. - Zależy mi wyłącznie na dziecku. Chcę, żeby syn był przy mnie, tam, gdzie jest jego miejsce.

Adwokat przez chwilę patrzył na nią, jakby chciał coś powiedzieć, po czym nagle zmienił zamiar. Palcami przeczesał rzadkie kasztanowe włosy.

- Musiałem uprzedzić, co może cię spotkać.

- Ja wiem - rzekła niskim głosem. - Już raz to przeżyłam. Teraz moja opinia zostanie zszargana na obu wybrzeżach. I co z tego? Zależy mi wyłącznie na odzyskaniu Roberta.

- Tym razem może być gorzej - ostrzegął Morgan. Hollisterowie grają na swoim terenie.

W ciemnych oczach Ashley pokazał się błysk determinacji.

- I tu ich trzeba wykończyć - rzuciła bez namysłu. Do sali zaczęli tłumnie napływać reporterzy i fotografowie, gotowi grzebać się w brudach, które w czasie rozprawy adwokaci Hollisterów będą wywlekać na światło dzienne. Ashley starała się ignorować ten fakt, ale obecność dziennikarzy doprowadzała ją do szału. Czego oni tu szukają? - myślała z niesmakiem. Wolałaby, żeby ich w ogóle nie wpuszczono, ale nie mogła nic na to poradzić.

Hollisterowie wraz z dwoma adwokatami zajęli miejsca po przeciwnej stronie Ashley i Morgana.

Claudia spojrzała na synową lodowato. Zmarszczyła brwi i poprawiła na ramionach futro z soboli, po czym zwróciła się do męża, który bynajmniej nie unikał wzroku Ashley.

Gdy zapowiadano wejście sądu, a obecnych wezwano do powstania, Ashley przypadkiem ujrzała w jednym z tylnych rzędów sali sądowej znajomą twarz ... Collin! Nie patrzył na nią. Świadomie unikał wzroku Ashley! Usiadł w pobliżu drzwi i udawał, że nie jest zbyt zainteresowany procesem. A co on tu robi? - dziwiła się. Nie potrafiła określić, co ją bardziej intryguje: to, że on tu jest i najwyraźniej jej unika, czy też, własna żywa reakcja na jego obecność. Może wszelkie zabiegi Collina, żeby się do niej przybliżyć, to jakaś mistyfikacja? Miałby być sojusznikiem Hollisterów, tak jak wszyscy inni ludzie? Czyżby dlatego zadawał tak wiele pytań dotyczących małżeństwa i konfliktów z byłymi teściami? Jak mogłam być taka głupia? - pytała sama siebie. Czuliła się zdradzona i głęboko zraniona. Właśnie zdążyła polubić Deverella. Potrafił ją rozweselić, co nie udało się nikomu od śmierci Brandona. To on pomógł jej przezwyciężyć depresję. Czyżby pojawił się po to, żeby świadczyć na korzyść Hollisterów? Boże, chyba nie zaczniesz! Zmyślacie na temat tego, co mogłoby wydarzyć się pomiędzy nami w czasie tygodnia spędzonego w Sea Clim

Niepokój nie miał racjonalnych podstaw i Ashley zdawała sobie sprawę, że jej teoria nie trzyma się kupy. Collin był bardzo zamożnym człowiekiem, wystarczająco wpływowym, żeby pracować tylko dla siebie. Nie, z pewnością jest jakiś inny powód jego obecności w sądzie. Przypomniała sobie słowa, które wypowiedział podczas świąt Bożego Narodzenia: "Odzyskam dla ciebie twojego syna, a mówiąc ściśle, dokonamy tego wspólnie".

Błagam, nie zapominaj o swoim przyrzeczeniu - prosiła w duszy.

- Koniecznie musisz coś zjeść. - Collin stał pośrodku bawialni Ashley, z rękoma splecionymi na piersiach, podczas gdy ona starała się pozbyć go z mieszkania.

- Powiedziałam ci, że nie jestem głodna - odparła zirytowana. - Czy naprawdę nie masz nic lepszego do roboty, tylko mi dokuczać?



- Może i mam, ale najbardziej lubię robić właśnie to - rzekł ze złośliwym uśmiechem.

- Może innym razem? - powiedziała nieco łagodniej.

- Moje towarzystwo nie sprawi ci dziś przyjemności...

- Słuchaj, Ashley, jeżeli ze mną nie pójdziesz, będę zmuszony zamówić coś do mieszkania - upierał się. - ' Musisz coś zjeść i potrzebujesz towarzystwa, żeby móc się wygadać.

Stanowczo potrząsnęła głową. Pragnęła tylko znaleźć się w łóżku i nakryć głowę kołdrą. Pierwszy dzień przesłuchań okazał się dużo trudniejszy, niż przypuszczała, była więc wyczerpana fizycznie i duchowo.

- Jestem dobrym słuchaczem. Znasz mnie przecieżdodał Collin.

- Powiedziałam, że nie chcę na ten temat rozmawiać. Czy tego nie rozumiesz?

- Świetnie. Wobec tego pogadamy o czymś innym.

- Czuję się tak podle, że nie mam ochoty na jakąkolwiek rozmowę. - Ashley zachnęła się. - Muszę pobyć trochę sama! Czy mógłbyś już sobie pójść?

- Mowy nie ma - stwierdził stanowczo. - Jeżeli chcesz, będziemy jeść w milczeniu. Mylisz się bardzo. W tej chwili samotność jest dla ciebie niewskazana.

- Dzięki za diagnozę, doktorku - rzekła ponuro, owijając się ciasno czarnym jedwabnym szlafrokiem, jakby nagle zrobiło jej się zimno.

Collin zignorował sarkazm tych słów.

- Daję ci pięć minut na przebranie się - oświadczył, spoglądając na zegarek. - Jeżeli nie zdążysz, pójdziesz ze mną, jak stoisz.

Spojrzała na niego - zaskoczona.

- Na to nie starczy ci odwagi. Mężczyzna zaśmiał się złowieszczo.

- Możesz mnie wypróbować - rzucił buńczucznie. Mając przeczucie, że Collin nie blefuje, uznała się za pokonaną.

- Dziesięć minut? - poprosiła. - Nie umiem przebierać się jak aktorka.

Zgodził się.

- Ale ani chwili dłużej.

- Byłaś bardziej głodna, niż ci się wydawało - zauważył Collin w czasie obiadu w Century Cafe.

- Zawsze dużo jem, jak jestem mocno sfrustrowana- odrzekła bezbarwnie.

- Ach, tak! Czy jednak nie zrobiłoby ci dobrze na trawienie, gdybyś w czasie jedzenia trochę porozmawiała?

Przestała jeść i spojrzała na niego. Miała ochotę zapytać, po co przyszedł rano do sądu, ale pokonała tę pokusę. Najwidoczniej nie miał ochoty o tym mówić. Aczkolwiek niespodziewane pojawienie się Collina wzbudziło podejrzenia, to jednak był jej jedynym przyjacielem w Nowym Jorku, jedyną osobą, której mogła zaufać. Nie chciała go teraz do siebie zrazić, ponieważ zdawała sobie sprawę, że potrzebuje kogoś, do kogo mogłaby się odezwać, przed kim utworzyłaby serce.

- Matka nigdy ci nie mówiła, że to niegrzecznie gapić się tak na ludzi?

Ashley potrząsnęła głową.

- Przepraszam naj mocniej - wybełkotała zaskoczona. - Zamyśliłam się.

- Nad czym?

- Czemu tak cholernie interesujesz się moimi osobistymi problemami? - spytała z powagą.

Collin uśmiechał się cierpliwie.

- Wychowano mnie na dżentelmena - rzekł. - Umiem być rycerski, i tak dalej.

Ashley potrząsnęła głową. - Znowu zaczynasz.

Deverell roześmiał się.

- Jestem śmiertelnie poważny. Rycerskość wcale nie umarła. Tylko trochę trudniej znaleźć ją w naszych czasach.

Ashley zdobyła się na wymuszony uśmiech. - Bardzo trudno - przyznała.

- Mój ojciec zwykł mawiać, że jestem człowiekiem z innej epoki - przypomniał sobie. - Z czasów pojedynkujących się zawadiaków.

- Rozbójników i piratów? - zapytała Ashley prowokacyjnym tonem.
- Collin błysnął zębami w radosnym uśmiechu. Ona nawet nie zdaje sobie sprawy, jak jest blisko prawdy pomyślał.
- *Touche* - rzekł beztrzesko. - Muszę się uwspółcześić. Przyglądała mu się przez parę sekund.
- Kim właściwie jesteś? - zapytała zaintrygowana. Czego naprawdę chcesz?
- Ich spojrzenia spotkały się.
- Sądzę - powiedział beznamiętnie - że dążymy do tego samego celu.

To tak, jakby się oglądało pierwszą rozprawę z magnetowidu - pomyślała Ashley zdegustowana, gdy następnego dnia zasiadła w sądzie, przysłuchując się, jak adwokaci Hollisterów malują sędziemu jej fałszywy obraz. Równie dobrze można by wytatuować na moim czole, że jestem nierządnicą. Spojrzała przez ramię i zobaczyła Collina. Znowu siedział na końcu sali w pobliżu drzwi. Czyżby chciał się wymknąć pod koniec przesłuchań i nawet nie wspomnieć, że tutaj był? Czy mógłby mieć inny powód uczestniczenia w rozprawie, niż chęć moralnego wsparcia opuszczonej przez wszystkich kobiety?

Było to dla niej znacznie trudniejsze przeżycie, niż początkowo przypuszczała. Musiała wysłuchiwać, jak adwokaci Hollisterów niszczą ją na oczach wszystkich dziennikarzy Manhattanu. Ilekroć gawiedź żywo reagowała na poszczególne zarzuty, Ashley zamykała się w sobie. Nie pozwól im dobrać się do siebie. Nie ma żadnego znaczenia, co oni myślą o tobie. Tylko sędzia się liczy. To on decyduje o twoim losie.

Ashley spojrzała na Bradleya i Claudię. Obofe siedzieli wyniośli i pewni siebie, przysłuchując się zeznaniom świadków, podczas gdy ona myślała wciąż o tym, co powiedział Collin. Oni już teraz wiedzą, jaki wyrok zapadnie w procesie. Dlaczego więc nie mieliby czuć się pewni siebie? - myślała z niesmakiem. - Prawdopodobnie siedemdziesiąt procent obecnych na tej sali to ludzie, którzy są przez nich opłacani.

- Tak, była moją kochanką. - Mężczyzna, który stanął na podium dla świadków, był kochankiem Ashley, z którym zerwała na długo przed poznaniem Brandona. Porzuciłem ją, ale wiedziałem, że kiedy tylko będę miał ochotę, mogę ją znowu mieć. Istotnie, spałem z nią ... dwa lata po jej ślubie. Następnie wystąpiła Claudia.

- Mój mąż i ja zauważyliśmy, że panna Gordon jest bardzo złą partią dla naszego syna, gdy sprowadził ją po raz pierwszy do domu - zaczęła wspomnienia. - Staraliśmy się wyperswadować mu to małżeństwo, ale ona tak nim zawładnęła, że nie chciał nas słuchać. Nie zrobiło na nim żadnego wrażenia to, czego dowiedzieli się o niej nasi detektywi...

W jednej sprawie można mieć do niej absolutne zaufanie - pomyślała Ashley ze złością. - Nie powie ani słowa prawdy. Jest wyrafinowaną kłamczuchą.

Podczas gdy świadkowie Hollisterów składali swoje "oświadczenia", Ashley spoglądała na sędziego, starając się wywnioskować, jakim toreb~biegną jego myśli. Ale twarz prawnika była zupełnie bez wyrazu. Wygląda jak sfinks - pomyślała. Przyszłość Roberta znalazła się w rękach obcego człowieka! To nie fair.

- Nie wytrzymam jeszcze jednego takiego dnia rzekła do Elliotta Morgana, gdy posiedzenie zostało odroczone. - Jestem szczęśliwa, że to koniec na dziś. Jak długo to potrwa, zanim sędzia podejmie decyzję?

- Trudno powiedzieć - odparł adwokat, zbierając papiery do teczki. - Im dłużej będzie się zastanawiał nad podjęciem decyzji, tym większe mamy szanse na obalenie wyroku pierwszej instancji. Chyba wątpi w słuszność zarzutów Hollisterów.

- Albo Bradley polecił mu, żeby robił dobre Wrażenia - dodała Ashley, nakładając płaszcz.

- Nie każdy jest człowiekiem Hollistera - rzekł poważnym tonem.

- Masz słuszność - zgodziła się ponuro, - Ty i ja nie. Gdy szła do wyjścia, zobaczyła Collina opuszczającego salę posiedzeń. Czemu, do licha, nie odzywa się do mnie lub przynajmniej nie da znać, że tu jest? - dziwiła się niezmiernie.

- Przeważnie ludzie wolą siedzieć na dole, w łóżach lub przy którymś z tamtych stolików -

powiedział Collin. Jedli obiad na balkonie restauracji Four Seasons. - Ja jednak najbardziej lubię "Czyściec". Tutaj jest więcej prywatności.

Ashley spojrzała na niego zdumiona.

- "Czyściec"?

- Tak to miejsce zazwyczaj nazywają. Czyściec albo Sybeda - wyjaśnił z uśmiechem. - Nie siadają tu goście, którzy chcą wszystko widzieć i być widziani przez wszystkich. Przychodzą tu tylko po to, żeby się najeść.

Ashley bawiła się widelcem.

- Bardzo mi przykro, ale nie jestem dzisiaj w najlepszej kondycji - odezwała się wreszcie, patrząc w talerz. - Przesłuchanie bardzo mnie wyczerpało.

- Czy ja się na coś uskarżam?

Spojrzała na niego i zmusiła się do uśmiechu. - Nie ... i ja to doceniam.

- Powinnas zmusić się do jedzenia - rzekł, gdy uporał się ze swoim daniem. - Musisz dbać o kondycję nawet w takiej sytuacji jak obecna.

Spoglądała w dół na otwartą przestrzeń. Z jednej strony zamykały ją dwie ściany okien zasłoniętych me- talowymi żaluzjami, a z drugiej - ściany pokryte orzechową boazerią. W pięciu rewirach znajdowało się trzydzieści stolików i wszystkie były zajęte. W jednym narożniku mieścił się ogromny kwadratowy barek z wygodnymi stołkami. Ashley bezmyślnie grzebała widelcem w talerzu. Danie było wyśmienite, ale ona nie miała apetytu. Odkąd przybyła do Nowego Jorku, straciła na wadze dziesięć funtów. Gdyby nie upór Collina, schudłaby bardziej.

- Spróbuj na deser ciasta czekoladowego - proponował Deverell. - Jeżeli ono nie poprawi ci apetytu, trzeba będzie jak najszybciej wspomóc twój system ochronny, bo w przeciwnym razie rychło znajdziesz się w grobie. - Nie mogę jeść - stwierdziła.

- Musisz się zrelaksować - nalegał, jednocześnie wzywając kelnera i prosząc o następnego drinka. - Bez względu na to, co zadecyduje sędzia, odzyskasz swojego synka. Daję ci na to słowo, a ja' nigdy nie składam fałszywych obietnic.

Uśmiechnęła się cynicznie.

- Jesteś cudotwórcą czy komandosem?

- Ani jednym, ani drugim. - Collin zachowywał powagę.

- Jeżeli potrafisz mi zaufać, w końcu postawię na swoim.

Patrzyła na niego przez chwilę i chciała zapytać, dlaczego właściwie ma mu wierzyć, skoro on tak uparcie ukrywa swoje tajemnicze plany, ale się rozmyśliła. Tylko potrząsnęła głową.

- Ostatnio tyle razy zawiodłam się na wierze w cuda, że nie mam najmniejszej ochoty na więcej rozczarowań. - Sami postaramy się o cud - rzekł Collin niskim głosem. - To zależy wyłącznie od tego, jak bardzo chcemy, żeby się spełnił.

Ashley przygryzła wargę, lękając się zapytać, jak Collin zamierza ten cud urzeczywistnić.

- Zdaniem Elliotta Morgana nasze szanse na uzyskanie pomyślnego wyroku rosną w miarę jak sędzia zwleka z wydaniem ostatecznego werdyktu - powiedziała.

- W takim razie twój adwokat żyje złudzeniami odparł bez wahania Collin. - Bradley Hollister nie należy do ludzi, którzy zawierzyliby losowi. On już w tej chwili wie, jaki będzie wyrok.

Ashley wzięła głęboki oddech.

- Ale ty możesz mi pomóc?

Uśmiechnął się.

- Prawdę powiedziawszy - rzekł - nawzajem możemy sobie pomóc.

Siedziała przed lustrem w sypialni i drżącą ręką usiłowała zrobić makijaż. Przed godziną zatelefonował Elliott Morgan. Sędzia wydał już wyrok. Mieli stawić się w sądzie o jedenastej. Adwokat nie miał pojęcia, jaka to będzie decyzja. Minęły dopiero dwa dni od zakończenia przesłuchań. Czy to dobrze czy źle? Za niecałe dwie godziny w sali sądowej na Manhattanie rozstrzygnie się los Ashley. Wyrok sądu zadecyduje, czy powróci do San Francisco czy też będzie musiała zostać tutaj, czy połączy się z Robertem czy też nie. A jeżeli wyrok będzie sprzeczny z jej oczekiwaniami, to czy ona podda się temu, czy będzie miała dość sił, żeby powrócić do Kalifornii i wegetować tam

przez resztę swoich dni? Albo zdobędzie się na odwagę i uczyni wszystko, co zaplanował Collin? Zajrzała do szafy i wyciągnęła szytą na miarę szarą flanelową garsonkę z czarnymi welwetowymi wyłogami i odpowiedni kapelusz z krótką woalką. Był to kostium od Diora w stylu retro z końca lat czterdziestych. Przyglądała się mu uważnie. Najprostszy, najbardziej konserwatywny ciuch, jaki posiada. Może nie uczyni z niej od razu prowincjuszki, ale wywoła korzystne wrażenie i wzbudzi respekt u sędziów. Zdjęła szlafrok, usiadła na brzegu łóżka i włożyła pończochy. Patrząc na aparat stojący przy łóżku, pomyślała, czy nie zatelefonować do Collina i nie poinformować go, że sędziowie wydadzą dziś wyrok. Ale rozmyśliła się. Miała niejasne przeczucie, że Deverell i tak już o tym wie. Bywał dokładnie poinformowany. Gdy miało wydarzyć się coś ważnego, zawsze potrafił znaleźć się na miejscu o właściwym czasie. Była gotowa założyć się o każde pieniądze, że Collin zjawi się dziś w sądzie.

Usiadła obok Elliotta Morgana. Obserwatorzy i dziennikarze napływali do sali i zajmowali wolne miejsca. Rozglądała się za Collinem, ale nigdzie nie mogła go dostrzec. Może o niczym nie wie? Może wcale nie trzyma ręki na pulsie? I nie ma żadnego motywu, żeby pomagać jej w odzyskaniu Roberta? To w tej chwili nie ma żadnego znaczenia - pomyślała nerwowo, patrząc na Hollisterów. Oboje uśmiechali się promiennie. "Bradley nie należy do ludzi, którzy zawierzyliby losowi - rzekł Collin. - Możesz mi wierzyć, on już w tej chwili wie, jaki będzie ostateczny werdykt". Albo to, co mawiał Brandon: "Nie akceptuję sposobu, w jaki mój ojciec robi interesy". Ashley była tak zaabsorbowana myślami, iż nie zauważyła wejścia Collina, który zajął swoje miejsce na końcu sali sądowej.

Jej rozmyślenia zostały przerwane - sąd wkraczał na salę. Wszyscy wstali. Przewodniczący trybunału podszedł do ławy sędziowskiej. Gdy Ashley ponownie usiadła, serce waliło jej jak młotem. Tak to wygląda pomyślała, a ręce jej drżały.

- ... Dokonałem przeglądu materiałów posiedzenia sądu pierwszej instancji oraz wziąłem pod uwagę zeznania świadków, złożone w czasie obecnej rozprawy. Wszystkie materiały poddałem rzetelnej analizie - oznajmił sędzia. - Ostatecznie doszedłem do wniosku, że w najlepiej pojętym interesie dziecka, Roberta Brandona Hollistera, będzie pozostawanie pod troskliwą opieką dziadków, państwa Hollisterów.

Po sali sądowej rozszedł się głośny szmer, gdy trzęsąca się ze złości Ashley skoczyła na równe nogi.

- Nie! - zawyla z wściekłością. - Nie! - Elliott Morgan usiłował ją powstrzymać, ale odepchnęła go. Sędzia tłukł energicznie młotkiem, nawołując do porządku, lecz ona nie była w stanie nad sobą zapanować. Nie mogąc zaakceptować krzywdzącego ją wyroku, przeszła obok swojego adwokata i wybiegła z sali sądowej wśród błysków fleszy i tłumionych szeptów. Gdy otwierała podwójne drzwi tego pomieszczenia, Collin ruszył za nią.

- Ashley, zaczekaj! - zawołał. - Zaczekaj!

Wreszcie dopadł ją na zewnątrz budynku. Stał na chwilę, żeby zaczerpnąć powietrza, a następnie wziął ją w ramiona. Ashley gwałtownie dygotała. Gładził jej włosy i łagodnie ją kołysał.

- Wszystko skończy się dobrze - pocieszał.

- Wszystko przepadło! - wyrzuciła z siebie, szlochając bezwiednie. - Straciłam moje małeństwo na zawsze.

- Nic podobnego ... - rzekł Collin głębokim, kojącym głosem.

Odsunęła się od niego i spojrzała mu w oczy. Jej policzki zalane były łzami.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - spytała.

- Nie tutaj - rzekł stanowczo. Wyciągnął z kieszeni chusteczkę i delikatnie wytarł twarz Ashley. - Chodźmy gdzieś, gdzie będziemy mogli porozmawiać. Może coś zjemy ...

- Nie jestem głodna.

- Będiesz jadła - rzekł stanowczo. - Potrzebujesz każdej cząstki energii, żeby zużyć ją w nadchodzących tygodniach. Przy okazji porozmawiamy. Ustalimy, jakie będzie nasze kolejne posunięcie.

Zanim zdążyła zaprotestować, wsadził ją do samochodu i zawiózł do Barbett, włoskiej restauracji na Zachodniej Czterdziestej Szóstej Ulicy. Ashley szła za nim machinalnie, ponieważ nie miała dokąd pójść. Kiedy siedziała w wykładanej marmurami jadalni starego budynku, uświadomiła sobie, że to jej było potrzebne. Aczkolwiek nie była głodna, czuła potrzebę znalezienia się jak najdalej od gmachu sądu. Chciała się wyzalić, a Collin naprawdę był wspaniałym słuchaczem. Słuchał cierpliwie, jak otwiera przed nim serce, i miała wrażenie, że rzeczywiście obchodzą go jej kłopoty. Jest jedynym człowiekiem w Nowym Jorku, który się o nią troszczył. Kiedy wreszcie przestała płakać, spojrzał na nią, uśmiechnął się znużony i chwycił ją za rękę.

- Teraz zaplanujemy, co robić - rzekł łagodnie. Ashley popatrzyła na niego zapłakanymi oczami.

- Ależ ja wykorzystałam wszystkie legalne środki, jakie miałam do dyspozycji...

Collin położył palec na ustach i zniżył głos do szeptu.

- Nigdy nie twierdziłem, że zamierzam działać legalnie.

### *Sea Cliff, luty 1987*

Podczas gdy taksówka brawurowo pokonywała zakręty wzdłuż cieśniny Long Island, Ashley myślała o dziwnej rozmowie, jaką niedawno odbyli. W restauracji Barbett nie miała ochoty na głębszą analizę propozycji Collina. Stwierdził, że to nie jest całkowicie legalne. Wciąż jeszcze oszołomiona tym, co się stało w sądzie, nie rozumiała, o co chodzi.

- Wiesz, co ci powiem ... daj mi znać, kiedy będziesz gotowa mnie wysłuchać - rzekł wówczas Collin ze zrozumieniem. - Po prostu pamiętaj o tym i w odpowiednim czasie się odezwij.

Rozważała ten temat przez dwa dni. Zastanawiała się, co byłoby gorsze - pozostanie w Nowym Jorku i pielęgnowanie nikłej nadziei, że przez przypadek zobaczy synka, czy wyjazd do San Francisco, gdzie z pewnością wygaśnie wszelka nadzieja widzenia go. Przychodziły jej na myśl słowa Collina: Odzyskam dla ciebie syna ... zaufaj mi... Czy kiedykolwiek mówiłem, że to jest legalne? Dla niej nie ma najmniejszego znaczenia, czy to legalne czy nie. Teraz pozostała jej ta jedyna nadzieja. Obojętne, co będzie musiała zrobić, czego Collin zażąda w zamian. Uczyni wszystko, żeby odzyskać dziecko.

Musi porozmawiać szczerze z Deverellem. Gdy się przebierała, wypila dwie filiżanki kawy, potem musiała znaleźć taksówkę, która zechciałaby jechać tak daleko. Wreszcie samochód zwolnił i stanął przed bramą posiadłości. Umundurowany strażnik zbliżył się do wozu. Ashley otworzyła okno.

- Nazywam się Ashley Gordon-Hollister, jestem zaprzyjaźniona z panem Deverellem - powiedziała.

- Czy on jest z panią umówiony, madame? Potrząsnęła głową.

- Nie, ale jeżeli pan go poinformuje, że tu jestem, wszystko będzie w porządku.

Strażnik przytaknął.

- Proszę chwileczkę poczekać, madame. - Wszedł do swojej budki przy bramie i podniósł słuchawkę. Za chwilę skrzydła hramy zaczęły się rozsuwać, dając wolny przejazd. Gdy taksówka mknęła wewnętrzną drogą, Ashley rozparła się na siedzeniu i głęboko oddychała. Błagam, Collin, nie pozwól mi się załamać.

Samochód zwolnił i przystanął przed rezydencją. W drzwiach czekał już gospodarz.

- Czemu nie zadzwoniłaś? - zapytał, gdy płaciła kierowcy. - Przecież wysłałbym po ciebie samochód.

Potrząsnęła głową.

- Jak już zdecydowałam się, szkoda mi było marnować czas - wyznała szczerze.

Spoglądał na nią, a ona dostrzegła w jego oczach akceptację ... i coś więcej, czego nie potrafiła odczytać.

- Chodź do środka - rzekł cicho. - Porozmawiamy.

- Powiedziałeś mi swego czasu, że nienawidzisz Bradleya Hollistera tak samo jak ja - zaczęła bez ogródek, gdy tylko znaleźli się w bibliotece. - Czy możesz mi zdradzić powód? - Usiadła wygodnie na kanapie, czekając na odpowiedź.

Collin wyglądał przez drzwi balkonowe na ogród, jakby tam szukał natchnienia.

- On zabrał ci synka - zaczął ostrożnie - a mnie też zamierza obrabować. Chce zagarnąć coś, co należy do mojej rodziny. - Collin odwrócił się do Ashley. - Muszę temu zapobiec. Jeśli będziemy współdziałać, możemy sobie nawzajem pomóc.

- O czym ty mówisz? - zapytała zaskoczona. - Co takiego chce ci zabrać?

Collin zacisnął zęby.

- Intercontinental Oil.

- Firmę twojego ojca? - Spoglądała niepewnie, nie mogąc dokładnie zrozumieć, co Collin ma na myśli. Sądziłam ... - zaczęła z wahaniem.

- Sądziłaś, że odwróciłem się od rodzinnych spraw dawno temu - dokończył jej myśl. Ashley przytaknęła. Tak w istocie było. Nie chciałem mieć żadnego udziału w firmie po śmierci rodziców i prawdę powiedziawszy, nigdy nie uważałem siebie za członka zarządu. Ale byłem przekonany, że mój braciszek, Justin, znakomicie poradzi sobie sam z przedsiębiorstwem. Stało się zupełnie inaczej. On doprowadził firmę do upadku. - Collin spoglądał na Ashley i nagle uświadomił sobie, jak mało opowiedział jej o sobie do tej pory. Nic dziwnego, że nie potrafiła mi zaufać - pomyślał i odetchnął głęboko. Dziesięć lat temu moi rodzice zginęli wskutek wybuchu na przybrzeżnym szybie wiertniczym w Wenezueli. Kie-

" dy to się wydarzyło, nie można było powiązać Wypadków w logiczną całość. Na wiele pytań zabrakło odpowiedzi. Po co w ogóle pojechali do Wp-nezueli? Co, do licha, robili na tym nieszczęsnym szybie? I czemu akurat wtedy eksplodował? Wciąż nie przestaje mnie to gnębić. - Przez chwilę patrzył w przestrzeń, jakby stamtąd napływały stare wspomnienia. - Ojciec nigdy nie zrezygnował z pomysłu, że pewnego dnia obaj synowie poprowadzą wspólnie firmę. Niestety, nie zgadzaliśmy się z Justinem w zasadniczych sprawach, więc gdy nastąpiła odpowiednia pora, zdecydowałem, że nie chcę mieć w tym udziału. Odsprzedałem mój pakiet bratu i na parę lat zniknąłem z kraju. - Snuł opowieść o tym, jak powrócił do Sea Cliff i zastał dom splądrowany, jak poginęły najcenniejsze zbiory i kosztowności; z pewnym wahaniem wyznał również, że prywatne śledztwo zaprowadziło go aż do Maroka i tam całkowicie zmieniło bieg jego życia. Gdy wreszcie zakończył, Ashley przyglądała mu się z niedowierzaniem.

- Ty po prostu jesteś ... oszustem! - podsumowała opowieść Collina. - Złodziejem!

- Niezupełnie - odparł, zaprzeczając ruchem głowy. - Ja tylko odbieram to, co prawnie jest moją własnością.

- Ach, tak - rzekła z wahaniem. - To całkowicie usprawiedliwia twoje metody.

. Spojrzał na nią wyzywająco.

- A czy ty zwracałabyś wielką uwagę na metody, gdyby był to jedyny skuteczny sposób odzyskania dziecka?

- N o, naturalnie, ale ... - zaczęła znowu.

- Rozważ swoje szlachetne zasady, Ashley, jako środek walki o dziecko - powiedział nie bez pewnej złośliwości. - Mój sposób, dobry czy zły, jako jedyny pozwoli ci odebrać Hollisterom Roberta.

Ashley bez namysłu ustąpiła. Ugodził w jej najsłabszy punkt.

- Nie ma o czym mówić ... godzę się na wszystko \_ rzekła, przytakując głową. - Nie wiem, czy w ogóle coś z tego wyjdzie, ale jestem zdecydowana bez względu na to, czy będzie to legalne, czy nie.

- Wiedziałem, że się zgodzisz.

- Ale ja w dalszym ciągu nie rozumiem - zaczęła znowu, patrząc mu w oczy. - Co ma z tym wspólnego Bradley Hollister... pomijając fakt, że chce przejąć firmę twojego ojca? Jaki to ma związek z mafią?

Collin zwrócił się do niej z grymasem na twarzy. - On jest szefem organizacji - odrzekł ponuro.

- Sama nie wiem, dlaczego tak trudno mi uwierzyć, że mój były teść prowadzi działalność przestępczą \_ wyznała Ashley, gdy spacerowali po ogrodzie. - Wiedziałam lepiej niż ktokolwiek, jak potrafi być bezpardonowy i jak wielkie ma wpływy. Wiem również, że rodzony syn nie mógł strawić tych niecznych machinacji.

Collin patrzył na nią przez chwilę.

- Naprawdę nic nie wiesz o powiązaniach Hollistera ze zorganizowaną przestępczością? - zapytał. Ashley znowu dała się ponieść emocjom.

- Oczywiście! Czy uważasz, że pozwoliłabym sobie tak łatwo odebrać Roberta, gdybym o tym wiedziała? Boże mój, czemu mi o tym nie powiedziałeś? Mogłabym przecież wygrać apelację ...

- Chwileczkę - rzekł Collin, kładąc ręce na jej ramionach. - Po pierwsze, musisz mieć niezbite dowody, żeby przedstawić publicznie tego rodzaju zarzuty, w przeciwnym razie narobisz sobie tylko kłopotów. Tego typu sensacje przyniosłyby ci podczas rozprawY dużo więcej szkody niż pożytku. Dlatego nie wspominałem o tym do tej pory.

- Co teraz zrobimy? - nalegała Ashley. - Odpowiemy ogniem na ogień?

- Coś w tym guście ... na razie.

- Na razie?

- Mam pewien plan - oświadczył. - Muszę zgromadzić odpowiednią ilość materiałów, żeby na dłuższy czas unieszkodliwić Hollistera i jego ludzi, mam też do dyspozycji odpowiednie środki... jeżeli tylko zechcesz ze mną współpracować. Sam nie mógłbym tego zrealizować. Potrzebuję dwóch bardzo sprawnych osób. Możemy to zrobić tylko wspólnie... tylko wspólnie, Ashley. Możemy odzyskać Roberta, ocalić firmę mojego ojca i wsadzić Hollistera za kratki, gdzie jest jego miejsce.

- Jak tego dokonać? - Ashley koniecznie chciała dowiedzieć się czegoś więcej.

Collin zmarszczył brwi.

- Mój ojciec zwykł mawiać, że każdy łańcuch wytrzyma tylko tyle, ile jego najsłabsze ogniwo. Łańcuch Hollistera ma kilka słabych ogniw. Jestem przeświadczony, że jeżeli nad nimi popracujemy, szybko trzaśnie. - Schylił się, żeby podnieść gałązkę, i machinalnie zaczął odzierać ją z kory. - Po pierwsze muszę cię najpierw wyszkolić.

- A to w jakim celu? - zapytała Ashley, przyglądając się mu uważnie. - A może w ogóle nie powinnam o to pytać?

Collin wzruszył ramionami.

- Skoro wiesz już tyle, czemu nie miałabyś dowiedzieć się reszty? - rzekł cicho. - Musisz nauczyć się bardzo wiele, a nie ma na to zbyt dużo czasu ..

- Czego na przykład?

- Najbardziej podstawowych umiejętności, jak otwieranie zamków, sejfów, opróżnianie cudzych kieszeni...

- Takich zwyczajnych, podstawowych rzeczy, jakich każdy d;lieciak może nauczyć się w gimnazjum? - zapytała sucho Ashley.

- Zasadniczo tak. - Złamał gałązkę i wyrzucił ją. - Do niedawna włamywanie się do cudzych posiadłości wcale nie było trudne dla bystrego, sprawnego człowieka, ale teraz to prawdziwy koszmar. - Mówił o tym tak zwyczajnie, jakby opowiadał o pogodzie. - Nowe systemy alarmowe są złożone jak jasna cholera. Im więcej ktoś ma forsy, tym bardziej skomplikowany system bezpieczeństwa instaluje. Wiele z nich reaguje na ciepło.

- Na co? - pytała Ashley, nie mając pewności, czy dobrze rozumie.

- Chodzi o takie urządzenia, które reagują na nagłe zmiany temperatury, na przykład wywołane obecnością ludzkiego ciała. - Na moment umilkł. - Oczywiście w przypadku, gdyby człowiek przebywał tam dłużej, niż wymaga tego wykonanie zwyczajnej roboty ...

- Ach, nie! - rzekła Ashley, potrząsając głową. - Przecież to nonsens. Do takiego pomieszczenia nie da się włamać ...

- Wszystko da się zrobić - rzekł Collin ze stoickim spokojem. - Oczywiście będzie to wymagało kilku . zmian w twoim życiu, na przykład przeprowadzenia się tutaj ...

- Tutaj? - Spojrzała na niego pytająco. - A to po co?

- Z wielu ważnych powodów. Hollisterowie i wszyscy zainteresowani powinni myśleć, że z podwiniętym ogonem zwiłaś do San Francisco.

- Stokrotne dzięki! - krzyknęła, starając się bezskutecznie zachować zimną krew.

- Słuchaj mnie, do diaska! Jakie to będzie miało znaczenie, co ktoś o tobie myśli, jeżeli osiągniemy

cel? - rzucił gniewnie Collin. - W końcu chcesz odzyskać syna czy nie?

- Oczywiście, że chcę! - rzekła z irytacją.

- Tutaj jesteś całkowicie bezpieczna, chyba że zapomnisz zamknąć na noc drzwi swojej sypialni. Uśmiechnęła się dwuznacznie, zmieniając raptownie nastrój. - Nikt nie będzie mógł widywać cię na Manhattanie, przynajmniej nie jako Ashley Gordon-Hollister.

- Czy chcesz przez to powiedzieć, że nie będę się tam mogła pojawiać? - zapytała Ashley, niepewna, czy nie pogubiła się przypadkiem w tym wszystkim.

- Będziesz mogła wychodzić do miasta, gdy wypracujesz sobie sposoby przekonującego przeobrażenia swojego wyglądu - obiecał jej Collin. - Aż do tego momentu wszystko, czego potrzebujesz, znajdziesz na miejscu.

- Czy nie za wiele tych kłopotliwych zabiegów?

- Może tak, ale to konieczne. Musisz mieć do mnie zaufanie. Prowadzę tę grę od dawna i doszedłem do dość wysokiej klasy. Dobrze wiem, co robię.

Ashley przyglądała się Collinowi uważnie. Wspaniałe popołudniowe słońce przenikało przez nagie gałęzie i rozjaśniało kosmyki gęstych włosów mężczyzny, poruszanych lekko chłodną bryzą, ukazując miliony urzekających odcieni mahoni, kasztanu, miedzi i złota. Jakiż mam wybór? - pytała siebie w duchu. Collin był jej ostatnią szansą.

- Kiedy mam się przeprowadzić? - zapytała. Uśmiechnął się swobodnie.

- Już dziś.

Skinęła głową.

- W porządku. - Milczała jakiś czas, gdy szli tak obok siebie przez kilkanaście jardów. - Powiedz mi, jak chcesz odzyskać Roberta? - zapytała wreszcie.

I wtedy wyjaśnił jej szczegóły.

Ashley po raz ostatni spojrzała na swoje mieszkanie, podczas gdy Collin wynosił jej bagaże z pokoju sypialnego do bawialni.

- To bardzo dziwne uczucie - rzekła cicho, zaciągając zasłony. - Mam dwa domy - w San Francisco i w Santa Helena, ponadto wynajęte mieszkanie, z którego wyprowadzam się do ciebie, a czuję, jakbym nigdzie nie miała swojego miejsca.

Collin stał przy drzwiach i milczał. Często czuł się zupełnie tak samo jak ona, nawet w Sea Cliff, a przecież tu się wychował.

Odwróciła się i spojrzała mu w oczy.

- Śmierć Brandona rozdarła mnie i Roberta na strzępy - powiedziała. - Częściowo jestem tutaj, częściowo w Kalifornii.

- To wszystko minie, gdy doprowadzimy nasze sprawy do końca - pocieszał ją Collin. - Wtedy będziemy znów mieli swoje osobiste życie. - Spojrzał na zegarek. - Ruszajmy, Ashley - ponaglił ją łagodnie. - Powinniśmy już jechać. Resztę rzeczy możesz posłać do przechowalni.

Ashley przytaknęła. Przez chwilę wahała się. Nagle zgasiła światło i szybko zamknęła drzwi na klucz.

- Sama nie wiem, czemu odchodzi mi się stąd tak ciężko - powiedziała do Collina w windzie. - San Francisco to co innego ... tam spędziłam najlepsze lata życia. Wszystko, co dobre, łączy się z tamtym domem ... Tani byłam żoną Brandona, matką Roberta, wszystkie najlepsze obrazy wykonałam w tamtej pracowni... Tu natomiast nie przeżyłam nic godnego uwagi.

Collin zmarszczył brwi na wspomnienie nocy, gdy włamał się do tego mieszkania. Jak bardzo zimne i bezosobowe wydawało mu się wtedy! Był więc zaskoczony, że Ashley opuszcza je tak niechętnie. Spojrzał na nią uważnie. Kobieta o ogromnej wrażliwości, młoda i już tak bardzo wyobcowana - pomyślał. - Ty i ja, Ashley, stanowimy ten sam typ człowieka.

- To wszystko minie - rzekł głośno.

Umundurowany portier przeniósł bagaż do zaparkowanego nieopodal Excalibura. Collin zatrzymał się, żeby otworzyć Ashley drzwi, a następnie przeszedł do tyłu i załadował jej rzeczy do bagażnika.

Wsiadła do samochodu i bez emocji patrzyła na dom, który miała opuścić. Po co to wszystko robię? - dziwiła się w duchu. - W co ja się pakuję? Wprowadzam się do mężczyzny, o którym praktycznie



nic nie wiem poza tym, że jest zawodowym złodziejem. Wdepnęłam w bagno, które może zaprowadzićłmnie do więzienia na najbliższe dziesięć, dwadzieścia lat..

- Gotowa? - zapytał Collin grzecznie, siadając za kierownicą.

Zmusiła się do uśmiechu.

- Nie mogłabym być bardziej gotowa - odparła zwięźle.

- Uspokój się - nalegał. - Nie jesteś owieczką prowadzoną na rzeź.

- Czy aby na pewno?

- Absolutnie - rzekł z przekonaniem, zapalając silnik Excalibura. - Zobaczysz, że ...

- Collin, patrz! - wykrzyknęła nagle Ashley. - Spójrz tam!

Popatrzył w kierunku, który wskazywała palcem. Zażywna, starsza pani o szpakowatych włosach prowadziła do parku małego chłopczyka.

- To mój syn! To Robert!

Chciała wysiąść z samochodu, ale Collin ją zatrzymał.

- Co właściwie zamierzasz zrobić? - Zaciśnął silnie rękę na jej nadgarstku. - Chcesz zabrać dziecko tej kobiecie? Nie wyszłabyś z nim nawet poza obręb Manhattanu!

Z powrotem opadła na fotel.

- Ja; .. ja w ogóle nie miałam nic na myśli - powiedziała Ashley, oddychając głęboko. - Chciałam go tylko zobaczyć ...

- I co dalej? Co by ci to dało? - spytał cierpko. Przecież w ten sposób pogrążasz się jeszcze bardziej.

- Czy chcesz powiedzieć, że nie powinnam go widywać? - Ashley rozplakała się. - Ja sobie tego zupełnie nie wyobrażam ...

- Tylko przez krótki czas - tłumaczył łagodnie. Potem, gdy nadejdzie odpowiednia pora, odzyskasz go i zatrzymasz na zawsze.

- Czy mógłbyś zagwarantować mi to na piśmie? spytała, gdy włączył bieg i skierował samochód ku Piątej Alei.

- Wciąż mi nie ufasz? - zahamował przed światłami na skrzyżowaniu.

- Bardzo ciężko uwierzyć mężczyźnie, który podaje się za złodzieja.

- Robię to, do czego zmuszają mnie okoliczności odparł Collin ostro. - I ty postąpisz tak samo.

Czuła się dotknięta tymi słowami.

- Gdzie nauczyłeś się tak ranić ludzi? - zapytała, zagłębiając się w fotelu.

- Na pustyni w Maroku - rzekł, koncentrując się na prowadzeniu Excalibura. Panował ogromny ruch. - Opowiedz mi o tym.

- To bardzo długa historia.

Odetchnęła głęboko.

- Wygląda na to, że przyjdzie nam spędzić razem sporo czasu, jeżeli więc będziesz miał ochotę na zwierzenia ... Dziesięć albo dwadzieścia lat, jeśli zawalimy robotę.

Collin pokręcił głową.

- Może innym razem.

Była wściekła. Miała wrażenie, że nareszcie jej coś o sobie opowie, lecz nagle, podobnie jak w innych sytuacjach, znowu się przed nią zamknął.

- Cholera, mówisz, że powinnam ci zawierzyć, ale ilekroć staram się umocnić to zaufanie, wycofujesz się - rzekła rozszalona. - Jak mam ci zaufać, skoro tyle przede mną ukrywasz?

Collin nie odrywał wzroku od jezdni, ale Ashley wiedziała już, że trafiła w jego słaby punkt.

- W porządku - przyznał. - Masz prawo wiedzieć.

I wtedy opowiedział jej o wyprawie do Marrakeszu.

Świecący zegarek pokazywał trzecią piętnaście. Ashley, ubrana tylko w fioletową jedwabną nocną koszulę, siedziała na brzegu osłoniętego baldachimem łóżka i obojętnym wzrokiem wodziła po błękitnych ścianach. Chyba zgłupiałam - mówiła sama do siebie, coraz bardziej zaniepokojona. - Jak coś podobnego mogło mi w ogóle przyjść do głowy? Ale chociaż walczyła z wątpliwościami, sprawa została przesądzona: wszystko robiła dla Roberta. Nie było rzeczy, której nie uczyniłaby,

żeby odzyskać syna.

Wstała i na bosaka zbliżyła się powoli do drzwi balkonu. Otworzyła je, wpuszczając do sypialni mroźne powietrze. Nie bacząc na dotkliwe zimno, wyszła na balkon popatrzeć w czyste, roziskrzone gwiazdami niebo. Wyraźnie wyobraziła sobie twarz Brandona; miała wrażenie, jakby był w zasięgu jej ręki, jakby mogła go dotknąć.

- Rozumiesz mnie, kochany? - wyszeptała.

- Ano... wygląda na to, że oboje mamy problemy z zaśnięciem.

Zaskoczona Ashley spojrzała w dół. Collin stał na swoim balkonie ubrany w gruby sweter. Nocny wiatr rozwiewał włosy mężczyzny.

- Słucham? - spytała, gdy wreszcie wrócił jej głos.

- Widzę, że ty też nie możesz spać.

- Nie. - Potrząsnęła głową. - Rzeczywiście, nie mogę zasnąć.

- Byłoby lepiej, gdybyś włożyła szlafrok - odezwał się Collin. W jego głosie brzmiało rozbawienie; Ashley uświadomiła sobie, że stoi na wietrze i ma na sobie tylko przezroczystą nocną koszulę. Obróciła się na pięcie i uciekła do sypialni, zatraskując za sobą drzwi.

Collin uśmiechnął się do siebie. Żałował, że zdradził swoją obecność. Ashley była piękną kobietą i na niczym bardziej by mu nie zależało, jak na... nie, nie może pozwolić, żeby na drodze do upragnionego celu stanęło pożądanie. Nic nie może przeszkodzić zemście. Jeszcze nie pora. Zbyt wiele jest do zrobienia.

*Nowy Jork, marzec 1987*

Anton De Vries był zły i sfrustrowany; zły, bo nikt nie chciał uznać warii, że jeden człowiek dokonał wielu błyskotliwych napadów na czterech kontynentach, a sfrustrowany, ponieważ wciąż jeszcze nie miał dowodu przeciwko Collinowi. W materiałach musi być coś, co Interpol po prostu przeoczył. Coś, czego sarn nie potrafi dostrzec. Musi znaleźć się przekonujący dowód, że Deverell przebywał w danym miejscu, gdy dokonano rabunku. Wychodząc z założenia, że im więcej będzie wiedział o samym człowieku, tym większe będzie miał szanse na schwytanie go, De Vries postanowił poznać najbardziej intymne szczegóły życia Collina.

Siedział teraz w gabinecie dyrektora generalnego Intercontinental Oil, w samym centrum finansowym Manhattanu, twarzą w twarz z Justinem Deverellem. Nie przypuszczał, że fizyczne podobieństwo pomiędzy braćmi może być aż tak uderzające. Praktycznie nie ma żadnej możliwości odróżnienia ich - pomyślał De Vries, patrząc przez stół na szefa firmy. Uznał, że to bardzo trudne zadanie rozmawiać z tym człowiekiem o szczegółach życia jego brata. Wyglądało to tak, jakby wypytywał Collina Deverella o niego samego!

- Obawiam się, że niewiele panu pomogę - rzekł Justin. - Nie utrzymuję z bratem bliskich stosunków. Nie rozmawialiśmy już parę lat. Jedyne, jaką mogę powiedzieć na jego temat, to to, że jest całkowicie oddany pogoni za wielką przygodą. To jego życiowa pasja.

- Ach, tak.

To bardzo osobliwe - zadumał się De Vries - żeby bliźniacy różnili się tak bardzo.

- Doprawdy, nie bardzo rozumiem, o co chodzi - dodał jeszcze Justin. - Parę lat temu została zamknięta sprawa kradzieży kolekcji Collina. Czyżby dochodzenie wznowiono z uzasadnionych powodów?

- Niezupełnie - rzekł pospiesznie agent - Niektóre kosztowności pokazały się ... w Rzymie, w Londynie ...

- A pan zmienił zdanie i doszedł do wniosku, że Collin zapewne dopuszcza się przestępstw - wywnioskował Justin.

De Vries zaprzeczył ruchem głowy, zdumiony, jak szybko Deverell doszedł do takiej konkluzji. - Skądże, absolutnie nie.

Justin przyjrzał mu się bacznie.

- Czym więc wytłumaczyć to przesłuchanie na temat obyczajów mojego brata?

- Jestem przeświadczony, tak samo jak wówczas, że pański brat padł ofiarą spisku - stwierdził stanowczo De Vries. - Kto był jego inspiratorem, na razie nie wiem, ale ... - Dlaczego wznowił

pan to śledztwo właśnie teraz? zapytał ostro Justin.

- Tego, niestety, nie mogę zdradzić, panie Deverell - . rzekł agent ostrożnie. - Bardzo mi przykro.

- Ach, tak. - Justin odetchnął głęboko. - Jeżeli mogę przeprosić, panie De Vries ...

- Naturalnie. - Agent wstał i wyciągnął rękę na pożegnanie. - Dziękuję, że zechciał mi pan poświęcić trochę czasu.

- Przykro mi, że nie mogłem w niczym istotnym dopomóc. - Justin z uśmiechem uściśnął podaną dłoń.

- Ależ pan bardzo mi pomógł. Więcej, niż się panu zdaje.

Idąc do windy, De Vries myślał nadal o tym, co mu się przydarzyło. Wyczuwał niechęć Justina, ale jej powody nie były jasne. Czyżby pierwotne podejrzenia miały okazać się słuszne? Czy Justin Deverell istotnie ukartował spisek przeciwko własnemu bratu? Czy wie coś na temat jego nocnych wypadów?

Wniosek nasuwał się jeden - Collin nie był jedyną osobą, która ma coś do ukrycia.

- Nigdy nie nauczę się tego - narzekała zniechęcona Ashley, mocując się z kłódką wiszącą na drzwiach garażu. Nagle przerwała i zaczęła rozcierać ręce, usiłując ją rozgrzać. - Tu jest cholernie zimno, a ta robota nie idzie mi najlepiej.

- Nic z tego. - Collin stanowczo potrząsnął głową. Nie puszcze cię stąd, dopóki nie będziesz umiała otworzyć kłódki dostatecznie szybko.

- To się nigdy nie uda!

- Oczywiście, że się uda, jeżeli nie załamiesz się zbyt szybko - rzekł z naciskiem. - Ja też musiałem poświęcić trochę czasu, zanim opanowałem tę sztukę.

Ashley skrzywiła się, odgarniając z twarzy kosmyk włosów.

- To nie do wiary.

- Mówię prawdę - upierał się Collin. - Blackjack nigdy mi nie folgował, więc ja ci też nie popuszczę.

- Bardzo cenisz tego człowieka - powiedziała ciepło Ashley.

- Nie da się nie lubić faceta, który uratował ci życie.

- To prawda.

- Nikomu na świecie nie jestem bardziej wdzięczny. - Collin podał jej inne narzędzie. - Mam jeszcze jedno zobowiązanie wobec niego i dotrzymam słowa.

- Masz na myśli jego córkę - rzekła obojętnie Ashley, podejmując od nowa walkę z opornym zamkiem.

- Tak.

- A jeżeli w ogóle jej nie znajdziesz, co wtedy?

- Na pewno trafię na ślad, nie ma obawy - odparł stanowczo.

- Bingo! - wrzasnęła Ashley, gdy kłódka zadzwierczała w jej ręku i otworzyła się. - No, teraz możemy powiedzieć, że dzień nam się udał.

- Absolutnie nie - zaprzeczył Collin. - Teraz spróbuj jeszcze parę razy, aż nauczysz się robić to szybko i bardzo sprawnie.

- Walczyłem swego czasu o awans do olimpijskiego zespołu szermierczego - opowiadał Collin. Ashley z podziwem oglądała jego wspaniałą floret. - Było to bardzo dawno, podczas Igrzysk Panamerykańskich w 1972 roku.

- Musiałeś być dobry, skoro doszedłeś tak wysoko - zauważyła Ashley, dotykając palcami misternej rękojeści.

- Szermierka wypełniała całe moje życie - rzekł, wygodnie rozparty na kanapie, popijając kawę. Na kominku palił się ogień, a jego płomienie wypełniały pokój łagodnym blaskiem.

Na urodziwej twarzy Ashley malowało się zdziwienie.

- Czemu przestałeś uprawiać sport?

- W tamtym okresie nie miałem wyboru. - Wzruszył ramionami.

- Jakoś trudno mi uwierzyć, żebyś mógł się znaleźć w sytuacji bez wyjścia.  
Collin wstał i podszedł do okna.  
- Uwierzyłabyś bez trudu, gdybyś знаła mojego ojca - odpowiedział.  
- To ojciec cię powstrzymał? - zapytała z niedowierzaniem.  
Przytaknął, nie patrząc Ashley w oczy.  
- Uważał, że szermierka to niepotrzebna strata czasu, a ja mam ważniejsze rzeczy do zrobienia w życiu.  
- Przejęcie kontroli nad firmą? - domyśliła się.  
- No właśnie. - Aczkolwiek jego twarz kryła się w cieniu, Ashley dostrzegła na niej wyraźne napięcie. Zaciśnął silnie szczęki. - Cel, dla którego Justin i ja urodziliśmy się.  
- Nigdy nie mówiłeś ojcu, co o tym myślisz? - zapytała.  
- Mówiłem. Ale to i tak było bez znaczenia. - Collin odwrócił się nagle i ruszył do drzwi. - Zrobiło się późno.  
Jutro mamy męczący dzień.  
Wyszedł z pokoju, pozostawiając ją zaskoczoną.

Dni w Sea Cliff były niezmiernie długie i bardzo trudne. Nerwowość Ashley i brak wiary, że opanuje wszystkie tajniki złodziejskiego rzemiosła, czyniły z niej ucznia opornego i trudnego, a Collin okazał się bardzo niecierpliwym i wymagającym nauczycielem, który zmuszał ją do powtarzania każdego kroku, kolejnego manewru tak długo, dopóki nie nauczyła się wykonywać go szybko i sprawnie. Ten sam mężczyzna, którego poznała na Manhattanie jako człowieka miłego i przyjacielskiego, stał *śle* teraz twardy, nieustępliwy i nieczuły jak gład, wymagając od niej bez przerwy rzeczy niemożliwych. Ashley starała się wszystko zrozumieć, wmawiając sobie, że musi być twarda i wymagająca wobec siebie, gdyż nie wolno popełnić błędu, kiedy już będą włamywać się do cudzego mieszkania lub biura, ale to bynajmniej nie ułatwiało jej współpracy z Collinem. Jeden twój błąd może okazać się ostatni - powtarzała sobie w myśli nieskończoną ilość razy. fak mantrę. Jeden błąd może okazać się fatalny.

Po obiedzie co wieczór omawiali dokonania bieżącego dnia i to, co będą robić nazajutrz. Analizował z nią poszczególne kroki i wymagał, by umiała powtórzyć każdy szczegół. Przerabiali różne typy zamków, systemów zabezpieczających i sposoby ich pokonywania. Tłumaczył jej, jak posługiwać się drutem wysokościowym, jak nazywał rodzaj kabla, który pozwala dostać się do budynku z dachu sąsiedniego domu. Wyczuwał, że Ashley się boi.

- Tym środkiem posługuję się tylko w ostateczności zapewniał - ale bywają sytuacje, że to jedyny sposób.

Tylko sporadycznie, po zakończeniu takich dyskusji, mówili o ludziach i wydarzeniach, które miały wpływ na ich życie. Ashley opowiedziała Collinowi o dzieciństwie w Napa Valley i o swoich marzeniach, żeby zostać malarką i żyć dostatnio w San Francisco.

- Mój ojciec tego nie pochwalał - wspominała. Uważał, że narażam się na wielkie rozczarowania. - Uśmiechnęła się słabo. - Nikt z nas nie potrafił wtedy trafnie przewidywać.

- Nie ma się czego bać - rzekł Collin zachęcająco, opierając się o pień drzewa z rękoma splecionymi na piersiach. - Gdy ja zawiążę kabel, jest tak bezpieczny, że niemowlę potrafiłoby po nim poszybować.

- Czy mógłbyś to podpisać własną krwią? - Ashley stała na wysokiej platformie i trzymała ciężki metalowy pierścień zahaczony o gruby kabel, biegnący ponad trawnikiem do drzewa, przy którym stał Collin.

- Lepiej nauczyć się tego teraz niż zastosować ten sposób po raz pierwszy w życiu, znajdując się w pułapce na dwudziestym piętrze, w cudzym lokalu, z którego nie ma innego wyjścia - przekonywał Collin.

- Jakby człowiek znalazł się między młotem a kowadłem - mamrotała Ashley.

- Przestań narzekać i rób, co do ciebie należy - polecił, odsuwając się na bok, by lepiej przyjrzeć się jej lotowi.

Ashley wzięła głęboki oddech.

- To przecież nic wielkiego - mruknęła z ironią, odgarniając z twarzy włosy. Rzuciła się do przodu, odbijając się od platformy. :poszybowała na dół swobodnie i gwałtownie się zatrzymała, stając na ziemi. Zadowolona z siebie, zwróciła się z uśmiechem do Collina, wymachując wymownie rękoma:

- Dobrze?

Skinał głową, nie zmieniając wyrazu twarzy. - Nieźle - rzekł.

- Nieźle? - zapytała wyraźnie urażona. - To był cholernie udany skok jak na pierwszy raz!

- Masz absolutną rację - zgodził się Deverell. - Ale dobrze to za mało, gdy wisisz czterysta lub pięćset stóp nad ziemią i spocone dłonie lub nie znaczny błąd w ocenie sytuacji mogą stać się przyczyną twojej śmierci. Wskazał ręką platformę. - Spróbuj jeszcze raz i nie wywijaj tyle nogami. To musi być spokojny lot.

Ashley skrzywiła się.

- Jesteś bezlitosnym poganiaczem niewolników stwierdziła zgnębiona, gramoląc się z powrotem na platformę.

Wyraźnie zignorował jej uszczypliwość.

- Bardzo cenię sobie własne życie - rzekł do niej, gdy wspinała się po drabinie. - Tu nie może być mowy o pomyłce. W naszym fachu błędy eliminują z gry.

- I ty to nazywasz grą? - mamrotała pod nosem, wycierając ręce o czarne obcisłe spodnie, zanim ponownie uchwyciła pierścień.

Druza próba nie podobała się Coll(nowi bardziej niż pierwsza. Ashley musiała powtarzać ćwiczenie .kilkakrotnie, dopóki nie szło jej to łatwo i sprawnie.

- Spróbuj jeszcze raz - polecił, gdy wchodziła po raz kolejny na platformę. - Tym razem staraj się wykonać to jak najszybciej.

- Mam skrócić sobie kark na próbę? - Chwyciła stalową pętlę i energicznie odbiła się od platformy, podnosząc nogi.

Widząc, że rozpędza się zbyt ostro, Collin ostrzegł ją, ale było już za późno. Nie mogła zatrzymać się, nie wyrządzając sobie przy tym krzywdy. Deverell rzucił się na pomoc, żeby uchronić Ashley przed uderzeniem o drzewo. Z impetem zwała się na niego, a on chwycił ją w ramiona. Trzymał mocno, spoglądając w jej duże, przestraszone oczy.

- Nic ci nie jest? - zapytał niskim głosem.

- Ja ... ja ... chyba nic mi się nie stało - wykrztusiła.

- Niewiele brakowało. - Pochylił się nad Ashley, podczas gdy ona próbowała odetchnąć głęboko. - Bardzo niewiele. - Czuł, jak serce dziko tłucze się w jej piersi. . On także miał przyspieszony puls.

Uświadomił sobie, jak bardzo zbliżyły się ich ciała. Patrzyli sobie w oczy. Nagle jego wargi przywarły do jej ust. Zaczął pożądać jej z nieprawdopodobną gwałtownością. Pokonał Ashley przez zaskoczenie. Nie mając czasu na zastanawianie się czy kontrolę własnych reakcji, odwzajemniła pocałunki Collina, zarzuciwszy mu ręce na szyję.

- Chcę się z tobą kochać - szeptał, okrywając jej szyję pocałunkami. - Tu, w tym miejscu ... i w tej chwili...

Wsunął rękę pod sweterek i zaczął pieścić piersi kobiety.

Czar prysł w momencie, gdy Ashley uświadomiła sobie, że jej sutki twardnieją.

- Nie! - wyszeptała, przeciwstawiając się naporowi ciała, przygniatającego ją do ziemi. - Collin, nie

...

- Nie możesz mi tego zrobić - protestował, nie chcąc wypuścić jej z objęć. - Teraz, kiedy cię już pocałowałem ...

Z zapalem potrząsnęła głową.

- Ja nie mogę! Nie jestem na to przygotowana ... jeszcze nie teraz ...

Nagle puścił ją.

- Nie bój się, nie zgwałcę cię - rzucił ostro, siadając. - Nigdy nie musiałem brać ka,biety siłą ... i, do cholery, nie będę tego robił teraz! - Podniósł się i odszedł kilka kroków.

Ashley też wstała. Zaczęła otrząpywać liście i żdzbla trawy, które przykleiły się do jej ubrania. Uprzymiśniwszy sobie, jak bardzo rozzłościła Collina, próbowała załagodzić sytuację.

- Ja wcale nie chciałam ... - zaczęła, dotykając jego ramienia.

Cofnął się gwałtownie.

- Idź teraz do domu - rzekł opryskliwie. - Ja wrócę później.

Ashley już otworzyła usta, by zaprotestować, ale rozmyśliła się, gdyż doszła do przekonania, że nic dobrego z tego nie wyjdzie.

- W porządku - powiedziała, zostawiając Collina samego.

Spoglądał, jak zmierza w kierunku głównego budynku. Jakże on jej piekielnie pożądał! Nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek pragnął kobiety tak bardzo. Ale ta kobieta ani zbyt łatwo mu nie zaufała, ani też nie padła w ramiona. Sfrustrowany, odgarnął palcami włosy i popatrzył W górę na kabel.

Odetchnął i ściągnął go na dół potężnym szarpnięciem.

Ashley siedziała na brzegu łóżka i starała się opanować emocje. Nie była pewna, co czuje do Collina i co wydarzyło się między nimi dzisiejszego popołudnia, ale to wszystko potęgowało tylko jej wzburzenie. Przecież go pożąda! I on dobrze o tym wie. Jakaś jej część chciała się z nim kochać. Był jedynym mężczyzną, do którego potrafiła się zbliżyć, któremu mogła zaufać, i to sprawiało, że ich związek stał się bardzo intymny. Oddanie się z miłości - mówiła sobie - to następny, konsekwentny krok. Ale czy moja reakcja nie zniechęciła Collina?

Jego milczenie podczas obiadu było bardzo wymowne. Nawet nie spojrzał na nią w czasie jedzenia. Nie analizowali, jak zazwyczaj, szczegółów treningu. Wyszedł do biblioteki sam i długo tam siedział. Tylko Harrison, który był dla Deverella kimś więcej niż majordomusem, miał prawo naruszyć jego prywatność. Wreszcie Ashley udała się do swojego pokoju. Słyszała kroki Collina na korytarzu. Przechodził obok jej drzwi, ale się nie zatrzymał, żeby życzyć dobrej nocy.

Czuła się potwornie samotna po śmierci Brandona, zwłaszcza gdy straciła Roberta. Gdzieś w głębi duszy pragnęła tego ciepła, duchowego kontaktu, jaki łączył ją z mężem, ale zawsze niepokoiła się, że jeżeli pofolguje pragnieniom, sprzeniewierzy się Brandonowi. To po prostu śmieszne - pomyślała ponuro. - Dziwka, która wie, że żyje zakonnicą. Potem pojawił się Collin. Mężczyzna, który sprawił, że znowu ożyła i odzyskała uśmiech. Przywrócił jej nadzieję w sytuacji beznadziejnej. Już od pierwszego spotkania ciągnęło ich ku sobie. Aczkolwiek nie kochała go i wiedziała, że on także jej nie kocha, miała świadomość, że gdyby poszli ze sobą do łóżka, nie byłby to tylko seks. Zbliżyliby się bardzo do miłości...

On ma rację - pomyślała, zrzucając nocną koszulę. - Teraz mamy tylko siebie.

Włożyła czarne jedwabne kimono i zdecydowanym krokiem skierowała się przez hol do pokoju Collina. Delikatnie zapukała do drzwi i otworzyła je, nie czekając, aż ją zaprosi. Gdy weszła do środka, pokój pogrążony był w mroku. Słabe promyki światła sączyły się przez okna. Ubrany w szlafrok Collin stał przyoknie i spoglądał w ciemność.

- Czego chcesz? - zapytał gniewnie.

Podeszła do niego bez słowa i położyła ręce na ramionach mężczyzny, całując go czule. On cofnął się i marszcząc brwi, przyglądał się jej przez moment.

- Lepiej nie zaczynaj czegoś, czego nie masz zamiaru doprowadzić do końca - ostrzegł ją.

- Mam jak najlepszą wolę doprowadzić wszystko do końca - szepnęła i całując znowu Collina, gładziła go po piersiach.

Nagle zmilazła się w jego objęciach. Pieścił ją czule i całował namiętnie. Rozwiązał czerwoną szarfę kimona i rzucił ją na podłogę. Pieścił piersi, delikatnie masując kciukiem, aż napięły się brodawki. Następnie zaczął całować szyję Ashley. Wsunął jej rękę pod swój szlafrok.

- Dotknij mnie - rzekł ochryplym głosem. - Sprawdź sama, jak bardzo cię pożądam.

Przysiadł na łóżku, przyciągając ją ku sobie. Zsunął z jej ramion kimono. Trzymał w dłoniach piersi, wreszcie zaczął je całować, ssąc delikatnie sutki. Błądząc pieszczotliwie dłońmi po nagim ciele kobiety, ułożył ją na łóżku.

- Czy wiesz, jaka jesteś piękna? - zapytał, nie przerywając pieszczot.

- Przy tobie czuję się wspaniale - odrzekła, znowu dotykając jego ciała.  
Teraz już nie ma odwrotu - rzekła do siebie w duchu, gdy ich ciała połączyły się w jedno.

*Sea Cliff, marzec 1987*

Ashley otworzyła powoli oczy. Słońce przenikało przez cienkie zasłony, zalewając cały pokój wspaniałym blaskiem. Nie podnosząc głowy z poduszki, obróciła się wolno. Obok spokojnie spał Collin. Leżała, spoglądając na niego, i starała się uprzytomnić sobie, co się między nimi wydarzyło. Usiłowała ułożyć w logiczną całość wszystko, co przeżyła w jego ramionach. Ta erotyczna zabawa dała jej ogromną satysfakcję. Nawet w tej chwili pragnęła Collina, chciała, żeby obudził się i kochał ją znowu. Ale mimo to miała poczucie winy. Wydawało jej się, że zdradza zmarłego męża. Przecież to nie jest to samo - rzekła do siebie. - To zupełnie co innego. Kochała Brandona, czuła się z nim emocjonalnie związana. A z Collinem ... nie wiedziała, czy ta zabawa jest czymś więcej niż seksem. Może pragnęła wyzwolenia z udręki samotności; jaką przeżywała od śmierci Brandona? Collin zaczął się budzić. Obrócił się twarzą do Ashley i otworzył oczy. Gdy ją zobaczył, uśmiechnął się.

- Obawiałem się, że porzuciłaś mnie i wymknęłaś się do swojego pokoju. - Wyciągnął rękę, by pogłaskać ją po policzku. - Pomyślałem, że będę musiał do ciebie zajrzeć.

- Założę się; że naprawdę byś to zrobił - rzekła swobodnie.

- Żebyś wiedziała! - Pocałował ją delikatnie. - Chcę cię mieć przy sobie, Ashley. Co noc. - Zamilkł na chwilę. - Masz jakieś obiekcje?

Potrząsnęła głową.

- Żadnych.

Uśmiechnął się.

- Liczyłem, że tak powiesz. - Pieścił ją delikatnie pod prześcieradłem. - Jak ja cię pożadam - wyszeptał, całując ją po szyi. - Prawdę powiedziawszy, pożądałem cię od naszego pierwszego spotkania na lotnisku.

- A ja myślałam, że zależy ci wyłącznie na wspólniku - zachichotała Ashley.

- Ależ oczywiście - zapewnił, wodząc opuszką palca między jej piersiami. - Oczywiście, chcę cię na wspólnika ... w każdym tego słowa znaczeniu.

Począł okrywać ją delikatnymi pocałunkami, poczynawszy od brody aż do miejsca, gdzie łagodnie zaczynały wznosić się piersi. Wodził językiem dookoła brodawek, a potem wziął jedną do ust i zaczął ssać łapczywie. Bawiła się włosami kochanka i drząc poddawała mu się bez oporu. Czuła, jak jego ręka wędruje w dół po biodrze, udzie i wreszcie między nogami. Czułe palce znalazły tam, gościnnie dla niego przygotowaną, upajającą wilgoć. Zostawił piersi kochanki, odszukał usta i całował ją namiętnie. Wreszcie wszedł do jej wnętrza i po... ruszał się w ekscytującym rytmem, dopóki oboje, dysząc głęboko i drząc, nie osiągnęli stanu upojenia. W końcu Collin, wciąż jeszcze spoczywając na niej, ukrył twarz między piersiami kochanki. Ashley podniosła głowę; oboje potrzebowali swobodnego oddechu. Gdyby to się wydarzyło w innych okolicznościach, byłaby niewymownie szczęśliwa, że znalazła kogoś takiego jak Collin, mężczyznę, który przywrócił ją życiu i dawał tak głęboką satysfakcję.

Ale wyczuwała również i to, że on nigdy nie będzie należał całkowicie do jakiegokolwiek kobiety.

Gdy zimne poddmuchy marcowego wiatru ustąpiły miejsca pierwszym oznakom wiosny, Ashley zdobywała coraz więcej nowych umiejętności. Collin był teraz bardziej cierpliwy i mniej wymagający w czasie codziennych ćwiczeń, ale coraz bardziej agresywny w łóżku. Ashley wmawiała sobie, że to normalne, zważywszy ich nietypowy związek. Nie byli związani miłością, nawet nie seksem, lecz mocą wspólnej tajemnicy. Jesteśmy razem przez czysty przypadek - myślała Ashley, leżąc rozbudzona w ciemnościach. Czuła się w uścisku Collina jak w pułapce. - W tej chwili nie możemy od siebie uciec.

- Przypomnij sobie, po co to wszystko robisz - mawiał Collin, ilekroć miała opory przed nowym manewrem. Powtarzaj sobie bez końca, że to dla Roberta. To doda ci sił, a potem pójdzie już

łatwiej. To już prawie rutyna.

- Rutyna - powtórzyła Ashley z powątpiewaniem. Nie wydaje mi się, żebym kiedykolwiek mogła uważać to za rutynę.

Ale największą przykrość sprawiała jej to, że nie mogła Wyjść poza granice posiadłości Sea Cliff. Na ogół była zbyt zajęta albo zmęczona, żeby o tym myśleć, zdarzało się jednak, że Collin wyjeżdżał na Manhattan. Czasem nie było go cały dzień. Wówczas wędrowała po terenie posiadłości, gubiąc się w myślach.

Siedząc na szerokich marmurowych schodach przed głównym budynkiem, dostrzegła powracające srebrne Ferrari Collina, jeden z wielu jego samochodów. Wstała i zeszła po schodach.

- Jestem szczęśliwa, że cię nareszcie widzę - rzekła na powitanie. - Spędzanie całego dnia bez ciebie to piekło.

- Być może szybko zmienisz zdanie, gdy się dowiesz, co mam ci do powiedzenia. - Collin nie uśmiechał się, zbliżając się do niej.

Ashley stanęła jak wryta.

- To nic poważnego, ale ... Robert jest w szpitalu.

- Co takiego? - Wyglądała, jakby zaraz miała stracić przytomność.

- Nie przejmuj się tym tak bardzo. To nic poważnego

- uspakajał ją, biorąc w objęcia. - To tylko wycięcie migdałów.

- Skąd wiesz? - spytała zaniepokojona. - Jak się o tym dowiedziałeś?

Collin zmarszczył brwi.

- Wiesz, Ashley, mam swoje sposoby. - Było oczywiste, że tej sprawy nie wyjaśni. Przynajmniej nie od razu. - Muszę go zobaczyć - rzekła szybko, nie pozostawiając wątpliwości, że nie podejmie żadnej dyskusji.

Deverell zaprzeczył ruchem głowy.

- To nie wchodzi w rachubę.

- Do diabła z twoimi rachubami! - krzyknęła Ashley.

- Przecież rozmawiamy o moim dziecku! To maleństwo ... zupełnie samo, pierwszy raz w szpitalu!

Jestem jego matką! On mnie potrzebuje!

- Nie możemy ryzykować! - tłumaczył Collin. - Nie wolno nam podważać powszechnego przekonania, że wyjechałaś do Kalifornii...

- Mam gdzieś, co ktoś sobie pomyśli! - ucięła ostro Ashley. - Muszę go zobaczyć!

Widząc, że jej nie przekona, zamilkł na chwilę.

- W porządku - rzekł wreszcie, uznawszy się za pokonanego. Po co w ogóle z tym wyskakiwał? -

Daj mi trochę czasu na przemyślenie tej sprawy. Myślę, że coś wykombinujemy.

Collin otworzył drzwi i się rozejrzał, upewn'iając się, że nikt ich nie widzi. Cofnął się na klatkę schodową, gdzie stała Ashley, trzymając ogromną torbę na zakupy.

- Droga wolna - rzekł przyciszonym głosem. - Tylko pamiętaj o naszej umowie.

Ashley przytaknęła.

- Pięć minut i ani chwili dłużej.

- Mam nadzieję, że Robert nie roztrąbi wszystkim o naszej wizycie.

- Na pewno nie. Już ja to załatwię.

- Tylko żeby ci się udało. - Collin jeszcze raz uchylił drzwi. - Idziemy.

Poszli szybko korytarzem, sprawdzając po drodze wszystkie pokoje, aż wreszcie znaleźli ten, którego szukali.

- Ty wchodzisz - stanowczo polecił Collin. - Zaraz będę z powrotem.

Zanim odszedł, chwyciła go za rękę.

- Dokąd idziesz? - zapytała przestraszona. Uśmiechnął się szeroko.

- Muszę zorganizować pojazd ewakuacyjny - odparł, całując ją w czoło. - Zaraz wracam.

Ashley weszła na salę i rozpięła zamek kurtki. Pierwsze łóżko było puste. Na drugim, bliżej okna,



spokojnie spał Robert. Kobieta cicho stanęła przy łóżku dziecka, spoglądając na nie z macierzyńską miłością.

- Boże, syneczku, jak bardzo mi cię brak - rzekła łagodnie, gładząc jego włosy.

Otworzył oczy i przyglądał się jej przez chwilę, jakby uważał, że to sen.

- Mamunia? - rzekł ochryplym głosem. Pochyliła się i pocałowała syna w czoło.

- Tak - rzekła łagodnie. - Jak się czujesz? - Mam chore gardło.

Ujęła małą rączkę w swoje dłonie.

- To szybko przejdzie - zapewniła go. - Jesteś dużym, silnym chłopcem. Ani się spostrzeżesz, jak cię stąd wypuszczą.

- Kiedy wrócę do domu, mamuniu? - zapytał. - Chodzi mi o to, kiedy będę z tobą na zawsze?

- Już niedługo, synku - zapewniła, odgarniając włosy z jego czoła. - Przrzekam ci.

Wtem powrócił Collin, ciągnąc wózek operacyjny.

- Czas minął, Ashley - oznajmił, wskazując palcem na zegarek.

- Jeszcze tylko minutkę - błagała.

- Kto to jest, mamuniu? - zapytał szeptem Robert.

- To mój przyjaciel. On mnie do ciebie przyprowadził.

- Ashley!

Skinęła głową.

- W porządku. - Nachyliła się, żeby pocałować dziecko na pożegnanie. - Posłuchaj mnie, synku, chcę cię poprosić, żebyś coś dla mnie zrobił.

Chłopczyk spojrział na nią szeroko otwartymi oczami. Collin ubierał się właśnie w wielki, zielony chirurgiczny kitel.

- Nie wolno ci nikomu powiedzieć, że tu byliśmy - rzekła powoli i dobitnie.

- Czemu?

- To musi być nasz sekret.

Robert kiwnął główką.

- Nie traćmy czasu, Ashley - przynaglał Collin. Obserwował bacznie korytarz. - Szybko! Ktoś nadchodzi!

- Już idę. - Pocałowała Roberta jeszcze raz. - Nie zapomnij, kochanie, o co cię prosiłam.

Przytaknął w milczeniu, dławiąc łzy.

Ashley uściśnęła rączkę syna, wskoczyła na wózek i ściągnęła z nóg kozaki. Posłała Robertowi jeszcze jednego całusa i położyła się na wózku. Collin nakrył ją prześcieradłem, pozostawiając odkryte bosc nogi. Dał Robertowi znak podniesieniem kciukiem, naciągnął na twarz chirurgiczną maseczkę i wytoczył wózek na korytarz. Po drodze do windy, znajdującej się tuż za pokojem pielęgniarok, minął Bradleya i Claudię Hollisterów.

Gdy tylko znaleźli się w windzie, ściągnął- z Ashley prześcieradło.

- Możesz wstać - powiedział. - Jesteśmy sami. Usiadła na wózku i zaczęła wkładać kozaki.

- Niewiele brakowało - rzekła z niewyraźnym uśmiechem.

- Nawet nie wyobrażasz sobie, jak niewiele - bąknął, zdejmując maseczkę. - Na korytarzu minęliśmy twoich teściów.

- Moich byłych teściów - poprawiła Ashley ponuro, zapinając kurtkę.

- Przekonałaś się, że wszystko w porządku? - zapytał Collin, gdy winda zbliżała się do parteru.

- Owszem.

- Na górze zachowałaś się bardzo rozsądnie - rzekł, gdy przemierzali ruchliwy szpitalny hol. - Zasugerowałaś mi coś. Jesteś przygotowana do swojej pierwszej roboty.

Ashley trzymała w rękę latarkę i przyglądała się w milczeniu, jak Collin sięga do plecaka po mały nożyk do cięcia szkła. Nie trwało to nawet minuty, jak zręcznie wyciął szybę ze świetlika.

- Cholera! - mruknął zirytowany, gdy zobaczył całą siatkę przewodów alarmowych, blokujących przejście.

- Co się stało? - dopytywała się Ashley.

- To piekielna pułapka! Gdybym w porę tego nie zauważył, mielibyśmy kłopoty - odrzekł Collin,

wyjmując z plecaka dość długi przewód z zaciskami na obu końcach. Ostrożnie wyszukał początek przewodu alarmowego. Obnażył kabel i delikatnie założył nań zacisk szczękowy, po czym wciągnął szczypcę i odciął przewód. Ashley, cała spięta, była przekonana, że zaraz rozlegnie się alarm, ale nic takiego się nie stało. Odetchnęła z ulgą, gdy Collin zakończył pracę.

- Czy to już wszystkie przeszkody, jakie mieliśmy do pokonania? - zapytała, widząc, że współnik rozwija składaną drabinę.

Collin potrząsnął głową.

- Gdyby włamywanie się było takie łatwe, znacznie więcej ludzi uprawiałoby ten proceder.

Niestety, dopiero zaczynamy.

Weszli przez świetlik do wnętrza budynku. Collin wyciągnął z plecaka dwie pary specjalnie zaprojektowanych okularów noktowizyjnych i podał Ashley jedno z nich.

- Nałóż to - polecił.

- A to po co? - zapytała. Nie słyszała jeszcze o podobnym sprzęcie.

- Okulary umożliwią nam identyfikację niewidzialnych promieni - wyjaśnił Collin, nakładając swoją parę i odpowiednio ją dopasowując.

- Niewidzialne promienie? - zapytała z rosnącym poczuciem zagrożenia.

- Czujniki ciepła - powiedział, zakładając plecak reagują na nagłe zmiany temperatur. Jak przetniesz taki promień, niby nic się nie dzieje. Dopiero w momencie wychodzenia ze strefy promieniowania, gdy temperatura spada gwałtownie, zaczyna się piekło.

Ashley nałożyła gogle i rozejrzała się. Wszędzie było pełno promieni.

- Jak zdołamy przed tym umknąć? - zapytała.

- Musimy zastosować parę sztuczek - odrzekł Collin.

- Niektóre z tych promieni biegną na tyle wysoko, że można uchylić się przed nimi, inne tak nisko, że łatwo je przeskoczyć. Ale czasem trzeba mieć sprawność olimpijskiego gimnastyka, by sobie z nimi poradzić.

- No to klawo - wymamrotała Ashley.

- Rób tylko to co ja, a wszystko będzie dobrze - zapewnił Collin. - Na pewno?

Poruszali się ostrożnie po budynku, uchylając się, czołgając, przeskakując, wszystko po to, by nie zetknąć się z promieniami, krzyżującymi się w różnych kierunkach we wszystkich pomieszczeniach.

- Nic mnie tak nie fascynuje, jak prawdziwa próba sił - powiedział Collin, chcąc rozładować narastające w Ashley napięcie.

- W takim razie bawisz się znakomicie - mruknęła ponuro.

- Sejf znajduje się w bibliotece - poinformował ją, gdy schodzili po schodach. Przekraczając próg tego pomieszczenia, Ashley myślała, że zemdleje. Dostępu do wnęki, w której znajdował się sejf, broniło przynajmniej dwanaście promieni.

- To straszne dojsć tak daleko i ostatecznie uznać się za pokonanego - lamentowała Ashley, gotowa poddać się i zawrócić.

- Nigdy nie wracam z pustymi rękoma - rzekł Collin stanowczo.

Jej oczy rozszerzyły się z niedowierzania.

- Posłuchaj, nie wiem, co znajduje się w tym przeklętym sejfie, ale nie może tam być nic takiego, za co warto dać się zamknąć w kryminale! - protestowała.

- Nie wyjdę stąd, dopóki tego nie dostanę - upierał się. - I ty również.

- Do diabła! - zaklęła Ashley, zirytowana gotowością narażania życia dla paru kosztowności i kilku kompromitujących dokumentów, złożonych tu przez jakiegoś potężnego mafiosa. - To niemożliwe. Ty tego nie potrafisz ...

- Masz ab~olutną rację - wpadł jej w słowo. - Nie poradziłbym sobie sam, ale razem pokonamy wszystkie przeszkody.

- Ale jak? - spytała błagalnie.

- Chodź tu, pokażę ci. - Podprowadził ją tak blisko sejfu, jak to tylko było możliwe bez wywoływania alarmu, położył się na podłodze i przeczołgał pod najniższym z promieni.

Przyglądała się z podziwem, jak Collin otwiera sejf i wyjmuje z niego biżuterię. - Można to uznać

za dobry znak. - Zadowolony, podał współniczce zdobycz, omijając promienie. - A teraz bardzo ostrożnie ... nie wolno naruszyć systemu alarmowego.

- Nigdy w życiu - powiedziała, wkładając kosztowności do przewieszzonego przez ramię płóciennego worka.

Collin wrócił do sejfu i wyjął z niego rulon owinięty gumową taśmą.

- Oto główny przedmiot naszego zainteresowania. Podał Ashley rulon. - Wystarczy, żeby posłać Hollistera za kratki na bardzo długi okres. .

Zamknął sejf, podczas gdy Ashley upychała zdobycz w worku.

- I co dalej? - zapytała, patrząc, jak Collin nakłada plecak.

- Teraz dopiero zacznie się zabawa. - Jak podam komendę, wiesz ile sił w nogach tą samą drogą, jaką tu przyszliśmy.

- Mamy uciekać? Dlaczego?

- Bo za dziesięć sekund rozlegnie się tu piekielne wycie. - Wziął głęboki oddech. - Do biegu, gotowi... Start!

Collin przekroczył linię promieni i wywołał tak głośny alarm, że budynek trząsł się w posadach. Ashley myślała, że popękają jej bębenki, gdy gnali po schodach w kierunku attyki. Weszli na dach po składanej drabince, po czym wciągnęli ją przez świetlik. Collin zwinął ją i krzyknął do Ashley, wręcz sparaliżowanej strachem:

- Dalej, naprzód! Do diabła, musimy się stąd jak najszybciej wydostać!

Popędził po dachu zwinnie jak kot, a ona podążała za nim. Gnał blisko brzegu z niezachwianą pewnością doskonale wyćwiczonego sportowca. Ashley była przekonana, że za chwilę spadnie. Jak będę miała szczęście, skręcę sobie kark na miejscu - myślała smętnie. - Wszystko jest lepsze od kryminału. Wszystko, tylko nie to.

Collin złapał linę, po której wdrapali się na dach, szarpnął nią mocno, żeby upewnić się, czy hak nadal mocno trzyma. Zsunął się sprawnie po ścianie i dał znak Ashley, by zrobiła to samo.

Uchwyciła więc linę i z pewnymi oporami zaczęła schodzić.

- Pospiesz się! - zawołał. - Po prostu spadaj! Ja cię złapię!

Chciałabym w to uwierzyć - pomyślała. Wzięła głęboki oddech, zamknęła oczy i zjechała po linie.

Lot trwał bardzo krótko. Collin złapał ją z łatwością, postawił na ziemi i odczepił linę. Pobiegli przez drogę w kierunku lasku, gdzie czekał Excalibur. Collin pospiesznie ściągnął rękawiczki, porozpinał czarny kombinezon, odkrywając smoking. Spakowawszy niepotrzebne rzeczy do worka na pranie, włożył białą wizytową marynarkę, która leżała w samochodzie, i przyglądał się, jak Ashley zrzuca swój kombinezon niczym wąż starą skórę. Biała szyfonowa sukienka wieczorowa rozwinęła się niby kwiat i opadła lekko aż do samych kostek.

- Czułam się tak, jakbym miała na biodrach ciasny bandaż - skarżyła się, rozpinając zamki kamaszy i zrzucając je z nóg.

Gdy wkładała pantofelki na wysokim obcasie i mocowała się z futrem sobolowym, Collin pozbierał jej rzeczy i wsadził wszystko do worka, który potem znalazł się w bagażniku razem z plecakiem, zawierającym wszystkie przybory włamywacza. Zasiadł za kierownicą Excalibura i w tym momencie w oddali rozległy się syreny wozów policyjnych.

- Dokładnie co do minuty. - Odetchnął z ulgą, zapalając silnik wozu, i wjechał na główną ulicę. - Dobrze, że zmierzamy w przeciwnym kierunku.

Po przejechaniu niecałej mili usłyszeli jeszcze więcej syren. Sygnały zbliżały się coraz bardziej.

- Cholera jasna! - mruknął Collin, uderzając ze złością w kierownicę.

- Wygląda na to, że jadą nam naprzeciw - rzekła Ashley, wskazując ręką do przodu. - Nie mamy szans im się wymknąć.

- Nawet bym nie próbował. - Collin zjechał na pobocze i wyłączył silnik.

- Co ty wyprawiasz?

- Teraz nie ma czasu na wyjaśnienia - odparł, gdy tymczasem samochód policyjny zbliżył się, oślepiając ich światłami. - Patrz i ucz się.

- A czy mam inne wyjście? - odparła bezsilnie. Radiowóz zatrzymał się przy nich. Collin wysiadł z Excalibura i szedł spokojnie na spotkanie z policjantem.

- Co się stało? - zapytał funkcjonariusz, wysiadając ze swojego samochodu. - Ach ... to pan Deverell. Nie poznałem pana.

- Wszystko gra. - Collin uśmiechnął się od niechcianej. - Mam mały kłopot z silnikiem, a nie jestem wytrawnym mechanikiem.

- Jeśli pan chce, mogę zajrzeć do środka - rzekł policjant usłużnie. - Całkiem nieźle radzę sobie z samochodami.

Collin zaśmiał się.

- Bardzo to doceniam. Narzędzia leżą w bagażniku, jeżeli pan czegoś potrzebuje.

Ashley pobladała. On chyba zwariował - pomyślała. Zachęca tego faceta, żeby przejrzał bagażnik!

- Zajrzyjmy najpierw pod maskę - zaproponował policjant. Nie omieszkał rzucić okiem na Ashley. A więc to jest ta dama! Wszyscy wiedzieli, że Collin Deverell żyje z jakąś kobietą, ale nikt nie widział jej na oczy. Jego posiadłość to prawdziwa forteca; nikt się tam nie dostanie, chyba że Deverell sam go zaprosi. Kobieta wyglądała na zdenerwowaną. - Jest pan dość daleko od domu, prawda? - zapytał policjant, gdy Collin podnosił maskę Excalibura.

- Cały wieczór spędziliśmy na Manhattanie, ale przyjęcia dobroczynne bywają bardzo nudne, więc postanowiliśmy wyjść nieco wcześniej i skorzystać z tego cudownego wieczoru. - Collin zniżył głos do konspiracyjnego szeptu. - Prawdę powiedziawszy z samochodem wszystko w porządku.

Policjant popatrzył na niego. - Czyżby?

- Ano - zaczął Collin powoli, kiwając znacząco do Ashley, która przyglądała się im z niepokojem, ponieważ nie mogła zrozumieć, o czym rozmawiają; pan wie, jak to jest...

Policjant rozpromienił się, gdy wreszcie wszystko zrozumiał. To dlatego ta kobieta jest taka zdenerwowana! Najwidoczniej zepsuł jej zabawę. Zwrócił się z niepokojem do Collina:

- Przepraszam za kłopot - usprawiedliwił się. U Van Hydesów dzisiejszego wieczoru było włamanie, więc ...

- No właśnie ... słyszeliśmy syreny - rzekł Collin przytakując. - Czy Van Hydesów nie ma w domu?

Policjant skinął głową.

- Są na wakacjach. Kimkolwiek jest włamywacz, to świetny fachowiec. Od kolegów, którzy dotarli już na miejsce, dowiedzieliśmy się, że sforsował skomplikowany system bezpieczeństwa i dostał się do sejfu w ścianie.

- Co pan powie!

- Naprawdę. Nie powiedziałbym, że ten facet nie zna się na robocie. - Zamilkł na chwilę. - No, na mnie już czas. Życzę przyjemnego wieczoru. - Pomachał ręką na pożegnanie.

- Przez chwilę myślałam, że przesadziłeś - powiedziała Ashley, gdy Collin powrócił do samochodu. Uśmiechnął się szeroko.

- Przyjemnie posłuchać dobrych opinii o swojej robocie - rzekł. - Nie jestem pod tym względem żadnym wyjątkiem. - Zapalił silnik i ruszył z pobocza w tym samym czasie co samochód policyjny.

- Nazywasz to swoją robotą? - zapytała Ashley.

- A jak ty byś to określiła? Hobby? Konkurencją sportową?

- Perwersją. Muszę przyznać, że byłabym szczęśliwa, gdybyś w końcu z tego zrezygnował.

- Jeśli nie chcesz wzbudzać podejrzeń, musisz zachowywać się zupełnie naturalnie - stwierdził Collin.

- To cała twoja filozofia? - zapytała Ashley.

- Jedna z wielu.

- Co mu powiedziałaś? - zacięła się.

- Że zaparkowaliśmy tu sobie - odrzekł Collin z lubieżnym uśmiechem.

- Dziękuję, jesteś wspaniałą!

- Spisałaś się dzisiaj bardzo dobrze - pochwalił. - Uważam, że to zasługuje na nagrodę. - Wyciągnął torbę spod swojego siedzenia.

Wydobyła dużą papierową torbę. W środku znajdowała się butelka Dom Perignon. Ashley zagwizdała cicho.

- Ale mnie zaskoczyłeś!

- Tylko nie zapomnij o szkle.

Jeszcze raz sięgnęła do torby i wydobyła z niej paczkę papierowych kubków. Wybuchnęła gromkim śmiechem.

- Wszystko w najmodniejszym stylu - oświadczyła. Dom Perignon w kubkach!

- Nie zdążyłem nic lepszego zorganizować w tak krótkim czasie.

- Jak to wszystko do siebie pasuje! - żartowała Ashley. Odkorkowała szampana i nalała do kubków; jeden podała Collinowi. - Gdybym cię nie spotkała, jakie miałabym nudne życie!

- Nie chciałbym, żeby to zabrzmiało jak komunał, moja droga, ale do tej pory nie przeżyłaś jeszcze nic!

*Nowy Jork, czerwiec 1987*

Anton De Vries ze złością rzucił gazetę na biurko, załamany tym, że nie ma wystarczających dowodów, by aresztować Collina~ .. lub przynajmniej przekonać Interpol o słuszności swojej teorii. Muszę wsadzić Deverella za kratki za te przestępstwa - powtarzał w myślach bez końca.

Przypomniał sobie ostatnią rozmowę z Dussaultem w Paryżu. Inspektor nie dał się przekonać argumentami, które dla De Vriesa były tak oczywiste! Francuz utrzymywał, że tylko przez zbieg okoliczności przedmioty zrabowane w czasie napadów okazały się rzeczami, które ukradziono z posiadłości Deverellów w 1979 roku. Collin Deverell jest w końcu bardzo bogatym człowiekiem, spadkobiercą jednej z największych fortun na świecie, a ponadto osobistością powszechnie znaną z imprez filantropijnych i różnych szlachetnych inicjatyw. Bardzo trudno uznać tego człowieka za zwyczajnego złodzieja.

Nawet bezpośredni przełożony De Vriesa nie dał się przekonać.

- Przecież sam utrzymywałeś, że on jest niewinny, gdy wszyscy, ze mną włącznie, chcieli oskarżyć go o oszustwo.

- Bo on istotnie był niewinny ... wówczas. Ktoś mu podłożył świnie - utrzymywał De Vries. - Ale teraz już nie jest niewinny. To on dokonał tych wszystkich kradzieży.

Przypomniał sobie rozmowę z Justinem Deverellem:

"Mój brat jest całkowicie oddany pogoni za wielką przygodą ... to jego życiowa pasja".

To, że nikt nie chciał uwierzyć w teorię De Vriesa, jeszcze bardziej dopingowało go, żeby zaprowadzić Collina Deverella przed oblicze sprawiedliwości. Ten problem stał się obsesją agenta, który całe noce myślał, jak osaczyć tego człowieka.

- Nie patrz w dół - myślała Ashley, pnąc się powoli na szczyt ściany. Parę kroków z przodu szedł Collin, pokonując drogę dzielącą ich od balkonu sypialni gospodarza, a zwłaszcza ostatni, półtorametrowy odcinek, w sposób tak naturalny, jakby biegł po schodach. Ashley poruszała się dużo ostrożniej.

- Chyba sobie nie poradzę - wyznała.

- To łatwe! Skok taki. jak ten wykonywałaś dziesiątki razy! - zapewniał ją.

- Ale trzęsę się cała!

- Do cholery, zachowaj zimną krew! - Collin zrzucił plecak w pobliżu drzwi balkonowych.

Ponownie zwrócił się do Ashley i wyciągnął ku niej ramiona. - Uchwyc się moich rąk!

Najpierw wytrzeszczyła oczy, po czym zrobiła, jak kazał. Złapała go mocno za ręce i nie patrząc w dół, skoczyła na balkon. Gdy odzyskiwała równowagę, on, wyciągnął z plecaka futerał z czarnej skóry, zawierający przybory do manikiuru. Wyjął z niego wąski pilniczek i w ciągu paru sekund stworzył nim zamek.

- Czy jest zamek, z którym byś sobie nie poradził? \_ zażartowała Ashley.

Otwierając szeroko drzwi, Collin uśmiechnął się.

- Takiego jeszcze nie wynaleziono.

Weszła za nim do ciemnego pokoju. Złapał ją za rękę i przeprowadził przez salon. Gdy znaleźli się w bibliotece, założyli gogle, spodziewając się, że spotkają tu, podobnie jak najczęściej w ciągu ostatnich dwu miesięcy, czujniki ciepłe. Zawiedli się.

- Jasna cholera! - zaklął Deverell, drapiąc się nerwowo po głowie. - Kto mógł się tego spodziewać?!

- To nie są czujniki ciepłe? - zapytała zaskoczona Ashley.

- N o tak, że też nie przyszło mi to do głowy. - Collin odetchnął głęboko. - To lasery.

- Co takiego?

- Cholerne lasery! Jak wejdiesz pomiędzy te promienie, nie wywołasz alarmu... po prostu zostaniesz upieczona jak kaczka!

Ashley z trudem przetykała ślinę.

- Więc wycofujemy się? - rzekła słabym głosem.

- Mowy nie ma - odparł, potrząsając głową. - Potrzebujemy tego, co znajduje się w tym sejfie, i nie wyjdziemy stąd, dopóki nie osiągniemy celu.

Spojrzała na niego przerażona.

- Przecież powiedziałeś przed chwilą ... Collin spenetrował pokój wzrokiem.

- Tu musi znaleźć się coś odpowiedniego ... - mrucał pod nosem. Wtem dostrzegł na małym stoliku w pobliżu drzwi puderniczkę. - Lusterko ... oczywiście!

Ashley patrzyła na niego, nic nie rozumiejąc.

- Twój mózg chyba już został upieczony - biadolila. Zawsze uważałam cię za wyjątkowy okaz. Teraz to potwierdzasz.

Collin nerwowo złapał puderniczkę i otworzył ją szybko, żeby przekonać się, czy jest w niej całe lusterko. - To powinno poskutkować - stwierdził optymistycznie.

- Jakie szaleństwo przyszło ci znowu do głowy? Popatrzyl na nią z chytrym uśmieszkiem.

- Czy widziałeś kiedyś skorpiona, który żądli samego siebie?

Serce Ashley prawie zamarło z przerażenia. Jej puls łomotał, gdy Collin opadł na kolana i zbliżył się do promieni, rzucających oślepiająco biały blask. Pewną ręką, której pozazdrościłby mu chirurg, ustawił powoli lusterko w odpowiedniej pozycji, by wyłowić śmiertelny promień, i ostrożnie go odbił. Ashley przyglądała się tej operacji, jakby miała lada moment stracić przytomność. Promień lasera kierował się coraz bardziej w stronę źródła emisji. W momencie, gdy światło powróciło do swojego źródła, nastąpił oślepiający błysk, któremu towarzyszyło głośne wyładowanie. Ashley cofnęła się widząc, jak pomieszczenie wypełnia się dymem. Collin przysiadł na piętach i ściągnął gogle, ocierając pot z czoła. Był zadowolony i uśmiechnięty.

- Niezła robota ... muszę przyznać bezstronnie, chociaż to moje własne dzieło - oświadczył.

Podniósł się i zatrzasnął puderniczkę, kładąc ją z powrotem na stoliku, a następnie WYtarł ręce o kombinezon. - Robimy swoje?

- Cokolwiek znajduje się tam w środku, musi być cholernie ważne dla Dunwalda, skoro zadał sobie tyle trudu, żeby to zabezpieczyć - rzekła Ashley, gdy zbliżali się do sejfu.

- To prawda - przyznał Collin. - Są ludzie, którzy byliby w stanie mordować, żeby zdobyć tę tajemnicę.

Ashley otworzyła szeroko oczy. - Zabijać za coś takiego?

- Dunwald wie prawie tyle samo o działalności tej szajki, co sam Hollister. Posiada wystarczająco dużo dowodów, żeby posłać ich wszystkich za kratki. Te informacje stanowią dla Dunwalda polisę ubezpieczeniową na życie: jak długo je posiada, nikt go nie tknie.

- I to mu zapewnia komfort psychiczny?

- Jasne. - Collin wziął do ręki przyrząd przypominający lekarski stetoskop, a plecak podał Ashley. Przyglądała się, jak wykorzystywał ten instrument w czasie wybierania numeru szyfru. Po kilkunastu sekundach sejf został otwarty, a Deverell przeglądał jego zawartość.

- Czy coś z tego się nam przyda? - zapytała Ashley. Przerzucając dokumenty, Collin skinął głową.

- Dużo się przyda, ale miałem nadzieję, że znajdę to, co najważniejsze - oświadczył. - Najwidoczniej stary Dunwald nie ma zaufania nawet do najbardziej zaawansowanego technicznie systemu bezpieczeństwa.

Ashley uśmiechnęła się bez przekonania.

- Może to twoja reputacja wzmaga czujność przeciwnika?

- A to dranie - mrucał pod nosem Collin, wciąż jeszcze przeglądając papiery. Raptem zgarnął całą zawartość sejfu do plecaka i zarzucił go na ramiona. Odwrócił się do Ashley i szepnął: - Uciekamy! Wybiegli z biblioteki i pogqali po schodach do salonu gospodarza. Wyszli na balkon, z którego Collin przeskoczył jednym susem na szczyt muru. Popędzili po nim aż do zaparkowanej na dole furgonetki i zeskoczyli na jej dach. Ashley skorzystała z drabinki, zainstalowanej na bocznej ścianie pojazdu, a Collin skoczył prosto na ziemię. Natychmiast usiadł za kierownicą i zapalił silnik. Z oddali usłyszał zbliżający się odgłos syren policyjnych. Ktoś musiał usłyszeć wybuch lasera i doniósł o tym policji. Niewiele brakowało - pomyślał Deverell.

- Za co ja, do cholery, płacę tym ludziom? - krzyknął gniewnie Collin, rzucając słuchawkę z taką wściekłością, że odezwał się dzwonek.

- Masz jakiś problem? - Harrison spokojnie zbierał ze stołu srebra i talerze. Już drugi z kolei posiłek Collin spożywał w swoim gabinecie, załatwiając do późnej nocy liczne rozmowy telefoniczne. Dzwonił do Europy.

- Oczywiście! Denerwuje mnie niekompetencja ludzi, których wynajmuję - narzekał, rozpierając się na krześle. Miał zmierzwione włosy, a drobne zmarszczki dookoła oczu i ust jakby pogłębiły się nagle. - Płacę tym cholernym detektywom dużo więcej, niż są warcii.

- To oczywiste - rzekł łagodnie Harrison. Przyzwyczyił się do tych wybuchów gniewu i nie miał najmniejszych wątpliwości, że jeśli powinien coś wiedzieć, Collin na pewno mu o tym powie.

- Ileż to już lat, Henry, siedzą w mojej kieszeni? - zapytał Collin. Obaj dobrze wiedzieli, że w ogóle nie potrzebuje odpowiedzi na to pytanie.

- J;>rzynajmniej pięć - zaopiniował Harrison.

- Pięć powiadasz? - Deverell zastanowił się nad tym.

- Przez pięć lat nie potrafili zlokalizować Yasmin! Znaleźli parę urywających się śladów, ale za to słyszę całą furę jałowych wykrętów!

- Europa to spory kontynent. Żyją tam miliony ludzi - powiedział Harrison. - To, czego wymagasz, przypomina szukanie przysłowiowej igły w stogu siana.

Collin zacisnął szczęki.

- Byłem tam przecież - rzucił zirytowany. - Nie zajęło mi zbyt wiele czasu! wytropienie moich kosztowności... i odzyskałem wszystko co do jednego drobiazgu. To czemuż, do diabła, cały pluton detektywów nie potrafi odnaleźć jednej młodej kobiety?

- Nie mam pojęcia.

- Czy do ciebie w ogóle dociera, co mówię, Henry? \_ zapytał Collin podejrzliwie.

- Tak, wszystko - odrzekł Harrison, kłaniając się lekko. Wziął tacę i skierował się do drzwi.

- Gdzie się podziewa Ashley? - zawołał za nim Deverell.

- Myślę, że jest u siebie na górze.

Po wyjściu Harrisona Collin przez pewien czas przeglądał zapiski, jakie porobił w żółtym notatniku. Był sfrustrowany brakiem rezultatów. Zamierzał dotrzymać słowa danego Blackjackowi. Tak czy inaczej znajdzie Yasmin.

- Im dłużej mieszkamy razem, tym bardziej uświadamiam sobie, jak mało o tobie wiem. - Ashley, leżąc w ramionach Collina, westchnęła. - Nawet kiedy się kochamy, odnoszę wrażenie, że jesteś zupełnie gdzie indziej.

- Wiesz o mnie dokładnie tyle, ile trzeba - rzekł cicho Collin, spoglądając w sufit.

- Praktycznie rzecz biorąc, zupełnie nic!

- Nie ma zbyt wiele do opowiadania.

- Rozumiem, dlaczego to wszystko robisz - mówiła dalej Ashley - ale tak naprawdę cię nie znam ... Kim jesteś, czego oczekujesz od życia, co będziesz robił, jak z tym skończysz co lubisz, a czego nie

...

- Sam dobrze nie wiem, co będę robił, więc nie mogę ci odpowiedzieć. - Odwrócił się twarzą do niej. - Nigdy nie zastanawiałem się nad tym poważnie. A moje ulubione zajęcia... Myślę, że wpadłaś na bardzo dobry pomysł.

- Ja wcale nie mam na myśli ... - zaczęła.  
- Zresztą mógłbym to samo powiedzieć o tobie - kontynuował Collin. - Prawdę powiedziawszy, wiem o tobie tylko rzeczy oczywiste - że jesteś bardzo utalentowaną, popularną malarką, swego czasu bardzo kochałaś męża i zapewne wciąż go kochasz bez względu na to, kim są jego rodzice, i że jesteś gotowa walczyć na śmierć i życie o syna. Obwarowałaś się niewidzialnym, murem, którego nikomu nie wolno przekroczyć. - Collin uważał, że oboje są do Siebie w pewnym sensie podobni. Ileż lat świacłomie unikał emocjonalnego zaangażowania, goniąc za beztróskim, nieskomplikowanym życiem? Przez ile kolejnych lat żył w ten sam sposób, kryjąc przed światem ból z powodu utraty rodziców oraz nienawiść do ludzi takich, jak Hollister, Harrington ... Collin przypomniał sobie noc, gdy włamał się do mieszkania Ashley. Jaki bezosobowy chłód tam panował! Apartament był całkowicie pozbawiony sentymentalnych rekwizytów. Deverell doskonale rozumiał jej niechęć do zajmowania się czymkolwiek po śmierci męża i utracie syna. W podobnej sytuacji postąpiłby pewnie tak samo. Ale teraz, gdy żyli już ze sobą, odkrył, że nie chciałby być jej obojętny.

Ashley zawahała się.

- Nigdy o tym nie myślałam - zaczęła wolno - ale po śmierci Brandona i utracie Roberta po prostu zamknęłam się w sobie. Nie chciałam, żeby mnie jeszcze raz zraniono.

- Chciałaś czuć się bezpieczna.

- Właściwie to określiłaś. - Zamilkła na chwilę. - A ty czym możesz się usprawiedliwić?

- W moim ... w naszym zawodzie ludzie nie powinni się do siebie zbliżać - odparł wymijająco.

- Nawet do własnego współnika? - zapytała. Collin uniósł się na łokciu.

- Jesteśmy sobie tak bliscy, jak to tylko możliwe pomiędzy kobietą a mężczyzną. - Lekko gładził jej podbródek opuszką palca, wsysając się w jej usta. Jego ręka poruszała się powoli, niespokojnie szukając piersi, gdy ciała się zbliżyły. Wreszcie odsunął się i patrzył na Ashley w ciemności. - Jesteś bardzo piękna - rzekł, drżąc z emocji. - Za nic na świecie nie chciałbym cię stracić.

Wodziła palcem po wargach kochanka. Ile by dała, żeby się dowiedzieć, o czym on naprawdę myśli, co czuje. Chciała zrozumieć samą siebie. Bywały chwile, że przepełniało ją poczucie winy wobec zmarłego męża. Tak bardzo go kochała! Innym razem pragnęła wyłącznie znaleźć się w opiekuńczych ramionach Collina. Wtedy nie chciała dopuścić do siebie myśli, że po rozprawieniu się z Hollisterami nie zobaczy go nigdy więcej.

- Kochaj się ze mną - poprosiła. - Po prostu kochaj się ze mną.

- Cała przyjemność po mojej stronie - szepnął, pochylając się nad nią, żeby całować jej piersi. Ssał brodawki, najpierw jedną, potem drugą, a jego ręka przesuwała się w dół po brzuchu kochanki, błądziła między jej udami. Nie przestawali się całować. Potem Collin jednym szybkim ruchem wniknął do wnętrza Ashley tak, że zabrakło jej tchu. Przywarła do niego, pracowała razem z nim, aż wreszcie pokój począł dziko wirować. Collin zakończył kilkoma szybkimi, ostrymi pchnięciami, po czym legł obok zmordowany. Przez dłuższą chwilę leżeli nieruchomo, bez słowa. Wreszcie Collin przerwał milczenie.

- Jutro, kochana - rzekł do niej - zaczniemy uczyć cię subtelnej sztuki charakteryzacji.

Collin uczył ją, jak posługiwać się perukami, makijażem oraz barwionymi szklami kontaktowymi, pracować nad mimiką, gestami i sposobem mówienia. Pokazał, jak można zmienić wygląd, używając specjalnie skrojonej odzieży i wkładek w butach. Pomógł opracować i opanować parę różnych akcentów i dialektów. Pewnego popołudnia, gdy uznał, że jest już dostatecznie przygotowana, pomógł Ashley w przeprowadzeniu charakteryzacji, wybrał odpowiednią suknię i długą kasztanową perukę oraz udzielił paru ostatnich wskazówek, jak poprawić francuski akcent. Następnie sprawdzili to nowe wcielenie na służących Deverella, którzy zostali całkowicie wyprowadzeni w pole.

- I co ty na te, Henry? - zapytał Collin, gdy znaleźli się sami w bibliotece.

- To zadziwiające - rzekł starszy mężczyzna. - Gdybym spotkał ją na ulicy, to, słowo honoru, nigdy bym jej nie rozpoznał.

Ashley roześmiała się.



- Jak sądzisz, Henry, czy Danielle mogłaby zrobić ludzi w konia w centrum Paryża? - zapytała podchwytliwie.

Ale na jej pytanie odpowiedział sam Collin.

- Nasz problem polega na tym, czy ona potrafi grać swoją rolę w centrum Manhattanu.

- Rozluźnij się, wyglądasz cudownie ... założę się, że tu I nikt nie skojarzy Danielle Langon z Ashley Gordon-Hollister - zapewniał Collin, gdy oboje wkraczali do zatłoczonego Rainbow Room, znajdującego się w Centrum Rockefellera.

Mocno przytuliła się do niego i szepnęła potwornie spięta:

- Czuję się tak, jakbym popełniła gafę, którą wszyscy zauważyli, tylko ja nie.

- Twojej gafy z całą pewnością nikt nie dostrzeże. Przecież ciebie w ogóle tu nie ma.

Ashley spojrzała na Collina.

- Jesteś cyniczny - syknęła.

- Powinnaś się o tym dawno przekonać, kochanie.

Wskazano im stolik. Collin przedstawił swą przyjaciółkę znajomym, którzy odważyli się do nich podejść tego wieczoru. Ashley zachowywała się dystyngowanie, co nie odzwierciedlało bynajmniej jej wewnętrznego niepokoju. W pewnym momencie, gdy byli zupełnie sami, wyznała, że chyba wszyscy przyglądają się jej bacznie.

Collin uśmiechnął się.

- A jak mogą na ciebie nie patrzeć? Gapią się, bo jesteś piękna.

- No pewnie.

- Naprawdę! - W tym momencie zespół muzyczny zaczął grać. Deverell natychmiast zerwał się i chwycił Ashley za rękę. - Chodź, zatańczymy.

- Ale ...

- Kiedy ja naprawdę chcę z tobą zatańczyć.

Potrząsnęła głową.

- Dobrze ...

Gdy wyszli na parkiet, Collin wziął ją w ramiona i prowadził dookoła powoli, a jego oczy wciąż szukały kogoś w tłumie. Kiedy nareszcie znalazł człdwieka, za którym się rozglądał, wykonał nagły obrót i szepnął jej do ucha:

- Popatrz ponad moim ramieniem na mężczyznę siedzącego samotnie przy narożnym stoliku.

Ashley zrobiła, co kazał. Był to starszy człowiek, gdzieś koło sześćdziesiątki, miał regularne rysy twarzy i lekko siwiejące włosy.

- To nasz króliczek? - zapytała. Collin przytaknął.

- Hanover J arrett we własnej osobie. Nie poznajesz go przypadkiem?

- Nie. A powinienam?

- Jest starszym wiceprezesem Hollister International- wyjaśnił Collin - czyli prawą ręką Bradleya.

Odkąd tu weszliśmy, nie spuszcza z ciebie oka.

- Wspaniale.

- W rzeczy samej. Powiem ci, że jeszcze więcej niż wspaniale.

- N o więc zainteresował się nami - rzekła Ashley. Co zrobimy z tym fantem?

- Nie tyle my ... ile raczej ty, moja droga. Collin uśmiechnął się lekko. - Musisz go zwabić.

- A jak miałabym to zrobić?

- Wykorzystaj swoje babskie sztuczki.

- Już dawno oduczyłam się nimi posługiwać - oburzyła się Ashley.

Collin roześmiał się.

- Możesz mi wierzyć na słowo: w tej dziedzinie nie oduczyłaś się ~bsolutnie niczego. Po prostu uśmiechaj się do niego, daj poznać, że go zauważyłaś. Jeśli wycucie mnie nie myli, on sam dokona reszty.

- Znakomicie.

Collin poprowadził ją po parkiecie w kierunku narożnego stolika. Ilekroć Ashley napotykała wzrok

Jarretta, pochylała nieznacznie głowę i uśmiechała się. Starszy pan z wyraźnym upodobaniem spoglądał na piękną kobietę, ale nie ruszał się.

- To kpiny - szepnęła Ashley Collinowi do ucha.

- Niezupelnie - zaprotestował. - Potraktuj to jak wędkowanie.

- Jak na razie ryba nie bierze.

- Zaraz zacznij brać. Jeszcze tego wieczoru poprosi cię do tańca.

- To straszne. Będę chyba jedyną osobą tańczącą z rekinem, na którego poluję - stwierdziła ponuro.

- Masz go tylko wziąć na hak - rzekł Collin - a ja już pociągnę za linę.

- Na to liczę.

Muzycy przestali grać. Pary powróciły do stolików.

- On nie spuszcza z ciebie wzroku - zauważył Collin, spoglądając w kierunku Jarretta. - Popatrz na niego ... i uśmiechnij się.

Ashley usadowiła się na krześle w ten sposób, żeby widzieć drugą stronę sali. Gdy zauważyła, że Hanover Jarrett na nią spogląda, znowu uśmiechnęła się do niego.

- Jeżeli będę musiała wdziękować się dłużej, wykrzywię sobie twarz - mruzczała.

- Sza! Właśnie nadchodzi - rzekł Collin jednym tchem, widząc, że Jarrett wstał i zbliżył się do ich stolika. - Czy mogę prosić o ten taniec? - zapytał, gdy zespół muzyczny zaczął znowu grać.

Spojrzał kątem oka na Collina. Ten lekko skinął głową.

- Bardzo mi miło - odpowiedziała.

Deverell przyglądał się ciekawie, jak Jarrett prowadzi ją na parkiet. Zdziwił się własną żywą reakcją na widok Ashley bawiącej się z innym mężczyzną. Zrodziło się w nim uczucie zazdrości, którego absolutnie nie rozumiał. Przecież to głupie - rzekł do siebie. - Ona nie należy do ciebie. Za parę miesięcy zniknie z twojego życia i pewnie nigdy jej nie zobaczysz.

W końcu wstał i zaczął przeciskać się przez tłum, oburzony sposobem, w jaki tamten ją obejmował. Dlaczego to nowe uczucie przeszkadza mi w wykonaniu zadania?

Podszedł do Jarretta od tyłu i klepnął go w ramię.

- Pan pozwoli, że odbiję damę? - poprosił grzecznie. Jarrett był niezadowolony, ale zdobył się na uśmiech. - Oczywiście - powiedział ustępliwie.

- Dziękuję ci, przyjacielu. - Collin wziął Ashley w objęcia i uniósł ją w tańcu na drugi koniec parkietu. Musimy wyjść, gdy tylko przestaną grać - szepnął jej do ucha, patrząc, jak Jarrett zajmuje miejsce przy swoim stoliku.

Nie rozumiała, o co chodzi.

- Ale ja sądziłam ...

Collin uśmiechnął się bezczelnie.

- Właśnie wyciągnąłem temu staremu zgredowi portfel.

Ashley była skonsternowana.

- Wciąż nie rozumiem, po co opróżniałeś kieszenie tego faceta - rzekła, idąc za Collinem do biblioteki. - Na co potrzebny nam jego portfel?

- Przekonasz się. - Podszedł do ściany zabudowanej regałami i nacisnął dźwignię, żeby otworzyć pomieszczenie z komputerami. Gdy weszli do środka, sprawdził zawartość portfela.

- Prawo jazdy ... karty kredytowe ... automatyczna karta bankowa. - Spojrzał na Ashley i się uśmiechnął. Jestem przeświadczony, że używając tego, nie dowiedzielibyśmy się, jak w rzeczywistości wygląda waluta Stanów Zjednoczonych. Te karty to majątek.

- Co wobec tego zrobimy? - zapytała Ashley. - Czy będziemy biegać po sklepach, kupować ile się da i płacić jego kartami? i.

- Nie. On sam to robi. Na razie nic jeszcze o tym nie wie - powiedział Collin. - Zgaś światło.

Posłusznie wyłączyła górne światło, tymczasem on zajął miejsce przy jednym z monitorów. Ashley usiadła obok. Cały pokój zalewało tajemnicze zielone światło, płynące z ekranu.

- Jaki masz plan? - zapytała.

- To zależy - rzekł powoli, nie przerywając sprawdzania kart Jarretta. - Zobaczymy, co tutaj mamy. - Wystukał na komputerze odczytane hasło. Ekran ożywił się natychmiast. Collin przyglądał się przez

chwile obrazowi, po czym znowu wystukał coś na klawiaturze. Po kolei sprawdzał Departament Motoryzacji, Ubezpieczenia Społeczne, Stowarzyszenie Kombatantów i wykazy wszystkich składów i towarzystw naftowych, które wystawiły karty kredytowe na nazwisko Hanover Jarrett. Drukarka pracowała nieustannie, podczas gdy Collin spoglądał na ekran, analizując każdy szczegół.

- Niczego, do cholery, nie mogę znaleźć - odezwał się wreszcie zakłopotany. - Byłem gotów się założyć, że na coś trafię, ale do tej pory wydaje się czysty jak łąka.

- A może jest rzeczywiście uczciwy - zasugerowała Ashley.

- Nie, to niemożliwe, skoro jest człowiekiem Hollistera - mruzczał gniewnie Collin. - W tym musi coś być. Musimy to znaleźć.

- Choćbyśmy mieli przesiedzieć całą noc?

- Oczywiście - rzekł stanowczo, po czym włączył inny program.

- Do czyich informacji zamierzasz się wkraść? - zapytała Ashley.

- Do pamięci Manhattan Bank - odparł i utkwiał wzrok w ekranie.

Skonsternowana Ashley mruknęła: - Nigdy bym na to nie wpadła.

Na ekranie zabłyśł napis: PROSZĘ PODAĆ SWÓJ KOD IDENTYFIKACYJNY.

- Masz ci babo placek - komentowała. - To po prostu niemożliwe.

- Nie zdążyłaś do tej pory się przekonać, że nie ma rzeczy niemożliwych? - spytał Deverell i przez chwilę zastanawiał się nad tym, co zobaczył na ekranie. \_ Roland Leder, najważniejsza persona w banku, osobiście opracowywał ten system. Muszę wyobrazić sobie, że mam jego głowę ... i zacząć myśleć tak, jak on by myślał.

- To zaczyna być interesujące - rzuciła Ashley.

- Leder to rutyniarz. Pewnie zależy mu na tym, by kod był dostatecznie prosty dla personelu, który musi posługiwać się nim codziennie. Niemniej jednak powinien być na tyle skomplikowany, żeby zapobiec włamaniom. .

Deverell przemyślał to starannie i wystukał coś na klawiaturze.

TO NIEWŁAŚCIWY KOD IDENTYFIKACYJNY. Napis zniknął.

- Jasna cholera! - Collin odetchnął głęboko i spróbował. I znowu źle. Ale nie zniechęcał się.

Spróbował jeszcze raz. I jeszcze. Aż wreszcie zaświtał mu w głowie nowy pomysł. N atychmiast wypróbował go. Nastąpiła dłuższa przerwa, zanim na ekranie pojawiła się odpowiedź: SYsTEM OTWARTY. PROSZĘ KONTYNUOWAĆ.

- Mam go! - wykrzyknął podniecony. - Teraz weźmiemy go pod lupę! - Collin wszedł w bankowy system pamięci, wyciągając z niego kompletny wykaz transakcji Jarretta. W skupieniu analizował informacje punkt po punkcie i sporządzał z nich wydruk.

- Byłem tego absolutnie pewien! - oświadczył triumfalnie.

- Czego byłeś pewien? - spytała Ashley, ciekawa odkrycia.

- Spójrz na to - pokazał dane widoczne na ekranie. To suma i częstotliwość transferów .

- A co to wszystko znaczy?

- Nasz przyjaciel Hanover Jarrett jest oszustem!

- Przyganiał kociół garkowi, że smoli.

- Mówię poważnie. - Collin przyglądał się jarzącym się cyfrom. - Ogromne wpływy, Bóg jeden wie z jakich źródeł... gigantyczne sumy, przenoszone na kilkanaście numerowanych kont w Szwajcarii. Chryste Panie, ten człowiek pierze więcej pieniędzy niż chiński szuler!

- Do czego to się nam przyda? - spytała Ashley.

- To proste - stwierdził Collin. - Wszystkie interesy Jarrett uzgadnia z twoim umiłowanym eks- teściem. Gdy on upadnie, całe podziemne imperium runie razem z nim. Ten wydruk \_ . pokazał palcem pracującą drukarkę - zostanie dostarczony federalnej prokuraturze wraz z innymi dowodami przeciw Bradleyowi Hollisterowi.

Ashley chciała coś powiedzieć, ale powstrzymała ją pojawienie się Harrisona, który podał Collinowi żółtą kopertę.

- To przyszło w tej chwili - oznajmił. Deverell otworzył kopertę i wyjął telegram.

Natychmiast go przeczytał.

- Komu w drogę, temu czas! - oświadczył, a szeroki uśmiech zajaśniał na jego twarzy.
- Chyba wygrałeś na loterii - stwierdziła Ashley.
- Coś lepszego, kochanie - rzekł Collin z uśmiechem. - Wyjeżdżamy do Francji. Na Riwierę, ściśle mówiąc.

)I

*Nicea, sierpień 1987*

Nigdy nie przypuszczałam, że chcąc dowieść słuszności jakiejś sprawy, posuniesz się tak daleko - pokpiwała z Collina Ashley, gdy przemierzali ogromny, kolisty salon w hotelu Negresco, utrzymany w stylu Belle Epoque. Machinalnie rzuciła okiem na zapalony żyrandol z kryształą Baccarata. Kroczyli za chłopcem hotelowym, który, ubrany tradycyjnie w czerwone spodnie i białe rękawiczki, zwawo szedł przed nimi, niosąc bagaż. Posadzka nakryta była olbrzymim dywanem z Aubusson, na ścianach zaś wisiały dzieła Picassa i Legera.

- Kto tu czego stara się dowieść? - zapytał Collin, uśmiechając się przewrotnie. - Nawet w naszym zawodzie kulturalni ludzie robią sobie wakacje

Oboje żartowali, ale doskonale zdawali sobie sprawę, jak ważna jest dla nich ta wyprawa ... i to nie tylko z jednego powodu. Telegram, który Collin otrzymał dwa dni wcześniej, informował o miejscu pobytu córki Blackjacksa, Yasmin. Deverell był zdecydowany bezwzględnie dotrzymać przyrzeczenia, jakie złożył przyjacielowi w dniu wyjazdu z Maroka. Nic na świecie nie mogło przeszkodzić tej podróży. W czasie przygotowań do wyjazdu odkrył, że Tommy Petrano, jeden z najbardziej wpływowych ludzi mafii, też wybiera się do Côte d'Azur.

- Upolujemy dwa zające za jednym zamachem rzekł do Ashley.

Otrzymali wspólny apartament w stylu empire z oknami wychodzącymi na Promenade des Anglais i lazurową toń Morza Śródziemnego. Gdy chłopiec hotelowy wyszedł i nareszcie zostali sami, Ashley natychmiast ściągnęła z głowy blond perukę.

- Dzięki Bogu. - Odetchnęła z ulgą. - To świństwo strasznie mnie parzy. - Rozpuściła włosy i przeczesała je palcami. Podeszła do okna i spoglądała na morze.

- Gdzie znajdziemy tego Petrana? - zapytała wreszcie.

- Już zdążyłem go zlokalizować - mruknął od niechcienia Collin, rozwiązując krawat.

- Ale jak ... - Umilkła, widząc rozbawienie na jego twarzy. - Czyżby to był chłopiec hotelowy?

- Ciepło, ciepło. Na ladzie recepcyjnej leżała wiadomość, gdy zabierałem klucze. - W rękę trzymał małą brązową kopertę. 11- Pan Petrano przebywa u swojego przyjaciela w willi nie opodal Cap-Ferrat.

Ashley zrzuciła z siebie biały lniany żakiet, odsłaniając granatową letnią sukienkę.

- Czemu to takie ważne? - spytała.

- W tej samej willi aktualnie przebywa Yasmin - odpowiedział Collin.

- Więc co robimy?

- A co powiedziałaś na małe włamanko? - zaproponował.

- Żartujesz!

- Niezupenie. Jutro w domu barona de Villeubranne odbywa się wielka gala i wprost umieram z chęci uczestniczenia w niej - rzekł Collin z diabelskimi ognikami w oczach.

Luksusowa willa z widokiem na Morze Śródziemne wywarła na Ashley wielkie wrażenie. Młoda kobieta nie zauważyła po drodze z Nicei do Cap-Ferrat nic równie pięknego. Zbudowany z włoskiego marmuru w kombinacji ze szczególnym rodzajem drzewa pałacyk, z bardzo szerokimi schodami, prowadzącymi do głównego wejścia, przed którym znajdował się staw z liliami wodnymi, wyglądał jak wyjęty z filmu. Gdy wysiadali z wypożyczonego samochodu, Ashley zauważyła, że cała posesja jest oświetlona.

- Nie wygląda to na spotkanie w ścisłym gronie przyjaciół - powiedziała.

- Ależ to takie sobie towarzyskie spotkanie dla trzystu najbliższych kumpli barona - rzekł Collin.  
- Słusznie.

- Problem polega jedynie na tym, że ten baron to skurczybyk i nie ma nawet trzech bliskich przyjaciół, a co dopiero trzystu. Sądzę, że wszyscy, którzy pojawią się tutaj dzisiejszej nocy, są podobni do nas... każdy czegoś potrzebuje. Różnica polega jedynie na tym, że my nie będziemy się nikomu narzucać.

Przeanalizowali szczegółowo plan akcji. Collin był przeświadczony, że Petrano przywiózł cały pakiet papierów transferowych. W zamian za swoje akcje w Intercontinental OH miał dostać od barona inną firmę. Deverell chciał za wszelką cenę zapobiec tej transakcji. Kiedy przygotowywali się do wejścia na teren willi, zwrócił się do Ashley, żeby upewnić się, czy zapamiętała wszystkie posunięcia:

- Wiesz, co masz robić, kochanie?

- Co do joty - zapewniła go.

- Musisz być tego pewna bardziej niż kiedykolwiek, bo masz dziś do wykonania najtrudniejsze zadanie.

- Żeby tylko nie zawiódł mnie mój przyspieszony kurs języka francuskiego - rzekła, gdy wchodzili po schodach. - Czy jesteś pewien, że ludzie wezmą mnie za aktorkę, która ma niebawem kręcić swój pierwszy francuski film?

- Wszyscy ci uwierzą - potwierdził z przekonaniem Collin.

Zostali wprowadzeni do willi przez młodego portiera w białej liberii, który nie omieszkał zapytać ich o personalia, zanim przeszli do wielkiej oszklonej sali balowej z widokiem na morze. Ashley spojrzała na elegancko ubrane towarzystwo.

- Miałaś rację, oceniając liczbę gości na trzysta osób - szepnęła.

- Nigdy się nie myłę - odparł Collin.

Wmieszali się w tłum gości i każde poszło w swoją stronę. Ashley odprężyła się zupełnie. Czuję się tu całkiem dobrze - pomyślała, rozmawiając z gośćmi. - Zlituj się, Boże, mogę tu rozpocząć całkiem nową karierę.

Collin był zajęty rozmową ze znanym francuskim krytykiem sztuki. Spojrzał na Ashley i dał jej umówiony sygnał - mrugnięcie jedną powieką - co miało oznaczać rozpoczęcie akcji. Przeprosiła damę, z którą akurat rozmawiała, i szybko wbiegła na schody, upewniwszy się przedtem, że nikt na nią nie patrzy. Wyciągnęła z wieczorowej torebki przyrząd do otwierania zamków i poszła w kierunku drzwi znajdujących się na końcu długiego korytarza. Sprawdziła najpierw zamek, żeby upewnić się, że są istotnie zamknięte, a następnie zaczęła je otwierać. Zajęło jej to zaledwie kilka sekund.

- Yasmin? - spytała cicho, wchodząc do środka.

Z drugiego pokoju wyszła młoda kobieta w wieku około dwudziestu pięciu lat, odziana w długą, obficie haftowaną, purpurową szatę z jedwabiu. Była śliczna, niewysoka, ale zgrabna, miała wyraziste rysy twarzy, lekko wystające kości policzkowe, małą bródkę i ogromne czarne oczy. Wspaniałe hebanowe włosy sięgały do połowy pleców. Egzotyczne pochodzenie było widoczne w jej spojrzeniu i sposobie bycia.

- To ja jestem Yasmin - odezwała się po francusku miękkim i melodyjnym głosem. - A kim ty jesteś?

- Przyjechałam tu z dobrym przyjacielem twojego ojca - wyjaśniła Ashley po francusku, aczkolwiek nie mówiła tak płynnie jak młoda Arabka.

- To niemożliwe - powiedziała chłodno kobieta. Mój ojciec zmarł przed laty w więzieniu, skazany za przestępstwo, którego nie popełnił. Chciał, żebym znalazła się tu i żyła z baronem jako utrzymanka.

Ashley ściągnęła brwi.

- Przykro mi, że muszę ci o tym powiedzieć, ale zostałam oszukana - rzekła. - Mój ojciec żyje i ma się dobrze. Absolutnie nie życzyłby sobie, żebyś była na służbie u barona. Przybyliśmy tu po to, żeby odesłać cię do ojca. Tam jest twój dom ...

- Nie! Nie mogę z wami pójść!

Teraz będę miała kłopot - pomyślała Ashley.

W innej części domu Collin realizował swoją część planu. Na drugim piętrze znajdował się pokój zajmowany obecnie przez Petrana. Deverell unikał obrotowych kamer telewizyjnych, zainstalowanych w całej willi. Wreszcie znalazł drzwi pokoju, którego szukał, lecz zainstalowana tam kamera uniemożliwiała wejście. Strażnicy siedzący w centrali natychmiast spostrzegliby intruza. Ale Collin przewidział taką sytuację. Wydobył z rękawa kawałek sztywnego drutu i wygiął go na kształt litery L, następnie wyciągnął z kieszeni małe lustro. przyczepił do niego drut; a drugi koniec ostrożnie przymocował do podstawy kamery. Ustawił lustro przed obiektywem. Gdy wywoła zakłócenia na ekranie w pomieszczeniu kontrolnym, za kilka minut ktoś przyjdzie sprawdzić, co się stało.

Wszedł do pokoju i odnalazł sejf. Pracując intensywnie nad rozszyfrowaniem kodu cyfrowego, myślał, jak też Ashley radzi sobie z Yasmin. Czy ma jakieś trudności z nakłonieniem dziewczyny do ucieczki? Czy córka Blackjacka w ogóle będzie skłonna uwierzyć obcej kobiecie? Wcale nie dziwiłby się, gdyby dziewczyna nikomu nie ufała.

W kieszeni miał fałszywy paszport, przygotowany dla Yasmin w Nowym Jorku. Spojrzał na zegarek. Czy kobiety wyszły już z willi? Czy czekają w umówionym miejscu? Ashley wie, że mają bardzo mało czasu. Otworzył drzwiczki sejfu i pospiesznie przejął jego zawartość.

- Cholera! - zaklął pod nosem, widząc, że nie znajdzie tu dokumentów, na których mu zależało. Co Petrano mógł z nimi zrobić? Z całą pewnością transakcja nie została jeszcze dokonana. Nie było czasu na dalsze przeszukiwanie willi. Trzeba w tym celu wykorzystać inną okazję.

Gdy miał już zamknąć sejf, spostrzegł małą sakiewkę z irchy. Rozwiązał ją i wysypał część zawartości na dłoń.

Diamenty! Uśmiechnął się do siebie i wrzucił je z powrotem do woreczka, myśląc, że jednak nie zmarnował tego wieczoru. Szybko podszedł do okna i pospiesznie rozłączył rynnę. Włożył do rury sakiewkę i spuścił ją na dół. Podniesie ją później, gdy ... Kroki za drzwiami przerwały tok jego myśli.

- Dranie! - mruknął do siebie. Teraz pozostała mu tylko ucieczka przez okno.

- Bardzo mi przykro, że początkowo ci nie ufałam. Przepraszam - rzekła Yasmin do Ashley na lotnisku w Nicei, szykując się do odlotu. Blackjack czekał w Casablance. Dziewczyna trzymała grubą brązową kopertę, którą Collin wręczył jej w samochodzie. - Z największą przyjemnością oddam ojcu twoją przesyłkę obiecała.

- Koniecznie - powiedział, uśmiechając się tajemniczo. - A teraz już idź. Właśnie zapowiadają odlot twojego samolotu. Ojciec już dość naczekał się na córkę. Zasłużył na to, żeby ją mieć przy sobie. Yasmin przytaknęła i serdecznie uściśnęła wybawców.

- Brak mi słów - szepnęła ze łzami w oczach. Następnie odwróciła się szybko i minęła barierkę, po drodze zatrzymując się tylko po to, żeby pokiwać na pożegnanie. - Zawsze dotrzymujesz słowa - rzekła Ashley do Collina, gdy szli przez zatłoczony terminal.

Wzruszył ramionami.

- Po prostu nie obiecuję tego, czego nie potrafię spełnić.

- Nie graj twardziela, w końcu rozmawiasz ze mną napomniła go łagodnie Ashley. - Osobiście mogłam się przekonać, jaki potrafisz być delikatny.

Collin uśmiechnął się rozbawiony.

- Tylko nie rozgłaszaj na ten temat plotek! - poprosił konspiracyjnym tonem. - Muszę dbać o reputację.

- Twoje sekrety nie zostaną ujawnione - odpowiedziała wesoło.

- Niestety, w sejfie nie było dokumentów - rzekł po chwili.

Ashley spojrzała na niego zaskoczona.

- Czemu mi wcześniej o tym nie powiedziałeś?

- To nie było najważniejsze. Liczyła się przede wszystkim Yasmin, a poza tym mam już nowy plan.

- Wrócimy do willi?

- Nic by to nam nie dało. -, Pokręcił głową. - Petrano opuszcza dzisiaj Francję.

- Czy coś na tym tracimy? - zapytała Ashley, marszcząc brwi. - Powinniśmy się zastanowić ...

- Ja naprawdę mam nowy plan - zapewnił.

- Ale jaki, do licha ... - zaczęła.

Collin uśmiechnął się łobuzersko.

- Czy mówi ci coś nazwisko D.B. Cooper?

Personel lotniczy poruszał się żwawo po pasie startowym, gdzie mały prywatny odrzutowiec tankował właśnie paliwo. Kręcił się tam również, nie rzucając się nikomu w oczy, Collin. Pakując do ładowni samolotu walizki, ~aczał się pocić nie z nerwów, lecz dlatego, że był zbyt grubo ubrany. Pod obszernym kombinezonem mechanika miał jeszcze strój skoczka spadochronowego. To już nie potrwa długo - rzekł do siebie. Przyprawił sobie sztuczną brodę i zgrabny wąsik. Mam nadzieję - pomyślał, gdy dostrzegł zbliżającą się czarną limuzynę że Tommy Petrano mnie nie zauważy. Mafioso wysiadł z samochodu i poszedł w kierunku samolotu. Pewnie schował to tam -' pocieszał się Collin, patrząc na dyplomatkę Petrana. - Jeżeli się mylę, to na próżno nadstawiam karku. Mężczyzna wszedł po schodkach i zniknął w kabinie, Collin zaś zakradł się do ładowni samolotu i zamknął za sobą drzwi. Miał nadzieję, że lot rozpocznie się zgodnie z rozkładem. Ashley będzie czekała w wyznaczonym miejscu, ale gdyby błędził na morzu zbyt długo, przyjdzie mu tam zginąć. Collin zdawał sobie sprawę z ryzyka. Wiele okoliczności mogło pokrzyżować plany. Samoloty czasami zbaczają z kursu. Porywisty wiatr mógł wynieść spadochron daleko w morze lub w głąb ładu. Ale Deverell najbardziej przejmował się tym elementem przedsięwzięcia, nad którym nie miał żadnej kontroli. Nie mógł przewidzieć, jak Petrano zareaguje na widok intruza. Czy jest uzbrojony? Collin oczekiwał niecierpliwie, jak potoczą się sprawy. Odruchowo dotknął rewolweru, ukrytego w kieszeni kombinezonu. Czy będzie zmuszony do jego użycia?

Mógł się kierować wyłącznie instynktem, chcąc zlokalizować samolot. Będzie wiedział tylko jedno - jak długo przebywa w powietrzu. To niewątpliwie hazard, ale zarazem jedyna szansa, żeby nie zdradzić swej obecności, czego chciał koniecznie unilnąć. Gdy poczuł wibracje samolotu pędzącego po pasie startowym, zaczął ściągać kombinezon. Zdjął sztuczną brodę i sprawdził spadochron. Jak do tej pory wszystko gra - pomyślał, starannie przepakowując nadmuchiwaną łódź, w którą zaopatrzył się na wypadek lądowania na morzu. Cicho otworzył drzwi łącząceabinę pasażerską z lukiem ładunkowym i rozejrzył się. Zgodnie z przewidywaniami Petrano siedział sam i czytał gazetę. Collin zwinnie i szybko wychylił się z ładowni na tyle, żeby dosięgnąć ręką dyplomatki, stojącej na podłodze przy nogach mafiosa. Porwał szybko teczkę, wycofał się do ładowni i wsadził zdobycz do grubej torby płóciennej, wiszącej na piersi. Nie mam teraz czasu przeglądać zawartości pomyślał, sprawdzając godzinę. - Najwyższa pora wykonać następne posunięcie.

Odliczając minuty, przypomniał sobie potworną noc, którą spędził w paryskim sejfie. Wówczas było niebezpiecznie, a teraz jest jeszcze bardziej. Collin starał się przechytryć nie tylko swoich wrogów, a także również śmierć. Dziś miał zamiar powtórzyć tamten wyczyn. Otworzył drzwi luku. Wiał bardzo silny wiatr, ale można było nad nim zapanować. Samolot leciał na wysokości poniżej

dziesięciu tysięcy stóp. Skoczek mógł spadać prawie tysiąc stóp, zanim otworzy spadochron. W ten sposób nikt go nie zauważy. Będzie zaledwie małym punkcikiem na tle szarego, mrocznego nieba. Rzucił się do przodu i wypadł przez drzwi z szybkością sześćdziesięciu pięciu mil na godzinę. Kiedy uświadomił sobie, że oddalił się na bezpieczną odległość i nikt nie może go zauważyć, otworzył spadochron. Wiatr poniosł go w stronę Morza Śródziemnego. Gdy Collin znalazł się bliżej ziemi, zauważył na południowym wschodzie światła Nicei. Starał się orientować według nich. Ashley, tylko tam bądź - błagał w duchu. Wyciągnął sznur, który powodował automatyczne nadmuchiwanie gumowej tratwy. Otworzyła się natychmiast. Trzymał ją mocno przy piersiach, przygotowując się na zderzenie z wodą. Zanim to nastąpiło, dostrzegł umówiony sygnał - trzykrotny błysk reflektorów. Ashley czuwała na umówionym miejscu. Odzyskawszy równowagę, podniósł się, jak mógł najwyżej i przerywając na chwilę wiosłowanie, pokiwał ręką.

- U dało się, do diabła! - zawołał. - Piekielnie trudne, ale udało się!

- Jesteś nieobliczalny - powiedziała uradowana, gdy wychodził na brzeg. - Mówiłam to już przedtem i muszę powtórzyć jeszcze raz: jesteś nieobliczalny!

- W tym fachu człowiek musi być trochę szalony \_ powiedział, wyciągając z płóciennej torby dyplomatkę. Otworzył zamek i wyjął z niej dokumenty, które zaraz podał Ashley .. - Oto mój bilet do Intercontinental Oil, a zarazem początek końca Hollistera i jego mafii. - Następnie wyjął z teczki garść waluty i wrzucił ją do wody.

- Co ty Wyprawiasz! - krzyknęła Ashley. - Zwariowałeś? Przecież to chyba z pół miliona dolarów! Collin śmiał się szczerze.

- Uspokój się! To fałszywe pieniądze.

- Jesteś tego pewien?

- Absolutnie. - Wyrzucił teczkę do morza. - Chodźmy stąd, moja piękna. współniczko - rzekł, obejmując ją ramieniem. - Wracamy do domu.

### *Sea Cliff, wrzesień 1987*

Ashley, ubrana w czarny szlafrok, stała na balkonie sypialni, wpatrując się w fotografię syna. Minęły już miesiące od dnia, kiedy po raz ostatni widziała Roberta. Zdążyła przeżyć w tym czasie bardzo wiele, ale nie minął nawet jeden dzień, żeby nie pomyślała o 'dziecku, z niepokojem wyczekując chwili, kiedy nareszcie je odzyska. Gdy Collin wyjaśnił, że już wkrótce powinna na jakiś czas wyjechać z synem z kraju, by on, Collin, mógł bez przeszkód przygwoździć Bradleya Hollistera oraz jego wszechwładną mafię i wsadzić kogo trzeba za kratki, zgodziła się natychmiast.

Ileż to razy w ciągu ostatnich sześciu miesięcy usprawiedliwiała swoje postępowanie dobrem Roberta? Collin próbował opanować jej niecierpliwość, przypominając, że jeżeli plan ma się powieść, potrzeba na to trochę czasu.

Odwrociła się i spojrzała do wnętrza sypialni, gdzie spał Collin. Jakaś część osobowości Ashley nie chciała od niego odejść. To dzięki niemu ponownie uwierzyła w sens życia. Czyżbym zakochała się w nim? - zadawała sobie pytanie. A może zbliżył ich wspólny cel, to, że wspólnie narażali wolność, a często nawet życie? Czy ciepłe uczucia wobec Collina wiążą się z tym, że daje on jedyną i ostatnią nadzieję odzyskania Roberta? Nie miała pewności.

Mężczyzna zaczął się wiercić w łóżku. Obrócił się na bok i otworzył oczy.

- Ash? - zawołał. - Gdzie się podziewasz?

- Jestem tutaj - rzekła, wchodząc do sypialni. - Nie mogłam spać i nie chciałam cię budzić.

Wyciągnął do niej rękę.

- Chodź do mnie - powiedział z wymownym uśmiechem. - Teraz jestem już rozbudzony ...

Ashley roześmiała się.

- Chryste Panie ... czy ty naprawdę nigdy się nie nasycisz?

- To tak samo, jakbyś pytała suchą ziemię, czy jej nie męczy upragniony deszcz. Nie pozwoliłaś mi dokończyć - strofował ją żartobliwie, gdy przysiadła na brzegu łóżka. - Miałem zamiar powiedzieć, że skoro już nie śpię, powinniśmy porozmawiać.



- Myślisz, że ci uwierzę?
- Kiedy naprawdę miałem taki zamiar .
- O czym chcesz mówić? - zapytała.
- O tym, co ci leży na sercu - rzekł, dotykając palcem jej szlafroka. - Odkąd powróciliśmy z Francji, nie jesteś w najlepszym nastroju.
- Tylko jedna sprawa leży mi wciąż na sercu - przyznała. - Gdy wyprawialiśmy Yasmin do ojca, myślałam o Robercie i uprzytomniłam sobie, jak dawno go nie widziałam. Collin przyglądał się jej przez chwilę.
- Teraz to nie potrwa długo - zapewnił i zapytał nieco rozbawionym głosem: - Nie możesz się doczekać, kiedy mnie opuścisz?
- Nie o to chodzi, ale ponieważ o tym wspomniałeś... - Przerazona własnymi myślami, urwała w pół zdania.

Collin wybuchnął śmiechem.

- Uwielbiam szczerą kobietę - rzekł, pociągając za szarfę, którą był przepasany jej szlafrok. - Jeśli chodzi o ścisłość, ja też za żadne skarby nie chciałbym cię utracić.
- Dlaczego miałabym ci uwierzyć? - spytała Ashley, uśmiechając się chytrze. - Z jakiego powodu?
- Z bardzo wielu powodów - zamruczał pożądliwie, wsuwając dłoń pod jej szlafrok i dotykając piersi. - Jak na przykład ten ...

Anton De Vries analizował notatki i dokumenty, które leżały rozrzucone na biurku. No cóż - pomyślał zaaferowany - mój ulubieniec staje się nałogowcem. Po przeglądzie informacji na temat włamań dokonanych w ciągu ostatnich sześciu miesięcy na terenie Nowego Jorku dopatrywał się w nich wspólnych cech. Złodziej starannie wybierał ofiary. Drobiazgowo je rozpracowywał. Akcję przeprowadzał niczym perfekcjonista. Wyglądało na to, że celem ostatnich napadów byli wyłącznie ludzie podejrzani o kontakty ze światem zorganizowanej przestępczości. Tak, w tym jest metoda - pomyślał rozbawiony De Vries. - Jeden oszust obrabia drugiego. Niestety, na tym kończyły się możliwości przewidywania, gdzie przestępca uderzy następnym razem.

- Sejf jest w bibliotece - rzekł Collin do Ashley, zatrzymując furgonetkę pod wysokim murem, okalającym posesję w East Hampton. - Możemy się tam dostać przez salon muzyczny.
- A co z alarmami? - zapytała Ashley, przypominając sobie plan, który analizowali przedwczoraj wieczorem.
- Wszystko w porządku. Gdybym uznał akcję za zbyt trudną, musielibyśmy się zdecydować na tunele.
- Jakie tunele? Na planie nie było żadnych tuneli ...

Collin roześmiał się.

- Mało kto wie o ich istnieniu - wyjaśnił. - Ten dom został zbudowany w czasach prohibicji przez przemysłowca alkoholu, który ukrywał swoje towary przed kontrolą federalną w tunelach wykopanych pod posesją.
- Jak na to wpadłeś? - Ashley urwała nagle. Nie powinna zadawać głupich pytań. To przecież oczywiste. Nawet gdyby nikt inny nie miał o tym pojęcia, Collin wiedział by na pewno.
- Chodźmy po nasz łup - rzekł, wysiadając z furgonetki. - Jak ci wiadomo, mamy do dyspozycji tylko część nocy.

Przytaknęła głową.

- Ja miałabym o tym nie wiedzieć!

Wdrapali się na kamienny mur, otaczający posesję, i popędzili przez trawnik w stronę patio. Collin szybko poróżlączał alarmy i otworzył zamek szklanych drzwi, prowadzących do pokoju muzycznego. Gdy znaleźli się w środku, włożył gogle noktowizyjne i sprawdził, czy w pomieszczeniu nie ma jakiejś pułapki. Przekonawszy się, że nie zainstalowano tu alarmowych czujników cieplnych, rzekł do Ashley:

- Droga wolna.

Skinęła głową i w milczeniu poszła za nim do biblioteki. Gdy chciała wyprzedzić go i wejść pierwsza, raptownie chwycił ją za rękę.

- Niewiele brakowało, a popsułabyś wszystko, idąc na oślep i nie patrząc pod nogi! - warknął.

- O czym, do diabła, mówisz? - zaprotestowała gniewnie. Ale spojrzawszy w dół, ujrzała blady promień, przechodzący pomiędzy dwoma małymi urządzeniami, wbudowanymi po obu stronach w dolną część futryny.

- Przejdź ponad tym - polecił Collin.

Znalazłszy się w bibliotece, bez trudu trafili na ścienny sejf i bardzo szybko go otworzyli.

Wszystkie dokumenty i kosztowności, jakie tam znaleźli, Ashley wsadziła do płóciennej torby.

- To tyle - oświadczył Collin, zamykając sejf. - A teraz możemy ... - Dostrzegł światła reflektorów na drodze. Ktoś nadjeżdża. - Przebiegł na drugą stronę pomieszczenia, gdzie znajdował się regał z książkami, i zaczął gorączkowo szukać dźwigni otwierającej wejście do tuneli. - IUdało się! -

wykrzyknął triumfująco, widząc, że ściana się rozstępuje. - Dalej, naprzód! - złapał Ashley za rękę i wciągnął ją gwałtownie do tunelu, gdy ściana zaczęła się zamykać.

- Jak się stąd wydostaniemy? - zapytała, gdy biegli ciemnym tunelem, widząc zaledwie na odległość kilku cali.

- Chodźmy tędy - odrzekł Collin, przynaglając ją.

- Ten korytarz powinien wychodzić na zewnątrz obok muru.

- Ale nie jesteś tego pewien? - spytała Ashley, łapiąc oddech.

- Nie załamuj się, na pewno damy sobie radę. Wdrapali się po schodkach do drzwi zamykających tunel. Collin z największym wysiłkiem zdołał je otworzyć. Gdy wyszli na -powierzchnię w odległości zaledwie trzydziestu stóp od muru, usłyszeli ujadanie psów.

- Psy obronne? - zapytała Ashley, przystając na chwilę, żeby odetchnąć.

- Zapewne. Lepiej uciekajmy. - Ruszyli szalonym pędem, nie zatrzymując się i nie oglądając.

Przesadzili mur w błyskawicznym tempie. Byli już w drodze do furgonetki, gdy Ashley zatrzymała się na sekundę, żeby rzucić okiem na mur. Ujrzała zarys postaci celującej do nich z karabinu.

- Zatrzymać się! - krzyknął strażnik.

Zaskoczona, upuściła torbę. Schyliła się, żeby ją podnieść, i wtedy Collin także dostrzegł prześladowcę i broń połyskującą w świetle księżyca.

- Uważaj! - zawołał, instynktownie rzucając się do przodu. Gdy zepchnął ją z drogi strzału, runął na ziemię. Ashley stanęła, gdyż uświadomiła sobie, że został trafiony.

- Collin! - jęknęła.

- Zmykaj stąd! Uciekaj do wozu! - syczał, ściskając ręką prawy bark.

- Nie ruszę się stąd bez ciebie! - Zebrała wszystkie siły, starając się pomóc mu stanąć na nogi. -

Dalej, Collin! Musisz sobie poradzić!

- Nie patrz na mnie! Uciekaj! - rzekł, krzywiąc się z bólu.

- Oboje musimy uciec. - Ashley starała się dowlec go, do furgonetki.

- Ja cię tylko opóźniam ...

- Zatrzymać się albo będę strzelał! - wołał mężczyzna groźnie.

Ashley nie zwracała na to najmniejszej uwagi. Jedną ręką otworzyła tylne drzwi wozu i pomagała Collinowi dostać się do środka, a tymczasem przeciwnik zsunął się z muru i rozpoczął pościg.

Zatrzasnęła drzwi i wskoczyła za kierownicę i ruszyła - z tyłu rozległy się ostrzegawcze strzały.

- Muszę zawieźć cię do szpitala - powredziała gdy pędzili w stronę autostrady.

- Musimy ... wymyślić coś lepszego .... W pobliżu nie ma ... szpitala, do którego ... moglibyśmy

pójść - przekonywał Collin resztą sił. - Lekarze są zobowiązani meldować o ranach postrzałowych ... natychmiast wezwano by policję ...

- 'No to co, do cholery, mam z tobą zrobić? - zapytała zirytowana. - Mam siedzieć i patrzeć, aż się wykrwawisz? Musisz otrzymać pomoc lekarską!

- Wracamy do domu ... do Sea Cliff ...

- Co nam to da? - zapytała zaniepokojona.

- Henry był felczerem... w czasie wojny - jęknął Collin. - On będzie ... wiedział... co z tym zrobić. .

- Miejmy nadzieję. - Zawróciła wóz i skierowała się do domu.

Ashley stała w drzwiach i przyglądała się, jak Harrison bandażuje ramię Collina. Dzięki Bogu, wyliże się z tego - pomyślała, wciąż jeszcze drżąc ze strachu. To była przerażająca noc. Wciąż miała przed oczyma postać strażnika, który mierzył do nich z karabinu połyskującego w blasku księżyca. W uszach brzmiał jej ten pojedynczy strzał i widziała padającego na ziemię Collina. Przypomniała sobie, jak dociągnęła go do furgonetki i ruszyła, prosząc, by dał zawieźć się do szpitala. Była przerażona tym, że zanim zorganizuje pomoc, może już być za późno. Słowa Harrisona przerwały jej myśli.

- Na szczęście twój ojciec tego nie widzi - powiedział Henry do Collina. - On nie wybaczyłby mi udziału w twoich szaleństwach.

Collin roześmiał się.

- Przepraszam, stary przyjacielu, że wyciągnąłem cię z łóżka - rzekł, jakby nic się nie stało. - Mam nadzieję, że wybaczysz mi tę małą niedogodność.

- Ładna mi niedogodność! - odparł Harrison z przekąsem. - Po tylu latach zdążyłem przyzwyczaić się do twojego ekstrawaganckiego życia nocnego.

Ashley podeszła do nich.

- Czy on z tego wyjdzie, Henry? Czy rana będzie goić się właściwie?

Na zmęczonej twarzy Harrisona pojawił się uśmiech. - Nie ma zamiaru umierać, mogę cię zapewnić. Niedługo będzie jak nowo narodzony, aczkolwiek nie uważam, byśmy mogli uznać to za szczególne błogosławieństwo.

- Henry zajmował się mną od dziecka - podkreślił Collin - i naprawdę nie wiem, jak dziś poradziłbym sobie bez niego.

Harrison spojrział na wychowanka karcącym wzrokiem.

- Z ciebie już wtedy był nie zły gagatek - zaczął wspominać z rozrzewnieniem. - Na przykład, jak miałeś dziesięć lat, wlałeś na drzewo, żeby podglądać służącą, i spadłeś, łamiąc sobie nogę. Nie będę zawstydzać cię opowiadaniem o tym, co wówczas chciałeś zobaczyć. Zwrócił się do Ashley: - On nigdy nie był chory. Nie był nawet przeziębiony. Miał parę razy złamane kości, raz pchnięto go nożem, a dwukrotnie otrzymał ranę postrzałową. Obecna jest trzecia. Jego rodzice zamartwiali się, że syn źle skończy. Czasami zdaje mi się, że mieli rację.

- Mój ojciec się nie mylił - dorzucił Collin. - Popęłnił tylko jeden życiowy błąd, bo nie przewidział własnej tragicznej śmierci. I niepotrzebnie ciągnął matkę do Caracas.

Ashley wyszła za Harrisonem na korytarz.

- Czy naprawdę wszystko z nim w porządku? - zapytała cicho.

- Absolutnie - odrzekł Henry bez wahania. - Jeżeli tylko uda się nam utrzymać go w łóżku do całkowitego wyleczenia rany. Kula nie przeszła zbyt głęboko, ale musimy uważać, żeby nie wdała się jakaś infekcja.

Odrężyła się.

- Dziękuję. Ta wiadomość była mi bardzo potrzebna. Gdy powróciła do sypialni, Collin siedział na łóżku.

Usiadła obok na krześle.

- Bardzo boli? - zapytała. Zaprzeczył ruchem głowy.

- Henry coś mi dał. W tej chwili prawie nic nie czuję.

- Widzę, że coś cię gnębi - rzekła.

Przytaknął.

- Myślę o tym strzelcu. Rozpoznałaś jego twarz?

- Nie. Było zbyt ciemno. Nic nie widziałam oprócz strzelby - przyznała szczerze - ale nie zapomnę tego widoku do końca życia.

- To był De Vries - oświadczył Collin.

- De Vries, powiadasz? - Ashley spojrzała. na niego zdziwiona. - Ten inspektor od ubezpieczeń?

- To mógł być tylko on - powiedział Deverell z niewyraźnym uśmiechem.

- Nie wyglądasz na zbyt zmartwionego.

- To tylko pozory - rzekł zmęczonym głosem. - Przejmuję się tym. Jeżeli on do mnie strzelił, to mam wiele powodów, żeby się martwić. Przejrzał mnie i już wie, gdzie uderzę następnym razem. Nigdy nie odważę się zlekceważyć tego człowieka. Jest bardzo niebezpieczny, ponieważ umie gromadzić dowody. Dla De Vriesa moja nieposzlakowana opinia nie ma absolutnie żadnego znaczenia, gdy już wziął się do roboty. Nie spocznie, dopóki jeden z nas nie przegra ... albo jeszcze coś gorszego.

- Skąd tyle o nim wiesz? - zaciekawiała się Ashley. Collin uśmiechnął się bez przekonania.

\_ Zdobywanie wiedzy o wrogach to część mojego zajęcia.

- Czemu on tak za tobą chodzi? Czy to jakiś rodzaj wendety? Czego właściwie od ciebie chce?

- Kochanie, to drobiazg. Chce mojej głowy - odparł Collin. - Najchętniej na srebrnym półmisku.

*Nowy Jork, październik 1987*

Ashley szła samotnie Madison Avenue z podniesionym kołnierzem sobolowego futra, osłaniającym dolną część twarzy. Na nosie miała ciemne okulary, a na głowie futrzaną czapę. Świadomie unikała spojrzeń mija-

'nych ludzi. Przechodząc na drugą stronę ulicy, Mason-Gilling Gallery, ujrzała coś, co przykuło jej uwagę. Podeszła bliżej i w witrynie rozpoznała swój obraz. Było to jedno z malowideł przedstawiających krajobraz Napa Valley. Podarowała go Dianie Gilling jeszcze przed wystawą. Gdy zatrzymała się, by mu się przyjrzeć, zdumiała ją siła emocji, jaką wywoływał. Jakby ktoś inny go malował - pomyślała. - A może tak właśnie jest? Ten obraz stworzyła szczęśliwa kobieta. Miałam dobrego męża, cudownego synka, wspierałam karierę, poważanie. A kim jestem teraz? Kryminalistką, bez względu na motywy, które nakazują mi kraść. Złodziejką, która żyje z mężczyzną nakłaniającym do czynów, o jakich nawet mi się nie śniło. Zakochałam się w nim, ale nasz związek nie ma przyszłości.

- Piękne, prawda?

Ashley odwróciła, słysząc kobiecy głos, który rozległ się nad jej uchem, i serce omal nie stanęło jej z wrażenia. Obok stała Diana Gilling, opatulona w długie do kostek futro ze srebrnego lisa.

- Tak - odrzekła Ashley niepewnym głosem. - Tak, istotnie.

- Malarka wychowywała się w kalifornijskich winnicach - wyjaśniła Diana. - Według mnie wszystkie jej dzieła są przepełnione uczuciem.

Ashley spojrzała na obraz. - Z całą pewnością tak jest. Diana uśmiechnęła się.

- To widać, nieprawdaż? - zapytała. - Życzyłabym sobie wystawić więcej jej obrazów. Ponieważ artystka już nie maluje, te pejzaże nabrały ogromnej wartości. - Pani jest właścicielką tej galerii? - zapytała Ashley, zmieniając głos.

Diana przytaknęła.

- Właśnie wracam z przerwy na lunch ... niestety, spieszę się trochę. Było mi miło z panią porozmawiać, pani...

- Ellis - wtrąciła szybko Ashley. - Penelope Ellis.

- Miło mi, pani Ellis. - Diana uśmiechnęła się, otwierając drzwi galerii. - Proszę do mnie zajrzeć przy okazji. - Na pewno wpadnę - obiecała Ashley. - Z największą przyjemnością panią odwiedzę. Moje obrazy nabrały wartości - myślała, idąc w kierunku Piątej Alei. Przypomniała sobie, że Collin powiedział jej kiedyś, jak dobrą lokatą kapitału może się okazać zakup dzieł początkującego artysty, bo w wyniku spekulacji rynkowych w późniejszym okresie obrazy te drożeją dwu-, a nawet trzykrotnie. Większość kolekcjonerów myśli tak samo, a artysta ma z tego oczywiste korzyści. Zatrzymała się przed Cartierem na rogu Pięćdziesiątej Ulicy i przyglądała się wspaniałemu pierścionkowi, wysadzanemu diamentami i szafirami. Czegoś równie pięknego nigdy jeszcze nie widziała. Ileż to czasu upłynęło, gdy mogłam do woli podziwiać obrazy lub piękną biżuterię? - pytała sama siebie. Nie potrafiła sobie przypomnieć. Kiedy po raz ostatni obchodziły ją takie świecidełka?

- Masz doskonały gust - powiedział znajomy męski głos. Zaskoczona, obejrzała się nerwowo. Za nią stał uśmiechnięty Collin. - To pierścionek w stylu gregoriańskim. Czy mam spróbować go dla

ciebie zdobyć?

- Nie! - rzekła bez namysłu. - Nie, zdecydowanie nie!

- Przecież ci się podoba. - Wiatr zabawiał się jego włosami.

- Jestem nim zachwycona - przyznała, odwracając się do okna, żeby jeszcze raz przyjrzeć się pierścionkowi. - Jeżeli kiedykolwiek wyjdę ponownie za mąż, chciałabym go dostać.

Collin zmarszczył brwi.

- Zanim będziesz mogła to zrobić, Ashley, musisz najpierw odprawić egzorcyzmy nad pokutującym w tobie duchem męża i przegnać go do krainy cieni. - Wcisnął ręce głęboko w kieszenie płaszcza i odszedł.

Co go tak zżera? - dziwiła się.

- Zdaje mi się, że znalazłam coś ciekawego - oświadczyła Ashley, wchodząc do biblioteki.

Taszczyła ogromny karton, który postawiła na biurku Collina. - Mieliliśmy to cały czas w zasięgu ręki.

Deverell podniósł głowę znad notatek.

- Cóż to takiego? - zapytał zaciekawiony.

- To! - Ashley sięgnęła ręką do pudła i wydobyła szarą kopertę. - Jeżeli nie przeceniam wartości tych papierów, mamy tu dowody przeciwko Bradleyowi Hollisterowi i mafii.

Collin wziął kopertę i starannie przejrzał dokumenty.

- Skąd to masz?

- Te papiery leżały w sejfie naszego mieszkania w San Francisco między dokumentami Brandona - wyjaśniła. - Gdy w ubiegłym roku zdecydowałam się przyjechać tutaj, zamknęłam mieszkanie. Nie chciałam pozostawić w domu nic ważnego, więc wrzuciłam zawartość sejfu do pudła i przywiozłam tutaj.

- I miałaś to tutaj przez cały czas?

Ashley przytaknęła.

- Czemu nie wspomniałaś o tym wcześniej? - zapytał Collin.

Wzruszyła ramionami.

- Nigdy nie przywiązywałam do tego większej wagi, dopóki nie zaczęłam się zastanawiać nad przyczynami nieporozumień między Brandonem a rodzicami. Mogło to wynikać z powiązań Hollistera z mafią - przyznała zażenowana. - Dzisiaj rano postanowiłam sprawdzić dokumenty i intuicja mnie nie zawiodła.

Collin zrobił poważną minę.

- Ashley, masz tutaj tyle materiałów, że sama mogłabyś przygwoździć Hollistera! Nazwiska, daty, miejsca ... Chryste Panie, jest dużo gorzej, niż ośmieliłbym się przypuszczać! - Znowu spojrzał na nią. - Ten człowiek jest mordercą. Wyrachowanym zbrodniarzem!

Ashley zadrżała.

- Nawet znając go tak dobrze, wciąż trudno mi w to uwierzyć.

- To on zorganizował zamach na senatora Stanów Zjednoczonych, na przywódcę związkowego oraz bardzo popularnego kandydata na prezydenta - rzekł Collin; przeglądając jeszcze raz dokumenty. -

Czy ty zdajesz sobie sprawę, co to znaczy?

- Brandon jest współwinny. Wiedział o wszystkim i milczał.

Collin spojrzał jej w oczy.

- Nie tak łatwo donosić na własnego ojca, bez względu na to, co on zawiń - powiedział łagodnie, starając się złagodzić jej ból. - Możesz mi wierzyć, wiem coś na ten temat.

- Gdyby twój ojciec popełnił te zbrodnie, milczałbyś?

- Nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie - przyznał uczłwie. - Uwierz mi, mój ojciec też nie był święty. Raczej uparty, despotyczny i nieugięty ... Jego ambicje górowały nad wszystkim. W oczach wielu ludzi był skończonym łajdakiem. Kpił sobie z moich marzeń i starał się zrobić ze mnie kogoś, kim nie chciałem być. Ale on był moim ojcem bez względu na to, co zrobił. Oddałbym dziś wszystko, żeby rodzice nie znaleźli się wtedy w Wenezueli.

- Uważasz więc, że Brandon miał prawo przemilczeć prawdę? - zapytała Ashley.  
- Tego nie powiedziałem - rzekł po namyśle. - Staram się tylko wytłumaczyć ci, że miał swoje powody. Najwidoczniej nie mógł wytrzymać z ojcem, widząc, kim on jest, ale nie chciał także wpakować go do kryminału.  
- Ale on był prawnikiem! - uniosła się Ashley. - Miał święty obowiązek przestrzegać prawa!  
- Zdawał sobie sprawę także z zobowiązań rodzinnych - tłumaczył łagodnie Collin.  
Ashley tymczasem rozplakała się, a on wziął ją w objęcia i starał się uspokoić.  
- Dobrze, moja kruszyno, już dobrze - szeptał, gładząc ją delikatnie po włosach. - Nie płacz, wszystko będzie dobrze.

- Czy to znaczy, że "operacja bagno" jest nieaktualna? - zapytała Ashley w nocy, gdy leżeli w łóżku.

Kryptonimem "operacja bagno" Deverell opatrzył ostatnią fazę swojego planu. Teraz gdy odzyskał już wszystkie osobiste dobra i zgromadził dostateczną ilość dowodów na to, żeby pogrążyć Hollistera i inne osobistości mafii, nagle doszedł do wniosku, że to jeszcze za mało. Nie odzyskał udziałów Intercontinental Oil, które Justin przelał na konta przestępców. Collin zdawał sobie sprawę, że za parę lat Hollister wyjdzie z więzienia i znowu zajmie się interesami, jeżeli w ogóle będzie musiał przestać to robić. Wiedziałaż nazbyt dobrze, że Hollister mógłby kierować przedsiębiorstwem nawet z więzienia, tak jak przed laty czynił to Al Capone. Collin starał się za wszelką cenę przeszkodzić takiej ewentualności. Chciał pozbawić wroga całej władzy i całkowicie zniszczyć go-finansowo. W tym celu opracował specjalny plan. Puścił w obieg masę fałszywych akcji. Ale i to nie zadowoliło go jeszcze. Uważał, że jeżeli już uprawia hazard, to musi iść na całego. Zakupił w Wenezueli ogromny obszar zupełnie bezwartościowej ziemi, który jak na ironię, graniczył bezpośrednio z terenami obfitującymi w bogate złoża ropy naftowej. Dzięki nim Quentin Deverell stał się przed laty bardzo zamożnym człowiekiem. Nowy teren mógł przecież być równie bogaty w surowce i bezcenny. lecz okijażo się, że nie nadaje się nawet na wypasanie bydła. Oczywiście Hollister o niczym nie wiedział. Posługując się najlepszymi kontaktami, jak również przekonującymi dokumentami i spreparowanymi mapami geologicznymi, Collin mógł wyprowadzić w pole przeciwnika. Liczył na zachłanność tego człowieka.

- Niestety, nie - rzekł Collin. Wiedział dobrze, jak bardzo Ashley boi się bezpośredniego spotkania z Hollisterami, ale nie widział lepszego sposobu na osiągnięcie celu. Jeżeli mam odzyskać całkowitą kontrolę nad firmą, muszę mieć udziały, na których Hollister położył łapę.

- Jesteś naprawdę przekonany, że twój plan może się powieść?, - zapytała z niedowierzaniem.

- Jestem gotów przyjąć zakłady - odparł pewnie. Blackjack zwykł mawiać, że nikt nie może oszukać uczciwego człowieka. Ludzi gubi ich własna niepohamowana żądza. Interes, który wydaje się zbyt dobry, jest pułapką, ale ludzie pokroju Hollistera mogą tego nie zauważyć.

Deverell kupił wspomniane grunta w Ameryce Południowej dla fikcyjnego towarzystwa, które sam powołał do życia. Rozbawił tym Ashley, ponieważ nazwał je RTOL, czyli "łotr" - czytane wspak. Rozpowszechnił informację, że niejaki Muhammed Hassan, bliskowschodni multimilioner i magnat naftowy, przyjeżdża do Nowego Jorku wraz z małżonką Leilą, żeby negocjować kupno gruntów od towarzystwa RTOL. Collin zadbał o to, by każdy szanujący się akcjonariusz w mieście wiedział o tajemniczym Hassanie i celu jego wizyty w Stanach, liczył bowiem, że Hollister zainteresuje się obiecującym terenem w Ameryce Południowej i zechce go nabyć. Wynajął w hotelu Plaza apartament na nazwisko Hassan i regularnie odbierał w recepcji hotelu korespondencję kierowaną do domniemanego Araba. Wynajął skrytkę pocztową i zainstalował w bibliotece specjalną linię telefoniczną, która przejmowała wszystkie połączenia z pustego biura na Manhattanie. Gdy Ashley mówiła, że posuwa się za daleko i naraża się na zbyt duże koszty, odpowiadała niezmiennie:

- Musisz mi uwierzyć, że to się opłaci. Liczy się tylko ostateczny efekt.

Przecucia go nie zawiodły. Bradley Hollister pozostawił w recepcji Plaza zaproszenie na obiad dla Hassana i jego małżonki.

- Mam poważne wątpliwości, czy sobie poradzę. \_ Słowa Ashley przerwały rozważania Collina. -

Przecież oni mnie znają! Byłam żoną ich syna! Widzieli mnie w sądzie więcej razy niż inni teściowie swoje synowe na rodzinnych przyjęciach! Mogą mnie rozpoznać bez względu na to, jak się ucharakteryzuję ...

- Oni cię nie rozpoznają - utrzymywał Collin.

- Myślisz, że wolno nam ryzykować?

- My nie mamy innego wyjścia - rzekł stanowczo. \_ W ten sposób, moja droga, rozpoczniemy akcję, która pozwoli nam odzyskać twojego syna.

- Więc to nie potrwa już długo?

- Tak - potwierdził.

Ashley milczała przez moment, po czym powiedziała:

- Trudno uwierzyć, że to już koniec.

- Nigdy nie obiecuję tego, czego nie potrafię spełnić - odparł.

Jesteś skończonym osłem - pomyślał. - Czemu nie wyznasz po prostu, że jesteś w niej zakochany?

Ashley pokonała schody, weszła do sypialni i westchnęła głęboko. Jak długo jeszcze będą razem? Wmawiała sobie uparcie, że powinna się cieszyć. Miała do tego wszelkie powody. Wszystko, co przeżyła w ciągu ostatnich sześciu miesięcy, działo się z powodu Roberta. Boże, przecież liczy dni, które dzielą ją od odzyskania go na zawsze, więc dlaczego radość miesza się ze smutkiem?

Odpowiedź była bardzo prosta. Collin. Zakochała się w nim. Robiła wszystko, żeby do tego nie doszło. Nie chciała angażować się zbyt głęboko. Coraz bardziej zbliżała się chwila, kiedy trzeba będzie od niego odejść. Odzyska jednak Roberta, a Hollister zostanie ostatecznie pokonany i osadzony w więzieniu.

Leżała w łóżku, tępo wpatrując się w sufit. Collin nigdy nie powiedział, że ją kocha. Nigdy nawet nie wyraził zdecydowanego sprzeciwu wobec faktu jej nieuchronnego odejścia, pomijając lakoniczne stwierdzenia, że nie chciałby jej stracić. Podejrzewała, że jest zbyt owładnięty żądzą zemsty, żeby go było stać na miłość czy inne głębsze uczucia. Może chodzi mu tylko o seks? Nawet w najbardziej intymnych momentach nie powiedział Ashley ani razu, że ją kocha, nie zdradził, co naprawdę myśli.

- Mam pomysł - oświadczył tego samego dnia przy obiedzie.

Spojrzała na niego i uśmiechnęła się łagodnie.

- Wspaniale! - odrzekła. - O co chodzi?

Sięgnął po kieliszek z winem.

- Już zapomniałaś? - zapytał z wYmówką. - Chodzi oczywiście o twoje wcielenie na spotkanie z Hollisterami. Wpadłem na pomysł, jak jeszcze bardziej zamaskować twoją osobowość.

- Operacja plastyczna?

- Nie! Będiesz udawała niewidomą.

- Kogo? - Omal nie upuściła widelca.

- Niewidomą - powtórzył. - Wiesz, ciemne okulary, biała laseczka, pies przewodnik ...

- Jak to ma wyglądać?

- Tak jak robiliśmy do tej pory - powiedział, zajadając z apetytem stek. - Musimy cię oczywiście starannie przygotować.

- Czy to naprawdę konieczne? - zapytała Ashley, podczas gdy Collin zalepiał jej taśmą oczy. - Czy nie wystarczyłoby, żebyśmy zamknęła oczy i obmacywała teren dookoła?

- To za mało - utrzymywał. - Gdybyś na przykład upadła albo się uderzyła, odruchowo otworzysz oczy. To wrodzona reakcja każdego człowieka. Ale niewidomy nie ma tego odruchu. Musisz nauczyć się poruszać tak, jakbyś naprawdę straciła wzrok.

- Czy będę miała zaklejone oczy, gdy znajdziemy się u Hollisterów? - zaniepokoiła się.

- Jeżeli dobrze nauczysz się roli, to nie będzie konieczne - rzekł Collin, pomagając jej wstać. - Łatwo się uczysz. Powinnaś bardzo szybko się odnaleźć w nowej sytuacji.

Rozpoczęli od czegoś, co Collin określał jako "wiadomości podstawowe". Dał Ashley do ręki białą laseczkę.

- Wczuj się w nową sytuację - rzekł. - Wykorzystaj laseczkę tak, jak owady czułki.

Vi ciągu dziesięciu minut Ashley zdążyła przewrócić lampę, którą właściciel uchronił przed rozbiciem się o podłogę, zbiła dwie wazy i trzykrotnie wpadła na to samo krzesło. Collin kazał jej poruszać się tak długo, aż nauczyła się obracać w swoim środowisku bez pomocy wzroku.

- A teraz przejdziemy do następnego stopnia wtajemniczenia - rzekł.

Przenieśli się do kuchni.

- Zobaczymy, jak przygotujesz sobie napój proteinowy.

- Nie wygłupiaj się. - Przylepiec na oczach przeszkadzał jej bardzo.

- Bynajmniej. To wszystko jest częścią gry.

Collin oparł się o szafkę. Splótł ramiona na piersiach i przyglądał się Ashley z rozbawieniem, tłumiąc śmiech, gdy widział jej pomyłki. Zbiła dwie szklanki i jeden półmisek, zmarnowała zawartość dwóch butelek, zanim nareszcie udało jej się wlać miksturę do miksera. Przy nalewaniu gotowego napoju więcej znalazło się na kuchennym blacie niż w szklance.

Kosztując owoców swojej ciężkiej pracy, skrzywiła się.

- To obrzydliwe! - stwierdziła, plując do zlewu. Collin odebrał jej szklankę i uśmiechnął się złośliwie. - W przyszłości, kochanie, nie pomyśl proszku do pieczenia z proszkiem proteinowym.

- Proszek do pieczenia! Czemu, do diabła, nie uprzedziłeś mnie? - spytała zagniewana.

- To nie byłoby fair.

- Ty łobuzie! Gdybym cię teraz spoliczkowała, to dopiero byłoby fair! - Rozgniewana tłukła go pięściami po piersiach, ale on bawił się 'znakomicie i wziął ją w ramiona.

- Teraz będą już same rozrywki - pocieszał. Nazajutrz znowu zakleił jej oczy. Wyprowadził na dwór i kazał poruszać się swobodnie. Zderzała się z drzewami, plątała się w wężach do polewania. ogrodu, potykała się i przewracała. Collin był bezlitosny. Zapowiedział że będą powtarzali ćwiczenie przez cały następny tydzień.

- Nareszcie jesteś przygotowana - oświadczył pod koniec tygodnia. - W samą porę. Jutro wieczorem idziemy do Hollisterów na obiad.

Ashley przyglądała się swojemu odbiciu w lustrze. Jej charakteryzacja była wręcz znakomita. Może trochę nazbyt dramatyczna, jak na gust pani Gordon-Hollister, ale pasująca świetnie do egzotycznej piękności, Leili Hassań, która była osobą bardzo dystygowaną. Teraz czeka mnie najtrudniejsze zadanie - pomyślała, spoglądając na czarną perukę, wciąż jeszcze znajdującą się na manekinie.

Collin wszedł do pokoju, gdy Ashley mocowała się z peruką, usiłując schować pod nią swoje kasztanowe włosy.

- Pozwól, że ci pomogę - powiedział. Położył perukę na toalecie i wziął do ręki parę długich szpilek. Starannie poukładał naturalne włosy wokół głowy Ashley i przypiął je mocno, po czym nałożył perukę i umocował ją.

- No i jak?

Odwróciła się twarzą do niego.

- To ja o to pytam. Powiedz mi, jak wyglądam?

- Wyglądasz jak małżonka bliskowschodniego potentata naftowego - oświadczył.

- Mam niejasne przeczucie, że ta zabawa przyprawi mnie o silny ból głowy.

- Weź parę tabletek aspiryny - zaproponował. - Gdybyś miała trochę mniej własnych włosów, może nie byłoby całkiem źle ...

Ashley roześmiała się.

- Nigdy nie myślałam, że gęste włosy mogą być przekleństwem.

Teraz Deverell zajął miejsce przed lustrem. Ashley stała się świadkiem zdumiewającej metamorfozy. Zaskoczona przyglądała się, jak Collin nakłada sobie ciemny krem na twarz, kark i ręce. Potem wziął specjalny klej i przykleił czarne wasy oraz brodę. Wreszcie nakrył swoje włosy czarną kędzierzawą peruką. Założył szkla kontaktowe, które nadały jego piwnym oczom czarny



kolor. Włożył białą jedwabną koszulę i zapiął diamentowe spinki przy mankietach. Gdy zaczął mocować się z krawatem, Ashley przyszła mu z pomocą:

- Wszyscy mężczyźni są bezradni, kiedy próbują zawiązać własny krawat - żartowała.
  - To pewnie jakiś genetyczny defekt - zgodził się Collin, sięgając po marynarkę z obfitymi wyłogami. Gdy się w nią ubrał, od razu wyglądał na cięższego, o osiem funtów. - Teraz ostatni szlif. - Przysiadł na brzegu łóżka i wsadził do lewego buta kapsel od butelki. Następnie wstał i przemierzył pokój, wyraźnie utykając. - No i jak? - zwrócił się do partnerki.
  - Chyba zawołam policję. - Zaśmiała się. - Do sypialni zakradł się obcy mężczyzna!
  - Czy moja kontuzja jest dostatecznie widoczna? - zapytał.
  - Doskonale - pochwaliła Ashley. - Co ci się stało?
  - Doznałem złamania podczas meczu w polo.
  - Ale na co ci kapsel? Czy nie mógłbyś po prostu udawać chromego?
  - Oczywiście - odrzekł - ale boję się, że mógłbym zapomnieć. Kapsel przypomina mi, że jestem kulawy. Collin podszedł do toaletki i podał kobiecie ciemne okulary. - Czy już nie czas na nas, madame Hassan? zapytał i wytwornie podał jej ramię.
- Ashley spojrzała mu w oczy.
- Naprawdę uważasz, że to się uda?
  - Gotów jestem się założyć o własne życie.

- Cóż pana sprowadza do Nowego Jorku, drogi panie Hassan? - zapytał wylewnie Bradley. Siedzieli przy drinku w salonie Hollisterów.

- Jestem przeświadczony, że człowiek tak biegły w interesach jak pan zna odpowiedź na swoje pytanie odparł Collin z twardym akcentem, charakterystycznym dla ludzi Bliskiego Wschodu. Teatralnym gestem złapał Ashley za rękę. - Sądzę, że zaprosił pan nas na obiad, by o tym porozmawiać.

- N o cóż, tak jest istotnie - przyznał Hollister, zaskoczony bezpośredniością Collina. - Słyszałem o południowoamerykańskich terenach, o których. zdobycie pan zabiega. Jeżeli jest to lokata rokująca nadzieje, sam chętnie nabyłbym pakiet tych akcji.

- Nie sądzą, aby to mogło pana zainteresować - rzekł Collin z uśmiechem. - Otóż gazety mylnie o tym informowały. Janie zabiegam o dodatkowe pola naftowe. Wręcz przeciwnie.

Hollister spojrzał zdziwiony.

- Ależ ...

Ashley wtrąciła się do rozmowy, przerywając mu w pół słowa.

- Widzi pan, mój małżonek i ja jesteśmy wielbicielemi koni. Traktujemy tę ziemię jako ewentualną lokalizację przyszłej stadniny.

- Zgadzą się absolutnie z moją żoną - poparł ją Collin. - Ten teren nadaje się tylko na pastwiska.

- Pan oczywiście żartuje! - roześmiał się Hollister.

- Absolutnie - zaprotestował Collin. - Marzyliśmy o czymś takim od dawna.

- Czy nie lepiej hodować konie we własnym kraju? zapytał ostrożnie Hollister.

- To nie byłoby zbyt praktyczne - odrzekł Collin. W mojej ojczyźnie nie ma odpowiednich pastwisk. Hodowla może rozwijać się wyłącznie w oparciu o stałą bazę paszową. Na dłuższą metę byłoby to zbyt kosztowne przedsięwzięcie.

- Ach tak. - Hollister z namysłem pociągnął z kieliszka. Siedząca obok Claudia przypominała zimną, starannie wyrzeźbioną statuetkę. Uśmiechała się, ale nie zabierała głosu w dyskusji. Ashley tłumiała śmiech. Hollister nie podejrzewa, że stał się ofiarą spisku. Nie rozpoznał synowej ani Collina, który jest przecież osobistością dobrze znaną na Manhattanie. Nie spodziewa się również, że towarzystwo RTOŁ to atrapa, a teren przetargu - zwyczajny ugór. Ashley niemal czuła w powietrzu zachłanność Bradleya i bawiła się znakomicie.

- Pani Hollister, czy może mnie pani uprzejmie poinformować, jak trafić do toalety? - zapytała.

- Oczywiście - rzekła grzecznie Claudia. - Pani pozwoli, że ją zaprowadzę ...

- Och, to nie jest konieczne. Proszę mnie tylko poinformować.

- Leila jest bardzo samodzielna - wyjaśnił Collin. Radzi sobie znakomicie. Bardzo źle znosi, gdy ktoś uważa ją za - jak wy Amerykanie mówicie - człowieka nie w pełni sprawnego. Robi wszystko tak jak ludzie, którzy widzą.

- Nie chciałam pani urazić - tłumaczyła się Claudia.

- Ależ nic się nie stało, pani Hollister - powiedziała uprzejmie Ashley, choć najchętniej wydrapałaby jej oczy. Z trudem opierała się tej pokusie.

- Wyjdzie pani z jadalni i skieruje się w lewo, po schodach na samą górę. To drugie drzwi na lewo - poinformowała Claudia.

- Bardzo pani dziękuję - rzekła Ashley z godnością. Weszła po schodach bardzo ostrożnie, obmacując drogę laseczką jak czułkami, tak jak uczył ją Collin. Łazienkę znalazła bez najmniejszej trudności. Prawdziwe kłopoty pojawiły się dopiero w drodze powrotnej.

Przy zamkniętych drzwiach sypialni Roberta zaczęła się wahać, czy nie wejść do środka, chociaż dobrze wiedziała, że nie powinna. Ostatecznie siła macierzyńskich uczuć przemogła zdrowy rozsądek. Ashley bardzo wolno przekreśliła gałkę i otworzyła drzwi. Pokój pogrążony był w ciemnościach. Weszła do środka i na palcach podeszła do łóżka, w duchu przygotowując się na wyjaśnienie pomyłki. Po prostu obrała zły kierunek. Rozejrzawszy się, żeby się upewnić, czy nikt jej nie obserwuje, zdjęła ciemne okulary i spojrzała na śpiące dziecko. W tym momencie zdała sobie sprawę, że musi na nie popatrzeć, żeby móc dalej walczyć.

To wszystko dla ciebie, synku.

- Czy uważasz, że Hollister połknie haczyk? - zapytała Ashley Collina, gdy wracali samochodem do Sea Cliff - Oczywiście - rzekł z przekonaniem Deverell.

Nie mogła ukryć zdumienia.

- Ale przecież ...

- Angażuje geologów do pracy na tej ziemi. Dzwonił do jednej z największych firm w Wenezueli - wyjaśnił Collin. - Nie mogłem dopuścić, żeby poznał prawdę o tym terenie. To oczywiste. Dlatego musiałem sporządzić fałszywy raport, który czeka na Hollistera w biurze. Ta ekspertyza przekonuje ponad wszelką wątpliwość, że na naszym terenie są ogromne złoża ropy .

Ashley zaciekawiała się.

- A jak nawiążesz z nim kontakt?

- Bardzo prosto. Już dopytywał się o południowoamerykańskie aktywa Intercontinental Oil i poleciłem Billowi, żeby go poinformował. McNichol spędza wiele czasu w biurach Hollistera, więc nikogo nie zdziwi, gdy się tam pojawi.

- A skąd wiedziałeś, kiedy nadejdzie raport?

- Zadzwoiłem do jednego z geologów i zapytałem o to - rzekł Collin, bardzo z siebie zadowolony.

- Zawsze myślisz o wszystkim, co?

- Staram się, jak mogę.

Ashley uśmiechnęła się do własnych myśli.

- Istnieje dużo prostszy sposób odwrócenia uwagi Bradleya Hollistera - powiedziała.

- No, jaki?

- Rozsmarować pod jego drzwiami kawałek sera.

### *Sea Cliff, listopad 1987*

Sypialnia była pogrążona w ciemnościach. Przez drzwi balkonowe przedostawało się tylko światło pełni księżyca. Rozbudzony Collin leżał obok Ashley. Patrząc na uśpioną kobietę, winił sam siebie, że utracił kontrolę nad emocjami. Ty głupcze; dobrze wiedziałeś, że nie powinieneś angażować się uczuciowo - karciał się w myślach.

Usiadł na łóżku i sięgnął po szlafrok. Włożył go, wstał, zawiązał pasek i podszedł do okna. Księżyc oświetlał sadzawkę przed domem. Wyglądała jak gigantyczne lustro. Stał dość długo i spoglądał w noc, starając się uporządkować uczucia. Sam wytropił tę kobietę, wykorzystał ją dla własnych celów i teraz stało się nieszczęście. Zakochał się w niej. Za parę dni wsadzi ją razem z dzieckiem do samolotu lecącego do Rzymu. Cały czas zmierzała do tego celu. Ona chce rozpocząć nowe życie.

Gdy zwyciężą wrogów, może już nigdy się nie spotkają. Odwrócił się i spojrzał na Ashley. Spała zdrowo i spokojnie. Leżała na wznak. Ciemne włosy rozsypały się dookoła głowy, a zmysłowe kształty uwydatniały się pod cienkim prześcieradłem. Nie potrafi! powiedzieć jej: Kocham cię. Bóg świadkiem, że chciał się oświadczyć, ale słowa nie mogły mu przejść przez gardło. Starał się jej to okazać, gdy kochali się, ale nigdy nie miał pewności, czy ona właściwie odbiera sygnały, które jej przesyłał. Czemu nie potrafię po pro

stu wyłożyć wszystkich kart na stół? - dziwił się sam sobie.

Poszedł do biblioteki. Usiadł za biurkiem i wyciągnął z szuflady dużą brązową kopertę. Znajdowało się w niej wszystko, czego Ashley potrzebowała do rozpoczęcia nowego życia we Włoszech - paszporty, metryki urodzenia, prawo jazdy, nawet świadectwo ślubu i akt zgonu małżonka, będący jednocześnie świadectwem jej wdowieństwa, oraz zaświadczenie, że była żoną obywatela włoskiego. Otworzył jej paszport i patrzył weń bardzo długo. Wszystko zepsułem - pomyślał. - To, co miało stać się dla mnie chwilą największego triumfu, zamienia się w najczarniejszy dzień życia. Był ryzykantem i hazardzistą w każdym calu. Jak trafnie określał to Justin, życie stanowiło dla Collina jedną wielką przygodę. Bez ryzyka nie było godne swojej nazwy. Teraz pojawiło się ryzyko, którego dotychczas nie zamierzał podejmować. Nigdy nie chciał zaangażować się w miłość, a tu nagle wydarzyła się taka historia ...

Już we wczesnej młodości postanowił nie komplikować sobie życia. Kobietom oświadczał z ubolewaniem, że nie weźmie na siebie odpowiedzialności za szczęście drugiej osoby. Lubił dziewczyny i seks, ale z nikim nie chciał się wiązać na stałe. Wszystkie bez zastrzeżeń akceptowały jego warunki. Doskonale rozumiały, że bez względu na to, jak namiętny potrafi być w łóżku, nie daje żadnych widoków na przyszłość.

Odrzucił również stanowczo perspektywę zarządzania firmą ojca. Nie pozwolę się związać - mówił do siebie, ale sam dobrze nie wiedział, czego naprawdę chce. Jeszcze po śmierci rodziców nie miał co do tego żadnej pewności. Nie zamierzał prowadzić interesów, bo widział, jak bardzo krępowало to rodziców. Ojciec nie widział świata poza Intercontinental Oil. Z biegiem lat w jego życiu było coraz mniej radości, firma stawała się z każdym dniem coraz ważniejsza, aż wreszcie wszystko inne poza nią przestało istnieć. A Justin ... rodzony brat, lustrzane, bliźniacze odbicie Collina, również został opętany przez potęgę, jaką dawało przedsiębiorstwo, aż wreszcie stał się złym człowiekiem. Niepohamowana żądza pozbawiła go w końcu władzy, w którą tak bałwochwalczo wierzył. Nawet matka, cudowna, pełna uczuć kobieta, która odziedziczyła po włoskich przodkach romantyczną i wrażliwą duszę, stała się ofiarą firmy. W ostatnich latach życia była samotna. Stanowiła nie zaksięgowaną część kapitału Intercontinental Oil. Była piękną panią domu, atrakcją przyjęć, które jej mąż organizował dla wspólników w interesach, urodziwym towarzyszem podróży. Nigdy się nie buntowała. Uważała, że narzuca sobie rolę za święty obowiązek. Od Collina oczekiwano zaakceptowania przyszłości, dla której się urodził. Poczucie 'obowiązku w końcu zgubiło matkę, teraz synowi grozi to samo.

Collin był opętany tak jak jego ojciec i brat. Ogarnęła go żądza zemsty, a to przecież najgroźniejsza forma opętania. Nienawiść i gorycz czyniły go obojętnym na pozytywne uczucia. Swego czasu wzgardził miłością, gdyż bał się odpowiedzialności, a teraz nie potrafił już jej przyjąć. Żądza zemsty pozbawiła go młodzięcych pasji, prawdziwego smaku życia. Nie pragnął już mierzyć się odważnie z każdym wyzwaniem, które zostanie mu rzucone. Żadny przygód młodziemiec stał się z czasem wyrachowanym mężczyzną, który obliczał swe szanse na zimno, bez jakichkolwiek uczuć. Żeby przeżyć w tym świecie, taka postawa jest koniecznością - wmawiał sobie. I nie miał kłopotów z akceptacją własnej osobowości... dopóki w jego życiu nie pojawiła się Ashley. Ona wyzwoliła w nim uczucia, które dawno uważał za pogrzebane i których nie chciał. Zakochał się w niej. Ale

Ashley nie była podobna do innych kobiet. Nie dopuszczała połowicznego zaangażowania. Wszystko albo nic.  
Collin nie miał pewności, czy kiedykolwiek będzie go stać na całkowite oddanie się.

Anton De Vries siedział w pomieszczeniu komputerowym swej firmy na Manhattanie i spoglądał na ekran. Po całych tygodniach gromadzenia i analizowania danych, gdy kłął sam siebie, że pozwolił Collinowi umknąć, teraz miał wreszcie pewność, gdzie nastąpi kolejne uderzenie sprytnego włamywacza. Zaciśnął usta. Ten przypadek intrygował go niezmiernie. Mimo tylu danych agent nie wiedział, jaką drogą powinien pójść. Doskonale rozumiał, co i dlaczego robi Deverell. Z moralnego punktu widzenia nie można mu ni~ zarzucić, jednak według prawa jest złodziejem. Niemniej jednak ...

- Wciąż jeszcze ścigasza tego tajemniczego włamywacza? - spytał, wchodząc do pokoju, Duncan Cresswell, nowy przełożony De Vriesa.

- Owszem. - Agent nie odrywał wzroku od ekranu.

- Powiedz mi, Anton, czy ten tajemniczy mężczyzna ma jakieś imię? - dopytywał się Cresswell, nalewając sobie kawy i zajmując miejsce przy sąsiednim pulpicie.

De Vries potrząsnął głową.

- Jak tylko będę wiedział, natychmiast ci powiem odrzekł uprzejmie. Przeżył już dość upokorzeń, próbując przekonać kolegów z branży o winie Collina Deverella.

Postanowił więc milczeć, dopóki nie zdobędzie ostatecznego dowodu przeciwko niemu.

- Mamy tego sukinsyna! - krzyknął radośnie Collin, odkładając słuchawkę. - Jasna cholera, dostaliśmy go! - Co się stało? - zapytała Ashley, wstając z kanapy po drugiej stronie pokoju.

- Pułapka działa, kochanie - oświadczył z przyjemnością, nawiązując do wiadomości, jaką właśnie otrzymał. - Hollister podpisał akt kupna terenów towarzystwa RTOL i przekazał, co do jednego, wszystkie akcje Intercontinental Oil! Teraz jest właścicielem jałowej ziemi, a ja odzyskałem całkowitą kontrolę nad firmą! - Nagle nastrój Deverella zmienił się całkowicie. - Za kilka dni, Ashley, będziesz mogła połączyć się ze swoim synkiem ... na zawsze.

- Jak chcesz to przeprowadzić?

- W piątek w nocy Hollisterowie będą na balu kostiumowym w Rainbow Room. My też tam pójdziemy.

Ashley spojrzała na niego pytająco.

- Po co?

- W celu konfrontacji.

Otworzyła usta ze zdziwieniem.

- Chyba zwariowałaś?

\_ Bynajmniej - odrzekł Collin. - Chyba zależy ci, żeby twoi byli teściowie dowiedzieli się, kto przygotował im upadek?

- Wystarczy mi odzyskanie Roberta - powiedziała Ashley szczerze.

- I odzyskasz go. - zapewnił Collin - lecz żeby tego dokonać, musisz się z nimi spotkać.

Spojrzała na niego podejrzliwie. - O co ci naprawdę chodzi?

- Spotkamy się z nimi i powiemy otwarcie, jakie mamy przeciwko nim dowody - wyjaśnił Collin, jakby wykladał zasady gry towarzyskiej. - Zaproponujesz im układ: twoje milczenie w zamian za bezwarunkową, pełną i legalną opiekę nad synem.

- A jeżeli na to nie pójdą?

- Zgodzą się - rzekł z przekonaniem. - Możesz mi wierzyć.

Ashley wahała się przez moment.

- I ty tak łatwo uwolnisz ich z haczyka, który połknęli?

- Tego nie powiedziałem.

- W takim razie wytłumacz mi, co chcesz zrobić.

\_ Obiecasz im milczenie. Potem oddadzą ci syna. Gdy będziesz już w drodze do Włoch, przekażę

dowody odpowiednim władzom.

- Tak po prostu oddasz wszystkie dokumenty? Sądysz, że to dobry pomysł?

Collin wzruszył ramionami.

- Muszę wykorzystać okazję.

Pogładził ją po policzku.

- Nie martw się, kochanie.

- A jeżeli coś się nie uda?

- Zostaw to mnie. Mam jeszcze parę atutów w rękawie.

Ashley popatrzyła mu prosto w oczy.

- Czy myślałeś kiedyś o założeniu rodziny? Nie chciał byś mieć żony i dzieci?

Zawahał się, bo miał ochotę wyznać jej prawdę.

- Nie - skłamał.

- Dlaczego? .

Zmarszczył brwi, świadomie unikając jej wzroku.

- Nie nadaję się na głowę rodziny, tak samo zresztą jak na szefa firmy - odparł wymijająco, grzebiąc w dokumentach leżących na biurku.

- Ach tak! Więc co będziesz robił, kiedy odejdziesz, a ty przejmiesz całkowitą kontrolę nad firmą?

Spojrzał na nią.

- Mam powiedzieć prawdę? Nie wiem.

- Zawsze podziwiałam twoje uniki - rzekła zimno. - Możesz jeszcze w tym zrobić życiową karierę.

Zacisnęła mocno zęby.

- Zasłużyłem sobie na takie życie. Myślałem, że będziesz w lepszym nastroju, skoro niebawem odzyskasz syna.

- Ja też tak myślałam. - Wyszła, trzaskając drzwiami. Collin miał ochotę pobiec za nią, ale się powstrzymał. Jesteś upartym draniem - pomyślał. - Powinieneś wyznać jej prawdę. Zanim będzie za późno.

Ashley ustawiła sztalugi w pokoju muzycznym, gdzie poranne światło było najkorzystniejsze, i ułożyła na nich blok. Otworzyła go i zamyśliła się. Jak długo już nie malowała! Wzięła do ręki jeden z czarnych flamastrów, znajdujących się w pudełku na stole, i zadumała się nad czystą kartką. Wreszcie zaczęła rysować, wykonując śmiało pociągnięcia przez całą stronę. Coś głęboko ukrytego w jej duszy wyzwoliło się z taką samą mocą jak dawno temu.

- Kto urodził się artystą, pozostanie nim.

Zaskoczona Ashley odwróciła się raptownie. Pochłonięta tym, co robi, zupełnie straciła poczucie czasu. Nie miała pojęcia, jak długo już szkicuje, gdy Collin wszedł do pokoju. Poruszał się tak cicho, że nie spostrzegła jego obecności, dopóki się nie odezwał.

Spojrzała na niego z wyrzutem.

- Zawsze musisz skradać się w ten sposób? - spytała, zamykając flamaster.

Wzruszył tylko ramionami.

- To siła przyzwyczajenia - rzekł, podchodząc bliżej.

- Ale nawet, gdybym tu wszedł, bijąc w bęben, i tak byś tego nie zauważyła. - Wskazał sztalugi. -

Wrócisz do malowania, jak to wszystko się skończy?

- Prawdopodobnie - Zdobyła się na wymuszony uśmiech. - Nie znam się na niczym innym.

Collin cicho zachichotał.

- Mówisz tak, jakby to była twoja ostatnia szansa. Odwróciła się do sztalug.

- Bo może jest.

Potrząsnął głową z niedowierzaniem.

- Nie mów tak, Ashley, przecież oboje znamy prawdę. Artyści, prawdziwi artyści, mają to we krwi.

Gdy muszą przerwać tworzenie na dłużej, nie mogą się doczekać, kiedy znowu do tego wrócą.

- Wygląda na to, że cholernie dużo wiesz na ten temat.

- Moja matka była taką sfrustrowaną artystką. Całkiem niezłą. Podejrzewam, że mogła odnieść sukces, gdyby zajęła się tym poważnie.

Rzucił okiem na sztalugi.

- Jesteś bardzo podobna do mojej matki. Uśmiechnęła się, bo był to największy komplement, na jaki Collin potrafił się zdobyć.

- Nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek miała ochotę robić co innego - wyznała. - W dzieciństwie fascynowało mnie utrwalanie moich wizji i kolorów. Nieco później, gdy po raz pierwszy spróbowałam malować krajobrazy, czułam się trochę jak Bóg, jakbym miała moc stwarzania nowych światów ku własnej radości. - Przerwała, nie wypowiadając pytania, które chciała zadać. Czy wolno mi go o to zapytać? - pomyślała. Wreszcie zdecydowała się na ten ryzykowny krok. - Czy podjąłeś już decyzję, co będziesz robił, jak to się skończy?

Wzruszył ramionami.

- Jakaś moja część ciągnie mnie do szermierki przyznał. - Od kiedy przestałem profesjonalnie uprawiać sport, czegoś mi brak. To wciąż we mnie tkwi. Niestety, jestem już za stary, żeby uczestniczyć w zawodach olimpijskich.

- I co postanowiłeś? - Ashley chciała sprowokować Collina do zakończenia myśli.

- Ale teraz - kontynuował - wygląda na to, że przejąłem odpowiedzialność za przyszłość firmy. Gdy już raz się nią zajmę, będę musiał stać w tym siedzieć.

- Dlaczego? - zdziwiła się Ashley.

- Bo nie ma nikogo innego. Nie mogę się zgodzić, żeby Justin stał na czele zarządu.

- A nie możesz pogodzić jednego z drugim? - zapytała Ashley, odkładając flamaster. - Doglądać tylko dyrektorów, którzy przejęliby obowiązki, a ty poświęcałbyś swój czas treningom? Na przykład mógłbyś grać w polo.

Collin pokręcił głową, jakby z góry odrzucał taką myśl.

- Niczego nie doprowadzę do końca, jeżeli będę zajmował się wieloma sprawami.

Ashley skrzywiła się.

- Nie sądzę, że ustabilizujesz się kiedykolwiek. Collin chciał się uśmiechnąć, ale w jego oczach widać było smutek.

- Znasz mnie tylko z jednej strony.

- Mógłbyś zajmować się wszystkim, gdybyś tylko zechciał! - Ashley obstawała przy swoim.

- Nie sądzę.

Milczała przez chwilę.

- Masz tak wiele do zaoferowania ludziom! Czy naprawdę nie chciałbyś się nareszcie ustatkować?

- Do założenia rodziny potrzeba trochę więcej niż stabilizacji finansowej, kochanie.

Ashley spojrzała mu w oczy.

- Nie miałam na myśli pieniędzy.

Przez chwilę patrzył na nią. Otworzył usta, jakby miał coś powiedzieć, ale nagle się rozmyślił.

- Żadna kobieta nie mogłaby szczerze chcieć mnie za męża - powiedział bez przekonania. W jego oczach pojawił się wyraz skruchy, który zniknął, zanim zdążyła go dostrzec. Wtedy Collin spojrzał na szkic. - Co to będzie?

. Rozczarowana Ashley westchnęła głęboko.

- Nasze kostiumy na bal!

- Myślałem, że możemy po prostu coś wypożyczyć.

- Nonsens! - zaprotestowała. - Nauczyłam się od ciebie, że jeżeli coś robić, to zawsze w wielkim stylu.

Collin uśmiechnął się.

- *Touche* - rzekł z uznaniem. - Rozbójnik i kobieta-demon w jednej osobie, jeżeli kiedykolwiek coś takiego istniało.

Ashley roześmiała się.

- Jeżeli to miała być rzeźba, oboje musielibyśmy być ubrani na czarno ... z narciarskimi maskami na twarzach.

- To nazbyt czytelne.

- Za to prawdziwe.

Collin z zainteresowaniem przerzucał szkice.

- Czy uda ci się do piątku dopracować wszystkie szczegóły?  
- Oczywiście - oświadczyła z przekonaniem. - Swego czasu Diana pokazywała mi zakład przy Ósmej Alei, gdzie wykonują zamówienie w ciągu dwudziestu czterech godzin.  
Gdyby tylko wszystko było równie łatwe - powiedziała do siebie w duchu.

- I co ty na to?

Collin przyglądał się uważnie kostiumom wiszącym na manekinach ustawionych pośrodku pokoju muzycznego.

- Muszę przyznać, że miałaś rację. Zrobimy szokujące wrażenie samym wejściem w takich strojach.  
- Broń jest autentyczna - wyjaśniła Ashley, gdy sprawdzał swój kostium. - Znalazłam tę starą szablę w sklepie z antykami na Manhattanie. Gdy tylko ją ujrzałam, natychmiast skojarzyła mi się z tobą. Będzie ci mnie przypominała.

Collin zignorował ostatnie stwierdzenie. Podszedł do drugiego manekina. Do kobiecego kostiumu należała długa czarna peruka, z której wystawały dwie stożkowate posrebrzane muszle.

- To mają być rogi? - zapytał. Ashley przytaknęła.

- Pomyślałam i o efektach specjalnych - objaśniała, pokazując długie do łokcia czerwone rękawiczki. W każdej z nich przy nadgarstku znajduje się woreczek ze specjalnym preparatem. Wystarczy poruszyć energicznie ręką, żeby z rękawiczek zaczął wydobywać się dym.

- Bardzo pomysłowe - pochwalił Collin.

Sam ubiór był niezwykle efektowny. Miał zgrabnie udrapowany kołnierzyk. Postrzępiony jasnoczerwony jedwab układał się zgrabnie na manekinie. Zamiast paska Ashley zamierzała włożyć ciężki łańcuch i kłódkę, a zamiast naszyjnika - nabijaną gwoździami obrożę.

- Potrzeba tylko jeszcze jednego. Masz zapalniczkę? - spytała, przypatrując się z uwagą swojemu kostiumowi, jakby istotnie czegoś mu brakowało.

- Zapalniczkę? - Collin przyglądał się tej scenie, nic nie rozumiejąc, podczas gdy Ashley dostrzegła zapalniczkę na stole i szybko ją złapała. Zanim zdążył cokolwiek zrobić, już klęczała na podłodze, przykładając płomień do materiału.

Deverell był tym całkiem zaskoczony.

- Oszalałaś? - jęknął z rozpaczą. Chciał powstrzymać Ashley, ale ona go odepchnęła. Patrzył więc zdumiony, jak przypala materiał.

- Co ty, do cholery, wyprawiasz ...

- Nie uważasz, że diabeł musi przejść przez piekielne płomienie? - spytała, wyjaśniając swoje artystyczne zabiegi.

- Pamiętasz swoją rolę? - upewniał się Collin, gdy zbliżali się do Rainbow Room.

- Ze szczegółami. - Ashley przeglądała dokumenty, które wręczył jej w samochodzie. Wyteęzała wzrok, niewiele widząc przy świetle reflektorów innych pojazdów. W kopercie znajdowało się wszystko, czego potrzebowała: bilety na samolot, metryki urodzenia, paszporty, prawo jazdy, nawet włoska waluta. - Jak długo będziemy musieli pozostać we Włoszech? - dopytywała się.

- Sześć mieiiięcy, może trochę dłużej. - Collin nie odrywał wzroku od szosy. - Tyle, żeby prokurator federalny zdążył przygwoździć Hollistera i jego kompanów. - Czy przekazałeś wszystkie dowody?

- Są już w drodze. Zostały wysłane ekspresem.

- I co teraz?

- Musimy czekać. Prawnicy zrobią resztę.

Nastąpiła chwila niezręcznego milczenia. Wreszcie Ashley odezwała się cicho:

- Kocham cię.

Collin zawahał się.

- Byłoby o niebo lepiej, gdybyś mnie nie kochała rzekł wymijająco.

- Ach, przestań udawać wielkoduszność! - ucięła ostro. - To do ciebie nie pasuje.

- Jestem praktyczny - stwierdził. - Nie mam pojęcia, co to znaczy wielkoduszność.

- To chyba najbardziej odkrywczе zdanie, jakie dziś usłyszałam. - Była wściekła, że w ten sposób

zamyka jej usta.

Podniósł rękę, żeby ją uciszyć.

- To nie jest odpowiednie miejsce ani czas ...

- Do diabła z czasem! Nie zostało nam go zbyt wiele ... zważywszy, że mogłeś coś przeoczyć ...

Przerwał jej ostro.

- Ta rozmowa nie ma sensu - rzekł ze złością. - No więc kocham cię, okay? Przyznaję. Ale to jeszcze za mało dla kogoś takiego jak ty. Wiemy o tym oboje. Tęsknisz za tym, co przeżywałaś z Brandonem. Potrzebujesz poczucia bezpieczeństwa, małżeństwa, dzieci. Nie nadaję się na męża. Nigdy nie wybiegam myślą dalej niż do jutra. Nie mieszczę się w dalekosiężnych planach.

Ich spojrzenia spotkały się w ciemności.

- Kogo właściwie chcesz przekonać, mnie czy samego siebie? - zapytała Ashley z naciskiem.

Ale on w tym momencie nie potrafił jeszcze jej odpowiedzieć.

W Rainbow Room większość poprzebieranych gości już pościągła maski i jadła lub piła. Pozostali tańczyli. Przyjęcie zostało zorganizowane w celach charytatywnych.

- To przypomina mi Fort Knox - zauważył Collin, na którym tłum bogaczy nie robił większego wrażenia. - Jest tu tyle złota, że wystarczyłoby go na pokrycie wszystkich potrzeb socjalnych naszego kraju.

Ashley przyglądała się zatłoczonemu parkietowi.

Czuła się bardziej obserwatorem niż uczestnikiem przyjęcia dla śmietanki towarzyskiej i rozglądała się zaniepokojona, wypatrując Hollisterów.

- Czy oni już przyszli?

Collin potrząsnął głową.

- Nie sędzę. Nie widziałem ich nigdzie. - Wydawał się zupełnie spokojny, bo wiedział, że trzeba trzymać fason, ale miał w głowie prawdziwy zamęt, spowodowany wcześniejszą rozmową, której nie zaplanował. Zmusiła go do szczerości, diabli nadali.

- A może oni nie zdejmą masek? - spytała Ashley.

- Ujawnią się na pewno - odrzekł.

Chciała się skoncentrować na zadaniu. Od dzisiaj może liczyć tylko na siebie. Zaraz rozstrzygnie się jej los. I los syna. Tymczasem potrafiła myśleć tylko o ostatnim wyznaniu Collina. Czort z nim.

- Oto i oni - powiedział.

Te słowa natychmiast przywróciły ją do rzeczywistości.

- Gdzie?

- Przy drzwiach. Właśnie przyszli. - Skinął głową w stronę nowo przybyłych.

Ashley zmusiła się do uśmiechu.

- Claudia zawsze ubiera się staroświecko - skomentowała sucho. - Jesteś pewien, że to oni?

- Hollister zdjął maskę. - Collin nie odrywał wzroku

od swojej ofiary. - Tego drania z nikim nie pomylę.

Przytaknęła, ale nic nie powiedziała.

- Chodźmy - rzekł.

Spojrzała na nieco zdziwiona.

- Już teraz?

Skinął głową.

- To najodpowiedniejsza chwila.

Podniosła się powoli, drżąc cała. A więc to tak. Nagle uświadomiła sobie, że może sobie nie poradzić. Co się stanie, jeżeli plan się nie powiedzie? Jeżeli skompromitują się w oczach Hollisterów? Collin nieomal ciągnął ją na drugą stronę parkietu, nie dając czasu na zastanawianie się.

- Nie ściągaj maski, dopóki nie przyjdzie pora na dekonspirację - polecił.

Najchętniej w ogóle bym jej nie zdejmowała - pomyślała.

Poszli za Hollisterami do stolika znajdującego się przyoknie. Bradley i Claudia właśnie zajęli miejsca, gdy Collin, ciągnąc za sobą Ashley, zbliżył się do niej.



- Pan Hollister? - zwrócił się do mafiosa. .

Bradley podniósł głowę.

- Słucham?

- Pan mnie nie zna, ale mamy bardzo ważną sprawę do omówienia - ciągnął Deverell, nie przedstawiając się. - Pozwoli pan, że się przysiadziemy? - Bezceremonialnie odsunął krzesło, nie czekając na pozwolenie.

Ashley usiadła obok. Patrząc przez stół na Claudię, uznała, że kostium teściowej, imitujący ubiór Marii Antoniny, pasuje do sytuacji. Gdybym jeszcze miała przy sobie gilotynę - pomyślała.

- Nie jestem pewien, czy usłyszałem pańskie nazwisko. - Hollister bacznie przyglądał się Collinowi.

- Nie podawałem mojego nazwiska - odparł Deverell beztrąsko. - Przejdę od razu do rzeczy, Hollister. Kupił pan właśnie tereny w Wenezueli, które należały do mnie. W zamian przekazał pan na ręcę mojego przedstawiciela duży pakiet akcji Intercontinental OH.

- Hassan!

- Oczywiście - potwierdził z uznaniem Collin, kłaniając się nieznacznie. - O co chodzi?

- Wpadł pan jak śliwka w kompot, Hollister - rzekł Deverell z zadowoloną miną. - Ta ziemia jest całkowicie bezwartościowa.

Hollister wydawał się rozbawiony.

- Geologowie ...

- To fałszywe ekspertyzy - stwierdził Collin. - Sam podrzuciłem je w pańskim biurze.

Uśmiech znikł z twarzy mafiosa.

- To oszustwo ...

Teraz Collin zaczął się śmiać.

- Szybko pan wpadł we własne sidła!

- Jest pan głupcem! Ja mogę ... - W głosie Hollistera pobrzmiwała groźba.

- Nie sądzę - odpowiedział Collin beztrąsko. - Mój wspólnik i ja zdołaliśmy zgromadzić bardzo dużo dowodów, że prowadzi pan - powiedzmy łagodnie - nieetyczne praktyki handlowe. - Opisał w najdrobniej szych szczegółach treść niektórych zdobytych dokumentów. - Posiadamy wystarczające dowody, żeby prokuratura federalna osadziła pana w więzieniu na wiele lat.

Hollister pobladł jak ściana.

- Czego ode mnie chcecie? - spytał zmienionym głosem.

Collin ściągnął maskę.

- To nie będzie trudne - odpowiedział, zwracając się do swej towarzyszki: - Co o tym sądzisz, wspólniku?

Ashley zsunęła maskę bardzo powoli, delektując się przerażeniem byłych teściów, którzy rozpoznali ją natychmiast.

- Sądzę, że masz rację - rzekła, zwracając się twarzą do Hollisterów.

- To ty ... - wymamrotała Claudia. Ashley uśmiechała się zwycięsko.

- Mówiłam, że chcę cię zobaczyć w piekle.

Ashley wciąż jeszcze nie mogła uwierzyć w swoje szczęście. Nawet w drodze na lotnisko, gdy Robert siedział pomiędzy nią a Collinem w limuzynie, nie wierzyła, że Hollisterowie) poddali się bez walki. Wreszcie odzyskała syna! Collin ułożył genialny plan ..

Teraz milczał, obserwując coś przez okno pędzącego samochodu. Odkąd wyjechali z Sea Cliff, nie wypowiedział więcej niż dziesięć słów. Była bardzo ciekawa, o czym teraz myśli, co czuje.

Powiedział, że ją kocha, ale w ciągu ostatnich trzech dni zachowywał się tak, jakby przestała dla niego cokolwiek znaczyć. Gdy dzisiejszego ranka udali się do Hollisterów odebrać Roberta, traktował to jak normalny interes. Odniosła wrażenie, jakby coś w Collinie zamierało. Była ciekawa, czy cierpi podobnie jak ona. Czy rzeczywiście potrafi pożegnać się z nią, mając świadomość, że mogą nie zobaczyć się nigdy więcej?

Uświadomiła sobie, że ich czas się skończył. Limuzyna wjechała na teren lotniska Kennedy'ego. A

więc tak to wygląda. To prawdziwe pożegnanie. Z trudem powstrzymywała łzy. To nie fair - pomyślała gorzko. - Nigdy nie przypuszczałam, że pokocham kogoś oprócz Brandona, a teraz, gdy znalazł się ktoś taki, tracę go.

Szofer zaparkował w pobliżu wejścia na budoz ruchliwy terminal TWA, po czym wysiadł i otworzył pasażerom drzwi. Gdy szofer i portier wyjmowali z bagażnika walizy, Collin pomagał Robertowi i Ashley wysiąść z auta.

- Uważaj na siebie - szepnął, podtrzymując ją za ramię, gdy stawała na chodniku.

- Będę się starała - odpowiedziała drżącym głosem. Skinął głową.

- Masz wszystko, co potrzebne?

- To, co moje, tak - odparła. - Kocham cię.

Collin zawahał się.

- Ja też ciebie kocham. I jakie to ma znaczenie?

- Dla mnie to znaczy wszystko.

Pocałował ją czule.

- Jesteś jedyną kobietą, poza moją matką, która potrafiła zaakceptować mnie takim, jakim jestem.

- Gdybyś był inny, nigdy bym cię nie pokochała - rzekła, a łzy kapły jej po policzkach. - Nigdy cię nie zapomnę.

- Ja też będę o tobie pamiętał.

Ashley przygryzła dolną wargę, żeby powstrzymać jej drżenie.

- Czy naprawdę musimy się rozstać?

- Myślę, że tak będzie łatwiej dla nas obojga - powiedział cicho.

Popatrzyła mu głęboko w oczy.

- Przyznaj się, od kiedy zacząłeś szukać najłatwiejszego rozwiązania? - zapytała. nagle zupełnie chłodno. - Myślę tylko o tobie.

Próbował zrzucić winę na nią! To było więcej, niż Ashley potrafiła znieść. Ostatnia kropla, która przeważała szalę.

- Myślisz o mnie jak diabli! Moje dobro to dla ciebie tylko wymówka!

- Ashley ... - Collin usiłował złagodzić konflikt, ale tylko rozwścieczył ją jeszcze bardziej.

- Jest pan pieprzonym tchórzem, panie Deverell! \_ krzyknęła, nie przejmując się tym, ilu ludzi przysłuchuje się rozmowie. - Potrafisz balansować na linii tysiąc stóp nad ziemią, wyprowadzić w pole uzbrojonych strażników, panować nad światem przestępczym, ale boisz się miłości! Boisz się odpowiedzialności za samego siebie, za nas oboje!

- Ashley ...

Przechodnie gapili się na nich, ale ona na to nie zważała. Po tym wszystkim, przez co przeszła w ciągu ostatnich paru miesięcy, nie miała zamiaru poddawać się bez walki. Jeżeli on zdecydował, że się rozejdą, to niech, cholera, przynajmniej wie, co o nim myśli.

- Spędzisz resztę życia, ukrywając się przed samym sobą? - spytała.

Collin mocno zacisnął zęby.

- To nie powód, żeby robić sceny, Ashley - powiedział cicho, ale bardzo stanowczo.

- Masz absurdalną rację - zgodziła się załamana, oddychając głęboko. - To nie jest wystarczający powód. Jeżeli utracona miłość ci nie wystarczy, by cierpieć, to istotnie wszystko traci sens. -

Poprowadziła synka do wejścia, po czym znowu odwróciła się i spojrzała na Collina. - Już kiedyś byłam zakochana. Gdy utraciłam Brandona, myślałam, że to mnie zabije. Nigdy nie obawiałabym się jednak znów pokochać jedynie dlatego, że mogłabym utracić ukochaną osobę. Jeżeli życie z Brandonem nauczyło mnie czegoś, to przede wszystkim tego, że o miłość warto walczyć. To jedyna sprawa w życiu warta ryzyka. Cholernie smutne, że człowiek, dla którego hazard jest żywiołem, nie może tego dostrzec!

Collin nie wyrzekł ani słowa. Nie miał nic do powiedzenia i nie potrafił nic zmienić. Nadal był przekonany, że czyni rzecz najkorzystniejszą dla nich obojga. Jedyne możliwe rozwiązanie.

Przyglądał się w milczeniu, jak kochana kobieta znika za szklanymi drzwiami, jak odchodzi z jego

życia w tym samym miejscu, gdzie pojawiła się niecały rok temu. Wsiadł do samochodu i dał znak Harrisonowi.

- Jedziemy - rzucił, zatrzasnąwszy za sobą drzwiczki. Harrison spojrzał na niego z powątpiewaniem.
- Jesteś pewien, że tego chcesz?
- Tak, do jasnej cholery! - uciął szorstko Collin.

Ashley siłą powstrzymywała łzy, czekając w długiej kolejce na kontrolę bagażu i odbiór kart pokładowych. Nawet znając reakcje emocjonalne Collina i jego stosunek do miłości, w głębi czuła, że ich uczucie jest dostatecznie silne, żeby wpłynąć na zmianę jego sposobu myślenia, na tyle ważne, by zastanowił się nad sobą i zmienił poglądy. Teraz jednak uznała, że się myliła, i ta świadomość sprawiała jej największy ból. Wszystko okazało się za słabe, by przekonać Collina. Przez minione miesiące żyła wyłącznie nadzieją. Gdy Hollisterowie zabrali Roberta, przetrwała tylko dzięki niej. A gdy zawiodły legalne sposoby i spotkała Collina, nadzieja znowu podpowiadała, że on rzeczywiście chce pomóc oszukanej matce i że jego plany się powiodą. To trzymało Ashley przy zdrowych zmysłach. I wreszcie dzięki nadziei zdała się na miłość. Sądziła, że potrafi przełamać emocjonalną barierę, jaką otoczył się Collin, miała nadzieję, że gdy wspólny wróg zostanie pokonany, miłość zwiąże ich na zawsze. Teraz nadzieja uleciała. Ashley zrobiła wszystko, co leżało w jej mocy, ale w końcu i tak została pokonana.

Gdy mężczyzna wyprzedzający ją w kolejce odszedł od okienka, podała swoje bilety. Przyglądała się, jak urzędnik wystukuje jej rezerwację na klawiaturze komputera. Nie tak dawno jeszcze obserwowała Collina, który uprawiał własną magię na komputerze, przenosząc fundusze z jednego banku do drugiego, zamawiając rezerwacje, kupując bilety i na końcu osaczając członków mafii. Collin lubił żyć ryzykancko. To był jego żywioł. Co się teraz z nim stanie? Jak spisze się jako naczelny dyrektor, przykuty od rana do nocy do biurka? Uważał, że nie ma innego wyboru, że stał się odpowiedzialny za firmę. Przez wszystkie minione lata nie potrafił uwolnić się od żądzy zemsty, która raptem została zaspokojona. Pozostał mu tylko obowiązek prowadzenia firmy. Był świadom tego, co powinien robić, ale wciąż jeszcze nie wiedział, czego naprawdę chce. Ashley było go żal. Wpadł w pułapkę życiowych obowiązków i niewiele będzie miał czasu na poszukiwanie osobistego szczęścia. Gdyby tylko zechciał przejrzeć na oczy ...

Zmusiła się do uśmiechu, zabierając bilety i karty pokładowe, które urzędnik położył przed nią na kontuarze.

- Życzymy przyjemnej podróży, *signora* - rzekł po włosku z miłym uśmiechem.
- *Grazia*.

Spojrzała na syna, który tulił się do niej, najwyraźniej speszony tłumem obcych ludzi. Po tym wszystkim, co musiał przejść, nie był w stanie zwyciężyć swoich lęków przez jedną noc. Trochę potrwa, zanim dziecko dojdzie do siebie. Niech <20g ma Roberta w swojej opiece, żeby nie skończył tak jak Collin, niezdolny ani do zaufania, ani do miłości.

Ruch na autostradzie prowadzącej do Sea Cliff był bardzo duży. Collin siedział samotnie na tylnym siedzeniu limuzyny, pogrążony w myślach. Nie patrzył na rzekę samochodów, nie słyszał klaksonów. Myślał o Ashley. Przypomniawszy sobie, jak ujrzał ją po raz pierwszy na tym samym lotnisku. Wydawała mu się wówczas urzekająco piękna, cała w czerni, otulona futrem. Jej czarne oczy były pełne blasku. Ashley potrafiła oczarować swą urodą w każdej sytuacji, ale w złości wyglądała po prostu wspaniale! Choć wiedział przecież, że posłuży się nią do swoich samolubnych celów, poruszyła go głęboko.

Przypomniawszy sobie, jak wyglądała w sądzie, gdy przegrała apelację. Tak bardzo chciał wtedy stanąć w jej obronie! Albo gdy uczył ją posługiwać się kablem wysokościowym... jak niewiarygodnie seksowna wydawała mu się, jak bardzo jej pożądał... albo gdy kochali się pierwszy raz ... miał przed oczyma obraz, jak stoi naga w mroku sypialni, sama przyszła do niego... albo tego popołudnia, gdy uczyli się udawania ślepoty, jak wściekła się, że pozwolił jej wsypać do miksera proszek do pieczenia ... wreszcie dziś na lotnisku. Nigdy, choćby miał żyć sto lat, nie zapomni bólu

w jej oczach. To on jej go sprawił. Po tym wszystkim, co wspólnie przeszli i co dla siebie nawzajem znaczyli, zranił ją bardzo głęboko. Zranił też samego siebie.

Przecież ją kocha. Kocha bardziej, niż mógł przypuszczać. Ale co mógł jej zaoferować? Naturalnie, mógł dać dom w Sea Cliff i wszystkie swoje bogactwa, inny samochód na każdy dzień tygodnia i najwspanialsze klejnoty na świecie. Mógł się z nią kochać. Ale to za mało dla takiej kobiety jak Ashley. Ona potrzebuje stabilizacji. Dobry Boże, najprawdopodobniej chciałaby mieć więcej dzieci! A on nawet nie ma pewności, czy w ogóle je lubi! To jeszcze nie wszystko, ona żąda całkowitego zaangażowania. Chce wszystko albo nic. Nie, nigdy nie będzie go stać, żeby zapewnić jej to, czego od niego oczekuje.

"Spędzisz resztę życia, ukrywając się przed samym sobą?"

Czy istotnie miałoby do tego dojść? Ukrywać się przed samym sobą? Czyżby zgorzkniał i stał się cynikiem? Może nie tyle nie chce brać na siebie odpowiedzialności, ile po prostu nie potrafi?

„Jesteś pieprzonym tchórzem, Deverell! Potrafisz balansować na linie tysiąc stóp nad ziemią, wyprowadzić w pole uzbrojonych strażników, panować nad światem przestępczym, i, ile boisz się miłości!"

Collin przymknął oczy. To prawda. Jest tchórzem.

Kryje się sam przed sobą. Kocha, ale nie chce podjąć ryzyka związanego z miłością, boi się, że może się nie sprawdzić, nie sprostać oczekiwaniom Ashley... albo swoim własnym. W tej jednej dziedzinie boi się zaryzykować.

Myślał intensywnie. Jego przeznaczenie stało się jasne w momencie, gdy pokonał Hollistera i jego mafię. Wtedy postanowił poświęcić się i przejąć kontrolę nad Intercontinental Oil. Odtąd będzie musiał sam wszystkim kierować. Nie ma wyboru. Nikt inny nie mógłby się tego podjąć. To jego zadanie. Nie był to styl życia, którego pragnął, ale zdawał sobie sprawę z odpowiedzialności.

Przyszłość ukazała się nagle w bardzo ponurym świetle. Każdy dzień bez Ashley będzie smutny. Przy niej chociaż osobiste życie miałyby przyjemnie. Przynajmniej miałyby ochotę wstać rano z łóżka. I być może ... być może ...

\_ Henry, zawracaj przy najbliższej przecznicy! - krzyknął do Harrisona. - Muszę jechać na lotnisko, zanim będzie za późno!

- Czy samolot numer 803 do Rzymu już został odprawiony? - natarczywie dopytywał się Collin, oddychając pospiesznie. Bieghjak szalony od samochodu przez cały terminal aż do okienka biletowego.

Urzędnik zaprzeczył.

\_ Pasażerowie właśnie wchodzą na pokład.

- Przy którym wejściu?

Urzędnik podał odpowiedni numer.

Collin puścił się szalonym pędem, potracając po drodze mnóstwo ludzi, i zatrzymał się dopiero przy wejściu, którego szukał. Dziko rozglądał się w tłumie. Początkowo w ogóle nie spostrzegł Ashley. Czyżby już weszła na pokład? Serce waliło mu niespokojnie. Wtem dojrzał, że przykłęka, mówiąc coś do syna. Podbiegł do niej i złapał ją za ramię.

\_ Muszę z tobą porozmawiać - rzekł ochryplym głosem, wyciągając ją z kolejki.

Ashley spojrzała na niego, przestraszona tym zachowaniem.

- Collin! Co się stało?

\_ Kocham cię! - wykrzyknął. - Chcę się z tobą ożenić ... jeżeli mnie zechcesz.

Spojrzała na niego z otwartymi ustami.

\_ Jeżeli cię zechcę? - Zaczęła się śmiać i płakać jednocześnie. - Ty idioto! Ty cudowny idioto! -

Rzuciła mu się w ramiona, podczas gdy inni pasażerowie zaczęli coś szeptać. - Czy wiesz, że jesteś świrem?

- Czy to ma znaczyć, że się zgadzasz?

Wymownie przytaknęła, a po jej policzkach ściekał tusz do rzęs.

- Tak! - Płakała ze szczęścia.

- Potrafisz wytrzymać nudne życie u boku prezesa firmy? - zapytał, ocierając jej łzy swoją chusteczką.

Ashley podniosła głowę i śmiała się serdecznie.

- Życie przy tobie nigdy nie będzie nudne... bez względu na to, czym się zajmiesz.

*San Remo; Włochy, lipiec 1988*

Nie chce mi się stąd wyjeżdżać - powiedziała Ashley do Collina, gdy szli pod rękę wzdłuż wyłożonej kolorowymi płytkami promenady. - Te ostatnie miesiące były niezwykle przyjemne ...

- Ah, a - zgodził się Collin, uśmiechając się z zadowoleniem. - Porównujesz ten czas z tym, co przeżyłaś w ubiegłym roku, prawda?

- Oczywiście - przytaknęła, opierając głowę na jego ramieniu. Robert biegał po promenadzie parę kroków przed nimi. Uporali się wreszcie z wszystkimi kosztarami i teraz Ashley rozkoszowała się spokojem, jaki znaleźli na Riwierze.

- Skoro Bradley Hollister już siedzi za kratkami, nic nas tu nie trzyma - przypomniał jej Collin. - Żaden sąd w kraju nie odbierze nam Roberta, a na mnie czekają obowiązki. Bill McNichol wziął na siebie całą robotę, ale nie mogę obarczać go odpowiedzialnością na zawsze.

- A co z Justinem? - zapytała Ashley. - Był przecież prezesem firmy przez dziesięć lat

- Nie potrafiłbym zaufać bratu, a patrzeć mu bez przerwy na ręce ... - rzekł Collin z żalem, spoglądając na jachty zakotwiczone w porcie. - I tak jestem zadowolony, że nie został skazany. W końcu był jedynie kozłem ofiarnym ludzi Hollistera. Jeśli chodzi o udział w kierowaniu Intercontinental OH, musi najpierw udowodnić, że można mu zaufać. - Zamilkł na chwilę. - A ty, kochanie, masz przecież własną karierę. Zrezygnowałaś już z malarstwa?

- Mowy nie ma! - zaoponowała i zamilkła na moment, wpatrując się z zachwytem w ślubny pierścionek, wysadzany diamentami i szafirami. - Ale mam też inne plany, jeżeli się na to zgodzisz.

Podniósł brwi z zainteresowaniem.

- A cóż to takiego?

- Byłoby wspaniale, gdybyśmy dali Robertowi braciszka albo siostrzyczkę. Przecież chciałbyś mieć własne dzieci?

Spojrzał na nią zaskoczony.

- Czy chcesz w ten subtelny sposób dać mi do zrozumienia, że klamka zapadła?

Ashley roześmiała się w głos.

- Nie ... jeszcze nie - zapewniła. - Mimo wszystko trzeba się z tym liczyć, nie uważasz?

- No ... chyba tak - zgodził się z wahaniem. - Muszę przyznać, że przedtem o tym nie myślałem, ale bardzo mi odpowiada posiadanie rodziny... licznej rodziny.

- Zaraz, zaraz, nie galopuj tak .....

Collin uśmiechnął się łobuzersko.

- Bliźniaki to normalka w mojej rodzinie, jak ci wiadomo - rzekł kpiącym tonem. - Najpierw parka chłopaków, a następnie dwie dziewczynki ...

- Jak będziesz chciał mieć taki tłum, sam go sobie urodzisz! - Śmiała się głośno. Wyrwała mu się i puściła biegiem. - Od dzisiaj będziesz spał sam na kanapie!

- Mowy nie ma! - krzyknął i pobiegł za nią, by chwycić ją mocno w ramiona. Zaczął ją figlarnie całować. \_ Kobieto, przez najbliższych parę lat nie mam zamiaru cię oszczędzać ...

Anton De Vries stał przy oknie w swoim biurze na Manhattanie i patrzył bezmyślnie na wspaniałą panoramę Nowego Jorku. Na biurku leżała gazeta, w której szczegółowo omawiano proces Bradleya Hollistera i paru osobistości z mafii. Wśród uniewinnionych znalazł się Justin Deverell, dotychczasowy prezes zarządu Intercontinental Oil. Kontrolę nad firmą przejął jego brat, Collin, który ma pojawić się niebawem na posiedzeniach zarządu. Uważa się, że teraz, kiedy wyrok zapadł, a Justin został oficjalnie wyrzucony z firmy, stanowisko obejmie Collin, gdy tylko powróci do kraju. Wyjechał gdzieś na sześć miesięcy. Oczy Wall Street przez najbliższy rok będą zwrócone na Intercontinental Oil, szczególnie ze względu na wydarzenia ostatnich sześciu miesięcy.

De Vries nie mógł pojąć, dlaczego pozwolił wymknąć się Collinowi, gdy był już tak blisko schwytania go. Coś w głębi serca mówiło mu, że ten człowiek nie jest przestępcą. Odetchnął głęboko i sięgnął po kubek stojący na biurku. Wypił duży łyk zimnej, gorzkiej kawy. Następnie podeszedł do szuflady i wyjął z niej telegram, który otrzymał parę tygodni temu, żeby go przeczytać chyba po raz setny:

POSTANOWIŁEM WYCOFAĆ SIĘ STOP PRZYSZEDŁ CZAS USTATKOWAĆ SIĘ I STAĆ SIĘ  
SZANOWANYM BIZNESMENEM ORAZ OJCEM RODZINY STOP  
ZALEŻY MI NA TYM ŻEBY PAN DOWIEDZIAŁ SIĘ O TYM PIERWSZY STOP  
DEVERELL